



Arturo Pérez- Reverte

Dzień
gniewu

znak

Przekład
Weronika Ignas-Madej

**Arturo
Pérez-
Reverte**
Dzień gniewu

Wydawnictwo Znak
Kraków 2015

Opowieść ta nie jest ani literacką fikcją, ani dokumentalnym zapisem historycznym. Nie ma również jednego, wyjątkowego bohatera, w wydarzeniach z dnia 2 maja 1808 roku w Madrycie wzięły bowiem udział rzesze mężczyzn i kobiet. Bohaterowie i tchórze, ofiary i kaci – historia zachowała nazwiska wielu z nich. Wykazy poległych i rannych, raporty wojskowe, wspomnienia spisane przez pierwszo- i drugoplanowe *dramatis personae* zawierają wiele szczegółowych danych przydatnych dla historyka, a jednocześnie wytyczających granice pisarskiej wyobraźni. Wszystkie wymienione tu osoby i miejsca są autentyczne, podobnie jak opisane wydarzenia i wiele spośród wypowiedzianych słów. Autor ograniczył się do zebrania – tworząc z nich jedną wspólną historię – pół tysiąca drobnych i mrocznych, pojedynczych historii zapisanych w archiwach i książkach. Użył wyobraźni tylko jako spoiwa, którym połączył kamienie mozaiki. Korzystając z minimalnych uprawnień, na jakie przyzwalało pojęcie powieści, na jej kartach usiłował przywrócić życie tym, którzy przez ostatnie dwieście lat widnieli jedynie jako anonimowe postaci na grafikach i płótnach im współczesnych czy też tworzyli suche listy nazwisk zabitych i rannych, zachowane w oficjalnych dokumentach.

Nie zważając na korzyści, odpowiedzieli na zadaną im krzywdę. Znieważeni zapalali gniewem i zbuntowali się przeciw naszej potędze, chwytając za broń. Wszyscy ci Hiszpanie zachowali się jak ludzie honoru.

Napoleon Bonaparte zacytowany przez

Las Casesa w *Memoriale ze św. Heleny*

Stanął przeciwko nam naród, dwanaście milionów dusz niewyobrażalnie wściekłych. Wszystko, czego dokonano tu 2 maja, było ohydne. Nie, Sire, jesteście w błędzie. W Hiszpanii nastąpi kres Waszej chwały.

List Józefa Bonaparte do brata, cesarza Napoleona

Ci, którzy stawili czoła, w istocie nie byli wykształceni. Tamci stali się ofiarą napoleońskiego wirusa i w imię nowych idei niczym rekruci karnie przywdziali cesarski mundur. Hiszpanię uratowali prości ludzie, którzy nie umieli czytać ani pisać... Jedyną godną podziwu rolę, którą Hiszpania odegrała w dziejach europejskiej polityki, przyjął na siebie prosty lud, ten sam, którego symbolem, uwiecznionym przez artystę tak prostego i genialnego jak Goya, stał się mężczyzna – czy raczej dzika bestia – który z rozrzuconymi ramionami i odsłoniętą pierśią,

spoglądając śmiałym wzrokiem, ryczy na podobieństwo lwa przeciw lecącym ku niemu kulom.

Ángel Ganivet, *Granada la bella*

*Dla Etienne'a de Montety,
zabojada*

1

Jest siódma rano i termometry w Madrycie wskazują osiem stopni w skali Réaumura. Słońce od dwóch godzin stoi nad horyzontem, z przeciwległego krańca miasta obrysowuje promieniami kontury wież i dzwonnicy i odbija się od białej, kamiennej fasady Pałacu Królewskiego. Na dziedzińcu, w kałużach pozostałych po nocnym deszczu, mokną kopyta koni i koła trzech pustych powozów, które zatrzymały się właśnie przed Bramą Książęcą. Hrabia Selvático, z przypiętym do wytwornego surduta wielkim krzyżem Karola III, florencki dworzanin w służbie królowej Etrurii – wdowy, córki starej pary monarszej, Karola IV i Marii Ludwiki, wychyla się z bramy, rzuca okiem na powozy i zaraz znika. Tłumek bezczynnych madrytczyków, w większości kobiet, przygląda się ciekawie. Jest ich nie więcej niż tuzin, wszyscy milczą. Jeden z dwóch strażników strzegących bramy stoi obok wartowni, niedbale opierając się o karabin z nastawionym bagnietem. W istocie ów bagnet jest jego jedyną skuteczną bronią – na rozkaz przełożonych żołnierz opróżnił wcześniej ładownicę. Słucha bicia dzwonów z pobliskiego kościoła Najświętszej Marii Panny i kątem oka widzi ziewającego towarzysza. Została im jeszcze godzina do zmiany warty.

W niemal całym mieście panuje spokój. Obudzeni o świcie sklepikarze otwierają kramy, kupcy rozkładają towary na placach targowych. Pozory normalności ulegają zakłóceniu przy Puerta del Sol: na ulicach św. Filipa, Postas i Montera, przy kościele Buen Suceso i przy jeszcze zasłoniętych wystawach licznych księgarni na ulicy Carretas zbierają się niewielkie grupki madrytczyków, które podążają pod gmach poczty. A w miarę jak

miasto budzi się do życia, w oknach i na balkonach pojawia się coraz więcej ludzi. Słyszą pogłoski, że Murat, wielki książę Bergu i namiestnik Napoleona w Hiszpanii, ma zamiar wywieźć dziś do Francji królową Etrurii i infantę Franciszka de Paula, by dołączyć ich do monarszej pary oraz do ich syna, Ferdynanda VII, przebywających tam od jakiegoś czasu. Brak wieści od młodego króla wzbudza niepokój. Nie dotarli wciąż z Bajonny dwaj spodziewani posłańcy i ludzie zaczynają szemrać. Przechwycono ich, głosi plotka. Cesarz chce mieć całą rodzinę królewską w jednym miejscu, by łatwiej było nią manipulować, słysząc w tłumie, a młody Ferdynand, nie godząc się na to, wysłał tajne rozkazy juncie rządowej, na której czele stoi jego wuj, infant don Antonio. „Jeśli zabiorą mi koronę – miał ponoć oznajmić – to razem z życiem”.

Przed pałacem czekają trzy puste powozy, tymczasem na drugim końcu ulicy Mayor, przy Puerta del Sol, chorąży królewskiej marynarki Manuel María Esquivel, wsparty o kutą balustradę największego z balkonów poczty, obserwuje grupki ludzi. To w większości mieszkańcy okolicznych domów, służba wysłana, by zasięgnąć języka, sklepikarze, rzemieślnicy, pospólstwo, wśród których nie brakuje cwaniaków i elegancików często spotykanych w Barquillo, Lavapiés czy w biedniejszych, południowych dzielnicach. Czujnemu spojrzeniu Esquivela nie uszły małe, trzy- lub czteroosobowe grupki mężczyzn, raczej spoza Madrytu, które trzymają się w milczeniu na uboczu. Wyglądają, jakby nie znali się między sobą, a wszyscy są młodzi i krzepcy. Zapewne znajdują się wśród nich i ci, którzy przybyli tu wczoraj, w niedzielę, z Aranjuez i pobliskich wiosek, a którzy z jakiegoś powodu – żaden powód nie będzie dobry, wnioskuje chorąży królewskiej marynarki – wciąż nie opuścili miasta. Są też kobiety, bo one zazwyczaj wstają o świcie, większość wraca z targu z koszami w rękę i plotkuje, powtarzając pogłoski krążące już od paru dni i spotęgowane

pełnym napięcia dniem wczorajszym, kiedy to wygwizdano Murata w czasie przeglądu wojsk na Prado. Jego strażę powstrzymywały ludzi, aby umożliwić mu przejazd, a drogę powrotną musiał przebyć pod eskortą kawalerii i czterech armat, przy wtórze gorszącej śpiewki pospólstwa:

Z prawnego nadania
Jest ustawa ogłoszona,
Że nocnik do srania
Przybrał imię Napoleona.

Esquivel, dowódca plutonu grenadierów królewskiej marynarki stacjonującego w gmachu poczty od godziny dwunastej poprzedniego dnia, jest nader ostrożnym oficerem. Prócz tego osławiona dyscyplina królewskiej floty temperuje jego młodzieńczą porywczosć. Rozkaz brzmi: unikać problemów. Francuzi pozostają w gotowości bojowej, stąd uzasadnione obawy, iż tylko czekają na pretekst, by uderzyć i dać nauczkę miastu. Mówił o tym wczoraj w nocy, koło jedenastej, na odprawie warty generał brygady don José de Sexti: Włoch w służbie Hiszpanii, niezbyt sympatyczny, który ze strony hiszpańskiej przewodniczy mieszanej komisji utworzonej do rozwiązywania coraz liczniejszych konfliktów między madrytczykami i francuskimi żołnierzami.

– W gotowości bojowej, wiem co mówię – opowiadał Sexti. – Cesarscy ledwie pozwolili mi przejść przed koszarami przy Prado Nuevo, a przecież byłem w mundurze... Moim zdaniem to brzydtko pachnie.

– Nie wydano szczegółowych rozkazów?

– Szczegółowych? Cóż to za głupie pytanie? Ta cała junta rządowa przypomina mi kurnik z lisem panoszącym się w środku.

W trakcie tamtej rozmowy do uszu wojskowych dobiegł tętent koni, a kiedy obaj podeszli do bramy, ujrzeli liczny oddział francuskich żołnierzy galopujących w strugach deszczu w stronę ogrodów Buen Retiro, gdzie

stacjonowały dwa tysiące ludzi i zgromadzono znaczną liczbę sprzętu artyleryjskiego. Co widząc, Sexti oddalił się pośpiesznie, bez pożegnania, a Esquivel pchnął kolejnego posłańca do swego dowódcy z pytaniem o instrukcje, odpowiedzi jednak nie otrzymał. Postawił oddział w stan gotowości i czuwał przez całą noc, a ta bardzo mu się dłużyła. O poranku, gdy okoliczni mieszkańcy zaczęli się zbierać przy Puerta del Sol, wysłał podoficera i czterech marynarzy z poleceniem rozgonienia zbiegowiska, nikt ich jednak nie posłuchał. Grupki pęcznieją z każdą minutą. Nic więcej tu nie wskóram, myśli chorąży królewskiej marynarki i daje podoficerowi i marynarzom rozkaz odwrotu, a wartownikom nakazuje, by w razie jakichkolwiek kłopotów weszli do budynku i zamknęli bramy. W przypadku nagłej sprzeczki grenadierzy niewiele by zdziałali, tak czy siak. Oni czy ktokolwiek inny. Z rozkazu junty rządowej i don Francisca Javiera Negrete, dowódcy garnizonu w Madrycie i Nowej Kastylji, oddziały hiszpańskie – ku zadowoleniu Murata – zostały pozbawione amunicji. Wobec dziesięciu tysięcy cesarskich żołnierzy stacjonujących w mieście, dwudziestu tysięcy rozlokowanych na przedmieściach i kolejnych dwudziestu znajdujących się o dzień marszu od stolicy, trzy i pół tysiąca żołnierzy madryckiego garnizonu sprawia wrażenie zupełnej bezbronności w obliczu potęgi Francuzów.

„Podobnie jak wielkoduszność tego narodu względem obcokrajowców nie zna granic, tak jego zemsta jest straszliwa, gdy zostanie on zdradzony”.

Jean Baptiste Antoine Marcellin Marbot, syn i brat wojskowego, przyszyły generał, baron, par Francji i bohater wojen Cesarstwa, który tego ranka jest zwykłym dwudziestosześcioletnim kapitanem w sztabie wielkiego księcia Bergu, zamyka książkę trzymaną w dłoniach – pióra wicehrabiego Chateaubrianda – i spogląda na kieszonkowy zegarek na nocnym stoliku. Dziś rozpoczyna służbę w pałacu Grimaldi wraz

z pozostałymi adiutantami Murata dopiero o pół do jedenastej, wstaje więc bez pośpiechu, kończy śniadanie podane do sypialni przez służącego z domu, w którym rezyduje, i zaczyna się golić, podchodzi do okna i obserwuje pustą ulicę. Wpadające promienie słońca rzucają światło na rozłożony na sofie i krześle wytworny mundur adiutanta wielkiego księcia: biały mentyk, szkarłatne spodnie, buty i bermycę wzorem huzarów. Mimo młodego wieku Marbot uczestniczył w bitwach pod Marengo, Austerlitz, Jeną, Iławą i Frydlandem. Nabrał więc doświadczenia. Co więcej, jest dość światłym oficerem – czyta książki. To sprawia, że rozgrywające się wydarzenia postrzega w szerszej perspektywie niż większość jego towarzyszy broni, zwolenników rozwiązywania wszelkich problemów za pomocą szabli.

Młody oficer starannie się goli. Tłum nieokrzesanych, tępych wieśniaków pod wodzą kleru. Tak o Hiszpanach wyraził się niedawno Cesarz, który nimi gardzi – nie bez przyczyny – z powodu haniebnego zachowania ich królów, nieudolności ich ministrów i rządów, braku kultury i braku zainteresowania narodu sprawami polityki. Tymczasem kapitan Marbot po czterech miesiącach w Hiszpanii doszedł do zgoła innych wniosków – tak przynajmniej napisze w swoich pamiętnikach czterdzieści lat później – sprawa nie wydaje mu się tak prosta, jak chcieliby ją widzieć niektórzy. Krążące pogłoski, jakoby Cesarz planował usunąć nadgniłą gałąź Burbonów, zatrzymać całą rodzinę królewską w Bajonnie i osadzić na tronie jednego ze swoich braci, Lucjana lub Józefa, albo też księcia Bergu, powodują swoisty niepokój. Wszystko wskazuje na to, że Napoleon uważa, iż okoliczności sprzyjają jego zamiarom. Jest przekonany, że Hiszpanie, którym przejadła się inkwizycja, księża i złe rządy, przy wsparciu światłych obywateli zapatrzonych we Francję rzuca mu się w ramiona albo w ramiona nowej dynastii, otwierającej bramy dla rozumu i postępu. Tymczasem, nie

licząc paru oficerów i nielicznych Hiszpanów, którzy wyznają francuską filozofię – nazywają ich tu *afrancesados*, sfrancuziałymi, bynajmniej ich w ten sposób nie komplementując – w miarę jak wojska cesarskie po przekroczeniu Pirenejów wchodziły coraz głębiej w hiszpańskie terytorium pod pretekstem pomocy Hiszpanii w wojnie z Anglią w Portugalii i w Andaluzji, Marcelin Marbot dostrzegał w oczach ludzi nie tęsknotę za lepszym jutrem, lecz żal i nieufność. Sympatia, z jaką przyjęto początkowo napoleońską armię, ustąpiła miejsca podejrzliwości, zwłaszcza od czasu zajęcia cytadeli w Pampelunie, fortec w Barcelonie i zamku w Figueras przy użyciu forteli uznanych za zdradzieckie nawet przez tych Francuzów, którzy mają się za bezstronnych, tak jak Marbot. Posunięć, które Hiszpanie – bez różnicy: wojskowi czy cywile, w tym nawet zwolennicy ścisłego sojuszu z Cesarzem – uznali za cios w plecy.

„Jego zemsta jest straszliwa, gdy zostanie on zdradzony”.

Słowa Chateaubrianda nie dają spokoju francuskiemu kapitanowi, który goli się dalej, starannie, jak przystało na wytwornego oficera sztabu. Dochodzi do ponurej konkluzji, iż słowo zemsta doskonale pasuje do posepnych, wrogich spojrzeń, które czuje na sobie, ilekroć wychodzi na ulicę, do noży długich na dwie piędzi, zatkniętych za pas i schowanych pod peleryną każdego Hiszpana, do mężczyzn o śniadych twarzach z obowiązkowymi bokobrodami, którzy mówią cichym głosem i spluwają na ziemię, do szorstkich kobiet, które bez ogródek obrzucają wyzwiskami tych całych *francuzików, monsierów i żabojadów*, wcale się z tym nie kryjąc, albo bezczelnie przechadzają się z wachlarzami, w mantylkach, tuż przed lufami francuskich armat ustawionych przy Prado. Zdrada i zemsta, powtarza Marbot, czując się nieswojo. Zaprzątnięty tymi myślami, w roztargnieniu zacina się na obficie namydlonym prawym policzku. Klnie i strząsa pianę z dłoni, a czerwona kropla spływa ostrzem noża o trzonku

z kości słoniowej i spada na biały ręcznik rozłożony na stoliku przed lustrem.

To pierwsza krew przelana 2 maja 1808.

– Urodziliśmy się Hiszpanami, zawsze o tym pamiętaj.

Porucznik artylerii Rafael de Arango schodzi powoli po schodach swego domu, stopnie skrzypią pod lśniącymi oficerkami, porucznik zatrzymuje się w bramie i zamyślony zapina guziki jasnogranatowej kurtki z czerwonymi wyłogami. Słowa brata José, honorowego intendenta armii, wzbudziły w nim szczególny niepokój. A może nie tyle same słowa, ile towarzyszący im braterski gest – mocny uścisk dłoni i objęcie ramieniem – którym José pożegnał Rafaela w korytarzu rodzinnego domu, dowiedziawszy się, że brat idzie po najświeższe rozkazy, a potem uda się do arsenału Monteleón.

– Dzień dobry, panie poruczniku – pozdrawia go dozorca zamiatający sień. – Jak się sprawy mają?

– Opowiem ci, jak wrócę, Tomás.

– Na sąsiedniej ulicy, obok piekarni, jest pełno żabojadów. Pikieta, od wczoraj zalegają w gospodzie. Póki co, nie wyściubiają nosa.

– Nie przejmuj się nimi, to nasi sojusznicy.

– Skoro pan tak mówi, panie poruczniku...

Targany niepokojem Arango nasuwa na czoło czarny bikorn ozdobiony czerwoną kokardą, zawiesza szablę u boku i rozgląda się po obu stronach ulicy, pospiesznie dopalając cygaro tłące się między palcami. Chociaż ma zaledwie dwadzieścia lat, od dawna pali cygara. Urodził się w Hawanie, w rodzinie baskijskiej szlachty i od czasu, kiedy wstąpił do kadetów, zdążył już służyć na Kubie, w Ferrol, i trafić do niewoli Anglików, którzy wymienili go w zeszłym roku w sierpniu. Rozsądny, zdolny, waleczny, co

potwierdza jego stan służby, ten młody oficer od miesiąca jest adiutantem dowódcy korpusu artylerii w Madrycie, pułkownika Navarro Falcóna. Idzie odebrać rozkazy, zastanawiając się, czy napięcia poprzedniego dnia – manifestacje przeciwko Muratowi i gorące dyskusje na ulicach – ulegną nasileniu, czy też władze opanują sytuację, która powoli zaczyna wymykać się spod kontroli. Junta rządowa traci na znaczeniu, a Murat i jego wojska rozzuchwalają się coraz bardziej. Zeszłej nocy, zanim Arango udał się do domu, w wojskowym kasynie usłyszał opowieść o tym, jak w gospodzie „Genieys” kapitanowie artylerii: Daoiz, Cónsul i Córdoba – Arango zna wszystkich trzech, Daoiz zaś jest jego bezpośrednim przełożonym – o mało nie stanęli do pojedynku przeciw kilku oficerom francuskim i tylko sprawna interwencja przełożonych i kompanów obu stron zapobiegła nieszczęściu.

– Sami wiecie, jak opanowany jest Daoiz, a wpadł w szal – opowiadał porucznik José Ontoria, przytaczając słowa świadków zdarzenia. – Cónsul i Pepe Córdoba stanęli za nim murem. Wszyscy trzej chcieli wyjść na ulicę Reina i bić się z Francuzami, z trudem ich powstrzymano... Ciekawe, czym tamci ich obrazili.

Na dźwięk nazwiska kapitana Daoiza Arango ze zdziwieniem marszczy czoło. Istotnie, zgodnie z tym, co mówi Ontoria, a sam Arango może to potwierdzić, Daoiz to świetny żołnierz, zawsze opanowany, niedający się łatwo ponieść emocjom, czym stanowi całkowite przeciwieństwo innego kapitana artylerii, egzaltowanego Pedra Velardego, który biega po koszarach i już od paru dni wieszczy krwawą rozprawę. Tymczasem Luis Daoiz, dystyngowany sewilczyk wsławiony w bojach, z piękną kartą wojskowych zasług, cieszy się wielkim szacunkiem w sztabie, gdzie artylerzyści – mając na względzie jego zimną krew, wiek i rozsądek –

nadali mu przydomek Dziadek. Ostateczny wniosek, kropkę nad i, postawił wczoraj Ontoria, stwierdzając:

– Skoro Daoiz stracił cierpliwość w obecności Francuzów, to znaczy, że każdy może ją stracić.

W drodze do siedziby dowódcy garnizonu Arango mija piekarnię i gospodę wspomniane przez dozorcę i patrzy kątem oka, ale dostrzega jedynie samotnego strażnika pod łukiem bramy. Francuzi musieli przybyć nocą, bo wczorajszego wieczoru nikogo tu jeszcze nie było. To niedobry znak, młodzieniec oddał się zaniepokojony. Niektóre ulice są zupełnie puste, ale na tych prowadzących do centrum miasta zbierają się niewielkie grupki ludzi przed gospodami i sklepikami, a sprzedawcy więcej uwagi poświęcają toczonym rozmowom aniżeli towarom. „Złota Fontanna”, kawiarnia przy ulicy św. Hieronima, jeszcze wczoraj tłumnie odwiedzana przez francuskich i hiszpańskich żołnierzy, dziś świeci pustkami. Na widok munduru Aranga i jego szlifów porucznika paru przechodniów podchodzi i pyta o sytuację, ale on tylko uśmiecha się w odpowiedzi, przykłada dłoń do kapelusza i idzie dalej. Wszystko to nie wygląda najlepiej, porucznik przyspiesza kroku. W ostatnich godzinach napięcie rosło, zarówno za sprawą próbujących łagodzić sytuację infanta don Antonia i członków junty rządowej, jak i Francuzów gotowych do walki – w Madrycie wrzało jak w ulu pełnym rozwścieczonych pszczół. Krążą pogłoski o gromadzących się zwolennikach króla Ferdynanda, o wielu przybyłych do stolicy pod pretekstem handlowania na targu mieszkańców przedmieść Madrytu i okolicznych królewskich posiadłości. Pojawili się młodzi, krzepcy mężczyźni, którzy bynajmniej nie przyjechali się tu targować. Słychać też o spisku kilku artylerzystów, wśród których wymienia się obowiązkowo Velardego i paru jego przyjaciół, między innymi Juana Cónsula, jednego z bohaterów zajścia w gospodzie „Genieys”. Pada też nazwisko Daoiza, ale

Arango, który z trudem przyjmuje do wiadomości, że rzeczony oficer kłóci się i chce pojedynkować z Francuzami, zupełnie nie potrafi sobie wyobrazić, iż ów opanowany kapitan, nad wyraz zdyscyplinowany i stateczny, posuwa się dalej i zawiązuje spisek. W każdym z przypadków, z Daoizem czy bez niego, jeśli Velarde z przyjaciółmi czynią jakieś przygotowania, to na pewno trzymają od nich z dala oficerów, których – jak Aranga – nie darzą zbytnim zaufaniem. Jeśli zaś chodzi o dowódcę madryckiego korpusu artylerii, łagodnego pułkownika Navarro Falcóna, człowieka przyzwoitego, aczkolwiek postawionego między młotem a kowadłem w postaci Francuzów nad sobą i podlegających jego władzy hiszpańskich oficerów, to woli on udawać głuchego. I ilekroć Arango, pełniący funkcję jego adiutanta, próbuje delikatnie wybadać go w tej kwestii, pułkownik wykręca się sianem, odwołując się do regulaminu:

– Dyscyplina, młodzieńcze. Nie myśl już o tym. Francuzi, Anglicy czy inne *sursum corda*... Dyscyplina i buzia na kłódkę, żeby ci mucha nie wleciała.

Trzech odświętnie – choć dziś przecież poniedziałek – odzianych mężczyzn w kapeluszach z szerokim rondem, haftowanych marsylskich kurtkach, pelerynach ze szkarłatnym podbiciem, z nożami zatkniętymi za pas mija porucznika Arango podążającego po rozkazy dla swojego pułkownika nieopodal siedziby Naczelnego Dowództwa. Dwóch z nich to bracia: starszy, Leandro Rejón, liczy sobie trzydzieści trzy lata, młodszy, imieniem Julián, ma lat dwadzieścia cztery. Leandro ma żonę, Victorię Madrid, i dwoje dzieci; jeśli zaś chodzi o Juliána, to właśnie ożenił się w rodzinnej wiosce z dziewczyną o imieniu Pascuala Macías. Bracia pochodzą z Leganés, madryckiego przedmieścia, i przybyli do stolicy wczoraj, wezwani przez bliskiego przyjaciela, z którym spotkali się też półtora miesiąca temu, podczas zamieszek zakończonych obaleniem

ministra Godoya. Ów przyjaciel należy do kręgu zaufanych ludzi księcia de Montijo, który, jak wieść niesie, pozostając lojalny wobec młodego króla Ferdynanda VII, montuje w jego imieniu kolejny spisek. Tak głosi plotka, ale nic więcej nie wiadomo. Bracia Rejón wiedzą jedynie, że mają prowiant na dziś, pieniądze na nocleg w gospodzie i obowiązek zachowania czujności, w razie gdyby doszło do zamieszek. To obu braciom, młodym i zuchwałym, wcale by nie przeszkadzało, wszak mają serdecznie dość znoszenia obelg żabojadów i ich zdaniem nadszedł wreszcie czas, by prawdziwi mężczyźni, tacy, którzy twardo stąpają po ziemi – tak mówi starszy z braci Leandro – pokazali, kto jest prawdziwym królem Hiszpanii, do diabła z tym sukinsynem Napoleonem.

Trzeci z mężczyzn, dotrzymujący kroku braciom Rejón, to Mateo González Menéndez – również on przybył wczoraj do Madrytu z rodzinnej wioski Colmenar de Oreja, posłuszny tym swoim pobratymcom, którzy rozpuszczali wici między przeciwnikami francuskiej obecności na hiszpańskiej ziemi i zwolennikami króla Ferdynanda. To myśliwy i rolnik, nawykły do pracy w polu i do walki, twardy i silny; pod peleryną, opadającą aż za kolana, chowa nabity pistolet. I choć kroczy obok braci Rejón, jakby się nie znali, to zeszłej nocy wszyscy trzej dołączyli do większej grupy, która przy wtórze gitar i bandur, nie zważając na strugi ulewnego deszczu, dała głośny koncert przyśpiewek pełnych uszczypliwości, obelg i prostackich żartów pod adresem tego wypindrzonego Murata, lokując się dokładnie pod balkonami pałacu przy placu Marii Aragońskiej, rezydencji księcia Bergu, znikając na chwilę, gdy muzykantów rozganiały nocne straże, i pojawiając się niebawem, by dalej koncertować. A wszystko to działo się już po tym, jak rano wygwizdano Francuza, kiedy wracał z przeglądu wojsk z Prado.

Powiadają, że monsieur Murat

Ognia się nie boi,

Wiadomo czemu, przecież był kucharzem,
Co nad kotłem stoi.

– Stuknij obcasikiem, ślicznotko, to wybrukowana ulica – Leandro Rejón zaczepia piękną kobietę w długiej czarnej spódnicy z frędzlami, wełnianej mantylce, z koszykiem na ramieniu, stąpającą po kamiennej kostce.

Kobieta mija ich, na poły obruszona, na poły zadowolona z usłyszanego komplementu – starszy z braci Rejón jest dość przystojnym mężczyzną – a Mateo González, który usłyszał zaczepkę, najpierw przystaje i odprowadza kobietę wzrokiem, a potem odwraca się do braci, puszcza oko i przyspiesza, by dorównać im kroku. Teraz idą we trójkę, kołysząc się na boki i uśmiechając, utwierdzeni w swej męskości. Są młodzi, silni, zdrowi i pełni wigoru, więc widok pięknej kobiety dodaje im animuszu. To dobry początek dnia, myśli sobie młodszy z braci Rejón. I by to uczcić, wyciąga spod peleryny bukłaczek z czerwonym winem z Valdemoro, z powodu długiej nocy i kociego muzykowania pod oknem Murata opróżniony już do połowy.

– Zwilżymy nieco gardła?

– Po co pytać – Leandro Rejón spogląda niby przypadkiem na Matea Gonzáleza. – Napije się pan z nami, krajanie?

– Chętnie.

– Proszę się częstować.

Ci trzej mężczyźni, którzy – podając między sobą bukłak z winem – niespiesznym krokiem podążają w stronę Puerta del Sol, zatrzymując się od czasu do czasu, by odchylić głowę i wyćwiczonym ruchem skierować do ust czerwony strumień, nie przypuszczają nawet, że za trzy dni dwaj z nich, oskarżeni o bunt – bracia Rejón – zostaną wydarci ze swoich domów w Leganés i rozstrzelani przez Francuzów, a Mateo González umrze parę

tygodni później od rany zadanej szablą, w szpitalu Buen Suceso. Lecz teraz, kiedy dzierżą bukłak w dłoniach, taka wizja nawet nie przejdzie im przez myśl. Nim schowa się za horyzontem słońce, które niedawno się nad nim pojawiło, trzy albaceteńskie noże, schowane w zanadrzu, splamią się obficie francuską krwią. W dniu, który się właśnie zaczyna – po deszczu zawsze wychodzi słońce, zauważył starszy z braci Rejón, spoglądając w niebo, i pewnie w nocy znów się rozpada – te trzy przyszłe śmierci, podobnie jak wiele innych, które są już blisko, zostaną pomszczone z nawiązką i zawczasu. A i potem, przez długie lata, nie raz pomści je cały naród.

Leandro Fernández de Moratín, choć przy śniadaniu parzy się czekoladą, nie wypowiada głośno przekleństwa, które ciśnie mu się na usta. Bynajmniej nie dlatego, że jest szczególnie bogobojny: to raczej ludzie napawają go lękiem, nie Bóg. I trudno go nazwać przyjacielem święconej wody czy zakrystii. W rzeczy samej, powściągliwość i ostrożność to główne cechy jego charakteru, podobnie jak pewna nieśmiałość, której nabawił się wraz ze szpecącymi twarz bliznami po ospie przebytej w wieku czterech lat. Być może dlatego wciąż jest kawalerem, choć dwa miesiące temu skończył lat czterdzieści osiem. Prócz tego jest mężczyzną kulturalnym, wykształconym i opanowanym, podobnie jak zwykli nimi być bohaterowie sztuk, które przyniosły mu sławę – kwestionowaną przez wielu adwersarzy – największego dramaturga tej epoki. Premiera *El sí de las niñas* ciągle pozostaje najważniejszym, szeroko komentowanym wydarzeniem scenicznym ostatnich lat, co w Hiszpanii oznacza mało radości, za to wiele goryczy powodowanej małostkową zawiścią. Odziany w szlafrok i pantofle mężczyzna, popijający małymi łykami poranną czekoladę, czuje narastający lęk przed światem i jego niegodziwościami. Uznany dramaturg, początkowo ulubieniec ministra Godoya, potem

pozbawiony jego łask i więziony, a wreszcie przyjęty we Francji przez samego Napoleona, znalazł się w dość niewygodnej sytuacji, tym gorszej, że w światku teatralnym ma paru śmiertelnych wrogów. Zwłaszcza od czasu, kiedy z powodu osobistych upodobań i przekonań raczej artystycznych aniżeli politycznych – tych nie posiada prawie wcale, poza lojalnością dla konstytucyjnie wybranej władzy, jakakolwiek by ona była – przyczepiono mu, raczej słusznie, łątkę sfrancuziałego, co w obliczu trwającego właśnie dziejowego zamętu wystawia go na poważne niebezpieczeństwo. Wczoraj wygwizdano księcia Bergu, a dziś na ulicach zbierają się grupy madrytczyków wznoszące okrzyki przeciwko Francuzom, więc Moratín lęka się o swoje życie. Przyjaciele, uczestnicy towarzyskich spotkań w gospodzie „U Świętego Stefana”, radzili, by nie wychodził z domu – kamienicy numer sześć przy ulicy Fuencarral, na rogu ulic św. Onufrego i Desengaño – choć i to nie zapewnia całkowitego bezpieczeństwa. Do nieszczęść, które w ostatnim czasie zwały się na głowę, należy dodać sąsiadkę, zezowatą koziarkę, która sprzedaje mleko w bramie naprzeciwko, starą jędzę i plotkarę, od pewnego czasu nawołującą sąsiadów, żeby dali nauczkę temu Moratínowi z naprzeciwka, urobionemu przez Godoya – koziarka ma na myśli obalonego ministra, popularnie przezywanego Kielbasiarzem – i przez tych francowatych zdrajców, co to sprzedali Hiszpanię i naszego króla Ferdynanda, niech Bóg ma go w swojej opiece, przekłętemu Napoleonowi.

Odstawia na tacę czarkę z chińskiej porcelany, wstaje i podchodzi do okien balkonu. Nie rozsuwa firanek, ale z ulgą stwierdza, że stragan koziarki jest zamknięty. Może poszła gdzieś dalej, choćby pod Puerta del Sol, gdzie wciąż zbierają się ludzie. Cały Madryt aż kipi od plotek, niespokojny i pełen nienawiści, a to dla nikogo dobrze się nie skończy. Oby tylko, myśli dramaturg, ani Juncie Rządowej, ani Francuzom – im mimo

wszystko ufa bardziej niż rządowi – sytuacja nie wymknęła się spod kontroli. Na wspomnienie straszliwych starć ulicznych w 1792 roku, których był świadkiem w Paryżu, wstrząsa nim dreszcz. On, człowiek wykształcony, bywały w świecie, rozsądny i ostrożny, truchleje na myśl o strasznych występkach pospólstwa pozbawionego hamulców, które miał już okazję poznać: oszczerstwo podaje w wątpliwość najbardziej nieskalane reputacje, okrucieństwo przywdziewa maskę cnoty, zemsta sięga po wagę sprawiedliwości, a sława, w niedogodnym miejscu i czasie, prowadzi często do fatalnych skutków. Skoro wszystko to stało się możliwe we Francji, poddanej łagodzącym wpływom idei oświecenia i rozumu, to do czego dojść może w Hiszpanii, zastanawia się przerażony Moratín, do czego doprowadzi wybuch tu, gdzie ludzie, nieokrziesani analfabeci, kierują się raczej instynktownym impulsem, nie zaś rozumem? Pamiętnej nocy 19 marca, kiedy zamieszki w Aranjuez doprowadziły do upadku jego protektora Godoya, Moratín miał okazję usłyszeć wśród wrzasków dobiegających spod okna swoje własne nazwisko, zdjęty lękiem, oczyma wyobraźni widząc się wleczonym ulicami miasta. Świadomość, jak wygląda władza w rękach rozwścieczonego pospólstwa, napawa go strachem. Wszystko wskazuje na to, że dzisiejszego ranka koszmar może się powtórzyć – Moratín z chłodnym czołem i niespokojnie bijącym sercem stoi nieruchomo za firanką. Czeka.

Nie tylko dramaturg Moratín obawia się ludu i targających nim emocji. W tym samym czasie w Pałacu, w sali obrad junty rządowej, dostojnicy odpowiedzialni za byt narodu hiszpańskiego pod nieobecność króla Ferdynanda VII, przetrzymywanego w Bajonnie przez cesarza Napoleona, wiodą niekończące się spory, przygnębieni i zmęczeni, ze śladami nieprzespanej nocy na twarzach, w pomiętych strojach, z zarostem wymagającym interwencji balwierza i podkrążonymi oczyma. Jedynie

infant don Antonio, stojący na czele rządu, brat starego króla Karola IV i stryj młodego Ferdynanda VII, skorzystał z przywileju królewskiej krwi i udał się na krótki spoczynek po ostatniej rozmowie z francuskim ambasadorem, *monsieur* Laforestem, i do tej pory się nie pojawił. Pozostali trwają, na wszelkie sposoby broniąc się przed snem, rozłożeni na fotelach i sofach pod okazałymi żyrandolami zwisającymi z sufitu, dłońmi obejmując skronie, wsparci łokciami na wielkim stole pełnym brudnych filiżanek po kawie i popielniczek ze stosami niedopałków cygar.

– Wczorajsze wydarzenia przywiodły nas na skraj przepaści, panowie – wypowiada swoje zdanie sekretarz junty, hrabia de Casa Valencia. – Już wygwizdanie Murata zakrawało na bezczelność, a tu jeszcze rzucono mu prosto w twarz, że jest kapuścianym głąbem, obrzucono kamieniami tak, że aż koń stanął dęba, a wszystko przy wtórze szyderstw pospólstwa – nie sądzę, żeby nam to kiedykolwiek wybaczył. Co gorsza, wszyscy wiwatowali potem na cześć don Antonia przejeżdżającego powozem dokładnie w tym samym miejscu... Pospólstwo zaprowadzi nas pod stryczek.

– To brzydka przenośnia – zauważa Francisco Gil de Lemus, minister marynarki, między jednym a drugim ziewnięciem. – Mam na myśli stryczek.

– Niech pan sobie to nazywa podług własnej woli.

Prócz hrabiego de Casa Valencia i Gila de Lemus, reprezentującego resztki floty pozostałe po bitwie pod Trafalgarem, na sali przebywają między innymi don Antonio Arias Mon, dawny gubernator Rady, Miguel José de Azanza, minister nieistniejących finansów Hiszpanii, Sebastián Piñuela, reprezentujący Ministerstwo Łaski i Sprawiedliwości, z którego naśmiewają się Francuzi i któremu nie ufają Hiszpanie, wreszcie generał

Gonzalo O’Farril, niemrawy przedstawiciel armii rozbitej, bezbronnej i rozdrażnionej w obliczu nieprzyjacielskiej inwazji. Wraz z wezwanymi dygnitarzami z Najwyższej Rady i Najwyższego Trybunału przez całą noc wszyscy zebrani aż do zachrypnięcia dyskutowali nad leżącym przed nimi ultimatum Murata, całkowicie wyprowadzonego z równowagi po wczorajszym incydencie: jeśli nie dojdzie do bezwarunkowej współpracy z juntą, to on stanie na jej czele, ma bowiem wystarczające siły, by potraktować Hiszpanię jak kraj podbity.

– Nie zawsze zwycięża ilość – zauważył o świcie prokurator Manuel Torres Cónsul. – Pamiętajcie, że Aleksander rozgromił trzysta tysięcy Persów z ledwie dwudziestoma tysiącami Macedończyków. Jak to mówią: *Audaces fortuna iuvat*¹.

Patriotyczny zryw Torresa Cónsula, zadziwiająco entuzjastyczny, zważywszy na porę, sprawił, że uniosły się zaskoczone głowy przysypiających w fotelach członków rządu, tych zwłaszcza, którzy znali łacinę.

– Ależ oczywiście – odparł gubernator Rady, Arias Mon, wyrażając opinię ogółu. – A który z nas jest Aleksandrem?

Wszyscy spojrzeli na ministra ds. wojny, który, nieobecny duchem, jakby wcale nie słuchając dyskusji, palił kubańskie cygaro.

– Co pan sądzi, panie O’Farril?

– Sądzę, że to cygaro fatalnie się pali.

Tak się rzeczy miały, kiedy za oknem świtało. Członkowie rządu są przestraszeni, niezdecydowani – już od dość dawna podpisują swe nieśmiałe obwieszczenia i dekrety „w imieniu króla”, nie precyzując, czy chodzi o Karola IV, czy Ferdynanda VII – a ich działalność coraz bardziej sparaliżowana jest brakiem wiadomości. Posłańcy z Bajonny nie dotarli, więc ministrowie i członkowie Rady nie otrzymali rozkazów od młodego

monarchy, nie wiedzą nawet, czy przebywa on w Bajonnie dobrowolnie, czy w charakterze cesarskiego więźnia. Jedno wydaje się pewne: nad Hiszpanią zawisło mroczne widmo zmiany dynastii. Znieważony lud burzy się, a rozzuchwaleni cesarscy rosną w siłę. Po wywiezieniu rodziny królewskiej i ministra Godoya Murat próbuje uczynić to samo – dokonuje tego dokładnie w tej właśnie chwili – z królową wdową Marią Ludwiką i infantem don Franciszkiem de Paula, zaledwie czternastoletnim. O ile królowa Etrurii kocha Francję i uda się tam jak na skrzydłach, o tyle z infantem rzecz ma się inaczej. I choć junta opierała się z godnością tej ostatniej decyzji, na koniec musiała ulec Muratowi i zgodzić się na to, co nieuniknione. Tymczasem wojska hiszpańskie znajdują się daleko od stolicy, oddziały stacjonujące w koszarach są nieliczne i bez broni, a więc jedyną siłą zdolną stawić czoła takim postanowieniom jest powstanie ludowe. Ale w opinii obecnych na sali osób Francuzi odpowiedzą na wybuch powstania pełnym okrucieństwa odwetem, a namiestnik Napoleona otrzyma jakże pożądany pretekst do pokonania Madrytu w nierównej walce, by potem złupić go i zniewolić.

– Nie ma innego wyjścia, jak uzbroić się w cierpliwość – oznajmia wreszcie, ostrożny jak zawsze, generał O’Farril. – Możemy co najwyżej tonować nastroje, zapobiegać zamieszkom, a w razie gdy do nich dojdzie, wyciszać je naszymi siłami.

Usłyszawszy to, minister marynarki Gil de Lemus aż podskoczył na krześle.

– Co ma pan na myśli?

– Nasze wojsko, drogi panie. Nie wiem, czy wyrażam się jasno.

– Obawiam się, że aż nadto.

Niektórzy z zebranych spoglądają na siebie znacząco. Gonzalo O’Farril jest w doskonałych stosunkach z Francuzami – dlatego też jest ministrem

ds. wojny, którą przegra – co historia potwierdzi, poczynając od działań podjętych przezeń w dniu, który się właśnie rozpoczyna, a kończąc na tych późniejszych, już w służbie króla Józefa Bonaparte. Pośród członków junty niewielu podziela jego poglądy. Choć w obecnej sytuacji prawie wszyscy powstrzymują się od komentarzy. Jedynie uparty Gil de Lemus podejmuje dyskusję:

– Tego nam tylko brakowało, panowie. Odwalić za Francuzów brudną robotę.

– Jeśli oni to zrobią, będzie jeszcze brudniejsza – broni się O’Farril. – I krwawsza.

– A jakimi siłami zamierza pan powstrzymać lud Madrytu? Wystarczy chyba, że żołnierze nie przyłączą się do pospólstwa.

Minister ds. wojny unosi groźnie palec wskazujący i nadziewa nań kółko dymu z hawańskiego cygara.

– Ja się tym zajmę, proszę się nie martwić. Pamiętajcie, panowie, że całe skoszarowane wojsko otrzymało dość ściśle rozkazy. I nie ma amunicji, jak panowie zapewne wiedzą.

– A zatem jak, według pana, mają powstrzymać lud? – pyta kpiącym tonem Gil de Lemus. – Wymierzając policzki?

Po słowach ministra marynarki zapada krępujące milczenie. Pomimo rozporządzeń wydanych przez rząd i księcia Bergu, w których ustalono godziny zamknięcia gospód i szynków, zarządzono nocne straże, a pracodawców i ojców rodzin obarczono odpowiedzialnością za pracowników, dzieci i służących, którzy mogliby się dopuścić jakichkolwiek wykroczeń wobec Francuzów do incydentów takich dochodziło dość często w ciągu sześciu tygodni, które upłynęły od przybycia Murata do Madrytu: już nazajutrz, 24 marca, w Hospital General znaleźli się trzech francuscy żołnierze ranni w bójkach z cywilami z powodu

grubiaństwa i nadużyć. Od tamtego momentu pojawiły się już takie przestępstwa jak kradzież, wymuszenia, gwałty, świętokradztwa i głośne zabójstwo kupca Manuela Vidala na ulicy Candil, dokonane przez księcia generała de Salm-Isemburg i jego dwóch adiutantów. Zrodzonej w odwecie cichej walki noży przeciwko bagnatom nie da się już powstrzymać – gospody, ubogie dzielnice, burdele, w których goszczą francuscy żołnierze, ze swą specyficzną mieszanką dziwek, stręczycieli, wódki i sztyletów przeobraziły się w zarzewia konfliktu; choć i w bogatych dzielnicach miasta znajduje się o świcie Francuzów z poderżniętym gardłem – tych, którzy pozwolili sobie na zbyt wiele wobec czyjejś córki, siostry, siostrzenicy czy wnuczki. Nie wspominając o rzekomych dezertkach, według cesarskiego dowództwa zbiegłych, a w rzeczywistości powrzuconych do studni albo pogrzebanych cichcem na podwórkach czy w piwnicach. Nie ma potrzeby zaglądać w kartoteki innych miejskich instytucji, bo rejestr Hospital General w zupełności wystarcza, by naświetlić sytuację. 25 marca odnotowano następujące przypadki: mameluk Gwardii Cesarskiej, ranny; artylerzysta Gwardii, zabity; żołnierz batalionu westfalskiego, zmarły wkrótce po przyjęciu. Dwaj pobici i trzech zabici Francuzi, w tym jeden od rany postrzałowej, to przypadki odnotowane w następnych dniach. A pomiędzy 29 marca i 4 kwietnia potwierdzono śmierć trzech żołnierzy Gwardii, jednego z batalionu irlandzkiego, dwóch grenadierów piechoty liniowej i jednego artylerzysty. Od tamtego czasu liczba rannych lub zabitych żołnierzy cesarskich przyjętych do Hospital General sięgnęła czterdziestu pięciu, w całym zaś Madrycie – stu siedemdziesięciu czterech. Nie brakuje też ofiar po hiszpańskiej stronie. W składzie hiszpańsko-francuskiej komisji wojskowej, która powinna się zajmować takimi incydentami, znajduje się, prócz generała Sextiego, generał dywizji Emmanuel Grouchy; Sexti jednak zazwyczaj uchyla się od

głosu na korzyść swojego francuskiego kolegi, czego skutkiem prawie wszystkie bójki wszczęte przez żołnierzy Cesarza pozostają bez kary. Natomiast w przypadkach takich, jak choćby *casus* prezbitra z Carabanchel, don Andrésa Lópeza, który zastrzelił francuskiego kapitana Michela Motego, nie tylko sprawiedliwość jest nieubłagana, ale i cesarscy żołnierze, którzy sami jej dochodzą, plądrując, jak w tym przypadku, dom kapłana zabójcy, raniąc przy tym sługi i sąsiadów.

Jakkolwiek by na to spojrzeć, przekonany o własnej bezsilności rząd, nominalnie wciąż sprawujący władzę w Hiszpanii, tego ranka, dnia 2 maja, podjął – wbrew woli swych najbardziej uległych członków – decyzję przynajmniej z pozoru odważną, którą pamięć potomnych uzna za drobną oznakę przyzwoitości. W tym samym czasie, kiedy przychyła się do życzenia księcia Bergu i wyraża zgodę na wywiezienie do Bajonny ostatnich członków rodziny królewskiej, wydaje rozporządzenie, by wojska pozostały w koszarach i by uniemożliwiono im „działania wspólnie z gminem”, wyznacza też, zgodnie z propozycją ministra marynarki, nową juntę rządową z siedzibą poza Madrytem, na wypadek, gdyby obecna „została pozbawiona możliwości wolnego sprawowania swej działalności”. I owej drugiej juncie, złożonej wyłącznie z dostojników wojskowych, przyznaje prawo do ukonstytuowania się tam, gdzie będzie to możliwe, choć zalecanym do tego celu miejscem jest jedno z hiszpańskich miast wciąż wolne od francuskich oddziałów: Saragossa.

Po drodze do Puerta del Sol don Ignacio Pérez Hernández, prezbiter z parafii we Fuencarral, idąc ulicą Montera, dostrzega cesarskiego posłańca. Francuski strzelec konny z widocznym pośpiechem oddala się w górę ulicy, pędząc galopem, omal nie tratuje handlarzy, którzy właśnie rozłożyli swoje kramy przy kutej bramie kościoła św. Ludwika. Choć francuskiego jeźdźca ścigają głośne okrzyki i przekleństwa, don Ignacio milczy i tylko jego oczy,

czarne, z młodzieńczym błyskiem – ma dopiero dwadzieścia siedem lat – przeszywają Francuza z nadzieją, że gniew boży spadnie na niego natychmiast, niszcząc siodło i listy ukryte w sakwie. Ksiądz zaciska pięści schowane w kieszeniach sutanny. W prawej dłoni mnie świeżo wydrukowaną ulotkę, otrzymaną dziś rano od przyjaciela, u którego spędził noc, proboszcza parafii pod wezwaniem św. Ildefonsa: *List oficera w stanie spoczynku do jednego z dawnych towarzyszy broni*. Lewą – don Ignacio jest mańkutom – mocno obejmuje rękojeść noża, który wbrew obowiązującym rozkazom nosi z sobą od wczoraj, to jest od kiedy stawił się w Madrycie wraz z grupą parafian, by przyłączyć się do zamieszek przeciwko Francuzom w obronie Ferdynanda VII. Takiego noża używa każdy Hiszpan plebejusz do krojenia chleba i mięsa czy do siekania tytoniu. A przynajmniej do takiej wymówki ucieka się kapłan w wewnętrznej rozmowie z samym sobą, gdy czasem odczuwa wyrzuty sumienia. Uczciwie przyznaje, że do tej pory nie zwykł nosić noża w kieszeni.

Don Ignacio nie jest fanatykiem: jeszcze do wczoraj, podobnie jak większość hiszpańskiego kleru, zachowywał powściągliwe milczenie – zgodnie z poleceniem otrzymanym od proboszcza, który otrzymał je z kolei od biskupa – i nie wypowiadał się na temat zawiłych losów rodziny królewskiej i obecności Francuzów na hiszpańskiej ziemi. Nawet w trakcie obalania Godoya czy wypadków w Escorialu młody kapłan siedział cicho. Ale długi miesiąc upokorzeń ze strony oddziałów cesarskich stacjonujących w Fuencarral przelał kielich chrześcijańskiej pokory. Dopełniło czary goryczy wydarzenie sprzed tygodnia: kilku francuskich żołnierzy napadło przed kościołem ubogiego pasterza, by ukraść mu kozy – gdy don Ignacio rzucił się na pomoc, od razu zobaczył przed oczyma lśniące ostrze bagnetu. Rozbawieni Francuzi na koniec ze śmiechem obsikali schody świętego przybytku. I kiedy wczoraj rozeszła się wieść, że w Madrycie coś się

zaczyna, don Ignacio długo się nie zastanawiał. Odprawił mszę o ósmej i nic nie mówiąc proboszczowi, ruszył do miasta na czele grupki parafian chętnych do bitki. Wczoraj, kiedy wszyscy już ochrypli po wygwizdaniu Murata, aplauzach dla infanta don Antonia i wiwatach na cześć króla, każdy znalazł sobie jakiś nocleg i ustalili, że spotkają się wczesnym rankiem, by sprawdzić, czy przybyli posłańcy z Bajonny.

Nie tylko nóż, lecz także zawartość drugiej kieszeni sutanny nie koi nerwów młodego kapłana, który raz po raz powtarza z pamięci jeden z najbardziej haniebnych fragmentów listu: „Naród chętnie przystaje na zmianę zmurszałej dynastii bezużytecznych Burbonów na nowy, odznaczający się wielką żywotnością, ród Napoleonów”. Gniew don Ignacia byłby jeszcze większy, gdyby wiedział – co okaże się później – że autorem pisma nie był żaden oficer w stanie spoczynku, jak stało w tytule, lecz José Marchena, złożona osobowość i postać sławna w kręgach oświeconych Hiszpanów: był kleryk, zdrajca religii i ojczyzny, opłacany przez Francję. Marchena, dawny jakobin, przyjaciel Marata, Robespierre’a i Madame de Staël, wzbudzał obawy nawet wśród hiszpańskich *afrancesados*, a swoim talentem, kąśliwą twórczością i nieprzebranymi pokładami żółci służył cesarskiej propagandzie. W tych niespokojnych dniach w Madrycie, przy podejrzliwej i niezdecydowanej postawie narodowych elit, wobec ludu upokorzonego do granic wytrzymałości słowo drukowane – wartki potok paszkwili, pamfletów, ulotek i dzienników czytanych w kawiarniach, gospodach, szynkach i na placach targowych, przygotowanych z myślą o słuchaczach niewykształconych, a często i niepiśmiennych – stanowi skuteczny oręż wojenny zarówno w rękach Napoleona i księcia Bergu – który urządził własną drukarnię w pałacu Grimaldi – jak i w rękach junty rządowej, zwolenników Ferdynanda VII i samego króla, piszącego z Bajonny.

– A oto i don Ignacio.

– Witajcie, moje dzieci.

– Niech żyje król Ferdynand!

– Tak, niech żyje, niech żyje. I niech mu Bóg błogosławi. Na razie zachowajmy spokój, zobaczymy, co się dzieje.

Grupa mieszkańców Fuencarral – w wełnianych opończach, zawadiackich beretach i kapeluszach z szerokim rondem, dzierżąc sękaty kij w młodych, silnych dłoniach – oczekuje na swojego pasterza przy fontannie Mariblanca. Na zegarze kościoła Buen Suceso dochodzi ósma, przy Puerta del Sol zebrał się spory tłum. Pomimo napięcia unoszącego się w powietrzu ludzie zachowują się spokojnie. Wśród absurdalnych plotek można usłyszeć i tę, że Ferdynand VII właśnie dojeżdża do Madrytu albo szykuje się do ślubu z siostrą Bonapartego, mydląc tym oczy Francuzom. Nie brakuje kobiet, które biegają w tę i z powrotem, roznosząc plotki, cudzoziemców i mieszkańców wszystkich dzielnic Madrytu, choć najwięcej jest pospólstwa: elegancików z Barquillo, cwaniaków z Rastro i Lavapiés, sprzedawców, rzemieślników, ich czeladników, drobnych urzędników, robotników najemnych, służących i żebraków. Przyszło niewielu szlachetnie odzianych mężczyzn, nie widać żadnej kobiety, o której można by powiedzieć „dama” – zamożni madrytczyki, niechętni rozruchom, pozostali w domach. Jest trochę studentów i kilkoro dzieci, ulicznych urwisów. Wielu z ludzi mieszkających przy placu i na przyległych ulicach przygląda się zbiegowisku z bram, balkonów i okien. Nie widać żołnierzy, ani francuskich, ani hiszpańskich, poza strażami wystawionymi przy bramie poczty i oficerem stojącym na balkonie z kutą balustradą. Pomiedzy ludźmi pojawiają się nowe, mocno przesadzone pogłoski.

– Są już wieści z Bajonny?

– Jeszcze nie ma. Ale ponoć król Ferdynand uciekł do Anglii.

- Ależ skąd. On jedzie do Saragossy.
- Co wy tam pleciecie.
- Plotę? Wiem to z pewnego źródła. Mój szwagier jest woźnym w Radzie Kastylii.

Don Ignacio dostrzega w dali pośród tłumu jeszcze jednego duchownego z tonsurą i w sutannie. Dochodzi do wniosku, że są jedynymi księżmi przy Puerta del Sol o tej porze. Uśmiecha się na tę myśl: nawet ich dwóch to dużo, zważywszy na kunktatorską niejednoznaczność, która cechuje hiszpański Kościół w obliczu kryzysu w ojczyźnie. O ile zarówno szlachta, jak i oświeceni obywatele – pierwsi przeciwni Francuzom, drudzy zaś im przychylni – zgodnie gardzą wściekłym, ciemnym ludem, o tyle Kościół od czasu wojny o Roussilon zgrabnie lawiruje między dwiema stronami, łącząc obawy przed zarażeniem się rewolucyjnymi ideami ze swą tradycyjną skłonnością – w tych dniach wystawioną na próbę – trwania przy konstytucyjnej władzy, jakakolwiek by ona była. W ciągu ostatnich tygodni biskupi po wielekroć nawoływali do spokoju i posłuszeństwa w obawie przed anarchią, napawającą ich lękiem większym niż najazd Francuzów. Poza najbardziej zagorzałymi patriotami czy wręcz fanatykami, którzy widzą diabła pod każdym z cesarskich orłów, episkopat Hiszpanii oraz znakomita większość księży i zakonników gotowa jest pokropić święconą wodą każdego, kto uszanuje dobra duchowieństwa, ułatwi sprawowanie kultu i zagwarantuje publiczny porządek. Niektórzy biskupi, zwąchawszy pismo nosem, zaczynają służyć nowym francuskim panom, nie siląc się nawet na zachowanie pozorów przyzwoitości i tłumacząc to postępowanie zawyłymi racjami teologicznymi. Dopiero gdy powszechne powstanie ogarnie cały kraj niczym krwawy huragan brutalnych porachunków i okrucieństwa, większość biskupów opowie się za rebelią, proboszczowie z ambon nawoływać będą do walki przeciwko Francuzom, a poeta

Bernardo López García napisze, upraszczając sprawę, ku pamięci potomnych:

Wojna! Krzyknął przy ołtarzu
Kapłan w słusznym gniewie.
Wojna! Powtórzyła lira
W oszalałym śpiewie.

Jednak w tym momencie – zostawmy poezję i patriotyczne legendy – młody prezbiter don Ignacio nie wie jeszcze, czego się może spodziewać. A szczególnie o tak wczesnej porze. Wie jedynie, że w kieszeni sutanny ma pomiętą ulotkę pióra zdrajcy albo żabojada, która nieomal parzy, której dotyk burzy w nim krew, w drugiej kieszeni zaś chowa nóż i że bardzo stara się wyrzucić ze swych myśli słowo przemoc, ilekroć przychodzi mu ono do głowy. I czuje, że od wewnątrz rozpala go ogień, bliski grzechowi pychy; będzie musiał zwierzyć się spowiednikowi, jak to wszystko już się skończy, myśli sobie. Doznaje zupełnie nowego, przyjemnego i podniecającego uczucia, zadowolony stoi w kręgu parafian z Fuencarral i słyszy szepty przyglądających się im ludzi: patrzcie, ci mają księdza na czele. Ostatecznie, o ile dziś sprawy źle się potoczą, nikt nie będzie mógł powiedzieć, że wszyscy księża w Madrycie kryli się bezpiecznie za ołtarzami i murami kościołów.

Spłoszone ptaki krążą wokół miejskich wież i dzwonnicy. Jest ósma rano i kościelne dzwony odzywają się do wtóru werbli obwieszczających zmianę warty w koszarach. Dokładnie o tej godzinie we własnym domu, pod numerem dwunastym przy ulicy Ternera, kapitan artylerii Luis Daoiz y Torres, przywdziawszy mundur, właśnie wybiera się do głównego sztabu artylerii na ulicę św. Bernarda. Daoiz, oficer o spokojnym usposobieniu, wyśmienity żołnierz, doskonale wyszkolony, biegle władający francuskim, angielskim i włoskim, inteligentny i wykształcony, stacjonuje w Madrycie

od czterech miesięcy. Urodzony w Sewilli przed czterdziestu jeden laty, zaręczony niedawno z Andaluzyjką ze znakomitej rodziny, jest mężczyzną przystojnym i miłym, acz niewysokim, mierzy ledwie niecałe pięć stóp. Ma twarz o ciemnej cerze, modne bokobrody, a w uszach błyszczą mu dwa złote kółka, oznaka swego rodzaju wojskowej galanterii; nosi je od czasu, kiedy jako artylerzysta służył na okrętach Armady. Karta jego dwudziestoletniej służby, od wielu lat świadectwo odwagi kapitana, stanowi dokładne odbicie wojskowej historii ojczyzny i epoki: obrona Ceuty i Oranu, wojna w Russillon z Republiką Francuską, obrona Kadyksu przed flotą admirała Nelsona i dwie podróże do Ameryki na statku „San Ildefonso”.

Daoiz bierze szablę i w tej samej chwili przez myśl przemyka mu niczym ciemny obłok wspomnienie wczorajszego starcia w gospodzie „Genieys”: trzech francuskich oficerów, tępych i aroganckich, wykrzykiwało obelżywe kłamstwa pod adresem Hiszpanów i Hiszpanii, nie mając pojęcia, że wojskowi przy sąsiednim stoliku rozumieją ich mowę. Nie chce do tego wracać. Nienawidzi, gdy ponoszą go nerwy, cieszy się wszak opinią niezwykle opanowanego, a wczoraj z trudem się powstrzymał. Ciężko nie ulec powszechnym nastrojom. Wszyscy chodzą podminowani, na ulicach wyczuwa się napięcie, tak więc dzień, który się zaczyna, zapewne nie okaże się łatwy. Należy zachować zimną krew, zdrowy rozsądek i szablę przy boku.

Schodząc z drugiego piętra, Daoiz myśli o swoim towarzyszu, Pedro Velardem. Przed dwoma dniami, na ostatnim spotkaniu z podpułkownikiem Francisco Novellą i innymi zaprzyjaźnionymi oficerami w domu Manuela Almiry, oficera kwatermistrzostwa ze sztabu artylerii, Velarde, wbrew wszelkiej logice, wciąż opowiadał się za zbrojnym wystąpieniem przeciwko Francuzom.

– Opanowali już wszystkie fortece w Katalonii i na północy kraju – dowodził zażarcie. – Przejęli dostawy żywności i broni, koszary, szpitale, transport, konnicę, zaopatrzenie... Gnębią nas bez umiaru, nie do zniesienia. Traktują nas jak zwierzęta i mają nas za prostaków.

– Może zmienią swoje zachowanie – bez specjalnego przekonania zauważył Novella.

– Gdzie tam zmienią! Znam ich na wylot. Nie na darmo odwiedzałem w Buitrago Murata i ważne osoby z jego sztabu... Potworna kanalia!

– Uznajmy przynajmniej ich wyższość.

– To mit. Rewolucja zmioła całą teorię, po prostu nabrali praktyki w ciągłych wojnach. Przewyższają innych co najwyżej arogancją.

– Trochę się zagalopowałeś, Pedro – zaproponował Daoiz. – To najlepsza armia świata. Trzeba to uznać.

– Najlepsza armia świata to doprowadzony do wściekłości Hiszpan ze strzelbą w dłoni.

To była jedna z wielu bezsensownych i niekończących się dyskusji. Na nic zdało się przypominanie Velardemu, że spisek przygotowywany przez artylerzystów – na początek dziewiętnaście tysięcy karabinów do zbrojnej obrony Hiszpanii – zakończył się fiaskiem, że wszyscy ich opuścili, a Velarde osobiście przyczynił się do tej klęski, przedstawiając szczegóły planu generałowi O’Farrilowi. Na dodatek zamiary króla Ferdynanda wciąż pozostają niejasne. W opinii jednych młody król to kwintesencja niezdecydowania i ambiwalencji, w opinii innych młody monarcha rozważa, czy stanąć na czele powstania, czy też odwlekać ludowe zamieszki w oczekiwaniu na bardziej stosowny moment.

– Stosowny do czego!?! – napierał zniecierpliwiony Velarde, prawie krzycząc. – Tu nie chodzi o powstanie pod wodzą króla, nic podobnego. Chodzi o nas! O naszą godność i nasz wstyd.

Na nic zdały się argumenty przytoczone przez innych, w tym samego Daoiza. Velarde upierał się przy swoim.

– Trzeba walczyć – powtarzał. – Walczyć, walczyć, walczyć!

Powtarzał to raz za razem jak ogłuchły, tymi samymi słowy, by na koniec wstać i zniknąć na schodach, w drodze do domu czy Bóg raczy wiedzieć do jakiego innego miejsca. Tymczasem pozostali, ze smutkiem w oczach, wzruszając ramionami, powoli rozeszli się do swoich obowiązków.

– Nic już nie można zrobić – stwierdził na odchodnym poczciwy Almira, ponuro kiwając głową.

Daoiz, choć z bólem w sercu, podzielał tę opinię. I dzisiejszego ranka wciąż myśli tak samo. Chociaż plany nie były najgorsze. Na uwagę zasługiwały wcześniejsze próby walki podjęte przez José Palafoxa między Bajonną a Saragossą oraz zamiar utworzenia w górach w okolicach Santanderu zgrupowania wojsk, złożonego z lekkich formacji. Niestety działania Palafoxa zostały zdemaskowane, a on sam musi się ukrywać; obecnie przygotowuje powstanie w Aragonii, natomiast plany utworzenia takich sił trafiły w ręce ministra wojny i powędrowały do archiwum.

– Bardzo bym prosił o nieutrudnianie mi życia – tym komentarzem, bardzo dla siebie charakterystycznym, generał O’Farril zamknął sprawę.

A jednak, mimo piętrzących się trudności i braku zainteresowania junty rządowej, trzeci spisek, spisek oficerów artylerii, jeszcze parę dni wcześniej rozwijał się pomyślnie. Spisek, którego plany kreślono na tajnych spotkaniach w pijalni czekolady w zaułku San Ginés, w „Złotej Fontannie” i w domu wojskowego skryby Almiry – pod numerem trzydziestym pierwszym na ulicy Preciados – nie stawiał sobie za cel militarnego zwycięstwa nad Francuzami, bo z góry uznano je za niemożliwe, lecz miał być zarzewiem ogólnonarodowego powstania. Od pewnego czasu, dzięki

przychylności pułkownika Navarro Falcóna, który udawał ślepego i głucheego, w arsenale Monteleón potajemnie produkowano ładunki do karabinów, kule i granaty do dział, naprawiano sprzęt artyleryjski i przechowywano w ukryciu ostatnią dostawę karabinów wysłaną z Plasencii, tak by nie dostała się w ręce Francuzów wzorem wszystkich poprzednich. Jednak parę dni temu, po zaalarmowaniu sztabu Murata i poleceniu hiszpańskiego Ministerstwa Wojny nakazującego zaprzestania tych praktyk, artylerzyści potajemnie przenieśli warsztaty produkcji amunicji do prywatnej kamienicy. Pozostawali w kontakcie z większością komend wojskowych w Hiszpanii i wyznaczyli – do czego przyczynił się upór Pedra Velardego – miejsca zbiórek oddziałów wojskowych i mających się utworzyć oddziałów milicji, poszczególne dowództwa, lokalizacje magazynów zaopatrzeniowych i punkty, w których mieliby zostać przechwyceni francuscy kurierzy, co miało znacznie utrudnić łączność między oddziałami wojsk cesarskich. Ponieważ wprowadzenie założeń taktycznych w życie przekraczało możliwości korpusu wojskowego, Velarde, z właściwą sobie porywczością, postanowił poprosić o pomoc juntę rządową i uczynił to na własną odpowiedzialność. Nie konsultując z nikim swej decyzji, udał się do generała O’Farrila i przedstawił mu cały plan.

Luis Daoiz przecinał plac św. Dominika, kierując się w stronę ulicy św. Bernarda, i przypominał sobie niepokój, z jakim wysłuchał opowieści swego towarzysza o szczegółach rozmowy z ministrem ds. wojny. Velarde wrócił podniecony, radosny, podobny w swej naiwności dziecku, przekonany, że udało mu się przekonać ministra do swoich planów. Tymczasem Daoiz, znawca ludzkiej natury, słuchając relacji, pojął, że spisek właśnie przestał istnieć. Powstrzymując się od wyrzutów, które nie

zdałyby się już na nic, słuchał w milczeniu, przygnębiony, a na koniec tylko pokręcił głową.

– Już po wszystkim – oznajmił. Velarde zbladł.

– Jak to po wszystkim?

– Już po wszystkim. Nie ma o czym gadać... Przegraliśmy.

– Oszalałeś? – przyjaciel, jak zawsze impulsywny, szarpał Daoiza za rękaw kurtki. – O’Farril obiecał, że nam pomoże.

– On?! Możemy mówić o szczęściu, jeśli nie zamkną nas wszystkich w areszcie.

Daoiz nie mylił się, a skutki ujawnienia spisku dały się odczuć natychmiast: artylerzystom zmieniono miejsca stacjonowania, w wojskach cesarskich dokonano taktycznych przegrupowań, a w arsenale umieszczono oddziały francuskie. Smutek kapitana pogłębiały wspomnienie wizyty króla Ferdynanda w Monteleón w początkach kwietnia, na cztery dni przed wyruszeniem do Bajonny, z jednym koniuszym za całą eskortę, i wiwaty artylerzystów w czasie objazdu ich stanowisk. „Jesteście moimi żołnierzami. Wam mogę zaufać, wy bronilibyście mojej korony” – miał zawołać młody monarcha, chwając Daoiza i jego towarzyszy. Lecz dziś, w pierwszy majowy poniedziałek, udręczeni rozkazami, brakiem zaufania czy ostrożnością przełożonych, kanonierzy nie czują się żołnierzami króla ani nikogo innego. Nie ufają nawet sobie nawzajem. Wśród zaprzysiężonych najwyższy stopniem jest Francisco Novella, zaledwie podpułkownik, na dodatek o niezbyt mocnym zdrowiu, reszta to kapitanowie i porucznicy. Podjęte przez samego Daoiza próby włączenia do spisku halabardników, ochotników z koszar Mejorada i królewskich karabinierów z placu Cebada spełzły na niczym; z wyjątkiem Straży Królewskiej i paru niższych rangą oficerów nikt prócz małego kręgu przyjaciół nie ma odwagi wystąpić przeciw władzy. Kierując się rozważą,

wbrew natarczywym podszeptom Pedra Velardego, Juana Cónsula i kilku innych, spiskowcy zaprzestali więc działań, czekając na stosowniejszy moment. Niewielu odpowiedziało na ich wezwanie, zwłaszcza po ostatnich rozporządzeniach, na mocy których wojskowych zamknięto w koszarach i pozbawiono amunicji. Nie ma sensu – oświadczył Daoiz na ostatnim zebraniu, zanim Velarde opuścił ich, trzaskając drzwiami – dać się wystrzelać jak kaczki przed całą armią, która nie kiwnie palcem, bez nadziei, bez chwały, albo skończyć w celi wojskowego więzienia.

Tak pokrótce wyglądają najświeższe wspomnienia i gorzkie myśli, które tego ranka zaprzatają głowę kapitana Luisa Daoiza w trakcie rutynowej marszruty do sztabu artylerii, nieświadomego, iż u kresu tego dnia splot wypadków i przypadków – których on sam do końca nie będzie świadom – zapisze na zawsze jego imię w historii tego wieku i jego ojczyzny. I kiedy tak ten jeszcze nikomu nieznanemu oficerem podąża lewą stroną ulicy św. Bernarda, z niepokojem obserwując grupy ludzi zbierające się to tu, to tam i kierujące się w stronę Puerta del Sol, zastanawia się, pełen obaw, co o tej porze porabia Pedro Velarde.

Jak każdego ranka, tak i dziś w drodze do sztabu artylerii kapitan Pedro Velarde y Santillán, urodzony w Santander dwadzieścia osiem lat temu – z czego od czternastu lat, to jest od kiedy wstąpił do szkoły kadetów, nosi mundur – zamiast ruszyć prosto spod domu przy Jacometrezo na ulicę św. Bernarda, nadkłada drogi i szeroką ulicą św. Pawła dochodzi do ulicy Escorial. Ma w kieszeni list do ukochanej, Conchy, z którą jest zaręczony, później wyśle go pocztą. Jednakże przechodząc pod balkonem na czwartym piętrze jednej z kamienic przy ulicy Escorial, gdzie piękna kobieta w żałobnej czerni podlewa kwiaty, Velarde, tak jak każdego ranka, zdejmuje kapelusz i kłania się tej kobiecie, która stojąc nieruchomo, odprowadza go wzrokiem, dopóki nie zniknie za rogiem ulicy. Ta kobieta,

której imię zostanie zapisane drobnym drukiem w dniu, który właśnie się zaczyna, to tajemnica – i na zawsze nią pozostanie – w biografii Velardego. Nazywa się Maria Beano, jest matką czworga jeszcze małych dzieci, chłopczyka i trzech dziewczynek, i wdową po kapitanie artylerii. Żyje, jak zaświadczą później sąsiedzi, ciesząc się nieposzlakowaną opinią, ze swej skromnej wdowiej renty. Tymczasem każdego ranka, nie zaniedbując ani jednego dnia, kapitan przechodzi pod jej balkonem, a każdego popołudnia składa jej wizytę w domu.

Pedro Velarde nosi zieloną kurtkę starszych stopniem oficerów artylerii zamiast zwykłej granatowej. Mierzy pięć stóp i dwa cale, jest szczupły, ma przyjemne rysy twarzy. Velarde to mężczyzna o niespokojnym duchu, ambitny, inteligentny, ceniony wśród towarzyszy, ze sporą wiedzą teoretyczną, autor znakomitych prac z dziedziny techniki, szkiców na temat artylerii, uczestnik – w charakterze obserwatora – ważnych misji dyplomatycznych, choć nie działań wojennych, w Portugalii – nie posmakował prawdziwego żołnierskiego życia, a w dziale „doświadczenie w walce” w jego karcie żołnierza figuruje „brak doświadczeń”. A przecież doskonale zna Francuzów. Z nakazu odsuniętego już ministra Godoya znalazł się w składzie delegacji, która witała Murata po wkroczeniu wojsk cesarskich do Hiszpanii. To wystarczyło do rozeznania sytuacji, a swą wiedzę kapitan pogłębił w Madrycie, kontaktując się – z racji pełnionych obowiązków sekretarza Najwyższej Rady Wojskowej – z księciem Bergu i jego sztabem, w szczególności z dowódcą francuskiej artylerii, generałem La Riboisière oraz z adiutantami Murata. I w taki oto sposób, przypatrując się z dość uprzywilejowanej pozycji działaniom Francuzów, Velarde, czując zresztą dokładnie to samo, co jego przyjaciel Luis Daoiz, doświadczył przemiany dawnego, niemal braterskiego – artylerzysty dla artylerzysty –

podziwu dla Napoleona Bonaparte, w gniew i żal osoby, która widzi swą ojczyznę wydaną w ręce tyrana i jego armii.

Na rogu ulicy św. Bernarda Velarde przystaje, by przyjrzeć się czterem francuskim żołnierzom, spożywającym śniadanie przy stole wystawionym w bramie gospody. Po mundurach zgaduje, że należą oni do trzeciej dywizji piechoty, rozłożonej pomiędzy Chamartín i Fuencarral, wraz z ulokowanymi w tamtej dzielnicy wybranymi oddziałami dziewiątego regimentu zaopatrzeniowego. Żołnierze to młodzi chłopcy, całą ich bronią są bagnety ukryte w skórzanych pochwach przy lederwerkach, chłopcy zaledwie dziewiętnastoletni, których bezlitosny pobór z rozkazu cesarza, żadnego młodej krwi niezbędnej do prowadzenia wojen w Europie, wyrwał z domów i rodzin – ale jakkolwiek by patrzeć, to przecież najeźdźcy. Pełno ich w Madrycie, rozlokowanych w koszarach, gospodach, w prywatnych kamienicach, przy czym są wśród nich tacy, którzy zachowaniem przypominają nieśmiałego wędrowca w nieznanym sobie miejscu: starają się wymówić choćby parę słów w tutejszym języku i pozdrawiają uśmiechem miejscowe kobiety, ale są i tacy, którzy swą arogancją dają odczuć, kim są w istocie: wojskami w kraju zdobytym bez oddania jednego wystrzału. Ci w gospodzie mają rozchełstane kurtki, jeden, przyzwyczajony do chłodniejszego klimatu, w samej koszuli korzysta z ciepła słonecznych promieni, które przygrzewają w zaułku. Z głośnym śmiechem żartują z dziewczyną, która się krząta przy stole. Wyglądają na rekrutów, stwierdza w duchu Velarde. Główne siły armii Napoleona zaangażowane są w ciężkich kampaniach na terenie całej Europy i cesarz nie widzi potrzeby wysyłania do Hiszpanii – ujarzmionej, zanim do niej wkroczył i w której nie spodziewa się nagłego ataku – więcej niż paru elitarnych jednostek i towarzyszących im niedoświadczonych żołnierzy, rekrutów z poboru w 1807 i 1808 roku; co oznacza, że ci ostatni są na służbie ledwie od dwóch

miesiący. Jednakże w Madrycie znajdują się oddziały wystarczająco sprawne, by sprostać zamierzonym przez Murata celom. Z dziesięciu tysięcy Francuzów przebywających w mieście i dwudziestu tysięcy rozlokowanych na przedmieściach jedna czwarta to jednostki z doświadczonymi oficerami, a każda z dywizji ma co najmniej jeden dobry, ostrzelany w bojach batalion – z Westfalii, Irlandii i Prus – który stanowi jej ramę i spoiwo. Nie wspominając o grenadierach, marynarzach i kawalerzystach Gwardii Cesarskiej, dwóch tysiącach dragonów i kirasjerów rozłożonych obozem w parku Buen Retiro, w Casa de Campo i na Carabancheles.

– Francowate wieprze – Velarde słyszy obok siebie.

Kapitan odwraca się w stronę, skąd dobiegł męski głos. Obok stoi stary szewc w fartuchu; dopiero co odsunął zasuwę drzwi do ciasnego warsztatu w sieni narożnego budynku.

– Patrz pan, oficerze – dorzuca szewc. – Czują się jak u siebie.

Velarde uważnie przypatruje się mężczyźnie. Na oko dobiega pięćdziesiątki, łysawy, z rzadkim włosiem, a z jego jasnych, jakby rozwodnionych oczu sączy się pogarda. Gdyby mógł, zabiłby tych Francuzów wzrokiem.

– Czyżby miał pan coś przeciwko? – pyta Velarde.

Twarz mężczyzny gwałtownie tężeje. Skoro podszedł do oficera i zdradził przed nim swoje myśli, to dlatego, że hiszpański mundur wzbudził zaufanie. Teraz mężczyzna wygląda, jakby chciał się wycofać, i czujnie obserwuje kapitana.

– Mam to, co powinienem mieć – rzuca oschle na koniec zza zaciśniętych zębów.

Velarde, mimo ponurego nastroju, który męczy go od paru dni, nie potrafi opanować uśmiechu.

– Więc czemuż pan nie podejdzie i im tego nie powie?

Szewc mierzy go z góry na dół podejrzliwym wzrokiem, zatrzymując spojrzenie na epoletach kapitana i artyleryjskich „granatach gorejących” haftowanych na kołnierzu kurtki oficera sztabu. Po czyjej stronie stoi ten cholerny żołnierz, zdaje się pytać.

– Może tak zrobię – szepcze.

Rozbawiony Velarde kiwa głową i nie odzywa się słowem. Stoi jeszcze chwilę obok szewca, obserwując biesiadę Francuzów. Po czym bez pożegnania rusza ulicą.

– Tchórze – słyszy za plecami i domyśla się, że słowo to nie pada pod adresem cesarskich żołnierzy. Obraca się na pięcie. Szewc dalej stoi na rogu, trzymając się pod boki, i patrzy na kapitana.

– Coś powiedział? – pyta Velarde, czując, jak krew napływa mu do twarzy.

Mężczyzna ucieka wzrokiem i podąża ku bramie, nie odpowiada, przestraszony własną śmiałością. Kapitan już otwiera usta, by rzucić stek wyzwisk. Machinalnie kładzie dłoń na rękojeści szabli i walczy z pokusą ukarania śmiałka. Wreszcie górę bierze zdrowy rozsądek, kapitan zaciska zęby, chwilę stoi nieruchomo, w milczeniu opierając się podszeptom demona gniewu, w końcu szewc, pochyliwszy głowę, znika w ciasnym warsztacie. Velarde odwraca się i wzburzony odchodzi szybkim krokiem.

Ubrany według angielskiej mody, w kapelusz, surdut i kamizelkę, literat i emerytowany inżynier królewskiej marynarki José Mor de Fuentes, z parasolem pod pachą, spaceruje ulicą Mayor. Przybył do Madrytu z listami polecającymi od księcia de Frías, stara się o posadę dyrektora kanału w Aragonii, jego rodzinnej ziemi. Nie mając lepszego zajęcia, jak wielu innych wstąpił na pocztę, mając nadzieję, że usłyszy wieści od

przetrzymywanych w Bajonnie monarchów, takowe jednak nie nadeszły. W kawiarni na ulicy św. Hieronima napił się czegoś chłodnego i postanowił rzucić okiem na okolice pałacu. Po drodze mija ożywione grupy ludzi, kierujące się w stronę Puerta del Sol. Złotnik, który właśnie otwiera swój sklepik, pyta, czy to prawda, że wybuchną zamieszki.

– Nic wielkiego się nie stanie – spokojnie odpowiada Mor de Fuentes. – Wiadomo: krowa, która dużo ryczy, mało mleka daje.

Złotnicy z Puerta de Guadalajara nie podzielają tych nadziei: wiele sklepów jest zamkniętych, a przed większością tych już otwartych stoją właściciele, rozglądając się niespokojnie. Na Plaza Mayor i na ulicy św. Michała przekupki i kobiety z koshami pełnymi zakupów, zbite w ciasne kółka, prowadzą ożywione rozmowy, a z ubogich dzielnic Lavapiés i Paloma ciągnie fala wściekłych, zuchwałych, rozkrzyczanych mężczyzn, domagających się na śniadanie wątróbek żabojadów. Nie przeszkadza to wcale Mor de Fuentesowi – sam ma wiele z chełpliwego fanfaronu – a nawet go to bawi. We wspomnieniach czy raczej w szkicu o swoim życiu, napisanym i wydanym wiele lat później, opisując dzień, który właśnie się zaczyna, wspomni o planie obrony Hiszpanii, przedłożonym przezeń osobiście juncie rządowej, o patriotycznych rozmowach z kapitanem artylerii Pedrem Velardem, a nawet o paru próbach chwycenia za broń przeciwko Francuzom, broń, od której przez cały dzień – i to nie z braku okazji – trzymał się z daleka.

– Gdzież to pan idzie, panie Mor de Fuentes? Wszędzie pełno ludzi i ogromne zamieszanie.

Aragończyk uchyla kapelusza. Na rogu przy pałacu Consejos spotyka hrabinę de Giraldele, znajomą damę dworu.

– No cóż, zamieszanie jak zamieszanie, wątpię, by coś z tego wynikło.

– Ach tak? A czy wie pan, że Francuzi chcą wywieźć z pałacu infanta Franciszka?

– Co też pani mówi?

– To, co pan słyszy.

Hrabina de Giraldele odchodzi, smutna i pełna lęku, a literat przyspiesza kroku, kierując się w stronę pałacu. Dziś pełni tam straż znany mu kapitan Gwardii Hiszpańskiej, Manuel Jáuregui, postara się u niego zasięgnąć informacji. Dzień zapowiada się interesująco, myśli sobie. Może to będzie dzień zemsty. Dobiegające zewsząd okrzyki przeciwko Francji, *afrancesados* i przyjaciółom Godoya dostarczają mu skrytej, acz sporej przyjemności. Jego ambicje artystyczne – ukazało się właśnie trzecie wydanie raczej przeciętnej *Serafiny* jego pióra – i wpływ zaprzyjaźnionych kręgów literatów, wśród których obraca się razem z Cienfuegosem i innymi, sprawiły, iż z całego serca nienawidzi Leandra Fernández de Moratína, protegowanego obalonego Księcia Pokoju. Mor de Fuentes cierpi straszliwe męczarnie, kiedy publiczność w teatrach, gnana owczym pędem, oddaje służalczy pokłon kwestiom i słówkom, świętoszkowatym, nudnym bredniom i gustom Geniusza Geniuszy tudzież innej cudzoziemszczyźnie, i jednocześnie wszystkich innych – łącznie z Mor de Fuentesem – uznaje za karłowate beztalencia, zbyt dalekie od prozy i poezji kastylijskiej. I dlatego Aragończyk cieszy się, słysząc okrzyki, które – pomieszane z obelgami pod adresem Francuzów – odnoszą się do Godoya i wielbicieli Francji, a wśród nich Moratína. W powszechnym zamęcie zupełnie by Mor de Fuentesowi nie przeszkadzało, gdyby temu nowemu Molierowi, ulubieńcowi muz, sprawiono dziś tęgie lanie.

Kiedy ślusarz Blas Molina Soriano zjawia się pod pałacem, z trzech powozów oczekujących wcześniej pod Bramą Książęcą pozostał już tylko

jeden. Dwa odjeżdżają właśnie ulicą Tesoro. Obok tego trzeciego, stojącego nieruchomo, widać gromadkę ludzi, poza stangretem i poczytylionem są tam jeszcze trzy kobiety z chustami na ramionach i wielkimi koszami oraz pięciu mężczyzn. Paru gapiów przypatruje się z daleka, plac jest dość szeroki. Molina chce sprawdzić, kto jedzie powozami, więc zawija sukienną pelerynę i rzuca się za nimi biegiem, nie udaje mu się jednak ich dogonić.

– Kto pojechał tymi powozami? – pyta, wracając na plac.

– Królowa Etrurii – wyjaśnia jedna z kobiet, wysoka i przystojna.

Z trudem łapiąc oddech, ślusarz rozdziawia usta.

– Skąd ta pewność?

– No przecież widziałam, jak wychodziła z dziećmi, a za nią jakiś minister czy generał... Taki w kapeluszu z piórami, podawał jej ramię. Wsiadła szybciotko i odjechała w mgnieniu oka... Prawda, kumo?

Zagadnięta kobieta potakuje i dodaje:

– Zasłaniała twarz mantylką, ale niech mnie piorun trzaśnie, jeśli to nie była Maria Ludwika.

– A wyszedł ktoś jeszcze?

– Ja tam nie widziałam. Podobno ma jechać też infant Franciszek de Paula, ten dzieciak. Ale ja widziałam tylko jego siostrę.

Zasepiony i pełen najgorszych przeczuć Molina podchodzi do stangreta.

– Dla kogo ten powóz?

Stangret, usadowiony na koźle, bez słowa wzrusza ramionami. Molina rozgląda się podejrzliwie dookoła. Prócz wartowników – dziś straż trzyma Gwardia Hiszpańska w Bramie Książęcej i Walońska przy Skarbcu – nie widać żadnych żołnierzy. To niemożliwe, by przewożono tak znakomite osoby bez jakichkolwiek środków ostrożności, rozważa. Choć może to dlatego, by nie zwracać niczyjej uwagi.

– Były tu żabojady? – pyta jednego z gapiów.

– Nie widziałem. Tylko jednego strażnika na ulicy św. Mikołaja.

Molina w skupieniu drapie się po brodzie, której dziś nie miał czasu ogolić. Ulica św. Mikołaja, tuż obok kościoła pod tym samym wezwaniem, to najbliższe z miejsc, gdzie stacjonują Francuzi. Dziwne, że panuje tam taki spokój. Może tylko pozorny. Przeszedł właśnie przez Puerta del Sol i tam również ani śladu Francuzów, choć w okolicy roi się od rozgorączkowanych madrytczyków. A tymczasem nikt nie stoi pod pałacem. Powozy, które zdążyły odjechać, i ten, który wciąż czeka, nie wróżą niczego dobrego. W głowie dźwięczy alarmowy dzwonek.

– Dadzą nam po łbie – stwierdza na koniec – i to cholernie mocno.

José Mor de Fuentes odwraca głowę, słysząc te słowa. Aragoński pisarz przyszedł tu spod pałacowych arkad. Nie pozwolono mu porozmawiać z przyjacielem, kapitanem Jáuregui. Blas Molina zna go z widzenia, jakieś dwa tygodnie temu naprawiał zamek w jego domu.

– A my tu stoimy – dodaje rozgoryczony Molina – pięciu ludzi na krzyż i na dodatek bez broni.

– A przecież tam jest królewski arsenał – rzuca z kpina w głosie Mor de Fuentes, wskazując budynek.

Ślusarz gładzi się po szyi w zamyśleniu. Wziął żart dosłownie.

– Nie trzeba powtarzać dwa razy. Jeśli tylko ludzie ruszą, otworzę zamek. To w końcu mój zawód.

Mor de Fuentes przygląda mu się z uwagą, zastanawiając się, czy ślusarz mówi poważnie. Potem rozgląda się nerwowo dookoła, kiwa głową i odchodzi z parasolem pod pachą, a tymczasem ślusarz stoi i rozmyśla nad królewskim arsenałem. Lepiej dam sobie spokój, dochodzi do wniosku. Nieważne, czy z bronią, czy bez broni, Blas Molina Soriano, lat czterdzieści osiem, to najbardziej zagorzały zwolennik króla w Madrycie. Przyczyny

owego nabożnego kultu, jakim darzy monarchię, są dość złożone, a on sam nie do końca umie je wyjaśnić. Później, w spisanej dla króla szczegółowej relacji swego udziału w wydarzeniach z 2 maja, określi sam siebie jako „ślepo oddanego Jego Królewskiej Mości i Rodzinie Królewskiej”. Był synem emerytowanego żołnierza kawalerii w służbie infanta don Gabriela i to król sfinansował jego kurs czeladniczy. Od tamtego czasu wdzięczność Moliny wzrosła niepomiernie, objawiając się nabożną czcią przy każdym publicznym pojawieniu się rodziny Burbonów. Zwłaszcza czcią dla Ferdynanda VII, którego darzy pszą wiernością: widziano go, jak biegł obok królewskiego konia przy Prado, Casa de Campo i ogrodach Buen Retiro z kubelkiem chłodnej wody w rękach, na wypadek gdyby młody król zechciał się napić. Najszczęśliwszą chwilę w życiu dane mu było przeżyć w pierwszych dniach kwietnia, kiedy osobiście mógł wskazać Ferdynandowi VII drogę do arsenału Monteleón, gdy monarcha szukał jej w towarzystwie jednego tylko sługi. Tam zaś, skorzystawszy z nadarzającej się sposobności, rozzuchwalony ślusarz już nie odstąpił od króla i mógł podziwiać działa, broń i amunicję arsenału kanonierów, nie podejrzewając nawet, że wspomnienie tamtej przypadkowej wizyty dziś odegra decydującą rolę – decydującą o życiu i śmierci – w historii Blasa Moliny i wielu innych madrytczyków.

Zważywszy na te okoliczności, nikt, kto zna oddanego monarchii ślusarza, nie zdziwiłby się, widząc go tego ranka przed pałacem, tak jak widziano go podczas zamieszek w Aranjuez na czele grupy wichrzycieli domagających się głowy Godoya czy też podczas wczorajszych niedzielnych wydarzeń, kiedy równie głośno gwizdał na Murata wychodzącego z mszy i wizytującego potem wojska na Prado, jak wiwatował, wraz z dziesięcioma tysiącami osób, na cześć infanta don Antonia przejeżdżającego przez Puerta del Sol. Z tego, co Molina

opowiadał swoim przyjaciołom, wiadomo, że źle znosi tych przeklętych żabojadów w Madrycie i jest gotów uczynić wszystko, co w jego mocy, by uchronić rodzinę królewską przed francuskimi knowaniami. Wierny danemu sobie słowu, spędził pół nocy, czatując na rogu ulicy Nueva, obserwując dla spokoju własnego sumienia posłańców, którzy wchodzili i wychodzili z rezydencji Murata przy placu Marii Aragońskiej, i bez zwłoki zanosił te informacje juncie rządowej, nie przejmując się, że nikt na niego nie zwraca uwagi, a woźny za każdym razem odsyła go na spacer. Teraz, po krótkiej drzemce w domu, zostawiwszy zapłakaną i przestraszoną jego zamiarami żonę, mocno zaniepokojony ślusarz właśnie utwierdził się w swych podejrzeniach. Jeśli o niego chodzi, królowa wdowa może sobie pojechać, gdzie dusza zapragnie, wszyscy wiedzą, że jest całkowicie sfrancuziała i chciałaby towarzyszyć swym rodzicom w Bajonnie, niech więc tam jedzie jeść ślimaki. Ale porwanie infanta, ostatniego z rodu, który wraz z wujem, don Antoniem, pozostał w Hiszpanii, to zbrodnia na okaleczonej ojczyźnie. I tak pełen niepokoju, stojąc przy pustym powozie obok Bramy Książęcej, ten prosty ślusarz, nieoczekiwany obrońca hiszpańskiej monarchii, postanawia zapobiec jej upadkowi, choćby miał to zrobić sam i gołymi rękoma – nie ma przy sobie nawet noża, albowiem żona, kierowana zdrowym rozsądkiem, zdążyła mu go zabrać – walcząc do ostatniej kropli krwi.

Po czym, nie zastanawiając się wiele, przęłyka ślinę, chrząka, wychodzi na środek placu i ile sił w płucach zaczyna krzyczeć:

– Zdrada! Porywają infanta! Zdrada!

2

Nie wybiła jeszcze dziewiąta, gdy porucznik Rafael de Arango zbliżał się do arsenału Monteleón, z dwoma rozkazami dziennymi w kieszeni kurtki. Pierwszy otrzymał w sztabie garnizonu, a drugi w sztabie artylerii, oba są zgodne w treści: nakazują wojsku pozostanie w koszarach i stanowczo zakazują bratania się z gminem. Tekst drugiego rozkazu pułkownik Navarro Falcón uzupełnił ustnym komentarzem:

– Z Francuzami, na miłość boską, jak z jajkiem... I proszę zapomnieć o decyzjach podejmowanych na własne ryzyko i odpowiedzialność. A jak się pojawi jakikolwiek problem, proszę mnie natychmiast zawiadomić, to kogoś podeślę.

Pół setki cywilów przed bramą arsenału na razie nie stanowi problemu, ale sytuacja może ulec zmianie. Dręczy go taka myśl, bo stało się dlań jasne, że to on, oficer niższej rangi, zanim nadejdzie ktoś wyższy stopniem – Arango tego ranka jako pierwszy z oficerów stawiał się po rozkazy w sztabie – przejmie za chwilę odpowiedzialność za główną siedzibę artylerii w Madrycie. Skrywając niepokój, z niewzruszoną miną przechodzi przez tłum, który się przed nim rozstępuje. Na szczęście ludzie zachowują się rozsądnie. W większości są to mieszkańcy dzielnicy Maravillas, rzemieślnicy, drobni kupcy, służba z okolicznych domów, a także kobiety i rodziny żołnierzy stacjonujących w arsenale, dawnej rezydencji książąt de Monteleón, oddanej wojsku. Przechodzącemu oficerowi towarzyszą głośne, nerwowe komentarze, wiwaty na cześć artylerii i jedno głośniejsze, podjęte przez wszystkich „niech żyje król Ferdynand VII”. Nie brak i obelżywych

okrzyków pod adresem Francuzów. Kilku mężczyzn głośno domaga się broni, ale nikt się do nich nie przyłącza. Jeszcze nie.

– Dzień dobry, *monsie le capitain*.

– *Bonjour, lieutenant*.

Tuż po przekroczeniu głównej bramy arsenału, ceglanego łuku z kutą kratą, Arango staje oko w oko z francuskim kapitanem dowodzącym siedemdziesięciopięciuosobowym oddziałem cesarskiej artylerii, doboszem i czterema młodszymi oficerami, którzy stoją na warcie przy bramie, koszarach, stajniach, wartowni i zbrojowni. Hiszpan unosi dłoń do kapelusza, Francuz odpowiada mu nerwowo i niechętnie, jest poirytowany, a jego ludzie jeszcze bardziej. Tamci pod bramą, informuje hiszpańskiego oficera, już od jakiegoś czasu obrzucają ich obelgami, zatem wzbiera w nim chęć, by rozgonić tłum, używając broni.

– Jeśli sobie nie pójdą spod *la porte*, każę ich *tirer dessus*... Pach, pach, pan rozumie?

Arango rozumie aż nadto dobrze. Pamięta o rozkazach otrzymanych od pułkownika Navarro Falcóna. Zrozpaczony rozgląda się dookoła i uważnie przypatruje twarzom hiszpańskich żołnierzy z niewielkiego oddziału, którym teraz dowodzi: szesnastu artylerzystów, wliczając w to sierżantów, kaprali i zwykłych żołnierzy. A na dodatek nieuzbrojonych, bo karabiny stoją w magazynie bez amunicji, a nawet bez skałek w zamkach. Całkowicie bezbronnych w obliczu tych rozeźlonych Francuzów, uzbrojonych po zęby.

– Zobaczę, co da się zrobić – zwraca się do kapitana cesarskich wojsk.

– *Je vous donne quinze minutes. Pas plus.*

Arango zostawia Francuza i woła na bok swoich ludzi. Są dość zdenerwowani, Arango próbuje ich uspokoić. Na szczęście jest wśród nich kapral Eusebio Alonso, zasłużony weteran, zdyscyplinowany i godny

zaufania, dobrze mu znany. To jego wysyła pod bramę, żeby uspokoił tłum cywilów i nie dopuścił, by francuskie straże zrobiły coś głupiego. Jeśliby do tego doszło, nie weźmie odpowiedzialności za ludzi przed bramą ani za swoich podwładnych.

Tymczasem przed pałacem sprawy się komplikują. Jakiś dworzanin, którego nikt ze stojących na placu nie rozpoznał, pojawia się na balkonie i wtóruje okrzykom ślusarza Blasa Moliny. „Zabierają infanta!” – krzyczy, potwierdzając obawy ludzi zebranych wokół pustego powozu, teraz już w liczbie sześćdziesięciu czy siedemdziesięciu osób. To wystarczy, by Molina wykonał następny krok. Mocno zdenerwowany ślusarz na czele grupki kilku śmiałków, wśród których jest i wysoka, postawna kobieta, białą chusteczką dająca znać strażnikom, by nie strzelali, spiesznym krokiem podchodzi do najbliższej bramy, Książęcej, a strzegący jej gwardziści, zdziwieni i niepewni, pozwalają mu przejść. Molina, zaskoczony powodzeniem swego przedsięwzięcia, zachęca ludzi podążających za nim, by szli naprzód, głośno wiwatuje na cześć rodziny królewskiej, znów krzyczy donośnym głosem „zdrada, zdrada” i rozzuchwalony tym, że wielu podchwytuje jego okrzyki, wstępuje na pierwsze schody, które napotyka na swej drodze, gdzie jedyną przeszkodą okazuje się samotny gwardzista Pedro de Toisos, który wychodzi mu naprzeciw.

– Na Boga! Uspokójcie się, panowie, mamy już eskortę!

– Gówno prawda! – krzyczy Molina, odsuwając go na bok. – To my będziemy eskortą! Śmierć Francuzom!

Blas Molina wchodzi po schodach, na czele swoich zwolenników i wtedy nieoczekiwanie na półpiętrze pojawia się czternastoletni chłopiec w dworskich szatach, w towarzystwie dworzanina i czterech gwardzistów.

Wysoka kobieta tuż za plecami Moliny woła: „Infant don Franciszek!”, i ślusarz staje gwałtownie, zdziwiony widokiem chłopca. A potem, odzyskując swą naturalną śmiałość, zgina kolana na stopniu schodów i krzyczy: „Niech żyje infant! Niech żyje rodzina królewska!”, a jego towarzysze podchwytyją okrzyk. Chłopiec, który najpierw zbladł, widząc zamieszanie, lekko poróżwiał na twarzy i uśmiechnął się nieśmiało, wzbudzając tym entuzjazm Moliny i jego ludzi.

– Na górę! Na górę! – krzyczą. – Gdzie infant don Antonio? Nikt stąd nie wyjdzie!

Po czym całą hurmą, wykrzykując na przemian „niech żyje król” i „śmierć Francuzom”, Molina i jego ludzie rzucają się do całowania dłoni infanta i nieomal unoszą go nad ziemią wraz z towarzyszącą mu eskortą do drzwi gabinetu jego wuja, don Antonia. A tam chłopiec, niejako w odpowiedzi na słowa wyszeptane mu do ucha przez dworzanina, z zadziwiającym jak na swój wiek spokojem dziękuje Molinie i jego ludziom za troskę, zapewnia, że nie wybiera się do Bajonny ani nigdzie indziej, prosi, by zeszli na plac i uspokoili zebranych, i wreszcie obiecuje, że za chwilę ukaże się na balkonie, aby rozwiać wszelkie wątpliwości. Ślusarz waha się przez moment, ale pojmując, że pójście dalej wiązałoby się ze sporym ryzykiem, zwłaszcza że dobiega go odgłos kroków oddziału Gwardii Hiszpańskiej, który wspina się po schodach, by szybko wyjaśnić sytuację. Zadowolony postanawia nie kusić dalej losu, przekonuje idących za nim, że to rozsądne wyjście, żegna się z infantem pośród wiwatów i pokłonów, pędem zbiega ze schodów, za nim jego świta, wraca na plac, tryumfujący i szczęśliwy, jakby nosił szarfę naczelnego wodza, dokładnie w tej chwili, gdy infant Franciszek de Paula, po rycersku dotrzymując słowa, przy wtórze radosnych okrzyków pojawia się na balkonie na rogu pałacu, schylając głowę w geście wdzięczności i rozsyłając całusy

zebranych madrytczykom, których liczba sięga już trzystu – jest wśród tłumu paru żołnierzy z regimentu Ochotników Aragońskich – a ciągle napływają kolejni z sąsiednich kamienic, wiele osób stoi na balkonach.

W tym momencie sytuacja się komplikuje. Tuż obok ślusarza Moliny niejaki José Lueco, madrytczyk, właściciel fabryki czekolady, stoi chyba zbyt blisko powozu, który – wciąż pusty – oczekuje przy Bramie Księżęcej ze stangretem i pocztylionem. Korzystając z zamieszania po pojawieniu się infanta w balkonowym oknie, Lueco z pomocą Juana Velazqueza, Silvestre Álvareza i Toribia Rodrígueza – pierwszy to mulnik, a dwaj pozostali to stajenni księcia de Altamira i ambasadora Portugalii – przecina nożem cugle koni zaprzęgniętych do powozu.

– W tym go już nie wywiozą – obwieszcza z dumą.

– Prędzej oddamy życie – dodaje Velazquez.

– Niż się poddamy – kończy Rodríguez.

Tłum wiwatuje na ich cześć. Ktoś próbuje nawet wyprząść muły. I właśnie w tym momencie, gdy tych trzech mężczyzn nie zdążyło jeszcze schować noży, pośród tłumu pojawiają się dwa francuskie mundury, jeden należy do żołnierza lekkiej piechoty, drugi, biało-karmazynowy, ze złotymi wyłogami i galonami, do szefa szwadronu, Armanda La Grange’a, adiutanta księcia Bergu, który obserwując zamieszanie na dziedzińcu pałacowym z okien leżącej nieopodal rezydencji w pałacu Grimaldi, wysłał adiutanta z tłumaczem, by zasięgnął języka. I tak oto La Grange, doświadczony w bojach mimo swego młodego wieku, arystokrata w każdym calu, organicznie nieznoszący plebsu, przepycha się przez tłum ku Bramie Księżęcej dość odważnie, choć może to nie odwaga, a raczej pogarda. Zachowuje się grubiańsko i z wyższością kogoś, kto stąpa po własnej ziemi. I na swoje nieszczęście wpada na José Lueca i jego kompanów.

– Gdzie się pchasz? – zaczepia go José. – Ty francowaty żabojadzie.

Adiutant Murata nie zna ani słowa po hiszpańsku, ale tłumacz szybko przekłada zaczepkę. A wyciągnięte noże i twarze tych, którzy dzierżą je w garści, mówią same za siebie. La Grange cofa się o krok i kładzie dłoń na kawaleryjskiej szabli, która wisi mu u boku. Żołnierz idzie w jego ślady, ludzie rozstępują się na boki, czując, że dojdzie do starcia, i dokładnie wtedy pojawia się ślusarz Molina, który na widok mundurów znów zaczyna wołać:

– Zabić ich! Zabić ich! Żaden Francuz nie ma prawa tędy przejść.

Ledwie zdążył to powiedzieć, wszyscy rzucają się na La Grange'a i jego tłumacza, szarpią nimi, rozrywają mundury i zapewne rozdarliby ich samych na strzępy, gdyby nie interwencja osamotnionego gwardzisty Pedra de Toisos. Zachowując przytomność umysłu, podbiega i udaje mu się osłonić adiutanta Murata i towarzyszącego mu żołnierza, każe im schować szable do pochwy, a pozostałym pochować noże.

– Nie dopuśćmy do rozlewu krwi! Pamiętajcie o infancie Franciszku, na miłość boską! Nie możemy zhańbić tego miejsca!

Mundur i stanowczy ton nieco temperują nastroje, co pozwala oddziałowi dwudziestu Francuzów, nadbiegających w pośpiechu ulicą Nueva, przyjść z pomocą rodakom, a następnie wycofać się pod osłoną bagnatów. To doprowadza do wściekłości Blasa Molinę, który widzi, że ofiara ucieka, krzyczy więc, by przeszkodzić tej ucieczce. W tym momencie w bramie pałacu pojawia się minister ds. wojny O'Farril, który postanowił z bliska przyjrzeć się sytuacji. A ponieważ ślusarz, nie bacząc na nic, wrzeszczy tuż pod jego nosem, zdenerwowany minister odpycha go, żeby coś zobaczyć.

– Wszyscy buntownicy do domu, nikt was tu nie potrzebuje!

– Waszmość i reszta tych łotrów sprzedajecie Hiszpanię na naszą zgubę!
– nie ustaje ślusarz, wcale się nie przestraszywszy.

– Wynocha stąd albo każę otworzyć ogień!

– Ogień? Przeciwko ludziom?

Tłum napiera groźnie, wtórując Molinie. Młody żołnierz z Ochotników Aragońskich łapie za rękojeść szabli i zaczyna wygrażać O’Farrilowi, który przezornie chowa się w bramie. Znów rozlegają się okrzyki: „Francuz! Francuz!” – krzyczą niektórzy, biegnąc w kierunku Skarbca. Molina, który szuka ujścia dla swej ślepej furii, rozpycha się łokciami i dostrzega przestraszonego marynarza z Gwardii Cesarskiej – posłańca, który usiłował przedostać się na ulicę św. Gila – już rozbrojonego przez kapitana Gwardii Walońskiej Alejandra Coupigny’ego, syna generała Coupigny’ego, który zabrał mu szablę i schował między swoich, chroniąc przed wściekłym tłumem. Molina, rozjuszony utratą kolejnej ofiary, wyrywa z rąk stojącego obok mężczyzny gruby, sękaty kij i unosi go do góry.

– Na Francuzów! Na Francuzów! – krzyczy, zdzierając gardło. – Śmierć Francuzom! Śmierć Francuzom!

I dając przykład innym, biegnie, a za nim żołnierz z Ochotników Aragońskich, cukiernik Lueco, młodzi stajenni i wielu innych – wśród których nie brak i kobiet – w kierunku ulic sąsiadujących z pałacem, szukając okazji, by zaspokoić żądzę krwi, która to sposobność nadarza się im zaraz za rogiem, gdzie spotykają cesarskiego żołnierza, zapewne kolejnego posłańca oddelegowanego do koszar przy ulicy św. Mikołaja. Z okrzykiem tryumfu na ustach ślusarz i biegnący za nim żołnierz rzucają się w pogoń za Francuzem, który próbuje uciekać, ale Molina dopada go uderzeniami kija w zaułku szkoły naprzeciwko ulicy św. Jana. Uderza go raz i drugi w głowę, bez litości, aż nieszczęśnik pada na ziemię, a żołnierz z Aragonu tnie go szablą.

Joaquín Fernández de Córdoba, markiz de Malpica i grand Hiszpanii, stoi na balkonie swej rezydencji w pobliżu Pałacu Królewskiego i naprzeciw kościoła Najświętszej Marii Panny, obserwując przechodzących tam i z powrotem ludzi. Wrzawa i zamieszanie zaniepokoiły go, ale i wzmogły jego ciekawość, więc postanawia przyjrzeć się temu wszystkiemu z bliska. Nie chce jednak nadto się angażować – jest kapitanem regimentu piechoty w Maladze, choć chwilowo zwolnionym ze służby – więc zdejmuje mundur i przywdziewa kapelusz z wąskim rondem, szary frak, zamszowe spodnie i buty z odwijaną cholewką. Bierze do ręki laskę z ukrytym ostrzem, a do kieszeni wkłada pistolecik nabity kulą, po czym wychodzi w towarzystwie zaufanego sługi. Malpica nie należy do tych, u których zamieszki ludu wzbudziłyby sympatię, jednakże jako wojskowy i Hiszpan źle znosi obecność Francuzów. Z początku, podobnie jak większość arystokracji, był zwolennikiem napoleońskiej władzy, która położyła kres krwawej republikańskiej zawierusze w sąsiednim kraju, a jako żołnierz nie krył podziwu dla wojennych dokonań Bonapartego, jednak ostatnimi czasy – gdy ojczyzna znalazła się w obcych rękach – jego sympatia przerodziła się w niechęć. Był jednym z tych, którzy przyklasnęli odsunięciu Godoya, abdykacji starej monarszej pary i wstąpieniu na tron Ferdynanda VII. Malpica ulokował swe nadzieje właśnie w młodym królu, choć jako wojskowy, a przy tym człowiek dyskretny, nigdy publicznie nie wypowiedział się ani za, ani przeciw sytuacji, w jakiej znajduje się jego kraj, zachowując te opinie dla rodziny i wąskiego kręgu przyjaciół.

Wraz z towarzyszącym mu sługą, niejakim Olmosem, również żołnierzem, a przy tym jego ordynansem w Maladze, markiz chce najpierw rozejrzeć się po najbliższej okolicy, a potem podejść w stronę pałacu. Przechodzi tyłami kościoła Najświętszej Marii Panny, ulicą Almudena aż do placu Consejos i wymieniwszy parę uwag ze znajomym introligatorem –

który poważnie zaniepokojony rozważa, czy otworzyć dziś warsztat – skręca w lewo, w ulicę Factor i kieruje się w stronę pałacu. Ulica jest całkowicie pusta. Ani żywej duszy, nikogo na balkonach i w oknach. Ta grobowa cisza napawa niepokojem wiedzonego żołnierskim instynktem markiza.

– To mi się wcale nie podoba, Olmos.

– Mnie również.

– Zawróćmy więc. Pójdziemy pod bramę pałacu. *Custos rerum prudentia...*², i tak dalej, jak sądzisz?

– Zgadzam się ze wszystkim, co jaśnie pan powie.

Zamierają na dźwięk werbli. Narastający huk dochodzi zza rogu ulicy Biombo, a towarzyszy mu stukot butów o bruk, odgłos wielu szybkich, miarowych kroków. Markiz i służący przyłgnęli do fasady najbliższej kamienicy, szukając schronienia w bramie. Stamtąd widzą, jak zza rogu wychodzi cała kompania piechoty z karabinami gotowymi do strzału, prowadzona przez oficerów z szablami w dłoniach, szybkim marszem kierując się w stronę pałacu.

Wojska francuskie wychodzą z koszar przy ulicy św. Mikołaja.

Pierwszym z oddziałów francuskich, które pojawiają się na placu, tuż przed godziną dziesiątą, jest oddział grenadierów Gwardii Cesarskiej, liczący osiemdziesięciu ludzi, strzegący rezydencji księcia Bergu w pałacu Grimaldi. Blas Molina, który wrócił na plac po zabiciu francuskiego żołnierza naprzeciw św. Jana, widzi zwartą kolumnę granatowych mundurów z białymi wyłogami i czarnymi bermycami. To nie zwykli rekruci, pojmuje natychmiast, to elitarne oddziały. Podobnie jak i reszta ludzi wokół, Molina czuje narastające w nim jednocześnie przerażenie i gniew w obliczu zagrożenia, jakie stanowi francuskie wojsko. Odcinek

dzielący dziedziniec pałacowy od pobliskiego placu Marii Aragońskiej cesarscy żołnierze przebyli w parę minut, a kiedy już tu stanęli, nadciągnęły dwa zaprzężone w konie dwudziestoczwurfuntowe działa i reszta piechoty z koszar przy św. Mikołaja. Wszystkie oddziały zebrały się przy Bramie Książęcej i ustawiły w nienagannym szyku. Dowodzący oficer ma bezpośrednie rozkazy od Murata: przykładowo ukarać, powtórzyć lekcję, która przyniosła znakomite rezultaty samemu Napoleonowi w Kairze, Mediolanie, Rzymie, a ostatnio marszałkowi Junotowi w Lizbonie. Z zawodową skutecznością, właściwą najlepszej armii świata, rozkazy spełniane są natychmiast, artylerzyści zataczają działa na lawetach, ustawiają baterię, ładują lufy, a grenadierzy stają w równych liniach, wymierzając broń w pół tysiąca ludzi zebranych przed Pałacem.

– Zaraz posypie się tu grad kul – odzywa się jakiś głos obok Moliny.

Bez uprzedzenia, bez ostrzeżenia. Gdy tylko ustawiono działa oraz grenadierów w dwóch liniach – z czego pierwszy szereg klęka jednym kolanem na ziemi, drugi – stoi wyprostowany, a oba z załadowanymi karabinami, oficer unosi szablę i bez zbędnych ceregieli rzuca komendę: ognia! Pierwsza salwa przelatuje wysoko, na głowami tłumu kotłującego się ze strachu, druga ma za zadanie zabić, wspomagana armatnim ogniem – z potwornym łoskotem, pośród dymu i błysków, działa momentalnie zasypują plac gradem kartaczy. Tym razem nie słyhać patriotycznych okrzyków, obelg pod adresem Francuzów, nie słyhać niczego poza wrzaskiem paniki, dochodzącym z setek gardeł, gdy tłum, zaskoczony tak brutalnym i nagłym atakiem, rozbiega się we wszystkich kierunkach, deptając rannych, leżących w kałużach krwi, potykające się kobiety i tych wszystkich, których wystrzały grenadierów, teraz miarowe i niesłabnące, kładą pokotem, a kule i pociski tylko świszczą, łamią, miażdżą, kaleczą i zabijają.

Siła francuskiego ognia oznacza śmierć dla wielu w bezbronnym i przerażonym tłumie. Nie da się obliczyć dokładnej liczby ofiar przed Pałacem. Historia zachowa między innymi nazwiska madrytczyków: Antonio García, Blas Grimaldo Iglesias, Esteban Milín, Rosa Ramírez i Tomás Castellón. Są nawet śmiertelne ofiary pośród pałacowej służby: lekarz Jego Królewskiej Mości Manuel Pereira, nadworny świeczarz Cosme Miel, garderobiany Francisco Merlo, królewski stangret José Méndez Álvarez, stajenny z królewskich stajni Luis Román i nadworny latarnik, Matías Rodríguez. Można by wymienić jeszcze wielu, a wśród nich znaleźli się: najstarszy z pałacowych dozorców José Rodrigo de Porras, ranny w twarz kartaczem i w głowę kulą odbitą rykoszetem; Joaquín María de Mártola, honorowy królewski kwatermistrz oczekujący w powozie, którego koniom José Lueco wraz z kompanami poprzecinali popręgi, trafiony w ramię; majordomus Rodrigo López de Ayala, wychylający się przez pałacowe okno, aż poczuł na twarzy deszcz odłamków szyby roztrzaskanej kulą, która dosięgła jego piersi. Ta rana doprowadzi do śmierci Lópeza de Ayala dwa miesiące później.

W łoskocie wystrzałów, pośród dymu i krwi płynącej po placu, biegnie przerażony Blas Molina, dłońmi osłaniając głowę. W ścisku gubi pelerynę i kiedy próbuje ją odnaleźć, widzi, jak raniony pada znajomy ślusarz, Asturyjczyk Manuel Armayor. Wydaje mu się też, że w kobiecie leżącej na ziemi z rozplataną głową rozpoznaje tamtą wysoką i przystojną, która machając białą chustką, weszła za nim do pałacu. Molina staje i przez chwilę stara się pomóc leżącemu koledze, lecz ciągły ogień francuskich karabinów zmusza go do zostawienia rannego i pospiesznego szukania bezpiecznego schronienia. Tymczasem Manuel Armayor, trafiony jedną z pierwszych salw, z trudem się podnosi, biegnie, potykając się, i osuwa zemdlony, padając w ramiona kilku uciekinierów. Ci zaś ciągną go

w kierunku domu, na ulicę Segovia, ale po drodze Manuel zostaje jeszcze trzykrotnie trafiony i wykrwawia się.

– To strzały – stwierdza kapral José Montaña.

W arsenale Monteleón porucznik Rafael de Arango, podobnie jak wszyscy jego ludzie, nieruchomieje. Dźwięk, który dochodzi z oddali, istotnie przypomina strzały, choć pojedyncze i przytłumione. Artylerzyści spoglądają po sobie. Francuzi też je słyszeli, Arango widzi, jak kapitan rozmawia z podoficerami, a następnie odwraca się w jego stronę, oczekując wyjaśnień.

– No i wreszcie się zacznie – mruknął jeden.

– Albo już się zaczęło – odparł inny.

– Cisza! – rozkazuje Arango.

Pragnie zaszyć się gdzieś w ustronnym miejscu, zamknąć oczy i o wszystkim zapomnieć. Ale nie może tego zrobić. Po krótkim namyśle wysłał kaprala Montaña z trzema kanonierami do magazynu broni z poleceniem wkręcenia skałek do karabinów.

– Lepiej być przygotowanym – dodaje, jakby wypowiadał słowa bez znaczenia. – Nigdy nic nie wiadomo.

– A co z ładunkami, panie poruczniku?

Arango waha się przez chwilę. Rozkazy mówią wyraźnie, że wojsko ma pozostać bez amunicji. Ale przecież nie wie, co teraz się dzieje. Pełne niepokoju twarze jego ludzi, spoglądających na niego z szacunkiem i zaufaniem, choć spokojnie mógłby być synem paru z nich – jego epolety zdają się zadawać kłam rzeczywistości – pomagają podjąć decyzję. Jest za nich odpowiedzialny i nie może pozwolić, by pozostali bezbroni wśród tyłu Francuzów. A przynajmniej nie do tego stopnia.

– W magazynie pod stojakiem na broń leży osiem skrzynek. Otwórzcie dyskretnie jedną i niech każdy z naszych weźmie garść ładunków i schowa je do kieszeni... Ale ani mi się wazcie nabijać broń. Zrozumiano?

Kiedy Montaño i jego ludzie idą wypełnić rozkaz, Arango podejmuje dodatkowe działania, wysyła kolejnych dwóch artylerzystów, by wsparli osamotnionego przy bramie kaprała Alonsa, bo zebrani tam ludzie, słysząc strzały, zaczynają głośniejsz krzyczeć i domagać się broni. Prócz tego sierżant Rosendo de la Lastra ma nie spuszczać oka z Francuzów i każdorazowo informować porucznika nawet o ich wizycie w latrynie. Na koniec wysyła kanoniera José Portalesa do sztabu artylerii na ulicę św. Bernarda z prośbą do pułkownika Navarro Falcóna, by pilnie przysłał oficera wyższego rangą, który obejmie dowództwo w arsenale. Oddycha głęboko, nabiera powietrza w płuca, jakby zaraz miał się zanurzyć pod wodę, i rusza ku francuskiemu kapitanowi, by przekonać go, że nic nadzwyczajnego się nie dzieje.

– Broni! Broni! Dajcie nam broń!

Ulicami w okolicach pałacu biegną gniewni i wściekli ludzie, pokazują puste ręce i ubrania poplamione krwią, upychają rannych po bramach. Na balkonach płaczą i krzyczą kobiety. Niektórzy, biegnąc, szukają schronienia, inni wychodzą odważnie i żądają zemsty i śmierci, powszechne uniesienie ogarnia ulice. „Śmierć Francuzom!” – krzyczą wszyscy. A jeśli ktoś wysuwa argument o braku broni, dostaje w odpowiedzi: „mamy kije i noże”. Na placu Cruz Verde, gdzie stacjonuje oddział polskich szwoleżerów, grupa wyrostków łapie polskiego wachmistrza, gdy ten idzie na posterunek, i zabija go uderzeniami noża i kamieni, a potem wiesza za nogi, nagiego, na latarni na rogu ulicy Rollo. I w miarę jak rozprzestrzenia się wiadomość o masakrze na dziedzińcu pałacowym, w kolejnych dzielnicach zaczyna się polowanie na Francuzów.

– Szukają żabojadów po całym Madrycie! Do broni! Do broni!

Wściekły tłum krąży podniecony, dysząc zemstą. W środku miasta wrze już kocioł nienawiści. Z balkonu budynku poczty chorąży Esquivel obserwuje, jak tłum przy Puerta del Sol obrzuca kamieniami dragona, przytulonego do końskiej grzywy i galopującego w stronę alei św. Hieronima. Zewsząd słyhać nawoływania do chwytania za broń i zemsty na Francuzach, a pospólstwo zaczyna wyłapywać pojedynczych samotnych żołnierzy, dopadając ich w bramach kwater czy w drodze do koszar. W taki sposób traci życie wielu oficerów, podoficerów i zwykłych żołnierzy tylko dlatego, że wychodzą na ulicę. Na początku tych krwawych wydarzeń prócz polskiego wachmistrza zamordowano dwóch cesarskich żołnierzy naprzeciwko teatru Caños del Peral, trzem poderżnięto gardła na placu Księcia de Barajas, a dwóch zakłuto krawieckimi nożyczkami przy gospodzie obok arkad Botoneras. I jeszcze jednemu Polakowi z oddziału, który trzymał straż na placyku Ángel naprzeciw pałacu Ariza – rezydencji generała Grouchy’ego – strzelono ze sztucera w plecy. Wielu – dysząc żądzą grabieży i mordy – uzbrojonych tylko w nóż i haczyk wyrusza na połów na wzburzoną rzekę, opróżniając kieszenie francuskim trupom, zdzierając pierścienie z palców, ogoławając z ubrań i z wszelkich wartościowych przedmiotów.

Nierzadko w plądrowaniu biorą udział kobiety. Dwudziestoletnia Ramona Esquilino Oñate, panna zamieszkała pod numerem piątym na ulicy Flor, wybiega na ulicę zwabiona hałasami i podąża wraz z matką na róg ulicy św. Bernarda, zachęcając mieszkańców do walki z Francuzami.

– Heretycy! Boga nie znają, wstydu nie mają – tak mówi o nich matka.

A natknąwszy się na cesarskiego oficera, wychodzącego właśnie z kamienicy, gdzie stacjonuje, rzucają się na niego i wydarłszy mu szpadę, zadają nią wiele ran – zapewne mężczyzna nie uszedłby z życiem, gdyby

nie pomoc kilku francuskich żołnierzy, którzy uderzeniami kolb i pchnięciami bagnatów ranią obie kobiety i nieprzytomne porzucają.

Z ubogich dzielnic, do których wieści docierają przekrzykiwane z balkonu na balkon, z ust do ust, ciągną do centrum miasta całe gromady zawadiaków, hultajów i zabijaków, dyszących wściekłością i zagrzewanych do walki wrzaskami towarzyszących im kobiet. Żaden z cesarskich żołnierzy, czy to pieszych, czy konnych, nie uchroni się przed kijem, nożem, kamieniem, dachówką, cegłą czy doniczką. Właśnie taka doniczka, rzucona z balkonu na ulicy Barquillo, zabija syna generała Legranda – osobistego pafia Cesarza – powalając go z konia na oczach przerażonych towarzyszy. Niedaleko stamtąd José Muñiz Cueto, dwudziestosiedmioletni Asturyjczyk, chłopak z gospody przy placu Matute, przybiega spod pałacu, przerażony tym, co tam przeżył, i przyłącza się do grupy młodych mężczyzn ścigających Francuza, któremu po rozpaczliwej ucieczce udaje się schronić w szkole Loreto u zakonnic. Wróciwszy do gospody, Asturyjczyk spotyka brata Miguela i trzech innych służących – Salvadora Martíneza, Antonia Arango i Luisa Lópeza – którzy wraz z właścicielem gospody José Fernándezem Villamilem uzbrajają się przed wyruszeniem na ulice w poszukiwaniu Francuzów. Z kuchni dobiega płacz gospodyni i służących.

– Idziesz? – pyta właściciel.

– To pytanie mnie obraża. Zwłaszcza że i mój brat idzie.

Cała szóstka – w kamizelkach, z zakasnymi rękawami u koszul – wychodzi na ulicę poważna, stanowcza, bezwzględna. Wszyscy mają swoje noże, ale i wielkie noże kuchenne, siekiere do rąbania drewna, zardzewiały oszczep, rożen i myśliwską strzelbę, którą gospodarz zdjął ze ściany. Na ulicy Huertas, gdzie przyłącza się do nich uczeń z pobliskiego warsztatu krawieckiego i złotnik z ulicy Gorguera, widzą na ziemi wielką kałużę

krwi, ale nie dostrzegają rannego czy zabitego, Hiszpana czy Francuza. Z któregoś okna słyhać, że to Francuzik jakiś się bronił, że to przelana krew madrycka. Kobiety na balkonach jęczą i zawodzą, inne, widząc właściciela gospody i jego chłopaków, żywiłowo zachęcają do zemsty. Na drodze ich przemarszu, w miarę jak gromada się powiększa – dołączają kolejno pomocnik z apteki, sprzedawca gipsu, powroźnik i żebrak, który zwykł stać na placu Antón Martín – wielu sklepikarzy zamyka drzwi i zakłada deski na okna. Kilku okrzykami zagrzewa do walki uzbrojonych mężczyzn, a dzieciaki z ulicy zostawiają baki i kości i biegną za nimi.

– Do pałacu! Do pałacu! – krzyczy żebrak. – Nie przepuścimy żadnemu żabojadowi!

W podobny sposób w całym mieście zaczynają spontanicznie tworzyć się oddziały, które odegrają znaczącą rolę już niebawem, gdy zamieszki przekształcą się w powszechne powstanie ludowe, a krew popłynie obficie ulicami Madrytu. Historia odnotuje istnienie co najmniej piętnastu takich zorganizowanych oddziałów, z czego na czele zaledwie pięciu staną ludzie z wojskowym przygotowaniem. Podobnie jak oddział z placu Matute – w którego składzie znajdą się José Muñiz i jego brat Miguel – dowodzony przez karczmarza Fernándeza Villamila, prawie wszystkie grupy składają się z ludzi z niższych warstw społecznych, robotników, rzemieślników, skromnych urzędników i drobnych handlarzy, z niewielką domieszką przedstawicieli klas wyższych, a zaledwie w jednym przypadku oddziałem dowodzić będzie szlachcic. Jedną z takich grup utworzy się w zajeździe przy alei św. Hieronima, inna na ulicy Bola, a należeć do niej będą służący księcia de Altamira i ambasadora Portugalii; kolejną wyjdzie z ulicy św. Pawła, a na jej czele stanie węglarz Cosme de Mora; następną zorganizuje na ulicy Atocha jubiler Julián Tejedor de la Torre wraz ze swoim przyjacielem, rymarzem Lorenzem Dominguezem, ich czeladnikami

i uczniami; wreszcie ten najbardziej znamienity ze wszystkich oddziałów, które dziś walczyć będą na ulicach Madrytu, zostanie zwołany przez architekta i akademika z San Fernando, don Alfonsa Sáncheza, w jego własnym domu w parafii San Ginés, gdzie uzbraja swoje sługi, paru sąsiadów i swoich przyjaciół: Bartolomé Tejadę, profesora architektury, i José Alarcona, profesora nauk ścisłych w akademii kadetów Gwardii Hiszpańskiej – ci szlachetni mężowie, według zeznań wszystkich świadków, walczyć będą przez cały dzień, nie bacząc na swą pozycję, wiek i osobiste korzyści, z wielką odwagą i godnością.

Nie wszyscy prześladują Francuzów. W najbiedniejszych dzielnicach, zamieszkanych przez prostych ludzi, oraz w okolicach Pałacu Królewskiego, świeżo po masakrze urządzonej przez Gwardię Cesarską, rozjuszeni mieszkańcy dość okrutnie obchodzą się z każdym Francuzem, który wpada im w ręce, ale jednocześnie wiele rodzin ukrywa francuskich wojskowych stacjonujących w ich domach, chroniąc ich przed wściekłością tych, którzy tylko czyhają na ich życie. Nie zawsze powoduje nimi chrześcijańskie miłosierdzie – dla wielu madrytczyków, ludzi o ustalonej pozycji, urzędników państwowych, zwłaszcza tych wysoko postawionych oraz szlachetnie urodzonych, sytuacja wcale nie jest do końca jasna. Rodzina królewska przebywa w Bajonnie, zbuntowanego motłochu zaślepionego gniewem i nienawiścią należy się raczej obawiać, a Francuzi – jedyna niekwestionowana władza w obecnej chwili, zważywszy na brak prawdziwego rządu i paraliż hiszpańskiej armii – stanowią swego rodzaju gwarancję bezpieczeństwa w obliczu ulicznych zamieszek, które mogą przeistoczyć się pod wodzą zbuntowanych prowodyrów w groźną i trudną do opanowania rewoltę. Tak czy inaczej, mniejsza o powód, nie brakuje na ulicach i takich, którzy stają między napierającym tłumem a samotnymi i bezbronnymi Francuzami, jak choćby ten człowiek, który na placyku Leña

ratuje kaprala, krzyząc do tłumu: „Hiszpanie nie zabijają bezbronnych”. Czy jak te kobiety, które naprzeciwko kościoła pod wezwaniem św. Justusa uniemożliwiają dobiec rannego żołnierza, wnosząc go do świątyni.

To nie jedyne przykłady miłosierdzia. Przez cały ranek, a nawet podczas tych straszliwych godzin, które dopiero miały nadejść, częste są przypadki darowania życia tym, którzy oddawali broń i prosili o litość, zamykania ich w piwnicach i na strychach albo odprowadzania w bezpieczne miejsca, choć bez pardonu traktowano takich, którzy próbowali przedrzeć się grupami do koszar czy otwierali ogień. Mimo wielu zabitych na ulicach, francuski historyk Thiers przyzna później, że sporo francuskich żołnierzy tamtego dnia zawdzięczało życie „humanitarnej postawie klasy średniej, która ukryła ich we własnych domach”. Dowodzą tego liczne świadectwa. Jeden z takich przypadków zostanie potwierdzony wiele lat później w pamiętnikach dziewiętnastoletniego dziś młodzieńca, który właśnie w tym momencie obserwuje rozwój wydarzeń z bramy swojego domu przy ulicy Barco, naprzeciwko ulicy Puebla: ten młodzieniec nazywa się Antonio Alcalá Galiano, a jego ojcem był komandor królewskiej marynarki Dionisio Alcalá Galiano, poległy trzy lata temu w bitwie pod Trafalgarem dowódca okrętu „Bahama”. Młodzieniec widzi, jak ulicą Pez idą trzej Francuzi, trzymając się pod ramię, środkiem, unikając chodników, „mocnym, równym krokiem, nie tyle ze spokojem, ile z godnością, mimo głośnych grózb o okrutnej śmierci i wielu innych obelg”. Ci trzej bez wątpienia kierują się do koszar, a za nimi ciągnie z dwudziestu łączących ich madrytczyków, którzy na razie nie mają odwagi zaatakować. I w ostatnim momencie, kiedy tłum wyciąga ku nim ręce, Francuzów ratuje z opresji elegancki mężczyzna, który zasłania żołnierzy i przekonuje ludzi, żeby pozwolili im bezpiecznie odejść, argumentując, iż „nie godzi się używać hiszpańskiego gniewu przeciw tym samotnym i bezbronnym kawalerom”.

Odnotowano też przypadki żołnierskiego współczucia. Niedaleko Puerta de Fuencarral dwóch francuskich kapitanów, Laboissière i Legriel, niosących rozkazy generała Monceya do koszar Conde-Duque, przed chcącym ich rozszarpać tłumem uratowali dwaj hiszpańscy oficerowie z Korpusu Ochotników, zabierając Francuzów do hiszpańskich koszar. A przy Puerta del Sol chorąży Esquivel, wystawiwszy grenadierów marynarki z karabinami, choć bez ładunków, dostrzega na rogu ulicy Correo ośmiu czy dziesięciu cesarskich żołnierzy, przepychających się pomiędzy szydzącym z nich tłumem. Zanim dojdzie do nieszczęścia, Esquivel zbiega z paroma podwładnymi, rozbraja Francuzów i zamyka ich w piwnicach budynku poczty.

Major Vantil de Carrère, oficer Korpusu Obserwacyjnego generała Duponta, jest jednym z dwóch tysięcy dziewięćdziesięciu ośmiu francuskich pacjentów – w większości cierpiących na choroby weneryczne i świerzb, siejący spustoszenie wśród cesarskiego wojska – przyjętych do Hospital Central, leżącego u zbiegu ulicy Atocha z aleją Prado. Słyszając krzyki i łomoty, Carrère wstaje ze szpitalnej pryczy w sali oficerskiej, ubiera się szybko i biegnie sprawdzić, co się dzieje. Przy bramie, której kratę właśnie zamknięto przed rozwścieczonym tłumem, miotającym kamienie i próbującym wedrzeć się na teren szpitala, by dokonać masakry pośród chorych Francuzów, kapitan Gwardii Hiszpańskiej i paru żołnierzy usiłują powstrzymać motłoch, ryzykując własnym życiem. Major Carrère prosi Hiszpana, by spróbował wytrwać jeszcze przez chwilę, a sam szybko organizuje obronę, zwołując trzydziestu sześciu francuskich oficerów, pacjentów szpitala oraz wszystkich żołnierzy zdolnych stanąć na nogi. Najpierw umocniono bramę barykadą z metalowych łóżek i otwarto szpitalny depozyt broni, po czym Carrère zebrał batalion dziewięćuset ludzi, odzianych w zniszczone, brudne szpitalne koszule, i obsadził nimi

budynek – żołnierze mają za zadanie bronić wejść od strony Atochy i od strony Prado. Ale nawet wtedy kapitan Gwardii Hiszpańskiej musi użyć całej swej stanowczości, by wyperswadować uzbrojonym w noże kuchcikom zamiar podejrzenia gardeł francuskim pacjentom. W zamieszaniu panującym na korytarzach, przy wtórze trzasku chaotycznych, pojedynczych strzałów, zamknięto w kuchni dość krzepkiego podkuchennego, dwóch kucharzy i dwóch pielęgniarzy, na szczęście nie ucierpiał żaden z Francuzów. Niebezpieczeństwo zostaje zażegnane, gdy pojawia się – nadciągając żwawym krokiem – kompania cesarskiej piechoty, która rozpędza tłum i otacza budynek szpitala. Kiedy major Carrère szuka hiszpańskiego kapitana, pragnąc mu podziękować i poznać jego nazwisko, kapitan zdążył już odmaszerować wraz ze swoim oddziałem do koszar.

Inni nie mają tyle szczęścia co pacjenci Hospital General. Dziewiętnastoletni francuski ordynans, niosący rozkazy dla oddziałów na Plaza Mayor, zostaje zamordowany przez madrytczyków na ulicy Cofreros; osamotniony pluton, który z dala od zgiełku maszeruje uliczką Zarza z drwami na opał, zostaje obrzucony kamieniami i obity kijami, a kiedy wszyscy Francuzi leżą już ranni albo martwi, napastnicy zabierają im broń. Mniej więcej w tym samym czasie ksiądz Ignacio Pérez Hernández, stojąc wciąż wraz ze swoimi parafianami z Fuencarral przy Puerta del Sol, widzi wjeżdżających ulicą Alcalá, tuż przy kościele i szpitalu Buen Suceso, dwóch mameluków Gwardii, galopujących na oklep, wiozących dokumenty, które – niebawem przejrzy ich zawartość, albowiem wpadną one wprost do rąk kapłana – są informacjami od generała Grouchy’ego dla księcia Bergu.

– Maurowie! To Maurowie! – krzyczy tłum na widok turbanów, wąsów i kolorowych szat. – Nie uciekną nam!

Dwaj egipscy jeźdźcy rzucają dokumenty, by ratować życie, i usiłują przedrzeć się przez tłum ludzi chwytających za uzdy ich wierzchowców. Przy ulicy Montera kłują konie ostrogami i wjeżdżają w ciżbę, strzelając na prawo i lewo z pistoletów wyrwanych z olstrów przy łąkach siodeł. Rozwścieczeni ludzie biegną za nimi, pierwszego dopadną przy ulicy św. Ludwika i jednym uderzeniem obalą z konia, drugiego złapią na ulicy Luna, ściągną z konia i śmiertelnie zranią.

Chorąży królewskiej marynarki, Esquivel, obserwuje całe zajście z balkonu budynku poczty, skąd wysyła pilną wiadomość do Naczelnego Dowództwa, informując gubernatora don Fernanda de la Vera y Pantoja, że sytuacja ulega pogorszeniu, że przy Puerta del Sol wciąż gromadzi się rozgorączkowany tłum, że są zabici i ranni i że on nie może nic zrobić, ponieważ zgodnie z rozkazami zwierzchników nie posiada amunicji. Wkrótce nadchodzi odpowiedź: proszę sobie radzić tak, jak pan umie, a jeśli brakuje amunicji, niech pan poprosi o nią w koszarach. Bez wiary w pomysłość takiej misji Esquivel wysyła kolejnego posłańca z prośbą o ładunki, te jednak nigdy nie nadejdą. Zniechęcony, obwieszcza na koniec swoim ludziom, żeby zaryglowali wejście, a jeśli tłum je staranuje i wdrze się do budynku, żeby otwarli celę z Francuzami i wypuścili ich tylnym wyjściem. Po czym wraca na balkon, by śledzić sytuację, i widzi, że wielu spośród tych, którzy wcześniej zgromadzili się na placu, a potem go opuścili i ulicami Mayor i Arenal udali się w stronę pałacu, w popłochu stamtąd wraca. Krzyczą, że Francuzi strzelają do każdego, kto się zbliży, bez litości.

Zaniepokojony dobiegającymi z okolic pałacu odgłosami wystrzałów, kapitan Marcellin Marbot szybko kończy się ubierać, bierze szablę, zbiega po schodach i prosi hiszpańskiego służącego z domu, w którym stacjonuje – a jest to niewielki pałacyk niedaleko ulicy św. Dominika – o osiodłanie

konia i wyprowadzenie go na wewnętrzny dziedziniec. Właśnie sposobi się, by dosiąść rumaka i ruszyć co koń wyskoczy do rezydencji księcia Bergu, do pobliskiego pałacu Grimaldi, kiedy zjawia się przed nim Antonio Hernández, członek Rady Indii i właściciel domu. Nosi się po starohiszpańsku, w kamizeli i surducie ze sterczącymi połami, choć na siwych włosach nie ma śladu pudru. Widząc, że młody oficer, mocno wzburzony, gotów jest wyruszyć z domu, powstrzymuje go, chwytając za ramię, przyjacielską prośbą.

– Jeśli pan wyjdzie, to niechybnie zginie... Wasi żołnierze strzelali do ludzi. Wszędzie gromadzą się zbuntowani cywile, atakują każdego napotkanego żołnierza.

Marbotowi przychodzą do głowy ponure myśli o wszystkich cesarskich żołnierzach, chorych i bezbronnych, o oficerach stacjonujących na prywatnych kwaterach w Madrycie.

– Atakujom bezbronnych żołnierzów?

– Obawiam się, że tak.

– Tchórzi!

– Proszę tak nie mówić. Każdy ma swoje powody albo wydaje mu się, że takowe posiada na usprawiedliwienie własnych poczynań.

Marbot nie ma nastroju do szanowania czyichkolwiek powodów. I nie daje się przekonać do pozostania w domu. Jego miejsce jest przy Muracie, a jego honor oficera leży na szali, taką stanowczą odpowiedź słyszy don Antonio. Nie może chować się jak szczur, raczej utoruje sobie drogę szablą. Sędzia kręci głową i prowadzi oficera do zakratowanej furtki, skąd widać ulicę.

– Niech pan spojrzy. Tu jest około trzydziestu zbuntowanych ludzi, uzbrojonych w strzelby, kije, noże... Nie ma pan najmniejszej szansy.

Kapitan rozpaczliwie łamie palce. Wie, że don Antonio ma rację. A mimo to młodość i zuchwałość każą mu wyjść na ulicę. Nie śmiejąc spojrzeć w oczy swemu gospodarzowi, żegna się z nim, dziękując za gościnność i uprzejmość. Po czym raz jeszcze prosi o konia i chwyta szablę.

– Niech pan zostawi konia, schowa szablę i pójdzie za mną – prosi don Antonio po chwili zastanowienia. – Pieszko będzie panu łatwiej niż na koniu.

Zacny radca prosi kapitana, by ten okrył się peleryną i zasłonił nader charakterystyczny mundur, a potem prowadzi go ostrożnie do ogrodu, do furtki w murze, ukrytej wśród różanych pnączy, i krążąc wąskimi uliczkami, osobiście prowadzi Marbota, dla bezpieczeństwa wyprzedzając go o parę kroków, aż na róg ulicy Relej, tuż obok pałacu Grimaldi, gdzie oddaje go w pewne ręce francuskich wartowników.

– Hiszpania to niebezpieczne miejsce – stwierdza, ściskając na pożegnanie dłoń kapitana. – A dziś szczególnie niebezpieczne.

Pięć minut później kapitan Marbot wchodzi do pałacu Grimaldi. W kwaterze generała Jego Cesarskiej Mości, wielkiego księcia Bergu, wrze jak w ulu: rządzi rozgardiasz, w salach tłoczą się dowódcy sztabów i oficerowie, w tę i z powrotem biegają posłańcy z rozkazami, panuje nerwowość i ogólne poruszenie. W bibliotece na parterze, gdzie usunięto pod ściany meble i książki, które musiały ustąpić miejsca mapom i wojskowym dokumentom, Marbot spotyka wyelegantowanego Murata w butach do konnej jazdy, huzarskim dolmanie, bogato szamerowanym, haftowanym i podbitym futrem, jak zwykle pełnego dostojeństwa, choć dziś ze zmarszczonym czołem, w otoczeniu sztabu: Monceya, Lefevbre'a, Harispe'a, Belliarda, adiutantów polowych i sztabowych i paru innych osób. Elita armii. Wszak to Republika i wojna dała Cesarstwu najbardziej kompetentnych generałów, najwierniejszych oficerów i najwaleczniejszych

żołnierzy w Europie. Sam Murat – sierżant w 1792 roku, generał dywizji siedem lat później – jest tego doskonałym przykładem. Niestety, wielki książę, choć skuteczny i odważny ponad wszelką miarę, ma pewne braki w dziedzinie dyplomatycznych rokowań i dworskich obyczajów.

– No nareszcie, Marbot! Gdzie, do diabła, się podziewałeś?

Młody kapitan staje na baczność, mamrocze coś cicho i niewyraźnie w odpowiedzi, oszczędzając sobie wyjaśnień, które w rzeczywistości nikogo nie interesują. Na pierwszy rzut oka widać, iż Jego Wysokość jest niezwykle podenerwowany.

– Czy ktoś wie, gdzie się podział Friederichs?

Pułkownik Friederichs, dowódca 1. Pułku Grenadierów Gwardii Cesarskiej wpada w tym momencie, omal nie przewracając Marbota. Ubrany jest po cywilnemu w kapelusz i surdut, bo wieść o rozruchach zaskoczyła go w kąpieli i nie zdążył już przywdziać munduru. W jednej ręce trzyma szablę trębacza strzelców konnych, zabitego przez motłoch tuż przed bramą domu, w którym stacjonuje. Po wysłuchaniu jego relacji Murat wpada w jeszcze większą wściekłość.

– Co, do cholery, robi Grouchy? Powinien już dawno wyprowadzić kawalerię z Buen Retiro!

– Nie wiemy, gdzie znajduje się Grouchy, Wasza Wysokość.

– A gdzie jest Privé?

– Też nie wiadomo.

– Szukajcie więc Daumesnila! Znajdźcie kogokolwiek!

Książę Bergu nie panuje nad sobą. To, co miało być szybkim, sprawnym i brutalnym stłumieniem zamieszek, zaczyna wymykać się spod kontroli. Co rusz wchodzą posłańcy z relacjami o kolejnych zdarzeniach w mieście i Francuzach zaatakowanych przez tłum. Lista strat własnych bez przerwy się wydłuża. Właśnie potwierdzono wiadomość o śmierci syna

generała Legranda – młodego i świetnie się zapowiadającego porucznika kirasjerów, zmarłego od uderzenia donicą w głowę, co przyjęte zostaje chórem przerażonych głosów, poinformowano o ciężkich obrażeniach pułkownika Jacquina z cesarskiej Żandarmerii Wyborowej; pojawiła się również wiadomość, że generał La Riboisière, dowódca artylerii w głównym sztabie, został uwięziony przez tłum w swojej kwaterze, podobnie jak pół setki innych dowódców i oficerów.

– Marynarze z Gwardii mają chronić ten budynek, a baskijscy strzelcy niech staną na ulicy św. Dominika. Friederichs, zabezpieczy pan ze swoimi dwoma batalionami plac pałacowy i wyloty ulic Almudena i Platería... Żołnierze mają strzelać bez litości. I nikomu nie darować życia, bez względu na wiek czy płeć. Zrozumiano? Nikomu.

Pochylony nad planem Madrytu rozłożonym na stole – plan został sporządzony przez Hiszpana, zauważył Marbot, niejakiego Tomása Lópeza, przed dwudziestoma trzema laty – Murat powtarza rozkazy nowo przybyłym. Wytyczne, ustalone przed paroma dniami, zakładają ściągnięcie do stolicy dwudziestu tysięcy żołnierzy rozlokowanych poza jej granicami, by wraz z dziesięcioma tysiącami już tu stacjonujących obsadzić największe ulice i kontrolować główne place oraz kluczowe punkty miasta, aby uniemożliwić przepływ ludzi i informacji pomiędzy poszczególnymi dzielnicami.

– Mamy sześć osi, wzdłuż których się posuwamy, czy to jasne? Pierwsza kolumna piechoty wkroczy od El Pardo przez ulicę św. Bernardyna, druga od Casa de Campo mostem i ulicą Segovia, przechodząc przez Puerta Cerrada, następna przez ulicę Embajadores i kolejna przez Atochę... Dragoni, mamelucy, szaserzy i grenadierzy pójdą z Buen Retiro przez Alcalę i dalej przez św. Hieronima, a w tym samym czasie kolejne oddziały jazdy pod wodzą generała Rigauda wyruszą z Carabancheles przez

bramę i ulicę Toledo. Te oddziały, posuwając się do przodu, będą stopniowo odcinały ulice i koszary, a spotkają się na Plaza Mayor i przy Puerta del Sol... Jeśli zajdzie taka potrzeba, do opanowania północnej części miasta wysuniemy jeszcze dwie kolumny: resztę piechoty z koszar Conde-Duque i oddziały, które stacjonują pomiędzy Chamartín, Fuencarral i Fuente de la Reina... Czy to jasne? A więc do dzieła! Najpierw jednak spójrzcie na zegar, panowie. W ciągu godziny, to znaczy do pół do dwunastej, co najwyżej do dwunastej, operacja ma zostać zakończona. A pan, Marbot, niech poczeka. Zaraz coś się dla pana znajdzie.

– Nie mam konia, Wasza Wysokość.

– Czy ja dobrze słyszę? Czego pan nie ma? Precz z moich oczu! Belliard, zajmij się tym nieszczęśnikiem!

Zrozpaczony, bojąc się, że właśnie popadł w niełaskę, Marbot staje na baczność przed generałem Belliardem, szefem sztabu głównego, który każe mu natychmiast znaleźć konia, własnego czy jakiegokolwiek innego, albo strzelić sobie w łeb. Rozkazuje mu również rozstawić paru grenadierów wokół pałacu Grimaldi i zlikwidować nieprzyjacielskich strzelców, którzy ulokowali się na dachach i strychach.

– Nie umieją strzelać, panie generale – mądrzy się Marbot.

Belliard piorunuje go wzrokiem i wskazuje pod jednym z okien roztrzaskane kawałki szyby w kałuży krwi na deskach podłogi.

– Nawet jeśli nie umieją, zranili nam tu dwóch ludzi.

„Dziś nie mam szczęścia”, myśli Marbot, oczyma wyobraźni widząc, jak zostaje zdegradowany za swoje głupie i niezręczne odzywki. Aby się zrehabilitować, z wielkim oddaniem przystępuje do wykonania powierzonego mu zadania. Korzystając z okazji, staje na czele pikiety, ślepyimi strzałami przepędza maruderów i otwiera sobie drogę aż do pałacyku don Antonia Hernandeza. Gdzie udaje mu się na koniec –

podreperowawszy swą mocno nadszarpniętą reputację – odzyskać wierzchowca.

W tym samym czasie, gdy kapitan Marbot na czele swojego małego oddziału posuwa się do przodu między placem Marii Aragońskiej i placem św. Dominika, madrytczycy, uzbrojeni w sztucery, karabiny i myśliwskie strzelby, próbują wrócić do Pałacu Królewskiego, idąc ku niemu przez Puerta del Sol, napotykać jednak na swej drodze działa i grenadierów pułkownika Friederichsa, który rozstawił pikietę na pobliskich ulicach. I w ten oto sposób francuskie armaty ostrzeliwują bez litości madrytczyków pojawiających się na ulicach Almudena i św. Gila. Wśród zabitych jest Francisco Sánchez Rodríguez, pięćdziesięciodwuletni pracownik sklepu z powozami majstra Alpedrete, którego francuska salwa dosięga na rogu ulicy Factor, gdy idzie razem z żołnierzami batalionu lekkiej piechoty aragońskiej, Manuelem Agrelą i Manuelem Lópezem Estebą – również i ci dwaj padają zranieni i umrą w ciągu kilku dni – oraz z listonoszem José Garcíą Somaną, który tu unika kuli, lecz spotka śmierć pół godziny później, trafiony z karabinu na placu św. Marcina. Z wysokich okien Pałacu Królewskiego, w którym halabardnicy i straż, zaopatrzywszy się w ładunki, zamknęli drzwi, gotowi bronić budynku w razie ataku Francuzów, kapitan Gwardii Walońskiej Alejandro Coupigny, zupełnie bezsilny, widzi, jak cywile zostają zaatakowani i uciekają przed polską jazdą, która nadciągnawszy od strony pałacu Grimaldi, siecze ich szablami.

Ci, którzy uciekają przed francuskimi kulami, dzielą się na mniejsze grupki. Wielu biegnie przez miasto, głośno domagając się broni, inni, szukając zemsty, pozostają w pobliżu z nadzieją na sposobność wyrównania rachunków. Jak Manuel Antolín, pomocnik ogrodnika w królewskiej posiadłości we Floridzie, który wraz z emerytowanym urzędnikiem ambasady Nicolásem Canalem i madrytczykiem o nazwisku Miguel Gómez

Morales na rogu ulic Viento i Factor staje do walki na noże z patrolem grenadierów Gwardii Cesarskiej, wyskakując na nich z bramy. Zabijają dwóch Francuzów, po czym wycofują się na strych tej samej kamienicy, który, niestety, staje się dla nich pułapką bez wyjścia. Co prawda Canal zdoła uciec, przeskakując na sąsiedni dach, ale Antolín i Gómez Morales zostają schwytani, pobici i zamknięci w areszcie. Obaj będą rozstrzelani następnego dnia o świcie na wzgórzu Príncipe Pío. Wśród rozstrzelanych znajdzie się też José Lonet Riesco, właściciel sklepu galanteryjnego na placu św. Dominika, który uczestniczył w zamieszkach pod pałacem i zostaje aresztowany przez francuską pikietę, gdy biegnie z pustym już pistoletem w jednej i nożem w drugiej dłoni ulicą Inquisición.

Więcej szczęścia ma przedstawiciel kościelnej jurysdykcji, Antonio Varea, jeden z nielicznych reprezentantów klas wyższych spośród walczących tego dnia na ulicach Madrytu. Razem z wujem, nadwornym pisarzem Claudiem Sanzem, dotarli pod Puerta del Sol, a potem na plac pałacowy, chętni do walki – Antonio Varea uczestniczy w starciach do chwili, kiedy ścigając uciekających Francuzów nieopodal ulicy Consejos, zostaje trafiony przez grenadierów z Gwardii Cesarskiej. Przeniesiony przez wuja i oficera Milicji Miejskiej, don Pedra de la Cámara, do domu Przy ulicy Toledo, tuż obok bramy Paños, zdoła się tam schronić, wyleczyć i uratować życie.

Innym los nie sprzyja. W całej dzielnicy żołnierze cesarscy, rozwścieczeni z powodu krwawej jatki, którą zgotowano ich towarzyszom, strzelają do każdego, kto się zbliży, i nie odpuszczają uciekającym. W takich okolicznościach padają ranni Julián Martín Jiménez, mieszkaniec Aranjuez, i Pedro Cavano Blanco, dwudziestoczteroletni tkacz z Vigo. Wtedy też zostaje zabity José Rodríguez, lokaj radcy Kastylii don Antonia Izquierdo: zraniony przed domem swoich państwa na ulicy Almudena,

rozpaczliwie dobija się do drzwi, nim mu jednak otworzą, wpadnie w ręce dwóch francuskich żołnierzy. Jeden tnie go szablą w głowę, drugi dobija strzałem z pistoletu w pierś. Na tej samej ulicy, niedaleko od miejsca opisanych zdarzeń, dwunastoletni chłopiec Manuel Núñez Gascón, który jeszcze niedawno rzucał kamieniami, teraz ucieka przed ścigającym go Francuzem i ginie zakłuty bagnetem na oczach przerażonej matki, która obserwuje całe wydarzenie z balkonu.

Po drugiej stronie ulicy Almudena, ukryty w bramie niedaleko pałacu Consejos wraz ze swoim służącym Olmosem, Joaquín Fernández de Córdoba, markiz de Malpica, obserwuje sunący galopem z placu Marii Aragońskiej patrol rozpoznania. Jego wojskowe doświadczenie pozwala mu z grubsza zorientować się w obecnej sytuacji. Miasto ma pięć głównych bram, a wszystkie wiodące od nich trakty zbiegają się przy Puerta del Sol na podobieństwo promieni w kole. Madryt pozbawiony jest fortyfikacji i żaden wewnętrzny opór nie będzie możliwy, jeśli środek koła i jego promienie zostaną opanowane przez wroga. Markiz de Malpica wie, gdzie stacjonują nieprzyjacielskie wojska na przedmieściach – nadszedł już czas, by o Francuzach mówić jak o nieprzyjacielu – i potrafi przewidzieć ich ruchy w celu zdławienia powstania: pierwszym ich celem staną się bramy miasta i główne miejskie aleje. Widząc grupy źle uzbrojonych cywilów, biegające bezładnie to w tę, to w tamtą stronę, bez wojskowego przygotowania i bez dowódców, de Malpica wie, że jedynym sposobem powstrzymania Francuzów jest stawienie im oporu właśnie u bram miasta, zanim kolumny wojsk wkroczą na szerokie aleje.

- Kawaleria, Olmos. To sprawa kluczowa... Wiesz, co mam na myśli?
- Nie, ale to bez znaczenia. Wasza Miłość tu dowodzi i już.

Malpica wychodzi z bramy i zatrzymuje uciekającą grupę cywilów, bo zna z widzenia mężczyznę, który im przewodzi. To stajenny z pałacu, od razu rozpoznaje markiza i zdejmuje czapkę. Uzbrojony w strzelbę, z peleryną przewieszoną przez ramię, stoi na czele pół tuzina mężczyzn, jednego chłopca i kobiety w fartuchu z tasakiem w dłoni.

– Podziurawili nas, jaśnie panie. Nie ma sposobu, żeby przedostać się na plac... Rozproszeni ludzie walczą, gdzie się da.

– Zamierzacie dalej walczyć?

– Oczywiście.

Markiz de Malpica przedstawia swój plan. Kawaleria, niezwykle użyteczna przy tłumieniu zamieszek, stanowić będzie największe zagrożenie dla walczących na ulicach. Główne siły kawalerii stacjonują w dwóch miejscach: w Buen Retiro i w Carabancheles. Retiro jest dosyć daleko i tam niewiele da się zrobić, ale ci z Carabancheles wejdą przez bramę Toledo. Należy więc sformować oddział, który by temu przeszkodził.

– Mogę na was liczyć?

Wszyscy przytakują, a kobieta z tasakiem przywołuje ludzi biegnących od strony Pałacu. Udaje się zebrać około dwudziestki ochotników, wśród których wyróżnia się dragon z Luzytanii w żółtym mundurze – kierował się właśnie do koszar – i czterech żołnierzy Gwardii Walońskiej, którzy zdezerterowali z Królewskiego Skarbcza, zabrali karabinki i wyskoczyli przez okno, a teraz przybiegli z królewskich stajni, bo chcą dołączyć do walczących. Wspomniany dragon to dwudziestoczteroletni Manuel Ruiz García. Czterej z Gwardii Walońskiej, w granatowych mundurach z czerwonymi wyłogami i w białych getrach, to dziewiętnastoletni Alzacyjnyk Franz Weller, dwudziestosiedmioletni Polak Lorenz Leleka i dwóch Węgrów: dwudziestosiedmioletni Gregor Franzmann i trzydziestosiedmioletni Paul Monsak. Pozostali to ogrodnicy, stajenni

z pobliskich stajni, pomocnik aptekarza, piętnastoletni nosiwoda z głową obwiązaną skrwawioną chusteczką, portier z pałacu Consejos i zawadiaka z Lavapiés, z zawodu stolarz, z odkrytą piersią i zaciętą twarzą – na włosach siateczka, szamerowany żakiet i długi nóż zatknięty za pas – niejaki Miguel Cubas Saldaña. Elegancik, któremu towarzyszy inny osobnik, o dość odrażającym wyglądzie, odziany w szarobrązową pelerynę i kapelusz z podwiniętym rondem, zuchwale zapewnia, że po drodze, w swojej dzielnicy, znajdzie wielu chętnych do bitki. Po krótkim postoju przy pałacu, potrzebnym Olmosowi do przywołania wsparcia w postaci trzech młodych służących i zaopatrzenia się w dwa karabiny i cztery myśliwskie strzelby, markiz de Malpica, w obawie przed Francuzami wybierając mniej uczęszczane ulice, prowadzi więc swój oddział w stronę bramy Toledo.

Markiz de Malpica nie był jedynym, który wpadł na pomysł odcięcia drogi francuskiemu wojsku. W północno-zachodniej części miasta liczny i uzbrojony w myśliwskie strzelby i karabiny oddział, który utworzyli Nicolás Rey Canillas, trzydziestodwuletni żołnierz Królewskiej Gwardii Przybocznej i były kawalerzysta, Ramón González de la Cruz, ordynans marszałka polnego don José Jenara Salazara, kucharz José Fernández Viñas, Bask Ildefonso Ardoy Chavarri, dwudziestoletni szewc Juan Mallo, dwudziestosześcioletni sprzedawca oliwy Juan Gómez García i żołnierz z Dragonów Pawskich Antonio Martínez Sánchez, postanawia utrudnić wymarsz wojsk francuskich z koszar Conde-Duque tuż przy ulicy św. Bernardyna i w tym celu rozstawia się w pobliżu. Pierwszy ginie Nicolás Rey z dwoma naładowanymi pistoletami u pasa: wpada na francuskiego wartownika i strzela z bardzo bliska, ale sam pada od kuli. W tym czasie powstańcy zajmują pozycje w pobliskich kamienicach i za ogrodzeniami, otwierają ogień i dochodzi do starcia, krótkotrwałego z powodu poważnej

dysproporcji sił: pięciuset Francuzów naprzeciwko dwudziestu kilku madrytczyków. Wychodzący z koszar marynarze Gwardii Cesarskiej ostrzeliwują powstańców gęstym ogniem i szybko zmuszają do ucieczki. W jej trakcie, zatrzymując się raz po raz dla oddania strzału, skacząc przez kolejne ogrodzenia i przebiegając przez ogrody, zginą González de la Cruz, Juan Mallo, Arday, Fernández Viñas i dragon Martínez Sánchez.

Ale giną nie tylko powstańcy. Oddziały francuskie, rozwścieczone atakiem madrytczyków, otwierają ogień do mieszkańców stojących w oknach i na balkonach, a nawet do grupek spokojnych gapiów. Były ksiądz José Blanco White, trzydziestodwuletni sewilczyk, wychodzi sprawdzić, skąd dochodzą krzyki, które słyszy w zajmowanym od dwóch miesięcy mieszkaniu pod numerem ósmym przy ulicy Silva.

– Francuzi strzelają do ludzi – ostrzega go sąsiad.

W rzeczywistości José nie nosi jeszcze tego nazwiska. Przyjmie je – odwołując się do irlandzkich korzeni rodziny – o wiele później, zangielszczając swoje prawdziwe nazwisko José María Blanco y Crespo, kiedy na wygnaniu w Anglii napisze *Listy z Hiszpanii*, nieodzowne dla zrozumienia epoki, w której przyszło mu żyć. Tego dnia Blanco White, znany jeszcze jako Pepe Crespo, bywalec sewilskich podwieczorków z artystami i madryckich kawiarni, przyjaciel poety Quintany, a jednocześnie wielbiciel teatru Moratína, człowiek światły, wykształcony, którego poglądy na temat wolności i postępu bliższe są ideom cudzoziemskim aniżeli dusznej i zasnutej pajęczynami atmosferze zakrystii panującej w jego ojczyźnie – jest wiernym czytelnikiem Feijoo, Rousseau i Woltera – nie może uwierzyć w represje wojsk francuskich, uważa je za zbyt okrutne i pozbawione sensu. Postanawia zobaczyć to na własne oczy. Dociera na plac św. Dominika, skąd odchodzą cztery główne ulice, w tym jedna prowadząca bezpośrednio do Pałacu Królewskiego. To na niej rozlega

się głos werbla i Blanco White zatrzymuje się przy stojącej spokojnie grupce gapiów: dobrze ubranych przechodniów i okolicznych rzemieślników. U wylotu ulicy pojawia się francuskie wojsko, zbliżające się szybkim krokiem, z bronią gotową do strzału. Blanco White czeka, by przyrzeć się im z bliska, nie podejrzewając grożącego niebezpieczeństwa – nagle oddział zatrzymuje się o jakieś dwadzieścia kroków i gotuje broń do strzału.

– Ludzie! Będą strzelać! Ludzie!

Słysząc nagły, brutalny grzmot salwy i u wylotu ulicy, którą wszyscy rzucają się do ucieczki, pada zastrzelony mężczyzna. Blanco White, z sercem tłukącym się w piersi, przerażony tym, czego właśnie doświadczył, prawie bez tchu rzuca się w stronę domu, wbiega po schodach, wpada do mieszkania i zamyka za sobą drzwi. Targany wątpliwościami, wzburzony, podchodzi i otwiera okno, słyszy następne strzały, więc pospiesznie je zamyka. Niezdecydowanym ruchem wyciąga z kufra myśliwską strzelbę, trzymając ją w dłoniach, nerwowo przechadza się po pokoju, wzdrygając się na odgłos każdej kolejnej salwy. To właściwie samobójstwo, myśli, wyjść ot tak na ulicę, nie rozeznawszy sytuacji. Nie wiedząc z kim ani przeciwko komu. Dla uspokojenia, ważąc decyzję, wyjmuje pudełko z prochem i ołowiem i zaczyna przygotowywać naboje do strzelby. Po chwili, dostrzegając swą śmieszność, chowa strzelbę do kufra i siada przy oknie, drżąc przy niesłabnącym odgłosie strzałów dobiegającym z pobliskich dzielnic, regularnie wzmacnianym armatnią salwą.

Kiedy kapitan Marbot wraca do pałacu Grimaldi, widzi jadący konno cały sztab z księciem Bergu na czele, eskortowany przez pół szwadronu polskich szwoleżerów i kampanię piechoty Gwardii Cesarskiej. Sytuacja staje się poważna, Murat obawia się odcięcia pałacu Grimaldi i postanawia

przenieść sztab główny w okolice koszar przy Pałacu Królewskim, na wzgórzu San Vicente, którędy przejdzie piechota stacjonująca w El Pardo; drugiej kolumnie – z Casa de Campo – wytyczono szlak przemarszu mostem Segovia. Miejsce to ma również strategiczną zaletę – o czym nikt głośno nie wspomina – w razie gdyby Madryt został zajęty i sprawy wymknęły się spod kontroli, Murat mógłby razem z całą swoją kwaterą główną obejść miasto od północy i rozłożyć się w Chamartín.

– Gdzie jest kawaleria? Już dawno powinna roznosić na szablach tłum przy Puerta del Sol! A za kawalerią Godinot i Aubrée ze swoją piechotą! Co się dzieje w tym Buen Retiro?

Księżę Bergu szarpie z wściekłością cugle rumaka. Jest w złym nastroju i nie brak ku temu powodów. Dowiedział się właśnie, że przechwycono ponad połowę posłańców wysłanych z rozkazami do poszczególnych jednostek. Przechwycono, tego słowa użył generał Belliard. Kapitan Marbot, który nadjeżdża na swoim wierzchowcu w chwili, gdy uroczysty orszak sztabu głównego ulicą Nueva kieruje się w stronę Campo de Guardias, krzywi się, słysząc ten eufemizm. Sposób dobry jak każdy inny, by opisać jeźdźców obrzuconych kamieniami z okien i zza rogów ulic, osaczonych przez tłum, zrzuconych z koni i zakłutych nożami na placach i ulicach.

– Ma pan tu plik rozkazów, Marbot. Proszę zanieść je do Buen Retiro. Co koń wyskoczy.

– Komu mam je wręczyć, Wasza Wysokość?

– Generałowi Grouchy’emu. A jeśli pan go nie znajdzie, jakimukolwiek dowódcy... Jazda!

Młody kapitan otrzymuje zapieczętowaną kopertę, saltuje, unosząc dłoń do bermycy, spina ostrogi i rusza w stronę kościoła Najświętszej Marii Panny na ulicy Mayor, zostawiając w tyle pilnie strzeżonego księcia Bergu.

Zdając sobie sprawę z doniosłości tej misji, generał Belliard przydzielił mu w charakterze eskorty czterech dragonów. Galopując przed nimi ulicą Encarnación, Marbot przytula się do końskiej grzywy i zaciska zęby, czekając, aż na głowę spadnie mu dachówka, doniczka albo trafi go nieprzyjacielska kula i zwali z siodła. Jest zawodowym i doświadczonym żołnierzem, ale nie potrafi powstrzymać się od ciężkiego westchnienia na myśl o swym fatalnym losie. Nie ma nic bardziej niebezpiecznego niż wieść rozkazy przez miasto w stanie zamieszek, a jego zadaniem jest właśnie dotrzeć z rozkazami do Buen Retiro, gdzie stacjonuje kawaleria Gwardii Cesarskiej i dywizjon dragonów, w sumie trzy tysiące jeźdźców. To niezbyt daleko, ale droga wiedzie przez ulicę Mayor, Puerta del Sol i ulicę Alcalá albo św. Hieronima, a wszystkie te miejsca są teraz najgorszymi z możliwych dla Francuza w Madrycie. Nie uszło uwagi Marbota, iż Murat, świadom ryzyka tej misji, wysłał jego, młodego oficera sztabu, zamiast któregoś z etatowych adiutantów, których woli mieć przy sobie żywych i całych.

Marbot i jego czterej dragoni nie zdążyli jeszcze stracić z oczu pałacu Grimaldi, kiedy ktoś strzela z balkonu w ich stronę, na szczęście nie trafiając. Po drodze słyszą kolejne strzały – ale ci, którzy do nich mierzą, to nie żołnierze, lecz cywile używający myśliwskich strzelb i pistoletów – z okien i balkonów lecą też najróżniejsze sprzęty. Pięciu jeźdźców, wsłuchanych w stukot kopyt swych wierzchowców, galopuje zwartą grupą, zmuszając ludzi do ustąpienia z drogi. Przejeżdżają przez ulicę Mayor i docierają pod Puerta del Sol, gdzie na widok gęstego, złowrogiego tłumu Marbot czuje, jak opuszcza go odwaga. Jeśli się zawahamy, myśli sobie, to tu nastąpi nasz koniec.

– Nie zatrzymujcie się! – krzyczy do swoich ludzi. – Bo zginiemy!

I choć przy każdym kolejnym uderzeniu kopyt o bruk kapitan widzi oczyma wyobraźni, jak spada z konia i zostaje rozszarpany na kawałki, spina rumaka ostrogami i rozkazuje dragonom trzymać się ciasno jeden za drugim, po czym cała piątka rusza w stronę ulicy św. Hieronima, a tym, którzy stają im na drodze, nawet takim śmiałkom, co to próbują ich zatrzymać, chwytając konie za uprzęż – wierzchowiec Marbota tratuje paru takich zuchwalców – pozostaje jedynie obrzucić Francuzów wyzwiskami, kamieniami czy kijami i bezsilnie patrzeć, jak odjeżdżają. Tymczasem między ulicą Lobo i szpitalem Italianos sprawa się komplikuje: odziany w pelerynę mężczyzna strzela z pistoletu wprost w konia jednego z dragonów, który trafiony w pysk, zrzuca jeźdźca. W tej samej chwili z pobliskich domów wyskakują kolejni napastnicy i próbują poderżnąć gardło powalonemu jeźdźcowi. Marbot i pozostała trójka wstrzymują konie i wracają na pomoc towarzyszowi, tnąc szablami w odpowiedzi na ciosy noży i sztyletów młodych zuchwalców, z których trzech pada na ziemię, a reszta rozpierzcha się w popłochu, choć w czasie potyczki dwóch dragonów odnosi lekkie rany, a i Marbot otrzymuje silny cios sztyletem, który co prawda nie dosięga ciała, ale rozrywa rękaw jego dolmana. Na koniec podają dłonie towarzyszowi pozbawionemu konia, ten chwytając się siodła, tak by mógł biec między dwoma jeźdźcami, i pięciu mężczyzn podąża ulicą św. Hieronima w stronę koszar w Buen Retiro.

Dokładnie w tym samym czasie ślusarz Blas Molina Soriano biegnie wzdłuż murów zakonu św. Klary, uciekając przed francuskimi kulami. Chce przedostać się ulicą Mayor na Puerta del Sol i przyłączyć się do zebranych tam ludzi. Nagle dobiegają go odgłosy strzałów i krzyki uciekających w stronę ulicy Platería, zatrzymuje się więc na placyku Herradores razem z kilkoma podobnymi mu uciekinierami spod pałacu. Wśród nich jest i oddział fabrykanta czekolady José Lueca, i niewielka grupka utworzona

przez starszego mężczyznę z siwą brodą, dzierżącego starą zardzewiałą szpadę, i trzech młodzieńców uzbrojonych w kopie o zaśnieżonych ostrzach: całe to zabytkowe uzbrojenie sprzed ponad wieku zakupili, jak mówią, w sklepie ze starociami. Dwie kobiety i mieszkający tu mężczyzna przynoszą im wodę do picia i pytają, co się dzieje, choć większość ludzi zostaje w domach i tylko patrzy przez szyby. Straszliwie spragniony Molina upija potężny łyk i podaje dzbanek następnemu.

– Gdyby tak mieć strzelby! – jęczy siwobrody mężczyzna.

– Dobrze pan mówi, sąsiedzie – przytakuje jeden z młodych. – Byłoby na co patrzeć.

Dokładnie w tej chwili ślusarz doznaje olśnienia. Nagle przypomina sobie wizytę w arsenale Monteleón, podczas której służył za eskortę młodemu Ferdynandowi VII. W jego pamięci dokładnie zachował się obraz dział ustawionych na dziedzińcu i karabinów opartych równo na stojakach. Głośno uderza się dłonią w czoło.

– Ale ze mnie głupiec! – wykrzykuje.

Reszta przygląda mu się zdziwiona. Wyjaśnia im, w czym rzecz. W koszarach artylerii są broń, proch i kule. Jeśli to wszystko znajdzie się w rękach madrytczyków, będą wreszcie mogli walczyć z Francuzami jak równy z równym, zamiast dać się wystrzelać jak kaczki na ulicach.

– Oko za oko – kończy złowieszczo.

Wyłuszczając szczegóły planu, Molina widzi, jak ożywiają się twarze jego słuchaczy: znużenie ustępuje miejsca spojrzeniom pełnym nadziei i żądzy zemsty. Na koniec Molina unosi sękaty kij, którym wcześniej obił francuskiego żołnierza, i rusza zdecydowanym krokiem w stronę ulicy Hileras.

– Kto chce walczyć, za mną! A wy, kobiety, mówcie to wszystkim... W arsenale Monteleón czekają na nas karabiny!

3

W arsenale Monteleón porucznik Rafael de Arango westchnieniem ulgi powitał wchodzącego przez lekko uchyloną bramę kapitana Luisa Daoiza.

– Co my tu mamy? – pyta spokojnie świeżo przybyły. Arango, z trudem trzymając się regulaminowych form, omal nie rzuca się w objęcia zwierzchnika, po czym szybko kreśli szkic sytuacji, informując nawet o założeniu skałek w zamkach karabinowych i rozdysponowaniu ładunków, które to środki ostrożności Daoiz aprobuje.

– To raczej nielegalne – kwituje z lekkim uśmiechem. – Ale jesteśmy zabezpieczeni na wszelki wypadek.

Sytuacja jest trudna, relacjonuje porucznik: francuski kapitan i jego ludzie wyglądają na dość zdenerwowanych, tłum pod bramą gęstnieje z minuty na minutę. Z centrum miasta wciąż dochodzą odgłosy strzałów, a kolejne grupy buntowników napływają nieustannie uliczkami wychodzącymi na przyległe do arsenału ulice św. Józefa i św. Piotra. Okoliczni mieszkańcy, w tym sporo podekscytowanych kobiet, przyłączają się do nich i wszyscy razem napierają na bramę, głośno domagając się broni. Według słów strzegącego wejścia kaprała Alonsa i mieszkającego nieopodal starszego chorążego Juana Pardo, przynoszącego co jakiś czas świeże wieści z ulicy, sprawy się komplikują. Daoiz mógł się o tym przekonać na własne oczy, przeciskając się przez tłum z rozkazami pułkownika Navarro Falcóna.

– Zgadza się – potwierdza kapitan tym samym spokojnym tonem. – Wydaje mi się jednak, że na razie jesteśmy w stanie zapanować nad sytuacją. Jak pańscy ludzie?

– Przejęci, ale zdyscyplinowani – Arango ścisza głos. – Mam nadzieję, że kiedy pana tu zobaczą, poczują się pewniej. Niektórzy zdążyli mnie już zapewnić, że jeśli dojdzie do walki, mogę na nich liczyć.

Daoiz uśmiecha się uspokajająco.

– Nie będzie takiej potrzeby. Rozkazy, które przyniosłem, nakazują coś wręcz odwrotnego: całkowity spokój i żadnych artylerzystów poza obrębem garnizonu.

– A rozdawanie broni cywilom?

– Kategoryczny zakaz. Przy takim stanie nastrojów to byłby kompletny brak rozsądku. Co z Francuzami?

Arango wskazuje środek dziedzińca, skąd cesarski kapitan i jego podwładni przyglądają się z niepokojem hiszpańskim oficerom. Reszta oddziału, poza paroma żołnierzami pilnującymi bramy, stoi w szeregu o jakieś dwadzieścia kroków za nimi. Niektórzy siedzą na ziemi.

– Kapitan poczynął sobie dość zuchwale jeszcze do niedawna. Ale gdy tłum pod bramą zgęstniał, nieco spuścił z tonu... Wygląda na zdenerwowanego i mam wrażenie, że się boi.

– Pójdę z nim porozmawiać. Zdenerwowany i przestraszony człowiek stanowi większe niebezpieczeństwo niż ten sam człowiek, ale spokojny.

Podchodzi do nich kapral Alonso, przynosi wieści spod bramy. Trzech oficerów artylerii prosi o wpuszczenie na teren arsenału. Daoiz, który nie wygląda na zaskoczonego, prosi, by pozwolono im wejść, a w chwilę później na dziedzińcu pojawiają się, z pozoru przypadkiem odziani w mundury i z szablami u boku, kapitan Juan Cónsul oraz porucznicy Gabriel de Torres i Felipe Carpegna. Witają się z Daoizem w sposób przesadnie poważny i oficjalny i Arango zaczyna podejrzewać, że tych czterech spotyka się dzisiejszego ranka już nie po raz pierwszy. Juan Cónsul jest bliskim przyjacielem Daoiza, a jego nazwisko, obok nazwiska kapitana

Velardego i paru innych, pojawiło się ostatnimi dniami w pogłoskach o spisku. Jest też jednym z tych, którzy wczoraj towarzyszyli Daoizowi w ponurym zajściu w gospodzie „Genieys”.

– Coś się tu kroi – dochodzi do wniosku młody porucznik.

O wpół do jedenastej w jednym z gabinetów sztabu artylerii, pod numerem sześćdziesiątym ósmym na ulicy św. Bernarda, naprzeciwko zakonnego nowicjatu, pułkownik Navarro Falcón rozmawia z kapitanem Pedro Velardem, który zajmuje biurko ustawione tuż za biurkiem swego bezpośredniego zwierzchnika. Navarro Falcón dostrzega niepokój, wzburzenie i rozgorączkowanie kapitana, który prosi o pozwolenie na wyjście do arsenału Monteleón. Pułkownik, szczerze ceniący Velardego, odmawia pozwolenia grzecznie, acz stanowczo.

– Daoiz poradzi sobie sam, a pana potrzebuję tutaj.

– Trzeba walczyć, panie pułkowniku! Nie ma innej możliwości! Daoiz musi przystąpić do walki, i my też!

– Bardzo proszę, niech pan przestanie z tymi bzdurami i niechże się pan uspokoi.

– Uspokoi? Co pan mówi!?! Nie słyszy pan strzałów? Strzelają do ludzi!

– Ja mam swoje rozkazy i pan też ma swoje – Navarro Falcón zaczyna się irytować. – Bardzo pana proszę, by zechciał pan nie komplikować sytuacji. Proszę się ograniczyć do wypełniania obowiązków.

– Mój obowiązek to być teraz na ulicy!

– Pańskim obowiązkiem jest wykonywanie moich rozkazów. Koniec, kropka!

Pułkownik, uderzywszy pięścią w stół, żałuje, że dał się ponieść nerwom. Jest doświadczonym żołnierzem: bił się w Santa Catalina w Brazylii, przeciwko Anglikom w Río de la Plata, w koloniach

w Sacramento, w czasie oblężenia Gibraltaru i w czasie wojny z Republiką Francuską. Spogląda niezadowolony na skrybę Manuela Almirę i myśli o tych, którzy siedzą w przyległym gabinecie i słyszeli całą rozmowę, a potem raz jeszcze patrzy na Velardego, który, nadąsany, macza pióro w kałamarzu i kreśli bez sensu na leżących przed nim kartkach. Wreszcie pułkownik wstaje i kładzie na biurku Velardego rozkaz wydany przez generała Vera y Pantoja, dowódcę garnizonu, nakazujący wojskom pozostanie w koszarach i trzymanie się z daleka od wszelkich zamieszek.

– Jesteśmy żołnierzami, Pedro.

Nie ma zwyczaju zwracania się do Velardego ani do żadnego innego oficera po imieniu i Velarde wie o tym doskonale, ale nie okazując zdziwienia tym faktem, kręci głową i odsuwa z niechęcią rozkaz generała.

– Jesteśmy Hiszpanami, panie pułkowniku.

– Niech pan posłucha. Jeśli garnizon miasta stanie po stronie zbuntowanych mieszkańców, Murat nakaże marsz na Madryt armii generała Duponta, która jest zaledwie o dzień drogi stąd... Czy chciałby pan, żeby na to miasto uderzyło pięćdziesiąt tysięcy Francuzów?

– Niechby uderzyło i sto tysięcy. Staniemy się przykładem dla całej Hiszpanii, dla całego świata.

Znudzony dyskusją Navarro Falcón wraca do swojego biurka.

– Nie chcę słyszeć ani jednego słowa więcej! Zrozumiano?!

Pułkownik siada i z pozornym zainteresowaniem zagłębia się w papiery. I udając, że nie słyszy Velardego, który mruczy pod nosem: „Walczyć, walczyć... Umrzeć za Hiszpanię”, nie przestając kreślić bohomazów, Navarro Falcón ma nadzieję, że przynajmniej Luis Daoiz wysłany do Monteleón zdoła zachować zimną krew, a jemu uda się przytrzymać Velardego przy biurku. Albowiem zezwolenie, by ten egzaltowany kapitan

zbliżył się dziś do Monteleón, równałoby się przyłożeniu zapalniczki do beczki z prochem.

Pomimo szalonych pomysłów i gorącego patriotyzmu, ślusarz Molina zachowuje zdrowy rozsądek. Wie, że jeśli poprowadzi ludzi głównymi alejami miasta, łatwo zwrócą na siebie uwagę i prędzej czy później Francuzi przetną im drogę. Nakazuje milczenie dwudziestu ochotnikom, którzy idą za nim – ich liczba rośnie w miarę przemarszu przez miasto – i po tym jak paru śmiałków oddziela się, wybierając krótszą drogę, przeprowadza oddział przez furtkę przy ulicy św. Marcina i ulicę Hita do ulicy Tudescos, ku alei św. Pawła.

– Tylko spokojnie, dobrze? Na wszystko przyjdzie czas. Teraz najważniejsze to zdobyć broń.

W tym samym czasie liczne grupki, jak ta sformowana przez Blasę Molinę czy inne, tworzące się spontanicznie, kierując się na Monteleón, maszerują przez ulice Caños i św. Dominika w stronę szerokiej ulicy św. Bernarda, a od strony Puerta del Sol przez zaułki w okolicach św. Ludwika aż do Fuencarral. Niektórym uda się dotrzeć w ciągu godziny, ale będą i takie, które – potwierdzając tym samym obawy Moliny – zostaną zlikwidowane albo rozbite przez napotkanych Francuzów. Tak dzieje się w przypadku oddziału utworzonego przez cukiernika José Lueca, który wraz ze stajennymi Juanem Velazquezem, Silvestre Álvarezem i Toribiem Rodríguezem postanawia iść na skróty przez ulicę św. Bernarda. Ale na ulicy Bola, gdy mężczyzn jest już około trzydziestu, po tym jak do grupy dołączyli chłopcy z pobliskiej gospody i zajazdu, złotnik, dwóch czeladników od stolarza, zecer i służący z okolicznych domów uzbrojeni w strzelby, sztucery i muszkiety, cywile napotykają oddział piechoty Gwardii Cesarskiej. Dochodzi do brutalnego starcia, do walki wręcz, ale po pierwszych ciosach noży i kilku wystrzałach madrytczyki kryją się za

rogiem ulicy Puebla i św. Dominika. Przez pewien czas, wykazując się nie lada odwagą, walczą zażarcie i powodują straty w szeregach wroga, korzystając ze wsparcia mieszkańców okolicznych domów, którzy rzucają z balkonów doniczkami i innymi ciężkimi sprzętami. Wreszcie jednak, zdając sobie sprawę, że zaraz otoczą ich oddziały Francuzów nadciągające przyległymi ulicami, oddział cywilów rozwiązuje się, zostawiając na polu walki paru zabitych. José Lueco z raną od szabli na twarzy i od kuli na ramieniu zdoła się ukryć w jednej z kamienic – w trzeciej z kolei, bowiem dwie pierwsze bramy, do których stukał, pozostały zamknięte – i tam przeczeka do końca dnia.

Podobnie jak oddział cukiernika José Lueca, inne grupy, ledwie sformowane, zdołają wytrzymać tylko pierwsze uderzenie wroga, po którym zostają rozgromione. Przydarzyło się to niewielkiemu oddziałowi uzbrojenemu tylko w kije i noże, ostrzelanemu przez Francuzów na rogu ulic Pozo i św. Bernarda. Ranni zostali José Ugarte, nadworny chirurg oraz pochodząca z Santander czterdziestotrzyletnia María Oñate Fernández. Podobny przypadek miał miejsce na ulicy Sacramento: niewielki oddział paru rezolutnych młodzieńców z uzbrojonym w karabin księdzem don Cayetanem Miguelem Manchonem na czele próbuje przedrzeć się do koszar artylerii. Znienacka dopada ich oddział polskich szwoleżerów, ostrze szabli rozplątuje głowę kapłana, a jego ludzie natychmiast rozbiegają się przerażeni.

Do miejsca przeznaczenia nie dotrze też grupa, na której czele stanął don José Albarrán, nadworny lekarz królewski. Był świadkiem masakry na dziedzińcu pałacowym, po czym zwołał grupę cywilów uzbrojonych w kije, noże i parę strzelb i teraz próbuje prowadzić ich ulicą św. Bernarda. Zatrzymani ogniem z francuskich dział, ustawionych naprzeciw domu

księcia de Montemar, zmuszeni są ukryć się na ulicy św. Benedykta, tam jednak zostają wzięci w dwa ognie, kiedy drugi oddział Francuzów, nadchodzący od św. Dominika, ostrzeliwuje ich z placu Gato. Jako pierwszy, postrzelony w brzuch, ginie pięćdziesięcioletni gipsownik Nicolás del Olmo García. Grupa rozbiega się w popłochu, a doktor Albarrán, ciężko ranny i uznany za zmarłego – chociaż przyjaciom udało się go później uratować i lekarz zdoła przeżyć – zostaje ograbiony przez Francuzów z surduta, zegarka i dwunastu uncji złota. U jego boku umiera, po krótkiej walce na szable i pistolety, dwunastoletni Fausto Zapata y Zapata, kadet Gwardii Hiszpańskiej.

W jednym z domów na ulicy Olivo czteroipółletni chłopczyk Ramón de Mesonero Romanos – który w przyszłości stanie się jednym z najbardziej znanych rdzennie madryckich pisarzy – zostaje kolejną przypadkową ofiarą zamieszek. Kiedy mały Ramón wraz z całą rodziną biegnie na balkon, by zobaczyć tłum wznoszący okrzyki „Do broni! Niech żyje Ferdynand VII! Śmierć Francuzom!”, potyka się i rozcina sobie czoło o żelazną balustradę. Wiele lat później, we *Wspomnieniach mężczyzny siedemdziesięcioletniego*, Mesonero Romanos opíše to wydarzenie, przywołując obraz matki, doñi Teresy, która zaniepokojona raną syna i wypadkami na ulicy, zapala świece przed obrazem z Dzieciątkiem Jezus i żarliwie odmawia *Różaniec*, a tymczasem ojciec, człowiek interesów Tomás Mesonero, zaniepokojony, rozmawia z sąsiadami. Właśnie wchodzi do domu przyjaciel rodziny, kapitan piechoty Fernando Butrón, pragnąc zostawić tu szablę i kurtkę mundurową, w obawie, jak wyjaśnia, by grupy cywilów krążące po ulicach nie zmuszały go – co do tej pory zdarzyło się już trzykrotnie – do objęcia nad nimi dowództwa.

– Biegają wzburzeni i zdezorientowani, szukają kogoś, kto by ich poprowadził – opowiada Butrón, ściągając kurtkę. – Ale wszyscy wojskowi

mają rozkaz udania się do koszar... To zresztą jedyny dziś rozkaz.

– Wszyscy są mu posłuszni? – pyta doña Teresa Romanos, która, nie przestając przesuwając paciorków różańca, przynosi gościowi szklaneczkę schłodzonego lekkiego wina.

Butrón wypija je jednym haustem i przymierza surdut zaproponowany przez pana domu. Ma nieco za krótkie rękawy, ale lepszy taki niż żaden.

– Jeśli o mnie chodzi, to zamierzam się podporządkować... Nie mam pojęcia, co może się zdarzyć, jeśli to szaleństwo się nie skończy.

– Matko Boska, Józefie Święty!

Doña Teresa składa dłonie i zaczyna odmawiać dwudziestą tego ranka zdrowaśkę. Ramoncito Mesoneros Romanos leży na kanapie obok obrazu Dzieciątka Jezus z nasączonym octem kompresem na czole i płacze, cały usmarkany. Od czasu do czasu słychać dalekie odgłosy wystrzałów.

Przy Puerta del Sol zebrały się już tysiące ludzi, tłum wciska się w przyległe ulice, począwszy od Montery aż po zaułki przy ulicy św. Ludwika, od Arenal po Mayor i Postas, a tymczasem grupy cywilów, uzbrojone w sztucery, pałki i noże, patrolują okolicę, ostrzegając o pojawieniu się Francuzów. Z balkonowego okna swego domu pod numerem piętnastym na rogu ulic Valverde i Desengaño Francisco de Goya y Lucientes, sześćdziesięciodwuletni Aragończyk, członek Królewskiej Akademii Sztuk Pięknych San Fernando i nadworny malarz królewski z pięćdziesięcioma tysiącami reali rocznej pensji, przygląda się tym wydarzeniom chmurnym wzrokiem. Już dwukrotnie odmówił żonie Josefie Bayeu, która prosiła, by spuścił żaluzje i odsunął się od okien. W kamizelce, w koszuli z rozpiętym kołnierzykiem, z ramionami skrzyżowanymi na piersi, z lekko pochyloną głową, z wciąż bujnymi, kędzierzawymi włosami i siwymi bokobrodami, najślawniejszy z żyjących

hiszpańskich malarzy uparcie wychyla się przez okno, chłonąc uliczny spektakl. Do jego uszu – chorych od wielu lat – dochodzą ledwie słyszalne odgłosy wrzeszczącego tłumu i pojedynczych strzałów, mieszając się z głosami w jego umyśle, jak zawsze niespokojnym, napiętym i czujnym. Goya stoi w balkonowym oknie od jakiejś godziny, to jest od chwili, kiedy przybiegł do niego prosto z domu na ulicy Cantarranas osiemnastoletni León Ortega y Villa, jeden z jego uczniów, prosząc o pozwolenie na opuszczenie lekcji. „Niewykluczone, że będziemy musieli bić się z Francuzami” – oznajmił mistrzowi wprost do jego chorego ucha i dość głośno, tak jak zawsze, po czym wyszedł z młodzieńczym i zuchwałym uśmiechem na twarzy – co nikogo nie powinno dziwić z uwagi na jego młody wiek – nie zważając na prośby Josefy Bayeu, która wyrzucała mu, że ryzykuje życie, nie troszcząc się o swoją rodzinę.

– Leonie, masz przecież matkę?!

– I honor, doña Josefa.

Goya stoi nieruchomo i ze zmarszczonym czołem przygląda się ludziom, wciąż napływającym na Puerta del Sol albo podążającym ulicą Fuencarral w stronę garnizonu artylerii. Geniusz, którego dzieła zawisną w galeriach, a nazwisko na trwałe zapisze się w dziejach malarstwa, próbuje żyć i tworzyć, wychodząc poza codzienną rzeczywistość, wbrew swoim postępowym ideom, wbrew licznym przyjaciołom aktorom, artystom i literatom – do których zalicza się i Moratín, o którego dziś artysta szczególnie się niepokoi – wbrew dobrym układom z królewskim dworem i wbrew urazie, nie zawsze skrywanej, do obskurantyzmu, inkwizycji i klechów. Bo to właśnie oni – zdaniem Goi – przez długie lata czynili z Hiszpanów niewolników, nieuków, zdrajców i tchórzy. Ale utrzymanie własnej twórczości z dala od tych wszystkich spraw z każdym dniem okazuje się trudniejsze. Już dziewięć lat temu serią grafik

zatytułowanych *Kaprysy* Aragończyk ośmieszył – nawet specjalnie się z tym nie kryjąc – księży, inkwizytorów, niesprawiedliwych sędziów, przekupstwo, ogłupianie ludu i wiele innych narodowych przywar. A dziś nie potrafi odegnąć mrocznych myśli o niebezpieczeństwie nieuchronnie nadciągającym ku miastu. Cichy szum, który dociera do umęczonych uszu starego malarza, momentami narasta, zmienia natężenie, a tłum głów faluje jak łany zboża smagane uderzeniami wichru albo jak morze przed burzą. Aragończyk jest krzepkim mężczyzną, w młodości walczył z bykami, bił się na noże i uciekał przed sprawiedliwością, w żadnym razie nie jest tchórzliwym dandysem. A jednak ten tłum, dla niego właściwie niemy, który tu obok faluje wstrząsany dreszczem, ma w sobie coś złowrogiego, coś, co niepokoi go o wiele głębiej niż rychły bunt czy łatwe do przewidzenia zamieszki. W otwartych ustach i uniesionych ramionach, w grupach mężczyzn przechadzających się z kijami i nożami, wykrzykujących bezdźwięczne słowa, które w umyśle Goi brzmią równie straszliwie, jakby je słyszał, malarz przeczuwa ciemne chmury i strumienie krwi. Za jego plecami, wśród ołówków, węgla i wiszorków na stoliku, przy którym zwykł pracować nad swoimi szkicami, korzystając ze światła padającego przez balkonowe okno, leży rozpoczęty dzisiejszego poranka, jeszcze w szarawym blasku jutrzeńki, naszkicowany ołówkiem rysunek, a na nim mężczyzna w poszarpanej koszuli, klęczący z rozrzuconymi ramionami w otoczeniu cieni, które osaczają go niczym zjawy z sennego koszmaru. Na brzegu kartki mocnym, stanowczym charakterem pisma Goya zanotował: „Smutne przeczucie tego, co niechybnie nastąpi”.

Jacinto Ruiz Mendoza choruje na astmę i obudził się dziś – co zdarza mu się dość często – z wysoką gorączką i ostrą dusznością. Dochodzą go odgłosy pojedynczych strzałów, z trudem podnosi się z łóżka. Zlany potem, ściąga mokrą koszulę, przemywa twarz wodą z miski i powoli się ubiera,

zdrętwiałymi palcami zapinając guziki nowej białej kurtki z klapami i czerwonymi wyłogami: takie kurtki otrzymał ostatnio 36. Regiment Piechoty Korpusu Ochotników, w którym Jacinto Ruiz służy w stopniu porucznika. Ubiera się z trudem, jest osłabiony, a jego ordynans – wysłany po najświeższe wieści – jeszcze nie wrócił. Powoli wciąga buty oficerskie, po czym chwiejnym krokiem idzie w stronę drzwi. Jacinto Ruiz, urodzony w Ceucie dwadzieścia dziewięć lat temu, jest mężczyzną szczupłym, wątłej budowy ciała, lecz niesłychanie walecznym i czułym na punkcie żołnierskiego honoru. Z usposobienia spokojny, właściwie nieśmiały, zamknięty w sobie z powodu choroby, na którą cierpi od dziecka. Patriota, wiernie wypełniający swoje powinności, miłośnik armii i chwały Hiszpanii, ostatnio przechodzi katusze, jak wielu spośród jego towarzyszy, z powodu upokorzenia narodu przez napoleońską potęgę. Ponieważ nie jest człowiekiem wylewnym, swoich poglądów politycznych nie wygłasza nigdy i nigdzie, z wyjątkiem wąskiego kręgu najbliższych przyjaciół.

Na schodach Ruiz wpada na wbiegającego do góry ordynansa i dowiaduje się od niego, że Francuzi strzelają do madrytczyków, a grupy cywilów ruszają do koszar po broń. Zaniepokojony Jacinto Ruiz wychodzi na ulicę i przyspiesza kroku, nie zważając na sąsiadów, którzy na widok jego munduru pytają o rozwój wypadków. Bez zwłoki podąża w stronę koszar Mejorada, położonych na końcu ulicy św. Bernarda, pod numerem osiemdziesiątym na skrzyżowaniu z ulicą św. Hermenegilda, trochę powyżej budynku dowództwa artylerii. Tak oto, najszybciej jak może, choć starając się nie gubić kroku, by nie robić złego wrażenia, walcząc z utrudniającą oddychanie dusznością i gorączką rozpalającą czoło pod kapeluszem, skromny porucznik piechoty, którego nazwisko to zaledwie jeden z wielu rzędów liter na spisie wojskowych, podąża na miejsce zbiórki swojego regimentu, nie podejrzewając, że niedaleko tej ulicy, po wielu

latach, które upłyną od tego długiego, właśnie rozpoczynającego się dnia, wznosić się będzie na jego cześć pomnik z brązu.

Z oddali dochodzą odgłosy pojedynczych strzałów, nie są to salwy. Antonio Alcalá Galiano, który chodzi po okolicy i obserwuje rozwój sytuacji, nieco się uspokaja. Ma zaledwie dziewiętnaście lat, ale zdaje sobie sprawę z rzeczy oczywistych: grupy cywilów są tak marnie uzbrojone, że atakowanie francuskich żołnierzy zakrawa na szaleństwo. A mimo to, pod wpływem młodzieńczego impulsu, przyłącza się do jednej z głośniejszych grup, mijającej właśnie kościół św. Ildefonsa, a czyni to raczej przez wzgląd na kobiety, które popatrują z balkonów, aniżeli z innych pobudek. Jest zakochany w jednej z mieszkanek Madrytu i to skłania go do wstąpienia na ścieżkę bohaterskich czynów, o których mógłby potem opowiadać ukochanej. Jego oddziałem, złożonym z młodych chłopców, dowodzi mężczyzna wyglądający na rzemieślnika, wiwatujący na cześć króla Ferdynanda. Młody Alcalá Galiano idzie za nimi aż do Fuencarral, gdzie wywiązuje się ostra kłótnia w kwestii wyboru dalszej drogi: jedni chcą iść do koszar, połączyć się z wojskiem i walczyć razem, drudzy chcieliby zaatakować wszystkich Francuzów, których uda im się napotkać, albo urządzać na nich zasadzki, zdobyć broń i dalej walczyć, atakując z doskoku, w małych grupkach, uderzając i wycofując się, kryjąc w bramach i na strychach. Dyskusja się zaognia, są i tacy, którzy zaraz przejdą do rękoczynów, a jeden z najbardziej wzburzonych, z nagim torsem i złym wzrokiem, odwraca się na koniec do młodego Alcali Galiana:

– A ty co o tym sądzisz, przyjacielu?

Taki dość bezceremonialny sposób traktowania wcale nie ucieszył dobrze wychowanego sieroty po bohaterze spod Trafalgaru, ucznia sławnej Maestranza de Caballeria, królewskiej szkoły jazdy konnej w Sewilli, choć akurat dziś występującego w cywilnym ubraniu. Niezbyt więc zadowolony,

ale zachowując ostrożność i stosowny dystans, odpowiada, że nie ma zdania na ten temat.

– Ale chcesz zabijać Francuzów, nie?

– Jasne, że tak. Trudno jednak oczekiwać, bym zabijał ich gołymi rękami... Nie mam broni.

– W tym rzecz. Trzeba ją zdobyć.

Alcalá Galiano spogląda na mało sympatyczne twarze otaczających go mężczyzn. Wszyscy raczej podłego stanu, nie brak wśród nich zwykłych ulicznych oberwańców. Zauważa pełne zazdrości spojrzenia rzucone na jego frak i kapelusz. „Elegancik” słyszy od któregoś z nich. Tych, myśli sobie, powinienem bać się bardziej niż Francuzów.

– Właściwie to pomyślałem sobie – odzywa się najspokojniej, jak potrafi – że mam w domu trochę broni. Pójdę po nią, mieszkam niedaleko i zaraz wrócę.

Mężczyzna obrzuca go podejrzliwym i pełnym wzgardy wzrokiem.

– To idź, biedaku.

Alcalá Galiano waha się, dotknięty tonem polecenia, ale w tym momencie zbliża się ten, który uchodzi za dowódcę. To tragarz, ma mocne, pokryte odciskami dłonie, śmierdzi potem.

– Ty – mówi mu prosto w twarz – do niczego się nam już nie przydasz.

Młodzieniec czuje uderzenie gorąca na twarzy. Co ja, do diabła, robię tu z tą hołotą?

– Życzę panom miłego dnia.

Ze zranioną dumą, ale i z ulgą pozostawił całą tę zgraję za sobą, po czym odwrócił się na pięcie i skierował ku domowi. A gdy już się w nim znalazł, zabrał swój kapelusz ze srebrnym galonem oraz szpadę, zostawił niespokojną, zapłakaną matkę, przerażoną tym, że syn znów naraża się na niebezpieczeństwo, i wyszedł w poszukiwaniu lepszego towarzystwa,

gotów stanąć do walki obok honorowych i rozsądnych ludzi. Niestety, spotyka jedynie grupy wściekłych cywilów, w większości ludzi podłego stanu, oraz paru żołnierzy, próbujących ich powstrzymać. Na rogu ulic Luna i Tudescos widzi wreszcie godnego zaufania oficera, porucznika Gwardii Przybocznej, którego prosi o radę. Ów zaś, ujrawszy galon na kapeluszu, bierze go za jednego ze swoich gwardzistów i pyta, co robi na ulicy, czy aby nie zna rozkazów?

– Jestem ze szkoły kawalerii, z Sewilli, panie poruczniku.

– Proszę zatem natychmiast wrócić do domu. Ja idę do koszar zgodnie z rozkazem, który zakazuje opuszczania kwater. A jeśli zajdzie taka potrzeba, mamy użyć broni do opanowania sytuacji.

– Użyć broni przeciw cywilom?

– Wszystko się może zdarzyć. Sam pan widzi, że ludzie biegną wściekli i nic ich nie powstrzyma. Jest wielu zabitych wśród Francuzów, ale pojawiają się i ofiary wśród mieszkańców Madrytu... Wygląda pan na kogoś z dobrej rodziny. Niech panu do głowy nie przyjdzie przyłączyć się do wzburzonego tłumu.

– To znaczy, że nasze wojsko nie podejmie walki?

– Już panu mówiłem, do kroćset! Proszę wrócić do domu i nie mieszać się z tłumem.

Przekonany i posłuszny, nauczony własnym przykrym doświadczeniem, Antonio Alcalá Galiano wraca do domu, gdzie oczekująca go z niepokojem matka przy powitaniu prosi, by więcej nie wychodził. Niepewny co do słuszności tej decyzji, ale zniechęcony tym, co udało mu się zobaczyć, młodzieniec postanawia zostać w domu.

W tym samym czasie, kiedy młody Alcalá Galiano rezygnuje z uczestnictwa w dzisiejszym spektaklu, grupy madrytczyków starają się

dotrzeć do garnizonu artylerii Monteleón, by zdobyć broń. Ślusarz Blas Molina na czele swojego oddziału, nadkładając drogi, przy alei św. Pawła dostrzega francuską pikietę, ale rozsądek i wciąż żywe wspomnienie wydarzeń na pałacowym dziedzińcu nakazują mu nie wchodzić jej w paradę.

– Wszystko w swoim czasie – mruczy pod nosem. – Co nagle, to po diable.

Tymczasem inne grupy docierają szybko i bez przeszkód do bramy arsenału i tu przyłączają się do sporego już tłumu. Jak choćby oddział pod wodzą studenta z Asturii José Gutierrez, szczupłego i energicznego młodzieńca, do którego przystępuje kolejny tuzin madrytczyków na czele z fryzjerem Martínem de Larrea i jego uczniem Felipe Barrio. Podobnie mieszkający na ulicy Príncipe niejaki Cosme Martínez del Corral, drukarz i zarządca fabryki papieru, dawny artylerzysta, mimo że ma przy sobie 7 250 reali w banknotach podjętych dzisiaj ranka, bez wahania przybywa do Monteleón, aby ofiarować pomoc swoim dawnym kolegom, gdyby doszło do walk. Również handlarz węglem Cosme de Mora, właściciel składu przy ulicy św. Pawła, wraz z przyjacielem, woźnym sądowym Félixem Tordesillasem, zamieszkałym przy ulicy Rubio, przedzierają się na czele grupy cywilów, nie napotykając po drodze żadnych Francuzów. Do tego oddziału, jednego z liczniejszych, dołączają majster murarski Francisco Mata, stolarz Pedro Navarro, cyrulik Jerónimo Moraza z ulicy Silva, mulnik Rafael Canedo z León i José Rodríguez, sprzedawca napojów z ulicy św. Hieronima, któremu towarzyszy syn Rafael. Na ulicy Hortaleza przyłączają się bracia Antonio i Manuel Amador, a za nimi biegnie, mimo próśb i gróźb, by tego nie robił, ich młodszy brat, jedenastoletni Pepillo.

Kolejny z oddziałów, który lada chwila nadciągnie pod garnizon na Monteleón, to grupa José Fernándeza Villamila, oberżysty z placyku Matute, któremu towarzyszą chłopcy z jego oberży, paru sąsiadów i żebrak z placu Antón Martín. Wdarłszy się do wartowni Korpusu Weteranów przy magistracie, Fernández Villamil zabrał stamtąd – nie napotykając oporu ze strony strażników, z których jeden nawet ochoczo przyłączył się do oddziału cywilów – pół tuzina karabinów wraz z bagnetami i amunicją. Spośród wszystkich powstańców walczących dziś w Madrycie oberżysta i jego oddział doświadczą najwięcej przygód. Po zdobyciu broni ruszają w stronę Pałacu Królewskiego i na ulicy Mayor, niedaleko pałacu Consejos, spotykają niewielki oddział cesarskiej jazdy. W czasie nagłego starcia z konia spada postrzelony francuski oficer, oddział cofa się w kierunku arkad przy Plaza Mayor, wymiana ognia nie ustaje aż do pojawienia się przybyłej z pałacu przedniej straży francuskiej piechoty, która zmusza oberżystę i jego ludzi do odwrotu i przebiegnięcia otwartym terenem, pod ciągłym ostrzałem, do bramy Guadalajara i placu Descalzas, gdzie przyłączają się do nich mistrz ślusarski Bernardo Morales i Juan Antonio Martínez del Álamo, urzędnik Królewskich Ceł. Próbę powrotu na pałacowy dziedziniec udaremnia seria strzałów, która dopada ich tuż za rogiem ulicy. Wracają na plac Descalzas, przystają, by złapać oddech i ustalić, co dalej, a wtedy od stojących na balkonach ludzi słyszą, że grupy cywilów kierują się do arsenału Monteleón. Tak więc po krótkim odpoczynku w tawernie na ulicy św. Marcina i zabraniu sporego zapasu wina na drogę, za które gospodarz, widząc karabiny, nie chce przyjąć zapłaty – Villamil i jego ludzie, nie wyłączając żebraka, ruszają żwawym krokiem w stronę Monteleón, choć tym razem żaden z nich nie krzyczy „Śmierć Francuzom!”. I chociaż po drodze spotykają grupy, które krzykiem domagają się broni, a z bram, balkonów i okien wrzeszczą ludzie, oberżysta

i jego towarzysze, nauczeni już złym doświadczeniem, idą, rozglądając się czujnie, przyklejeni do ścian domów, z bronią gotową do strzału, milcząc i starając się nie zwracać niczyjej uwagi.

Przez okna Sztabu Głównego Artylerii wciąż dobiegają echa strzałów – teraz to już ciągła kanonada – i okrzyki ludzi podążających w stronę Monteleón. O godzinie jedenastej kapitan Pedro Velarde, który ku strapieniu pułkownika wciąż bazgrze piórem po papierze i mruczy pod nosem: „Walczyć... walczyć...”, gwałtownie odsuwa krzesło i wstaje, opierając dłonie o blat biurka.

– Walczmy! Do ostatniej kropli krwi! – woła. – Za Hiszpanię!

Navarro Falcón podnosi się i próbuje go powstrzymać, ale Velarde wpada w szal. Czuje, że każdy odgłos wystrzału dobiegający zza okna, każdy okrzyk przechodnia rozszarpuje mu wnętrzności. Z bladą twarzą wykrzywioną grymasem gniewu odpycha Navarro Falcóna i na oczach przerażonych oficerów, żołnierzy i skrybów, którzy przybiegli zaalarmowani krzykami, rusza w stronę schodów.

– Idziemy walczyć z Francuzami! Bronić ojczyzny!

Pozostali spoglądają po sobie niepewnie, tymczasem pułkownik gestem uniesionej ręki nakazuje wszystkim pozostać na miejscach. Velarde, który przystanął na moment, patrząc, czy ktoś pójdzie w jego ślady, odwraca się i wybiega na ulicę, po drodze wrywając karabin z rąk jednego z ordynansów.

– Niech nikt się nie rusza! – rozkazuje Navarro Falcón. – Niech nikt nie waży się pójść za Velardem!

W gabinetach, na dziedzińcu i w sieni sztabu artylerii znajduje się pół setki mężczyzn i tylko dwóch nie usłucha tego rozkazu: skrupulatny skryba Manuel Almira i praktykujący na stanowisku pisarza Domingo

Rojo Martínez. Wstają zza biurka, zostawiają pióra i kałamarze, każdy bierze karabin i bez słowa udają się za Velardem.

Prawie w tym samym czasie, kiedy kapitan Velarde opuszcza siedzibę sztabu artylerii, na drugim krańcu miasta, w pobliżu fontanny Neptuna, kapitan Marcellin Marbot obserwuje wzgórze Buen Retiro, gotów poprowadzić przednie straże kawalerii wysłanej przez generała Grouchy'ego w stronę Puerta del Sol, opanowanej – według najświeższych wieści przyniesionych przez kuriera, który przybył tu galopem i z raną od kuli na ramieniu – przez tłumy społeczeństwa. Marbot raz jeszcze spogląda na grupę jeźdźców, mocno i prosto trzymających się w siodłach, i wzdycha z podziwu nad potęgą maszyny wojennej znieruchomiłej na moment za jego plecami.

Nic nie jest w stanie ich powstrzymać, myśli z dumą.

I ma rację. To elita cesarskich wojsk. Najlepsza jazda na świecie. Wzdłuż południowego ogrodzenia koszar ustawione szwadronami zwarte szyki wierzchowców i jeźdźców ciągną się przez całą szerokość alei aż do placu Coliseo przy dawnym pałacu Habsburgów, a w porannym słońcu lśnią hełmy i złote aksebanty. Straż przednią tworzy stu mameluków i pięćdziesięciu dragonów. Za nimi stoi dwustu strzelców konnych i tyluż grenadierów konnych, wszyscy należący do Gwardii Cesarskiej, oraz prawie tysiąc dragonów z brygady Privego. Zadanie wyznaczone oddziałom kawalerii polega na oczyszczeniu Puerta del Sol i Plaza Mayor i spotkaniu się z piechotą, która nadejdzie ulicami Arenal i Mayor, oraz z ciężką jazdą, która wyruszy z Carabancheles ulicą Toledo.

– Czekam na rozkazy, kapitanie Marbot.

Weteran licznych batalii, pułkownik Daumesnil, odpowiedzialny za przeprowadzenie pierwszego ataku, przejeżdża obok kapitana. Dosiada

jabłkowitego rumaka i nosi wspaniały mundur pułkownika strzelców konnych Gwardii Cesarskiej: zielony dolman, kołyszający się na ramionach czerwony mentyk, bermycę z niedźwiedziego futra z podpinką pod brodą, stanowiącą oprawę dla żywych oczu i ciemnych wąsów. Tłumienie zamieszek wywołanych przez stare baby i dzieci, rzuca do kapitana pogardliwym tonem, nie jest godne żołnierza. Ale rozkaz to rozkaz. Marbot, nie kryjąc szacunku dla cesarskiego weterana, podpowiada ulicę Alcalá, szeroką i pustą.

– Trzeba tylko uważać na przecznice po lewej, panie pułkowniku. Tam czyhają na nas zasadzki.

Tymczasem Daumesnil rozkazuje wysłanie patroli ulicą św. Hieronima, bo to krótsza droga. Reszta wojska ruszy potem przez Alcalá i w ten sposób oba szlaki zostaną oczyszczone.

– Niech tylko spróbują wystawić głowy. Wraca pan do Wielkiego Księcia czy uderza z nami?

– Zważywszy na to, co dzieje się przy Puerta del Sol, proszę o pozwolenie pozostania tutaj. Sam pan widział ostatniego kuriera i słyszał pan jego relację. Z moją niewielką eskortą nie uda mi się przejechać.

– Zatem trzymaj się pan mego boku... Mustafa!

Dzielny dowódca egipskich najemników, ten sam, który pod Austerlitz omal nie uśmiercił wielkiego księcia Konstantego, podjeżdża na koniu, gładząc z powagą swoje okazałe wąsy. Ten wysoki i silny mężczyzna, odziany w czerwone szarawary, kamizelkę i turban, nosi za pasem lśniący zakrzywiony sztylet i długi handzar, podobnie jak reszta jego towarzyszy.

– Ty i twoi ludzie pójdziecie przodem. Żadnej litości!

Na ciemnej twarzy Egipcjanina pojawia się złowieszczy uśmiech. *Allah Bismallah!*, odpowiada i zawróciwszy konia, odjeżdża na czoło swego barwnego oddziału. Pułkownik Daumesnil zwraca się do trębacza, rozlega

się sygnał do boju, wszyscy wznoszą okrzyk: „Niech żyje Cesarz!” i przednia straż kolumny rusza.

Dwadzieścia minut przed wymarszem kawalerii Gwardii Cesarskiej z Buen Retiro chorąży królewskiej marynarki Manuel Esquivel z ulgą wita zmianę warty, która pojawia się przy budynku poczty przy Puerta del Sol.

– Macie ładunki?

Nowo przybyły starszy mężczyzna, z surową miną i zatroskanym spojrzeniem kręci głową.

– Nie mamy nawet dla nas samych. Ani pół ładunku.

Esquivela wcale to nie dziwi. Tego się spodziewał. Będzie musiał odbyć całą powrotną drogę do koszar na czele nieuzbrojonego oddziału, maszerując wśród wściekłego tłumu. A niech ich, przeklina w duchu. Do diabła z dowódcami, Francuzami, pospólstwem i całym światem.

– Jak brzmią najnowsze rozkazy?

– Tak samo. Mamy siedzieć cicho i nie wyściubiać nosa.

– Naprawdę? Bez względu na to, co dzieje się na ulicach?

Porucznik krzywi się niezadowolony.

– To nie do mnie ta mowa. Ja tylko słucham rozkazów, tak jak pan.

– Rozkazów? Jakich rozkazów? Tu nikt nie wydaje rozkazów.

Porucznik nie odpowiada, patrzy tylko spode łba, ponaglać, niech on wreszcie sobie pójdzie. Esquivel zaniepokojony przygląda się swoim dwudziestu grenadierom królewskiej marynarki, którzy stanęli na dziedzińcu z nieprzydatnymi karabinami zwisającymi u ramion. Na domiar złego, stwierdza w duchu, okazały mundur tego elitarnego oddziału – granatowe kurtki z czerwonymi wyłogami, białe lederwerki i bermyce podbite futrem – z daleka łatwo pomylić z mundurem grenadierów armii cesarskiej.

– A co porabiają Francuzi?

Porucznik ma zamiar splunąć pod nogi, ale się powstrzymuje. Obojętnie wzrusza ramionami.

– Przygotowują się do wkroczenia do miasta. Tak mówią.

– Dojdzie do masakry. Ludzie są tak wzburzeni. Widziałem już takie rzeczy...

– To sprawa Francuzów, prawda? Nie pańska ani nie moja...

Porucznikowi zaczyna ciążyć ta rozmowa. Nie ma ochoty komplikować sobie życia. Rzuca niecierpliwie spojrzenia na prawo i lewo, jawnie manifestując pragnienie, by Esquivel w końcu odmaszerował, a on sam mógł schować się za zamkniętą bramą.

– Na pana miejscu szybko bym stąd poszedł – rzuca półgębkiem.

Esquivel przytakuje skwapliwie, trudno się z tym spierać.

– Nie będę się dłużej zastanawiać – stwierdza. – Powodzenia.

– Panu również.

Z duszą na ramieniu, obawiając się tego, co czeka go na ulicy, chorąży marynarki podchodzi do swoich grenadierów, których ufne spojrzenia podszyte są niepokojem. Budynek poczty i koszary marynarki przy alei Prado dzieli spory kawałek drogi. Gdy tam dotrą, odetchną z ulgą z całą resztą kompanii, nawet kiedy w końcu otrzymają rozkaz wymarszu na ulice po to, by udzielić wsparcia mieszkańcom stolicy albo, co niewykluczone, by stłumić zamieszki; jednak by tam dotrzeć, muszą pokonać drogę najeżoną przeszkodami, takimi jak odległość, buntujący się mieszkańcy stolicy i Francuzi. Zwłaszcza ci ostatni, ponieważ francuskie oddziały maszerujące od strony Buen Retiro będą szły dokładnie tą drogą, którą on powinien obrać – w przeciwnym kierunku – by dotrzeć do koszar. I nawet nie chce sobie wyobrazić, co się wydarzy, jeśli się spotkają z francuską armią.

– Bagnet na broń!

Przynajmniej – myśli sobie w duchu – nie zaskoczą nas z gołymi rękoma.

– Przygotować się do wymarszu. Na mój rozkaz, bez zatrzymywania się. Cokolwiek zobaczycie, cokolwiek się zdarzy, słuchacie tylko moich rozkazów... Gotowi?

Sierżant z ogorzałą twarzą weterana, pociętą bliznami spod Trafalgaru, patrzy na chorążego, pytając spojrzeniem, czy dowódca wie, co czyni. Pragnąc uspokoić oddział, Esquivel przywołuje na usta blade uśmiech.

– Na ramię broń! Naprzód marsz!

Przeżegnawszy się w duchu, chorąży marynarki staje na czele oddziału i opuszcza budynek poczty. Kiedy wychodzi na ulicę, ma wrażenie, że zanurza się w oceanie ludzi. Ci zaś, rozpoznając mundury marynarki, ustępują im drogi. Jest tu wielu prostych mężczyzn, wiele kobiet z południowych dzielnic miasta, a okna i balkony pękają od gapiów zupełnie jak w czasie popularnego święta. Niektórzy uśmiechają się, wiwatują i klaszczą na widok hiszpańskiego oddziału. Co bardziej zuchwali nawołują, by się do nich przyłączyć albo przynajmniej podzielić bronią. Niewzruszony i nieustraszony Esquivel idzie do przodu. Od strony ulicy św. Anny dochodzą odgłosy pojedynczych strzałów. Starając się na nikogo nie patrzeć, z szablą w pochwie przy lewym boku, ze wzrokiem utkwionym w wylot ulicy św. Hieronima, marynarz prowadzi swoich grenadierów, prosząc Boga, żeby pozwolił im dotrzeć cało i zdrowo do koszar przy Prado.

– Równy krok! Oczy wprost!

Marszowym krokiem oddział dociera do kościoła Buen Suceso, a dalej idzie aleją św. Hieronima, gdzie, co zauważa Esquivel, grupy cywilów rzedną i wreszcie znikają z ulicy, ukryte po bramach i sieniach ze

strzelbami, kijami i nożami. Trzykrotnie, gdy mijają wyloty ulic prowadzące do placu Antón Martín i ulicy Atocha, padają strzały – nie wiadomo, czy strzelają Francuzi, czy Hiszpanie – które nie wyrządzają szkód, ale napędzają stracha. Maszerują szybkim krokiem, żołnierskie buty rytmicznie stukają o bruk, a kiedy oddział zbliża się do zbiegu ulic św. Hieronima i Prado, Esquivela oblewa zimny pot na widok zwartej, lśniącej kolumny francuskiej kawalerii, która powoli schodzi z boczem, krańcem sięgając aż po Buen Retiro, i posuwa się im naprzeciw, na razie oddalona jeszcze o jakieś sto łokci.

– Najświętsza Panienko! – Esquivel słyszy za plecami głos sierżanta.

Esquivel odwraca się z rykiem:

– Trzymać szyk! Naprzód patrz! W lewo zwrot!

Kawaleria francuska zbliża się właśnie do fontanny Neptuna, kiedy przed oczyma zdumionych jeźdźców z cesarskiej przedniej straży niewzruszony oddział hiszpańskich żołnierzy, maszerując szybkim krokiem, ze wzrokiem utkwionym w przestrzeń, jakby nie dostrzegając złowieszczej masy ludzi i koni, skręca karnie na rogu ulicy i oddala się pod drzewami na alei Prado, szczęśliwie ocalony.

Około jedenastej trzydzieści, kiedy przednia straż kawalerii podąża aleją św. Hieronima w kierunku Puerta del Sol, pozostała część cesarskiego wojska, stacjonująca na przedmieściach Madrytu, opuszcza właśnie koszary i kieruje się do jego bram, by zgodnie z rozkazem – opanowawszy główne ulice – spotkać się w środku miasta. Widząc, że Francuzów przybywa, a co gorsza strzelają oni bez uprzedzenia do cywilów napotkanych na trasie przemarszu, ci ostatni rozpaczliwie starają się zdobyć broń. Okradają sklepy, sale do ćwiczeń fechtunku, warsztaty wytwórców noży, plądrują Królewską Zbrojownię, skąd wynoszą pancerze, halabardy, arkebuzy

i szpady pamiętające czasy Karola V. W tym samym czasie przy tylnym ogrodzeniu koszar Gwardii Hiszpańskiej grupka żołnierzy przekazuje karabiny i ładunki domagającym się broni cywilom, a oficerowie, nie bacząc na wydane rozkazy, udają, że tego nie widzą. Pułkownik don Ramón Marimón, który zjawił się tu zaraz na początku zamieszek, zdążył zabronić wojsku, już w uformowanym szyku, wyjścia na ulicę. Wbrew wydanemu rozkazowi pięciu umundurowanych żołnierzy, między innymi dwudziestopięcioletni sewilczyk Manuel Alonso Albis i pochodzący z Madrytu dwudziestoczteroletni Eugenio García Rodríguez, przeskakują przez ogrodzenie i przyłączają się do powstańców. Tworzą oddział składający się z około trzydziestu mężczyzn, cywilów i wojskowych, do którego należą między innymi: dziewiętnastoletni szewc José Peña; lokaj markiza de Perales, José Juan Bautista Montenegro; pochodzący z Toledo Manuel Francisco González Rivas z ulicy Olivar; mieszkaniec Madrytu Juan Eusebio Martín i mistrz kowalski, czterdziestoletni Julián Duque. Całą grupą wyruszają w stronę Prado, przecinając ogrody klasztoru św. Hieronima i Ogród Botaniczny, rozglądają się za Francuzami. Czeka ich walka – w której wykażą się wielkim męstwem, zadając poważne straty przeciwnikowi – z oddziałami kawalerii nadciągającymi od strony Buen Retiro i jednostkami cesarskiej piechoty, które podchodzą od alei Delicias i bramy Atocha.

Kiedy wzdłuż alei Prado dochodzi do regularnych i powszechnych starć między grupami mieszkańców i forpoczta wojsk francuskich, dwaj mężczyźni: żołnierz królewskiej kawalerii, pięćdziesięcioletni Gregorio Martínez de la Torre i trzydziestodwuletni José Doctor Cervantes, którzy w poszukiwaniu broni zmierzają do koszar Gwardii Hiszpańskiej, zmuszeni są zawrócić, albowiem na ich drodze staje kolumna francuskiej jazdy. Nieopodal spotykają znajomego, Gaudosia Calvilla, strażnika

w Królewskim Ministerstwie Skarbu, który idzie spiesznym krokiem, niosąc cztery karabiny, dwie szable i torbę ładunków. Calvillo wyjaśnia, że tu niedaleko, przy bramie Recoletos, jego koledzy, urzędnicy z Królewskiego Urzędu Celnego, gotują się do walki albo też już się biją, a zatem bez zbędnej zwłoki mężczyźni chwytają za fuzje i ruszają za Calvillem. Po drodze do tej uzbrojonej i zorientowanej w sytuacji gromadki przyłączają się ogrodnicy księżnej de Frías i markiza de Perales: Juan Fernández López, Juan José Postigo i Juan Toribio Arjona; Fernández López ma z sobą własną myśliwską strzelbę, a pozostali tylko noże. Arjona dostaje zbywający karabin i tak uzbrojeni zjawiają się w okolicach bramy Recoletos dokładnie w chwili, kiedy celnicy i paru cywilów biją się z przednią strażą francuskiej piechoty, która zapędziła się w te okolice. Przeskoczywszy parkany ogrodów i przebiegłszy pod drzewami, cała szóstka dołącza na koniec do dość licznej grupy urzędników Królewskich Ceł, wśród których są: Anselmo Ramírez de Arellano, Francisco Requena, José Avilés, Antonio Martínez i Juan Serapio Lorenzo oraz garncarze z warsztatu przy Alcalá: Antonio Colomo, Manuel Díaz Colmenara, bracia Miguel i Diego Manso Martín razem z synem. Udaje im się osaczyć paru francuskich zwiadowców, którzy nieostrożnie zapuścili się w okolice ogrodów przy ulicy św. Filipa Neri. Po gwałtownej wymianie ognia napadają na nich z nożami, podcinają gardła i dokonują rzezi tak straszliwej, że sami nią przerażeni i w obawie przed niechybnym odwetem rozbiegają się w poszukiwaniu kryjówki. Urzędnicy szukają schronienia w należących do Urzędu Celnego budynkach przy Recoletos, a Juan Fernández López, ogrodnik, wciąż ze strzelbą w dłoniach, postanawia pójść z nimi, nie podejrzewając, że już niedługo zjawią się tam główne siły Francuzów szukające zemsty za poległych towarzyszy i ta kryjówka okaże się śmiertelną pułapką.

Dyrektor Królewskiego Więzienia, siedząc za biurkiem w swoim gabinecie, nie wierzy własnym uszom:

– Czego domagają się więźniowie?

Komendant straży więziennej Félix Ángel, który właśnie położył na biurku przed dyrektorem zapisaną kartkę, wzrusza ramionami:

– Proszą o to uniżenie, panie dyrektorze.

– I mówi pan, że czego się domagają?

– Chcą bronić ojczyzny.

– Pan sobie ze mnie kpi.

– Niech Bóg broni.

Dyrektor wkłada okulary i przecierając oczy ze zdumienia, czyta pismo, które strażnik przedłożył mu zgodnie z wytycznymi regulaminu:

Zwarzywszy na niepokuj i zamieszki wśród ludności i fakt, że z balkonów rzuca się broń i amunicje dla obrony Ojczyzny i Króla, ja, niżej podpisany Francisco Xavier Cayón proszę w imieniu własnym i mych towarzyszy, przyrzekając, że wrucimy wszyscy do więzienia, o pozwolenie wyjścia na wolność i oddania życia za Ojczyznę w walce z wrogiem.

Madryt, 2 maja 1808 roku

Z poważaniem.

Dyrektor, nie posiadając się ze zdumienia, spogląda na strażnika.

– Który to ten Cayón? Ten z piętnastki?

– Właśnie ten, panie dyrektorze. Chodził do szkoły, to widać. I ładnie pisze.

– Można mu zaufać?

– W pewnych sprawach tak.

Dyrektor drapie się po bokobrodach i wzdycha z wahaniem.

– To zupełnie niezwykle... No cóż... To niemożliwe. Nawet biorąc pod uwagę tak trudną sytuację. Poza tym niektórzy to kryminaliści z rękoma

splamionymi krwią. Nie możemy ich wypuścić na wolność.

Strażnik przełyka ślinę, wbija wzrok w podłogę, a potem w dyrektora.

– Mówią, że jeśli nie wyda pan zgody po dobroci, to przyjdą ją wziąć siłą.

– Grożą? – dyrektor czuje dreszcz przebiegający mu po plecach. – Mają czelność, kanalie?

– No cóż... Można tak na to spojrzeć. Zresztą już to po części zrobili... Stoją na dziedzińcu i zabrali mi klucze – komendant wskazuje na papier leżący na stole. – Tak naprawdę to pismo to czysta formalność. Przejaw dobrej woli.

– Uzbroili się?

– No cóż, owszem... Tak jak zawsze: żelazne ostrza, szpikulce, różny... Nic nowego. Grożą podłożeniem ognia pod więzienie.

Dyrektor przeciera czoło chusteczką.

– Przejaw dobrej woli, powiedział pan.

– Ja nic nie mówię, panie dyrektorze. To o dobrej woli to oni powiedzieli.

– I tak po dobroci dał pan sobie odebrać klucze?

– Cóż było robić... Zna ich pan. Po dobroci zawsze można się dogadać.

Dyrektor wstaje zza biurka i krąży po gabinecie. Podchodzi do okna, zaniepokojony odgłosami strzałów.

– Myśli pan, że dotrzymają słowa?

– Nie mam pojęcia.

– Bierze pan za to odpowiedzialność?

– Wnoszę, że raczy sobie pan ze mnie żartować, panie dyrektorze. Z całym szacunkiem.

Niezdecydowany dyrektor znów przeciera czoło. Wraca do stołu, bierze okulary i jeszcze raz czyta pismo.

– Ilu osadzonych przebywa obecnie w więzieniu?

Strażnik wyciąga notes z kieszeni.

– Według porannego apelu osiemdziesięciu dziewięciu zdrowych i pięciu chorych, w sumie dziewięćdziesięciu czterech – zamyka notes i znacząco milczy. – Przynajmniej tylu mieliśmy przed chwilą.

– Wszyscy chcą wyjść?

– Tylko pięćdziesięciu sześciu, przynajmniej według Cayóna. Pozostałych trzydziestu ośmiu, wliczając w to chorych, woli spokojnie tu zostać.

– To zakrawa na szaleństwo, Félix. I przypomina raczej dom wariatów, nie więzienie.

– Taki dziś dzień, panie dyrektorze. Ojczyzna i takie tam...

Dyrektor spogląda spod oka.

– A pan? Chce pan pójść z nimi?

– Ja? Nigdy w życiu.

W tym samym czasie, gdy dyrektor i komendant straży debatują nad pismem więźniów, list w zupełnie innym tonie trafia do rąk członków Rady Kastylii. To list podpisany przez księcia Bergu:

Od tej chwili zaniechamy wszelkich ustępstw. W mieście ma zapanować natychmiastowy spokój, w przeciwnym razie mieszkańcy Madrytu mogą się spodziewać kary za swe zuchwałe postęпки. Zbieramy wojska. Wydaliśmy surowe i nieodwołalne rozkazy. Mieszkańcy mają się rozejść, w przypadku niestosowania się do rozporządzeń grozi im śmierć. Każdy aresztowany uczestnik większego zgromadzenia zostanie niezwłocznie rozstrzelany.

W odpowiedzi na naglące pismo Murata udręczona Rada, w której imieniu podpis składa gubernator don Antonio Arias Mon, wydaje pojednawcze rozporządzenie, które w mieście pełnym uzbrojonych, oszalałych ludzi pozostanie niezauważone:

Niechaj żaden z poddanych Jego Królewskiej Mości nie waży się znieważać słowem lub czynem żołnierzy francuskich, a w razie potrzeby niechaj służy im stosowną pomocą.

Nieświadomy wszelkich wydanych teraz i później rozporządzeń Andrés Rovira y Valdesoera, kapitan regimentu milicji z Santiago de Cuba, stojąc na czele oddziału cywilów, szukających okazji do bitki z Francuzami, spotyka kapitana Velardego, kiedy ten wraz ze skrybami Rojo i Almirą podąża ulicą św. Bernarda w stronę koszar Mejorada, siedziby pułku Korpusu Ochotników. Rovira, który zna kapitana Velardego, w uznaniu dla śmiałości jego poczynań dołącza doń wraz ze swoimi ludźmi. Docierają do koszar, widzą na dziedzińcu stojący w szyku obronnym cały regiment, którego dowódca, pułkownik don Esteban Giraldes Sanz y Merino, markiz de Casa Palacio, weteran kampanii we Francji, Portugalii i Anglii, prowadzi ostrą dyskusję z częścią oficerów, wyrażających wolę wyjścia na ulice, zbratania się z ludem i wzięcia udziału w walce. Giraldes nie godzi się na to i grozi aresztowaniem wszystkich dowódców od porucznika w górę, ale głos zabierają obecni też przywódcy oddziałów cywilnych, okoliczni mieszkańcy i znajomi stacjonujących w koszarach żołnierzy, obiecując pomoc w przemarszu wojska do pobliskiego garnizonu na Monteleón i zapewniając, że mieszkańcy, którym brakuje dowódców, chętnie podporządkują się wszystkim wydanym rozkazom.

– W koszarach jedyną zasadą jest wykonywanie moich rozkazów – oświadcza pułkownik, który z trudem utrzymuje nerwy na wodzy.

Pozycja Giraldesa słabnie, kiedy w koszarach pojawiają się Velarde i Rovira ze swoimi ludźmi. Porucznik Jacinto Ruiz, który mimo duszącej go astmy i wysokiej gorączki dołączył dziś rano do swej jednostki, słucha przemawiającego z werwą Velardego i widzi, jak te pełne żaru słowa rozpalają serca wszystkich wokoło, jego nie wyłączając.

– Nie wolno nam stać z założonymi rękoma i patrzeć, jak Francuzi mordują ludzi – woła artylerzysta.

Pułkownik trwa uparcie przy swoim, część żołnierzy powoli dojrzewa do buntu. Tym, którzy twierdzą, że wyjście pułku z koszar zachęci do walki również inne jednostki hiszpańskiej armii, Giraldes tłumaczy, że to posunięcie doprowadzi do masowej rzezi i nieuchronnego starcia z armią francuską.

– Hańba! – nie ustępuje Velarde, wspierany przez oficerów i cywilów. – Honor każe nam walczyć bez względu na okoliczności! Czy nie słyszy pan strzałów?

Pułkownik zaczyna się wahać, nie uchodzi to niczyjej uwagi. Rozmawiają podniesionym tonem. Wymianę zdań słyszą stojący na dziedzińcu żołnierze, którzy zaczynają głośno wyrażać swój sprzeciw.

– Proszę nam przynajmniej zezwolić – nie ustaje Velarde – na wsparcie towarzyszy w Monteleón... Jest tam zaledwie paru naszych artylerzystów z kapitanem Daoizem, a Francuzi mają w garnizonie daleko więcej ludzi... Jeśli zaatakują naszych, pan, pułkowniku, będzie ponosił za to odpowiedzialność.

– Absolutnie zakazuję odzywać się do mnie tym tonem!

Velarde ani myśli spokornieć.

– Takim czy innym tonem, poniesie pan odpowiedzialność przed ojczyzną i historią!

Mówi tak głośno, że żołnierze z pierwszych szeregów doskonale go słyszą. Na dziedzińcu narasta szum pomruków.

Czerwony z gniewu, z nabrzmiętymi żyłami pod wysokim, sztywnym kołnierzem kurtki, Giraldes pokazuje bramę.

– Proszę natychmiast opuścić teren koszar!

Zuchwały Velarde odpowiada głosem tak donośnym, że słychać go na całym dziedzińcu.

– Jeśli stąd wyjdę, ręczę panu, że nie będę jedyny. Kapitan Rovira występuje z propozycją. Zważywszy na to, że niebezpieczeństwo, które zagraża artylerzystom z Monteleón, jest jak najbardziej realne, można by wysłać tam niewielki oddział, by zapobiec ewentualnemu atakowi ze strony Francuzów. Oddział oddelegowany oficjalnie, który jednocześnie powstrzymałby mieszkańców bez przerwy gromadzących się na ulicach.

– Jeśli ludzie ruszą, wydarzy się wiele złego. A nasi żołnierze mogą zapanować nad tłumem.

Na koniec przyparty do muru, niepewny, czy uda mu się dalej utrzymać kontrolę nad swoimi podwładnymi, pułkownik Giraldes godzi się na propozycję wycieczki, upatrując w niej mniejsze zło. Zaciskając zęby, zgadza się wysłać niewielki oddział do Monteleón. Na jego czele stawia jednego ze swoich najbardziej zrównoważonych kapitanów, Rafaela Goicoecheę, dowódcę 3. Kompanii 2. Batalionu, któremu podlega trzydziestu trzech strzelców oraz dwóch poruczników: José Ontoria i Jacinto Ruiz Mendoza, podporucznik Tomás Bruguera i kadeci: Andrés Pacheco, Juan Manuel Vázquez i Juan Rojo. Goicoechea otrzymuje ustne polecenie niewszczywania żadnych wrogich działań przeciwko Francuzom. Zaopatrzony w ładunki, z karabinami na ramieniu, z dowódcą i oficerami na czele, oddział ochotników opuszcza koszary i udaje się do garnizonu Monteleón, maszerując ulicą św. Bernarda koło fontanny Matalobos,

a potem ulicą św. Józefa. Towarzyszą im Velarde i Rovira oraz około dwudziestu pełnych entuzjazmu cywilów. Madrytczycy cieszą się i wiwatują, klepią po plecach żołnierzy, niektórzy przyłączają się do maszerujących. Na czele oddziału porucznik Jacinto Ruiz, przygnębiony swoim fatalnym samopoczuciem, w gorączce i z nieustającą dusznością w płucach, z wysiłkiem prostuje plecy. Na rogu ulicy św. Dimasa Ruiz widzi, jak ojciec kadeta Andrésa Pacheca, były gwardzista Królewskiej Gwardii Przybocznej José Pacheco, który dostrzegł z balkonu syna podążającego z towarzyszami w stronę Monteleón, wybiega z domu, przypasując sobie szablę, i bez słowa przyłącza się do oddziału.

– Już tu są! Maurowie pierwsi!

Kiedy pierwsze oddziały wjeżdżają z alei św. Hieronima na Puerta del Sol między szpitalem i kościołem Buen Suceso a klasztorem Victoria, w instynktownym odruchu bezbronny tłum pierzcha, wbiegając w pobliskie ulice, uciekając przed galopującymi końmi mameluków, którzy wywijają handzarami nad głowami owiniętymi w turbany, siekąc na prawo i lewo uciekających w popłochu mieszkańców. Popychany przez napierający dookoła tłum ksiądz z Fuencarral don Ignacio Pérez Hernández próbuje schronić się w bramie. Pomaga nieznanemu starszemu mężczyźnie, który upadł i omal nie został stratowany, gdy naraz dobiegają go gniewne okrzyki nawołujące do stawienia czoła najeźdźcom.

– Na nich!!! Z Bogiem!!! Śmierć francowatym Maurom! Zatrzymać ich! Zatrzymać!

Przerażony ksiądz słyszy wokół siebie wielokrotny trzask otwieranych noży. Mężczyźni wyciągają albaceteńskie sprężynowce z rogową rękojeścią, z ostrzami długimi na jedną czy dwie piędzi, ukryte dotąd za pasem, w kieszeniach, pod pelerynami czy kurtkami i z nożami w dłoniach

rzucają się na ośle, z wściekłym wrzaskiem, w stronę nadciągających mameluków.

– Niech żyje Hiszpania! Niech żyje król! Na nich! Na nich!

Dochodzi do brutalnego starcia, dzikiego okrucieństwa. Pijani wściekłością madrytczycy nie dbają o własne życie i wchodzą prosto pod końskie kopyta, łapią za uzdy, chwytają się siodeł, dźgają mameluków w nogi, w brzuchy, rozpruwają konie, które padają na ziemię z parującymi wnętrznościami.

– Na nich! Niech nikt nie wyjdzie żywy!

Nadciągają wciąż nowi mamelucy. Konie potykają się o leżące ciała, przeskakują je niezdarnie, dźwigając uczeponych u siodeł zaciekłych, rozwścieczonych mężczyzn, którzy próbują obalić jeźdźców, nie zważając na ostrza szabli, a tymczasem zewsząd dobiegają na plac ludzie w gniewnym szale, uzbrojeni w noże, myśliwskie fuzje i sztucery, z których mierzą w końskie pyski i piersi jeźdźców. Każdy z leżących na ziemi czy ciągniętych po niej mameluków ma nie mniej niż osiem czy dziesięć ran zadanych nożem, nadciągają wciąż nowi żołnierze i kiedy zielone mundury i lśniące kaski francuskich dragonów mieszają się z barwnymi mundurami mameluków, rzeź przesuwa się na środek placu, gdzie z karabinów i strzelb celują stojący na balkonach mieszkańcy, którzy rzucają też dachówki, butelki, cegły, a nawet meble. Kobiety w bramach atakują nożyczkami i kuchennymi nożami, wielu zrzuca z okien broń dla walczących na placu, a najbardziej zuchwali, zaślepieni żądzą mordy, rycząc wściekle, skaczą na grupy jeźdźców chwytając ich, dźgają nożami, podryniają im gardła, mordują i sami giną, rozplątani uderzeniami szabli, padają na kolana wprost pod tratujące ich końskie kopyta, wiją się ranni na ziemi pośród umierających wrogów, umazani krwią własną i cudzą, dźgając nożami przy wtórze krzyków jednych i drugich, rzeniu wypatroszonych koni,

wierzgających w agonii. Ginie, zakłutych nożami, dwudziestu dziewięciu z osiemdziesięciu sześciu żołnierzy szwadronu mameluków, a wśród nich legendarny Mustafa, bohater spod Austerlitz, przytrzymywany przez dwóch Asturyjczyków, Francisca Fernándeza, sługę hrabiego de la Puebla, i Juana Gonzáleza, sługę markiza de Villaseca, podczas gdy Antonio Meléndez Álvarez, trzydziestoletni murarz z Leonu, podrzyna mu gardło swoim sprężynowcem. Pułkownik Daumesnil, dowódca francuskiej straży przedniej, traci dwa wierzchowce, oba okrutnie zadźgane, sam ratując życie dzięki pomocy mameluków i dragonów.

– Nadciągają nowi! Wytrwajmy! Niech żyje król Ferdynand! Niech żyje Hiszpania!

Noże, umazane krwią po rękojeść, nie zaznają spoczynku. Wielu jeźdźców, przestraszonych widokiem stawiającej im opór ludzkiej ściany, zawraca i okrążając kościół Buen Suceso, oddala się w stronę ulicy Alcalá, gdzie również zostają zaatakowani przez madrytczyków. Tymczasem ulicą św. Hieronima napływają wciąż kolejne fale cesarskiej kawalerii, a walczący cywile ponoszą poważne straty. Obok fontanny Mariblanca ginie murarz Antonio Meléndez Álvarez z głową rozplataną uderzeniem szabli. Subiekt ze sklepu przy ulicy Montera, niejaki Buenaventura López del Carpio, który walczy obok swego kolegi Pedra Rosala, dostaje kulą w twarz, a przy nim, stratowani końmi, których uzd zdołali się uchwycić, padają Luis Monge z Menorki, stajenny Ramón Huerto, neapolitańczyk Blas Falcone, najemny robotnik Basilio Adrao Sanz i María Teresa de Guevara z ulicy Jacometrezo. Wielu próbuje szukać ucieczki, biegnie, rozglądając się za schronieniem, i już niebawem na Puerta del Sol zostaje zaledwie trzystu mężczyzn i parę kobiet, walczących do ostatka, chowających się w bramach i sieniach dla złapania oddechu albo przeczekania zwartych szarzy kawalerii, a rzucających się na pojedynczych

jeźdźców krążących po placu. Bracia Rejón i ich znajomy, myśliwy z Colmenares Mateo González, którzy walczą mimo ran na ramionach, zmuszeni są cofnąć się aż do okratowanego dziedzińca Buen Suceso, kiedy kolejna szarża dragonów rozgania ich grupę ogniem i szablami, a na ziemię pada młoda dziewczyna Ezequiela Carrasco, kowal Antonio Iglesias López i dziewiętnastoletni szewc Pedro Sánchez Celemín. Pomiędzy walczącymi z nożem w rękę, którzy szukają schronienia przy Buen Suceso, przerażony Mateo González rozpoznaje aktora Isidora Máiqueza, który walczy ramię w ramię z prostym ludem.

– Na Boga! Czy to naprawdę pan Máiquez?

Sławny artysta, obecnie czterdziestoletni, nosi wykwintny strój: krótką elegancką marynarkę, zamszowe spodnie, gładkie pończochy i chustkę na głowie. Słyszając swoje nazwisko, uśmiecha się mimo zmęczenia, wierzchem dłoni wycierając krew z twarzy – zdaje się, że to nie jego własna krew.

– Owszem, przyjacielu – odpowiada uprzejmie. – We własnej osobie, do pańskich usług.

Mateo González, któremu serce nie zadrżało z trwogi przed szarżą mameluków, czuje, że brak mu tchu. Jaka szkoda, żałuje w duchu, że nie ma już wina w bukłaku braci Rejón dla uczczenia tego spotkania.

– Widziałem pana w roli don Pedra w *Nowej komedii*... Doskonała rola!

– Bardzo mi miło, ale to nie najlepszy moment. Ruszajmy do roboty!

Odpoczynek trwa krótko. Po kolejnym uderzeniu francuskiej jazdy wszyscy, w tym i Máiquez, wychodzą na ulicę, na kamienny bruk, śliski od przelanej krwi. Trzydziestoletni José Antonio López Regidor, uczepliwszy się wierzchowca jednego z mameluków, wbija Egipcjaninowi nóż w serce, ale w tym samym momencie ginie trafiony kulą. Od kul francuskich giną również: sześćdziesięciodwuletni Andrés Fernández y Suárez, buchalter Królewskiej Kompanii Hawańskiej, Valerio García Lázaro, lat dwadzieścia

jeden, Juan Antonio Pérez Bohorques, lat dwadzieścia, stajenny z Królewskiej Gwardii Przybocznej i Antonia Fayola Fernández z ulicy Abada. Szlachcic z Guipúzcoi, José Manuel de Barrenechea y Lapaza, bawiący przejazdem w Madrycie, który dzisiejszego ranka, słysząc odgłosy zamieszek, wyszedł z zajazdu ze szpadą w lasce, dwoma pistoletami – używanymi do pojedynków – za pasem i sześcioma hawajskimi cygarami w kieszeni surduta, otrzymawszy cios szablą, pada z rozciętym do piersi obojczykiem. A parę kroków dalej, przy kamienicy na rogu ulic Correo i Carretas, dwóch małych chłopców, dziesięcioletni José del Cerro, na bosaka i w krótkiej koszuli oraz dwunastoletni José Cristóbal García, rzucając kamieniami, stawiają opór twarzą w twarz wściekłe atakującemu ich dragonowi Gwardii Cesarskiej, od którego szabli giną. Wtedy właśnie ksiądz don Ignacio Pérez Hernández, przerażony tym, co zobaczył, otwiera wyjęty z kieszeni nóż. Podwinąwszy aż do pasa fałdy sutanny, walczy, stojąc mocno na ziemi pomiędzy wierzchowcami, ramię w ramię z wiernymi parafianami z Fuencarral.

4

Kiedy kapitan Pedro Velarde pojawia się w arsenale Monteleón z oddziałem Korpusu Ochotników i grupą cywilów, na ulicy św. Józefa tłoczy się już ponad tysiąc osób. Na widok białych mundurów i kapitana artylerii na czele oddziału tłum zaczyna wiwatować, wznosić entuzjastyczne okrzyki i Velarde z trudem toruje sobie drogę do bramy garnizonu. Okazuje się zamknięta, więc Velarde uderza w nią z całej siły. Brama uchyla się nieco, a stojący za nią dwaj Francuzi i hiszpański artylerzysta, widząc kapitańskie szlify Velardego, o nic nie pytają i pozwalają mu przejść, choć wpuszczają kapitana w towarzystwie jednego tylko oficera – porucznika Jacinta Ruiza. Przystąpiwszy bramę, Velarde dostrzega francuskiego kapitana w otoczeniu oficerów i oddziału w gotowości bojowej, więc zanim pospieszy do Luisa Daoiza, przebywającego wraz z porucznikiem Arango w sali oficerskiej, kroczy śmiało, w asyście Ruiza, wprost do dowódcy wojsk cesarskich.

– Jest pan zgubiony – rzuca mu prosto w twarz – chyba że ukryje się pan razem ze swoimi ludźmi.

Francuski kapitan, zaskoczony tym stanowczym wystąpieniem Hiszpana i będąc pod wrażeniem zielonej kurtki oficera sztabu, przygląda mu się podejrzliwie.

– Pierwszy batalion grenadierów stoi pod bramą – oznajmia wyniośle nieustraszony Velarde, wskazując porucznika Ruiza. – Następne są w drodze.

Francuz przypatruje mu się z uwagą, przenosi wzrok na Jacinta Ruiza. Zdejmuje bermycę, wyciera czoło rękawem kurtki. Velarde niemal słyszy

jego myśli: od wczoraj nie dostaje żadnych rozkazów, nie zna sytuacji na zewnątrz, a żaden z umyślnych, których pchnął po wieści, nie wrócił. Nie wie nawet, czy dotarli do koszar, czy zginęli gdzieś po drodze.

– Niech pańscy ludzie oddadzą broń – nakazuje Velarde. – Tłum za chwilę sforsuje bramę i nie możemy zagwarantować, że ci ludzie nie rozszarpią was na strzępy.

Francuz patrzy z namysłem na swoich żołnierzy, zbitych ciasno niczym zwierzęta prowadzone na rzeź, rzucających spłoszone spojrzenia przy wtórze coraz głośniejszych okrzyków tłumu, który domaga się broni i głów zabojców. Potem bełkocze parę słów w dość kiepskim hiszpańskim, próbując zyskać na czasie. Nie wie, kim jest ten kapitan ani w czym przemawia imieniu, choć władczy ton, wyniosła mina i fanatyczny błysk w oku wprawiają go w popłoch. Tymczasem Velarde, odgadując stan ducha swego rozmówcy, zadaje ostateczny cios. Tym samym tonem, oparłszy lewą dłoń na rękojeści szabli, żąda od Francuza, by wykonał po dobroci to, do czego w razie odmowy będą zmuszeni nakłonić go siłą. Czas jest na wagę złota i nie mają go wiele.

– Proszę natychmiast złożyć broń.

Kiedy kapitan Luis Daoiz wychodzi na dziedziniec sprawdzić, co się dzieje, dowódca Francuzów zdążył poddać się grzecznie wraz ze swoim oddziałem kapitanowi Velardemu, a żołnierze Korpusu Ochotników znajdują się już na terenie koszar. A zatem Daoiz, jako dowódca garnizonu, wydaje stosowne rozkazy: broń Francuzów do arsenału, kapitan i oficerowie do sali oficerskiej, gdzie mają być traktowani z należyтым szacunkiem, natomiast siedemdziesięciu pięciu żołnierzy do sali na przeciwległym krańcu budynku, jak najdalej od bramy i pod czujną strażą Korpusu Ochotników. Po wydaniu tych rozporządzeń Daoiz bierze na bok

Velardego i zamknąwszy się z nim w sali sztandarowej, gniewnym tonem czyni mu słuszne wyrzuty.

– Nie waż mi się więcej wydawać tu rozkazów bez uzgodnienia ich ze mną... Zrozumiałeś?

– Okoliczności...

– Do diabła z okolicznościami! To nie zabawa, do cholery!

Velarde, choć sam raczej egzaltowany, bardzo ceni swojego przyjaciela. Darzy go szacunkiem. Stara się przemawiać pojednawczym tonem, a jego wyjaśnienia są szczere.

– Wybacz, Luis. Chciałem tylko...

– Doskonale wiem, co chciałeś! Ale nie można tu nic zrobić. Nic! Może w końcu to pojdziesz!

– Ale w mieście walczą!

– Paru nieszczęśników, nikt więcej. I bez żadnych szans na zwycięstwo. Myślisz, że pokonamy najpotężniejszą armię świata, walcząc razem z cywilami i dwoma muszkietami na krzyż? Oszalałeś? Przeczytaj sobie rozkaz, który dał mi Navarro dziś rano – Daoiz uderza dłonią w kartkę papieru wyciągniętą z kieszeni kurtki. – Widzisz? Zabrania się przejmowania inicjatywy i przyłączania się do ludności cywilnej.

– Rozkazy straciły ważność, zważywszy na wypadki w mieście.

– Rozkazy nigdy nie tracą ważności – podnosząc głos, Daoiz unosi też swą niewysoką postać, stając na czubkach butów. – A zwłaszcza te, które ja tu wydaję!

Velarde nie jest przekonany i nigdy nie da się przekonać. Gryzie palce, potrząsa głową. Przypomina przyjacielowi o zaangażowaniu w powstańczy spisek artylerzystów.

– Postanowiliśmy to zaledwie parę dni temu, Luis. Przecież się zgodziłeś. A sytuacja...

– W zaistniałych okolicznościach nie możemy już nic zrobić – przerywa Daoiz.

– Możemy postępować dalej według planu.

– Plan poszedł do śmieci. Rozkaz naczelnego dowódcy był druzgocącym ciosem dla ciebie, dla mnie i paru innych, ale stał się doskonałą wymówką dla wszystkich niepewnych i wszystkich tchórzy. Nie mamy wystarczającej siły, by wzniecić powstanie.

Velarde nie poddaje się, prowadzi Daoiza do okna i pokazuje mu żołnierzy z Korpusu Ochotników, którzy wymieniają przyjacielskie uściski z artylerzystami.

– Przyprowaździłem prawie czterdziestu żołnierzy. Sam wiesz, ilu ludzi stoi pod bramą, tylko czekają na broń. Widzę, że zjawiło się tu paru wiernych towarzyszy, Juanito Cónsul, José Dalp i Pepe Córdoba. Jeśli damy broń cywilom...

– Zrozum to wreszcie, Pedro. Raz na zawsze. Zostawili nas, rozumiesz? Przegraliśmy. Nic się nie da zrobić.

– Ale ludzie walczą w mieście...

– To nie potrwa długo. Bez wsparcia wojskowych są skazani na porażkę. A nikt nie wyjdzie z koszar.

– To wyjdźmy my i dajmy im przykład.

– Nie pleć głupstw, Pedro.

Zostawiając Velardego wysuwającego wciąż nowe, bezsensowne argumenty, Daoiz wychodzi na dziedziniec i przechadza się samotnie, z odkrytą głową, z rękoma skrzyżowanymi na piersiach, czując na sobie spojrzenia wszystkich. Na zewnątrz, po drugiej stronie ciężkiej bramy, pod łukiem z cegły i żelaza, ludzie wciąż życzą śmierci Francji i wiwatują na cześć Hiszpanii, króla Ferdynanda i kanonierów. Okrzyki tłumu nie zagłuszają niesionych z daleka odgłosów salw. Luis Daoiz, który przeżywa

właśnie najbardziej gorzkie chwile swego życia, czuje, jak każdy okrzyk i każdy wystrzał przeszywa mu serce.

Kiedy kapitan Daoiz bije się z myślami na dziedzińcu koszar Monteleón, na południowym, przeciwległym krańcu miasta Joaquín Fernández de Córdoba, markiz de Malpica i otaczający go cywile czują, jak zasycha im w gardłach na widok kawalerii francuskiej nadciągającej pod bramę Toledo. Jak okaże się później, przy sporządzaniu bilansu dnia, z obozu Carabancheles pod wodzą generała brygady Rigauda wyszły dwa pułki kirasjerów: dziewięciuset dwudziestu sześciu jeźdźców, którzy kłusem pokonują wzniesienie wzdłuż równych szeregów drzew opadających aż do rzeki Manzanares i zamierzają ulicą Toledo dostać się na plac Cebada, a potem na Plaza Mayor.

– Chryste miłosierny – szepcze Olmos, sługa markiza.

Markiz de Malpica rozgląda się wokół bez większej nadziei. W zasadzce przy bramie Toledo, przez którą Francuzi muszą przejść, by dostać się do miasta, czeka czterystu madrytczyków z dzielnic San Francisco i Lavapiés. Stwierdzenie, że wielu wśród nich to postaci z ludu – szarobure surduciki, chustki z biało-czarnymi frędzlami, luźne portki i gołe łydki – to za mało: pośród zebranych najwięcej jest typów spod ciemnej gwiazdy, hultajów i alfonsów, drobnych rzezimieszków i kobiet ulicznych typowych dla tych dzielnic, cieszących się złą sławą, choć nie brak i szlachetnie urodzonych mieszkańców Palomy i pobliskich kamienic, rzeźników i garbarzy z Rastro, chłopców i dziewcząt z okolicznych oberży i zajazdów. Mimo podjętych wysiłków przygotowania rozsądnej – w znaczeniu militarnym – obrony, po długiej dyskusji i wielu ostrych słowach, Malpica musiał ustąpić i pozwolić, by mieszkańcy zorganizowali się na swój sposób, według znajomości i upodobań, i każdy podjął się zadań, którym – jak sądzi – podoła: jedni zabarykadowali przejście

wozami, belkami, koszami i cegłami z pobliskiej budowy i schowali się przyczajeni z nożami, sprężynowcami, tasakami, włóczniami, szpikulcami i kosami. Ci, którzy mają fuzje, muszkiety i pistolety, ulokowali się w szpitalu San Lorenzo oraz na balkonach, tarasach i w oknach kamienic otaczających bramę, a także na ulicy, gdzie kobiety przygotowały garnki z gorącym olejem i wrzątkiem. Markizowi de Malpica, który z racji posiadanego stopnia kapitana w stanie spoczynku z pułku w Maladze jako jedyny pochwalić się może doświadczeniem bojowym, z trudem przychodzi udzielenie paru taktycznych rad. Wie doskonale, że francuska jazda sforsuje w końcu tę słabą barykadę, więc nieco dalej umieścił kolejną, wspartą o arkady niedaleko rogu ulicy Cojos, złożoną z ludzi posłusznych jego rozkazom – trzydziestu osób, w tym jego wiernych sług i oddziału cywilów z ulicy Almudena, kobiety z tasakiem, pomocnika aptekarza i paru osób, które dołączyły po drodze. Ich zadaniem będzie, wyjaśniał markiz, atakowanie z flanki nieprzyjacielskich jeźdźców, którzy przejdą barykadę. Tym, którzy dysponują regulaminową bronią – dragonowi z Luzytanii, czterem dezertersom z Gwardii Walońskiej, swemu wiernemu Olmosowi i portierowi z pałacu Consejos – zaleca strzelać do oficerów, chorążych i trębaczy. Inaczej mówiąc, do tych, którzy idą na przedzie, będą wydawać rozkazy czy dużo gestykulować.

– A jeśli nas zmuszą do ucieczki, biegniemy i zbieramy się za każdym razem, wycofując się w stronę placu Cebada... W razie odwrotu to będzie nasze miejsce zbiórki.

Na twarzy jednego z ochotników, koniuszego z królewskiej stajni, uzbrojonego w sztucer, pojawia się ufny uśmiech. Dla hiszpańskiego ludu, przywykłego do ślepego posłuszeństwa religii i monarchii, tytuł szlachecki, sutanna lub wojskowy mundur to jedyne punkty odniesienia w chwili

załamania. To stanie się aż nadto widoczne już niedługo, przy formowaniu rządów toczących wojnę z Francuzami.

– Sądzi Wasza Miłość, że przyjdzie nasze wojsko?

– Oczywiście, że tak – kłamie arystokrata, pozbawiony złudzeń. – Zobaczycie... Dlatego musimy tu wytrzymać tak długo, jak się da.

– Może pan na nas liczyć, panie markizie.

– Zatem ruszajmy. Każdy na swoją pozycję i niech Bóg ma nas w swojej opiece.

– Amen.

Po drugiej stronie bramy Toledo błyszczą w słońcu pancerze, hełmy i szable. Okrzyki i wiwaty, którymi jeszcze przed chwilą ludzie dodawali sobie otuchy, nagle umilkły. Oniemiali, z otwartymi ustami i wytrzeszczonymi oczyma, wszyscy wpatrują się w brygadę kawalerii, nadciągającą zwartą masą. Klęcząc za drewnianą kolumną arkad z karabinem w dłoni, z dwoma naładowanymi pistoletami i maczetą u pasa, z kapeluszem nasuniętym na czoło, by słońce nie raziło go w oczy, markiz de Malpica myśli o swojej żonie i dzieciach. Potem czyni znak krzyża. Choć jest człowiekiem bogobojnym i nie kryje się ze swoją wiarą, stara się to zrobić niepostrzeżenie, ale jego gest nie uchodzi uwadze innych. Olmos idzie w jego ślady, a po nim wszyscy wokół zegnają się znakiem krzyża.

– Już tu są! – słyhać czyjś okrzyk.

Przez chwilę markiz nie patrzy na bramę Toledo. Próbuje pojąć przyczynę dziwnego drżenia, które czuje pod kolanem. I pojmuje, że to ziemia drży od uderzeń końskich kopyt.

Około południa centrum Madrytu staje się areną ciągłej, chaotycznej walki. Przestrzeń pomiędzy wylotem ulicy Alcalá i aleją św. Hieronima, budynkiem poczty, klasztorem św. Filipa i ulicą Mayor aż do bramy

Roperos zaścielają trupy poległych z obu walczących stron: Francuzi z poderżniętymi gardłami i madrytczycy leżący na ziemi albo jeszcze tratowani, w kałużach krwi, między kopytami rżących w agonii wierzchowców. Jedna i druga strona walczy bez litości. Nieliczne strzelby i fuzje przechodzą w inne ręce, gdy pada ich właściciel, wyrwane przez tych, którzy tylko czekają na taką sposobność i natychmiast zabierają broń. Rozproszone oddziały cywilów przy Puerta del Sol zbierają się na nowo po każdej szarzy kawalerii i wyskakują z sieni i bram klasztoru Buen Suceso i kamienic ulicy Victoria, św. Filipa i przyległych ulic, atakując kolejny raz z obnażoną piersią: noże przeciwko szablom mameluków, strzelby przeciwko karabinom dragonów, którzy najpierw nadchodzą aleją św. Hieronima, a potem wycofują się przez Alcalę, oraz piechoty Gwardii Cesarskiej pod wodzą pułkownika Friederichsa prącej naprzód ulicami Mayor i Arenal, od strony Pałacu Królewskiego, zalewającej ulicę ogniem z karabinów i dział, ustawianych przy każdej przecznicy. Jednym z pierwszych, których dosięgną te strzały, jest młody León Ortega y Villa, uczeń Francisca Goi, od jakiegoś czasu podcinający pęciny francuskim rumakom. A niedaleko pałacu Consejos salwa z francuskiego karabinu dosięga księdza Ignacia Péreza Hernandeza, uciekającego – wraz z parafianami z Fuencarral – przed szarżą polskiej jazdy: kapłan przez chwilę stąpa niepewnie, po czym osuwa się na ziemię. Mimo gęstego ognia towarzyszący udaje się go wyciągnąć z pola bitwy i ciężko rannego ukryć w bezpiecznym miejscu. Później, z licznymi perturbacjami, przeniosą don Ignacia do Hospital General i tym sposobem uratują mu życie.

W całym mieście dochodzi do wielu potyczek, do osamotnionych pojedynków. W takim starciu – nieopodal rezydencji księżnej de Osuna – bierze udział węglarz Fernando Girón: natknąwszy się na rogu na francuskiego dragona, jednym uderzeniem kija zrzuca go z konia

i uśmierca, a uzbrojony w zdobyczny dragoński pałasz staje naprzeciwko oddziału grenadierów, by zginąć, zakłuty ich bagnetami. Niejaki Cristóbal Oliver z Majorki, kiedyś żołnierz Królewskich Dragonów, obecnie na służbie u barona Benifayó, wychodzi z gospody przy ulicy Peligros, gdzie obaj zamieszkali, za jedyną broń mając szpadę swego pana, idzie w stronę ulicy Alcalá i tam walczy z każdym Francuzem, który wpadnie mu w ręce: jednego zabijając, dwóch innych raniąc, a kiedy w walce z ostatnim z nich łamie ostrze szpady, z samą rękojeścią w dłoni spokojnie wraca do gospody. W relacjach z walk i potyczek znajdują się opisy czynów wielu anonimowych mężczyzn i kobiet, jak choćby tego śmiałka, zaobserwowanego z okna przez mieszkańców ulicy Carmen, który w myśliwskim stroju, w butach z cielecej skóry, z ładownicą pełną ładunków, przyczajony za rogiem ulicy Olivo oddał dziewiętnaście strzałów w stronę Francuzów, a kiedy zabrakło mu amunicji, odrzucił strzelbę i wyciągnąwszy długi nóż, za jedyną osłonę mając ścianę domu, walczył do ostatniej kropli krwi. Nigdy też nie poznamy imienia stangreta – znanego pod przydomkiem Aragończyk – który ukrywszy się w jednej z sieni na ulicy Ternera, mierzy ze sztucera tapicerskimi szpilami prosto w przechodzących tam francuskich żołnierzy. Ani nazwisk czterech mieszkańców Maravillas walczących na noże z kilkoma Polakami na ulicy Bola. Ani imienia młodej kobiety, która przy Puerta Cerrada obala z konia francuskiego zwiadowcę, krzyżąc „Giń, psie!”, i podcina mu gardło jego własną szablą. Nigdy nie poznamy nazwiska nieuzbrojonego grenadiera królewskiej marynarki – zbiegłego z koszar albo z oddziału chorążego Esquivela – który na ulicy Postas uratuje grupkę kobiet i dzieci nękaną przez Francuzów, a potem rzuci się na powalonego z rumaka dragona i udusi go gołymi rękoma – nie poznamy jego imienia, ponieważ w raportach strat poniesionych tego dnia figurować będą trzy nazwiska

żołnierzy tej formacji: Katalończyka Estebana Casalesa Riery, pochodzącego z Walencji Antonia Durana i urodzonego w Murcji Juana Antonia Cebriana Ruiza.

Natomiast nazwiska dziewięciu murarzy, którzy w chwili rozpoczęcia walk pracowali przy remoncie kościoła św. Jakuba, zostały uwiecznione w dokumentach – majster murarski Miguel Castañeda Antelo, lat sześćdziesiąt sześć, bracia Manuel i Fernando Madrid, Jacinto Candamo, Domingo Méndez, José Amador, Manuel Rubio, Antonio Zambrano i José Reyes Magro. Wszyscy oni walczą na ulicy Luzón, z jednej strony odpierając atak kawalerii francuskiej nadjeżdżającej od Puerta del Sol, a z drugiej – piechoty kroczącej ulicami Mayor i Arenal. Pół godziny wcześniej, kiedy pod rusztowaniami przejeżdżał oddział Polaków, wybijając uciekających cywilów niczym kaczkę, murarze zaatakowali jeźdźców, rzucając w nich wszystkim, co mieli pod ręką, od cegłówek po narzędzia, po czym zeszli w rozchełstanych koszulach, z nożami w dłoniach i rzucili się do walki z naiwną brutalnością właściwą ich rzemiosłu. Osaczeni zewsząd, pod gradem kul z muszkietów, muszą się wycofać i szukać schronienia w kościele. Majster Castañeda dostaje kulą w brzuch, pada na kolana i zwija się z bólu, z chodnika podnosi go towarzysz, Manuel Madrid. Uginając się pod ciężarem, zdaje sobie sprawę, że kościół znajduje się za daleko, szuka więc schronienia na placu Villa, nie ma jednak szczęścia i kiedy przechodzi linię ognia, rozlega się salwa, od ściany odbijają się kule i choć sam Madrid nie zostaje trafiony, to rykoszet dosięga ramienia nieszczęsnego Castañedy. Obaj upadają na ziemię, nad ich głowami nieustannie świszczą kule, Madrid próbuje ratować majstra, ciągnąc za zdrowe ramię w bezpieczne miejsce.

– Zostaw mnie, bracie – szepcze słabym głosem Castañeda. – Jestem za ciężki... Zostaw mnie i uciekaj... Uciekaj, póki możesz.

– Nie ma mowy! Mogą mnie zabić te francowate skurwysyny, ale ty idziesz ze mną!

– Nie warto... Wykrwawiłem się, umrę szybko.

Całe zajście obserwuje z bramy niejaki Juan Corral, podbiega, kryjąc głowę w ramionach, i chwyciwszy rannego za nogi, pomaga go ratować. I tak, niosąc Castañedę przez miasto pełne Francuzów, przemykając pustymi ulicami albo tymi ostrzeliwanymi tylko z daleka, udaje się im dotrzeć do domu Castañedy przy ulicy Jezusa i Maryi, gdzie opatrują mu rany. W najbliższych dniach Castañeda zostanie przeniesiony do Hospital General i co prawda przeżyje jeszcze trzy lata, ale umrze z powodu wciąż jęczących się ran.

Pozostali murarze z kościoła św. Jakuba zostaną wydani na pastwę nieuchronnego losu. Ukryli się w kościele, ale niebawem zostali otoczeni przez oddział fizylierów, szukających pomsty za śmierć zadźganych polskich towarzyszy. Jacinto Candamo próbuje stawiać opór i kłuje nożem pierwszego z Francuzów, w odwecie przeszywa go grad kul i Candamo umiera trafiony siedmiokroć. Fernando Madrid, José Amador, Manuel Rubio, José Reyes, Antonio Zambrano i Domingo Méndez zostają związani i zabrani, pobici, znieważeni, zwałtretowani. Tych sześciu, jak i wielu innych, zostanie straconych następnego dnia o świcie na wzgórzu Príncipe Pío.

– Niech żyje Hiszpania! Niech żyje król! Na nich! Na nich!

Przy bramie Toledo, pośród końskich kopyt i pałaszy francuskich kirasjerów, w zapamiętałym szale, z okrucieństwem, na które stać tylko kogoś, kto nie ma nic do stracenia, upojeni nienawiścią, dzikim pragnieniem zemsty i krwi, walczą prości ludzie z biednych madryckich dzielnic. Pierwsi jeźdźcy przejeżdżają pod łukiem bramy i natychmiast

zderzają się z ustawioną tam barykadą, gdzie dopada ich rozzuchwalony tłum mężczyzn i kobiet, waląc kijami, kłując nożami, włóczniami, nożyczkami, szydłami, wszelkimi domowymi narzędziami, które mogą posłużyć za broń, a z pobliskich dachów, okien i balkonów siecze Francuzów nieregularny, choć gęsty ogień strzelb, fuzji i karabinów. Zaskoczeni pułapką pierwsi z kirasjerów kłębią się zdezorientowani, tną na oślep pałaszami i próbują zawrócić albo spinają konie, by pokonać przeszkodę skokiem, co znacznie utrudnia kłębowisko wrzeszczących cywilów, którzy przecinają wodze, dźgają konie, chwytają się końskich łbów i powalają na ziemię cesarskich jeźdźców, skrępowanych stalowymi hełmami i półbrojami.

– Nie miejcie litości! Niech żaden Francuz nie wyjdzie stąd żywy.

Rzeź rozprzestrzenia się poza bramę i barykadę, wciąż przybywa kawalerzystów, którzy wpadają w tłum cywilów i próbują torować sobie drogę do ulicy Toledo. Przychodzi kolej na kobiety, czekające w oknach z garnkami gorącego oleju i wrzątku – konie stają dęba i zrzucają poparzonych jeźdźców, których wrzaski milkną, kiedy cywile dopadają ich, mordują i ćwiartują bez litości. Z okien lecą też donice, butelki i meble. Kule strzelców – dragon z Luzytanii i walońscy gwardziści strzelają celnie, jak na zawodowców przystało – dziurawią hełmy i pancerze, a ilekroć jakiś Francuz spina konia i rusza galopem w stronę Puerta Cerrada, stręczyciele z burdeli, dziewczyny z zajazdów, szanowane gospodynie domowe i pałający gniewem gospodarze, nie zważając na końskie kopyta, wleczeni po ziemi, uczeplieni siodeł i końskich grzyw jednoczą swe siły, próbując rzucić jeźdźca, uderzyć go czymkolwiek, obić kijem lub rozplatać brzuch nożem. Kiedy María Delgado Ramírez, czterdziestoletnia mężatka, staje naprzeciw francuskiego kawalerzysty z sierpem w dłoni, kula roztrzaskuje jej kość prawego uda. Jedna z kul trafia w usta Marię Gómez Carrasco, a od

ciosu pałasza pada czterdziestodziewięcioletnia Ana María Gutiérrez z ulicy Ribera de Curtidores. Obok śmiertelną ranę otrzymuje dwudziestoletni Mariano Córdova, urodzony w Arequipie Peruwiańczyk, więzień toledańskiej twierdzy, który zbiegł dziś rano, by przyłączyć się do walczących. Manola Ramos y Ramos, dwudziestoletnia dziewczyna z gminu, panna, z ulicy Estudio, została cięta w ramię w tej samej chwili, gdy zamierzała żelaznym rożnem zrzucić z siodła francuskiego kirasjera. Obok niej padają: pomocnik murarza Antonio González López, biedny jak mysz kościelna, żonaty, ojciec dwóch synów; węglarz z Galicji Pedro Real González i miejscowi zawadiacy, José Meléndez Moteño i Manuel García z ulicy Paloma. Benita Sandoval Sánchez, dwudziestoosmioletnia handlarka rybami, walcząc ramię w ramię ze swoim mężem Juanem Gómezem, z okrzykiem „francowate żabojady!” chwyta konia za wędzidło i wbija mu w szyję nożyce do sprawiania ryb: padają na ziemię i koń, i jeździec, a zanim ten drugi zdoła się pozbierać, kobieta dziobie go nożycami po twarzy i wykluwa oczy, po czym obraca się ku kolejnym nadjeżdżającym. Tuż obok z nożami w dłoniach, umazani francuską krwią, biją się niejaki Miguel Cubas Saldaña, stolarz z Lavapiés, i jego przyjaciele: właściciel pralni Manuel de la Oliva i szklarz Francisco López Silva. A jeszcze jeden kompan, robotnik Juan Patiño, czołga się po ziemi, podtrzymując wypadające wnętrzności i próbując uniknąć końskich kopyt.

– Odwagi! Za Hiszpanię i króla Ferdynanda!

Markiz de Malpica, wystrzelawszy z pistoletu wszystkie ładunki, chwyta w dłoń szablę, opuszcza bezpieczną bramę i przyłącza się do walki wraz z wiernym sługą Olmosem i innymi ze swego oddziału, ale po paru krokach cofa się przerażony. Mimo że w żołnierskim życiu wiele doświadczył, nie jest przygotowany na to, co widzi. Kobiety i mężczyźni z twarzami pociętymi ostrzami szabli wycofują się chwiejnym krokiem,

spadający z koni Francuzi skowyczą jak zarzynane zwierzęta, tym już leżącym na ziemi madrytczyzy podcinają gardła, a wiele koni z rozplatanymi brzuchami biega tam i nazad, tratując własne wnętrzości. Oficer kirasjerów, pozbawiony hełmu straconego w walce, z przerażeniem w oczach toruje sobie drogę, wymachując pałaszem i wciąż spinając konia ostrogami.

Wierny Olmos, kobieta z tasakiem i chwacki Cubas Saldaña rzucają się pod kopyta konia, który tratuje ich i poniewiera, choć Cubasowi udaje się dosięgnąć ostrzem noża brzucha Francuza. Jeździec traci równowagę, co pozwala jednemu z walońskich gwardzistów – Polakowi Lorenzowi Lelece – strącić go uderzeniem bagnetu, zanim sam zginie od cięcia pałaszem w kark. Francuski kawalerzysta pada z łoskotem na ziemię, a markiz de Malpica w przyływie żołnierskiego honoru przystawia mu ostrze szabli do twarzy i prosi o poddanie. Francuz przyjmuje propozycję, pojmując raczej gest niż towarzyszące mu słowa, w tej samej chwili podchodzi cała we krwi i utykająca na jedną nogę kobieta z tasakiem, którym rozłupuje kirasjerowi głowę aż po zęby.

– Kiedy przyjdą z pomocą nasi żołnierze, panie markizie?

– Już niedługo – szepcze de Malpica, patrząc na Francuza.

Po drugiej stronie bramy Toledo grają trąbki, narasta tętent galopującej kawalerii i markiz, rozpoznając sygnał bojowy, niespokojnym wzrokiem spogląda ponad otaczającym go kłębowiskiem walki. Zwarta masa lśniącej stali, hełmów, pancerzy i pałaszy wtacza się pod łuk bramy Toledo. Pojmuje, że do tej pory mieli do czynienia jedynie z przednią strażą francuskich wojsk. Prawdziwy atak dopiero się zaczyna.

Nie potrwa długo, myśli.

Kapitan Luis Daoiz stoi zamyślony na dziedzińcu koszar Monteleón, słuchając krzyków tłumu zebranego za bramą i domagającego się broni. Stara się nie zauważać spojrzeń rzuconych przez Pedra Velardego, porucznika Arango i pozostałych dowódców i oficerów, stojących parę kroków dalej, przy drzwiach do sali sztandarowej. Przez ostatnie pół godziny pod bramę arsenału przybyły kolejne grupy cywilów, świeże wiadomości rozchodzą się szybko, w całym mieście słychać nieustanne wystrzały.

Daoiz wie doskonale, że nic nie można zrobić. Madrytscy walczący na ulicach zostaną sami. Koszary zastosują się do otrzymanych rozkazów, bo żaden dowódca nie zaryzykuje kariery i opinii bez wyraźnego polecenia rządu bądź Francuzów – to już w zależności od wyznawanych poglądów. Ferdynand VII przebywa w Bajonnie, a junta rządowa z don Antoniem na czele to słabe i bezwolne ciało, więc niewielu z tych, którzy mają coś do stracenia, opowie się za jedną ze stron, zanim pozna zwycięzców i zwyciężonych. Nie ma nadziei. Tylko spisek oficerów, który pociągnąłby za sobą garnizony w całej Hiszpanii, mógłby doprowadzić do zwycięstwa, teraz jednak wszystko już stracone i biegu rzeczy nie odwróci tych zaledwie kilku niezłomnych. Nawet jeśli otworzyliby bramy arsenału dla oczekujących na zewnątrz, uzbroili ludzi przeciwko Francuzom, na niewiele by się to zdało. Zwiększyliby tylko rozmiary rzezi. A poza tym istnieją rozkazy, dyscyplina i cała reszta.

Rozkazy. Machinalnym gestem Daoiz wyciąga z kieszeni na piersi kartkę, którą otrzymał od pułkownika Navarro Falcóna przed opuszczeniem naczelnego sztabu artylerii, rozkłada ją i czyta po raz enty.

Pod żadnym pozorem nie wolno podejmować działań bez rozkazu zwierzchników, bratać się z cywilami ani okazywać wrogości wojskom francuskim.

Rozgoryczony kapitan artylerii zastanawia się, jak wobec zaistniałych okoliczności tłumaczyć się będą przed Muratem minister ds. wojny, wódz naczelny i dowódca miejskiego garnizonu. Daoiz wyobraża to sobie bez trudu, jakby ich słyszał: ten motłoch i jego niskie instynkty, Wasza Wysokość. Głupi, ciemny lud, angielscy podżegacze. I tak dalej. Liżą buty Francuzowi, nie bacząc na okupację, na uwięzionego króla, na potoki krwi. Krwi hiszpańskiej, jakkolwiek by na to patrzeć, przelewanej z sensem czy bez sensu – dziś sens jest najmniej istotny – przez bezbronny lud, do którego strzelają. Na wspomnienie wczorajszego incydentu w gospodzie „Genieys” w Daoizie narasta poczucie upokorzenia. Boli urażony honor. Och, ci bezczelni francuscy oficerowie, naigrawający się z nieszczęsnego narodu... Jakże teraz żałuje, że nie chwycił za broń! I jak będzie tego żałował jutro!

Zaskoczony Daoiz spogląda na kartkę z rozkazem spoczywającą u jego stóp. Nie pamięta, żeby ją podarł, ale pomięte kawałki papieru leżą na ziemi. Wreszcie, jakby budząc się z dręczącego go snu, rozgląda się wokół, dostrzega zdziwienie Velardego i reszty, pełne nadziei spojrzenia kanonierów i żołnierzy. Niemal czuje, jak kamień spada mu z piersi, ma nawet chęć się roześmiać. Nie pamięta, żeby kiedykolwiek czuł taki spokój i pewność. Prostuje się, sprawdza, czy ma zapięte guziki u kurtki i peleryny, wyciąga szablę z pochwy i wskazuje bramę.

– Wydać broń! Przystępujemy do walki! Tam za bramą stoją nasi bracia!

Prócz księdza z Fuencarral, ciężko rannego i zabranego z pobojuwiska przez wiernych parafian, niedaleko Puerta del Sol walczy jeszcze jeden kapłan: don Francisco Gallego Dávila. Kapelan z klasztoru Encarnación wypadł na ulicę wcześniej rano: najpierw walczył dzielnie na dziedzińcu pałacowym, potem przy kościele Buen Suceso, a teraz wraz z grupką

cywilów ucieka ze strzelbą w rękę w stronę ulicy Flor. Znajomy kapłana, stajenny z Królewskich Stajni, Rodrigo Pérez, widzi, jak ten zachęca mieszkańców, by chwycili za broń w obronie Boga, króla i ojczyzny.

– Niech ksiądz stąd idzie, don Francisco... Zabiją tu księdza, to przecież nie jest miejsce dla kapłana. Co powiemy siostram z Encarnación?

– Do diaska z siostrami! Dzisiaj moim miejscem jest ulica. Więc albo się przyłącz do walki, albo schowaj się w domu.

– Wolę pójść do domu, jeśli ksiądz pozwoli.

– Idź z Bogiem i już nam nie przeszkadzaj.

Wielu uciekinierów otacza kapłana, podbudowanych widokiem tonsury, sutanny i jego zdecydowaną postawą. Wśród nich są pięćdziesięciodwuletni pocztalion Pedro Linares z francuskim bagnetem w rękę i pistoletem bez kul u pasa oraz trzydziestoletni szewc Pedro Iglesias López z ulicy Olivar, uzbrojony we własną szablę, którą pół godziny wcześniej zabił wroga na rogu ulicy Arenal.

– Ruszamy do boju! – nawołuje ksiądz. – Nikt nie powie, że Hiszpanie to tchórze.

Cała grupa – sześciu mężczyzn i chłopiec, uzbrojonych w noże, bagnety i dwa karabiny zdobyte na francuskich dragonach – podąża śmiało w stronę ulicy Capellanes, gdzie, schowani za jednym z kamiennych słupków wokół fontanny, strzelają z karabinów trzej żołnierze, wymieniając się na czas ładowania broni.

– No i mamy w końcu naszych wojaków! – krzyczy uradowany don Francisco Gallego.

Rozczarowanie nadchodzi bardzo szybko. Pierwszy z wojskowych to starszy sierżant Korpusu Weteranów, Victor Morales Martín, lat pięćdziesiąt pięć, który wyszedł na ulicę na własną rękę, opuszczając bez pozwolenia koszary przy ulicy Ballesta razem z kilkoma towarzyszami, z którymi

rozdzielił się w czasie walk. Dwaj następni to młodzi żołnierze, ubrani w niebieskie kurtki z kołnierzami w takim samym kolorze i z czerwonymi wyłogami, z białym krzyżem na czerwonej kokardzie kapeluszy, oznaczającym szwajcarskie regimenty w służbie Hiszpanii. Jeden z nich spieszy poinformować nowo przybyłych – po hiszpańsku, choć z twardym niemieckim akcentem – że on i jego brat, są to bowiem Mathias i Mario Schleserowie z Agrowii, przybyli tu z własnej woli, jako że ich pułk, 6. szwajcarski z Preux, dostał rozkaz nieopuszczania koszar. Oni tam właśnie wracali, kiedy nieoczekiwanie znaleźli się pośród tłumu, zdołali rozbroić paru francuskich maruderów i stąd się tu wzięli. Prowadzą swoją własną wojnę.

– Niech Bóg ma was w swojej opiece, moje dzieci.

– Proszę stąd odejść, księżze. Nadciągają Francuzi. *Ja.*

Istotnie. Od strony placu Celenque idą, rozglądając się ostrożnie, dwaj francuscy dragoni, schowani za grzywami swoich wierzchowców, a za nimi podąża grupka kawalerzystów w granatowych mundurach. Na widok nieprzyjaciół na rogu ulicy Francuzi zatrzymują się i otwierają ogień. Kule żłobią ślady w gipsowych fasadach kamienic.

– Musimy podejść bliżej! – krzyczy kapłan. – Do ataku!

I rusza do przodu, nie zważając na wysiłki starających się go powstrzymać żołnierzy, wywija strzelbą jak maczugą, a za nim biegną ślepo posłuszni cywile. Kolejna francuska salwa, starannie wycelowana, dopada ich na odkrytej przestrzeni i zabija sierżanta Weteranów, śmiertelnie rani Mathiasa Schlesera – który dwa dni temu skończył dwadzieścia dziewięć lat – i rykoszetem rani jego brata Maria, oszołomionego zaś don Francisca Gallega towarzysze odciągają w bezpieczne miejsce. Francuzi nakładają bagnety, a Hiszpanie – ci, którzy przeżyli – biegną przerażeni w stronę placu Descalzas, waląc we wszystkie napotkane po drodze drzwi, choć

żadne się nie otworzą. Szewc Iglesias i pocztylion Linares zdążą umknąć na placyk św. Marcina, ale kapelan, utykając z powodu rany na stopie, zdoła dotrzeć tylko do bramy klasztoru Karmelitanek Bosych. Uderza w nią kolbą strzelby, prosi o pomoc, ale nikt mu nie odpowiada i kapłan staje się łatwym celem dla Francuzów. Pogodzony z losem, odwraca się, odmawiając w duchu akt żalu, gotów oddać Bogu swą duszę. Jednak na widok tonsury i sutanny dowodzący Francuzami oficer, weteran z siwym wąsem, powstrzymuje uniesioną szablą tych, którzy chcieli go zastrzelić.

– Heretycy, przekłęci synowie Lucyfera! – spluwa na nich don Francisco.

Żołnierze biją go dotkliwie kolbami i związanego prowadzą w stronę Pałacu.

Ludzie uciekają nie tylko z placu Descalzas. Nieco dalej na południe, na skraju Plaza Mayor, ci, którym udało się przetrwać szarżę ciężkiej kawalerii przy bramie Toledo, uciekają, kierując się na południe, w stronę Rastro i placu Cebada. Starcie było tak gwałtowne i krwawe, a rzeź tak okrutna, że Francuzi nie mają teraz litości dla nikogo. Pragnąc umknąć przed pałaszami kirasjerów, ledwie żywy markiz de Malpica szuka schronienia w uliczkach przylegających do Cava Baja, podtrzymując wiernego Olmosa, który – stratowany końskimi kopytami – sika krwią jak zarzynane prosię.

– Gdzie idziemy, Wasza Miłość?

– Do domu, Olmos.

– A zabojady?

– Nie martw się. Dzielnie się dziś spisałeś. I ja również, jak mi się wydaje.

Sługa spogląda na swoje spodnie, aż do kolan czerwone od krwi.

– Leje mi się jak z bukłaka.

– Wytrzymaj jeszcze trochę.

Na rogu ulicy Toledo i Sierpe dragon z pułku Luzytanii, Manuel Ruiz García, który wycofuje się razem z trzema żołnierzami Gwardii Walońskiej, Paulem Monsakiem, Gregorem Franzmannem i Franzem Wellerem – wszyscy czterej poznali się dziś, ale zdaje im się, że spędzili razem pół życia – przystaje i ukryty w bramie spokojnie ładuje broń, mierzy, celuje dokładnie i jednym strzałem w pierś strąca na ziemię galopującego z uniesioną szablą Francuza.

– To był mój ostatni nabój – oznajmia Wellerowi.

Po czym wszyscy czterej ruszają biegiem, skuleni, uciekając przed ogniem Francuzów, posuwających się do przodu pod kolumnadą. Z trudem pokonują stromiznę ulicy. Ruiz García zaproponował gwardzistom schronienie w jego koszarach na placu Cebada. Spieszą się, w powietrzu słysząc świst kul i coraz bliższy tętent wierzchowców wroga. Kiedy Monsak, Franzmann i Weller dobiegają do skrzyżowania z ulicą Velas, Weller zauważa, że dragon nie biegnie razem z nimi – odwraca się i widzi go leżącego na plecach na środku ulicy. *Scheisse*, myśli Alzacyjnyk. Gówniane szczęście. Najpierw jego kompan Leleka, a teraz ten Hiszpan. Przez moment chce mu pomóc – może jest tylko ranny – ale rozlegają się kolejne strzały, a kirasjerzy są coraz bliżej. Biegnie więc dalej.

Ścigana przez francuskich kawalerzystów, ściskając w dłoni nożyce do sprawiania ryb, dwudziestoosmioletnia Benita Sandoval Sánchez, która walczyła do końca przy bramie Toledo, przebiega obok ciała dragona Manuela Ruiza Garcíi. W trakcie walki i późniejszej panicznej ucieczki straciła z oczu męża, Juana Gómeza, teraz próbuje umknąć przez bramę Moros, żeby tamtędy przedostać się z powrotem do swojego domu na ulicy Paloma pod numerem siedemnastym. Ale konie prześladowców suną

szybciej niż ona, bo jej w panicznej ucieczce przeszkadza spódnica, którą podtrzymuje wolną ręką. W ostatniej chwili uskakuje w ulicę Humilladero i chowa się w jakiejś sieni, ryglując za sobą drzwi. Stoi nieruchomo w półmroku, serce o mało nie wyskoczy jej z piersi, dyszy po wyczerpującym biegu, nasłuchuje odgłosów z zewnątrz, które za chwilę pozbawiają złudzeń: tętent koni ustaje, słychać gniewne francuskie komendy, a potem dudnienie w drewnianą bramę. Świadoma swojego losu – śmierć to nie najgorsze, co może mnie spotkać, mówi sobie w duchu – kobieta wbiega w panice po schodach, dobija się po kolei do wszystkich drzwi, a kiedy w końcu dostrzega jedne uchylone, wpada do tego mieszkania. Z dołu dochodzi huk pękającej bramy i tupot ciężkich butów na drewnianych stopniach. W mieszkaniu nikogo nie ma, Benita na próżno przebiega wszystkie pokoje, szukając pomocy, po czym wychodzi na korytarz, by stanąć oko w oko z kirasjerami, którzy demolują wszystko po drodze.

– *Viens, salope!*³

Najbliższe okno jest za daleko, nie da się więc wyskoczyć na ulicę, kobieta rozcina nożycami twarz pierwszego z Francuzów, który chce jej dotknąć. Potem cofa się i próbuje bronić, osłonięta dookoła meblami. Rozwścieczeni oporem dziewczyny, cesarscy dziurawią ją pałaszami i uznawszy za martwą, zostawiają w kałuży krwi. Właściciele domu znajdują ją później żywą, mimo wielu odniesionych poważnych ran. Cudem odratowana w szpitalu Orden Tercera, Benita Sandoval spędzi resztę życia otoczona szacunkiem sąsiadów, a wśród pospólstwa cieszyć się będzie sławą bohaterskiej uczestniczki okrutnej rzezi przy bramie Toledo.

Kolejna grupa cywilów ucieka w stronę ulicy Cerrillo del Rastro, cesarscy kirasjerzy depczą im po piętach. Wśród uciekinierów jest chwacki Miguel Cubas Saldaña, jego kompani Francisco López Silva i Manuel de la

Oliva Ureña, piętnastoletni nosiwoda José García Caballero, Vicenta Reluz z ulicy Manguiteros i jej jedenastoletni syn Alfonso Esperanza Reluz. Wszyscy, nawet ten mały chłopiec, uczestniczyli w potyczce przy bramie Toledo i wszyscy próbują ocalić życie, na przeszkodzie staje im jednak nadciągający ulicą Embajadores oddział kawalerzystów, bez pardonu siekący szablami. Od ciosu w głowę pada García Caballero, szabla dosięga Manuela de la Oliveę, kiedy ten próbuje przeskoczyć przez płot, reszta ucieka w stronę placu Cebada, gdzie ciągle dochodzi do pojedynczych starć między cywilami i kawalerzystami. Miguel Cubas Saldaña znajduje schronienie w kościele św. Izydora, ale Francisco López ma mniej szczęścia: Francuzi dopadli go i pobili kolbami karabinów, zgruchotawszy mu kości. Na schodach kościoła, kiedy odwracał się, by rzucić kamieniem, pada i umiera trafiony kulą mały Alfonso Esperanza, a jego matka, próbując osłonić syna, zostaje ranna.

Podczas marszu do centrum miasta ciężka kawaleria, która wyruszyła z Carabancheles i podąża ulicą Toledo, oraz piechota, która podchodzi od Casa de Campo przez ulicę Segovia, napotkają jeszcze jedno ognisko oporu – przy Puerta Cerrada. Francuzi stają się celem dla strzelających z okien i tarasów oraz dla cywilów nękających ich atakami z bocznych uliczek. Kawalerzyści przypuszczają bezlitosne szarże, w których życie traci sporo ludzi, w paru kamienicach wybuchają pożary, a w składzie prochu znajdującym się na placu dochodzi do wybuchu, w wyniku którego umiera spalony żywcem pracownik prochowni Mariano Panadero. W walce ginie od kuli szewc z Galicji Francisco Doce, zamieszkały na ulicy Nuncio oraz José Guesuraga de Ayarza, urodzony w Zornozie Joaquín Rodríguez Ocaña – trzydziestoletni pomocnik murarza, żonaty, ojciec trojga dzieci – i Francisco Planillas z Crevillente, któremu, mimo odniesionych ran, uda się przeczołgać w pobliże domu na ulicę Tesoro, gdzie wykrwawiwszy się,

umrze, nie doczekawszy pomocy. Życie traci również Asturyjczyk z Llanes Francisco Teresa, kawaler, którego matka pozostała w rodzinnym mieście: ten odważny mężczyzna, zwolniony ze służby po wojnie o Rousillon, służy obecnie w nowym zajeździe przy ulicy Segovia, a dziś strzela z okna i śmiertelnie trafia francuskiego oficera. Kiedy kończą mu się ładunki, dopadają go Francuzi i najpierw ranią okrutnie, a potem rozstrzelują w bramie kamienicy.

Przemarsz wojsk cesarskich nie postępuje gładko, bo nawet główne ulice, prowadzące do centrum miasta, nie są do końca bezpieczne. Kapitan Marcellin Marbot, który po pierwszym ataku na Puerta del Sol próbuje nawiązać kontakt z generałem Rigaudem i jego kirasjerami, musi zatrzymać się i zsiąść z konia na placu Provincia, czekając, aż piechota utoruje drogę. Nauczony przykrym doświadczeniem wcześniejszych zasadzek, żołnierze posuwają się powoli i ostrożnie, przyklejeni do ścian domów, niepewnie wychylając się zza węglów, z bronią wycelowaną w okna i dachy, strzelając do każdego dostrzeżonego człowieka – mężczyzny, kobiety czy dziecka.

– Można przejść bez problemów? – Marbot zapytuje kaprała piechoty, który pokazuje, by ruszali do przodu.

– Przejść można – oschle odpowiada kapral. – Za problemy nie biorę odpowiedzialności.

Młody kapitan ze sztabu głównego spina konia ostrogami i rusza ostrożnym kłusem razem z eskortą dragonów. Udaje się im dojechać tylko do ulicy Lechuga, gdzie zatrzymują się na widok strzelców schowanych za barykadami z wozów i końskich trupów. Dalszą drogę, informują fizyliery, znacznie utrudniają niespodziewane ataki cywilów wypadających z bocznych uliczek i strzelcy ulokowani w oknach i na dachach.

– Kiedy będę mógł przejechać?

– Nie mam pojęcia – odpowiada sierżant z kolczykami w uszach, siwym wąsem i twarzą usmoloną prochem. – Musi pan poczekać, aż wyczyścimy ulicę... Lepiej nie kusić losu.

Marbot rozgląda się. Pod ścianą siedzą trzej francuscy żołnierze, ich bandaże nasiąkły krwią. Czwarty leży na brzuchu w szaroczerwonej kałuży, a nad nim unosi się brzęczący rój much. U wylotów przecznic leżą trupy, których nikt nie ośmiela się usunąć.

– Kiedy dotrze tu nasza kawaleria?

Sierżant dłubie w nosie. Wygląda na bardzo zmęczonego.

– Sądząc po strzałach i krzykach, muszą być niedaleko. Ale ponoszą ogromne straty.

– Walcząc przeciwko kobietom i dzieciom? Na Boga, przecież to ciężka kawaleria!

– Co pan opowiada! Walczą przeciw wściekłym szaleńcom, z takimi wszystko jest możliwe. I trzeba czasu, żeby ich wytłuc.

W tym samym czasie, gdy kapitan Marbot próbuje wypełnić swoją misję, zaczynają się pierwsze zorganizowane represje wobec mieszkańców Madrytu. Prócz natychmiastowych egzekucji, dobijania rannych i strzelania do bezbronnych gapiów Francuzi strzelają też bez uprzedzenia do cywilów schwytanych z bronią w rękę. Taki los spotyka trzydziestoletniego kamieniarza Vicenta Gómeza Sáncheza, złapanego po potyczce przed kościołem św. Gila i rozstrzelanego przy wodociągach Leganitos. Zginą tak również ogrodnicy księżnej de Frías, Juan José Postigo i Juan Toribio Arjona, schwytani przez cesarskich po rzezi przy Recoletos. Wyprowadzono ich z ogrodu, w którym się ukrywali, aż za Puerta de Alcalá, obok areny do walk z bykami, i tam najpierw do nich strzelano,

a potem zakłuto bagnetami, podobnie jak garncarzy, braci Miguela i Diega Mansa Martína, i syna Diega, Miguela.

Około dwunastej trzydzieści poza nielicznymi punktami, gdzie bronią się jeszcze mieszkańcy Madrytu, czyli przestrzenią pomiędzy Puerta Cerrada, ulicą Mayor, placem Antón Martín i Puerta del Sol, ciągnące do centrum kolumny francuskiej armii posuwają się bez większych przeszkód wzdłuż zabezpieczonych wcześniej głównych traktów. Nie poddała się jeszcze ulica Atocha, wzdłuż której zebrali się cywile walczący wcześniej na Prado. Niektórzy opowiadają straszne historie o okrucieństwie Francuzów przy Puerta de Alcalá i w Izbie Celnej przy Recoletos, gdzie uwięziono wszystkich przebywających tam urzędników, bez względu na to, czy uczestniczyli, czy nie uczestniczyli w walkach.

– Zabrali wszystkich – słyhać czyjaś opowieść – Ramireza de Arellano, Requenę, Parre, Calvilla i resztę... I jeszcze ogrodnika markiza de Perales, miał pecha, że też się tam schował. Przyszły żabojady, zabrali im broń i konie i zaprowadzili ich na Prado, pędzili jak bydło. A jak brygadier don Nicolás Galet w mundurze poszedł upomnieć się o swoich ludzi, dostał kulą w udo.

– Znam tego Ramireza de Arellano. Jego żoną jest Manuela Franco, siostra Lucasa. Mają dwoje dzieci, ona jest w ciąży z trzecim... Biedacy!

– Dużo ludzi już rozstrzelali.

– A ilu jeszcze rozstrzelają... Na przykład nas, jeśli nas dopadną.

– Uwaga, wracają!

Dwunastu cywilów i czterech żołnierzy – z pięciu, którzy wyszli z koszar Gwardii Hiszpańskiej, jako że piąty, Eugenio García Rodríguez, zginął pod kratą ogrodzenia Ogrodu Botanicznego – po ataku oddziału dragonów idących z Buen Retiro i kolumny piechoty, nadciągającej aleją

Delicias, broni się, szukając schronienia w przyległych do Atocha uliczkach. Zaczyna się morderczy pościg po zaułkach, bramach i sieniach, w końcu Hiszpanie zostają osaczeni. W ręce Francuzów wpada uciekający w stronę muru przy placu Jezusa Domingo Braña Balbín, dostawca tytoniu do Królewskiego Urzędu Ceł. Trzem biegnącym razem z nim gwardzistom udaje się uciec, przeskakując z domu do domu, rozwalając przepierzenia i skacząc po dachach, tymczasem sewilczyk Manuel Alonso Albis, którego mundur dostrzegli Francuzi, zostaje trafiony kulą i kiedy ze zgruchotanym policzkiem odwraca się, odrzucając strzelbę i wyjmując szablę z pochwy, zostaje trafiony po raz drugi, w pierś, i po tym strzale pada pod murem na tyłach Hospital General. Potem złapią mulnika, Baltasara Ruiza, i rozstrzelają chwilę później przy wodociągach na Atocha. Pozostali, ścigani przez Francuzów polujących z bagnetami, choć stają się łatwym celem dla działa, które ostrzeliwuje górną część ulicy Atocha, do końca siekają szablami, utraciwszy wszelkie nadzieje, padając jeden po drugim. Najdalej zdoła uciec Juan Bautista Coronel, pięćdziesięcioletni muzyk, urodzony w San Juan de Panamá – gdy przebiega obok placu Antón Martín, dostaje odłamkiem pocisku w brzuch i udo. Inni z tej grupy, José Juan Bautista Montenegro, Galisyjczyk z Mondoñedo Juan Fernández de Chao i dziewiętnastoletni szewc José Peña, osaczeni i bez amunicji, podnoszą ręce i kapitulują przed Francuzami. Po południu wszyscy trzej zostaną rozstrzelani – jak wielu innych – na wzgórzu Buen Retiro.

W Hospital General, na rogu ulicy Atocha, nieopodal bramy o tej samej nazwie, dzisiejszego ranka w obawie przed rozszalałym motłochem ukryło się dwa tysiące chorych i rannych Francuzów – teraz dziewiętnastoletni sanitariusz Serapio Elvira przyniósł tu z ulicy swego kompana, któremu kula strzaskała dwa żebra, gdy obaj zbierali rannych na placu Antón Martín. Zostawiwszy towarzysza w rękach chirurga, Elvira idzie korytarzem

pełnym rannych i konających, szukając pielęgniarza, który odważy się wyjść na ulicę. W tym samym momencie głównymi schodami wchodzi instrumentariusz z oddziału chirurgii.

– Francowate żabojady chcą rozstrzelać więźniów w kuchni – wrzeszczy.

Serapio Elvira zbiega po schodach wraz z innymi i widzi sierżanta wojsk cesarskich, który z pomocą swojego oddziału prowadzi chłopca od różna, kuchennych i chorych, którzy przed chwilą rzucili się z nożami na Francuzów. Niewiele myśląc, Elvira chwyta nóż do ćwiartowania mięsa i zamierza się nim na podoficera, ten zaś wyciąga szpadę i tnie pielęgniarza. Młodzieniec pada, reszta żołnierzy dobywa szabel i wszyscy kuchenni, w przeważającej części Asturyjczycy, rzucają się na nich razem z chorymi i paroma instrumentariuszami, zwabionymi hałasem. Po stronie Hiszpanów, prócz Serapia Elviry, życie traci dziewiętnastoletni Francisco Labra, a ranni zostają jego towarzysze: szesnastoletni Francisco Blanco Encalada, trzydziestodwuletni Silvestre Fernández i dwudziestodwujęcioletni José Pereira Méndez oraz chirurg José Quiroga, zatrudniony w pralni Patricio Cosmea, sprzątacznik Antonio Amat i sanitariusz Alonso Pérez Blanco, który parę dni później umrze z powodu odniesionych ran. Wspólnymi siłami, tłukąc i raniąc, udaje im się jednak usunąć Francuzów. Kuchenny pomocnik Vicente Pérez de Valle, krzepki chłopak urodzony w Cangas, staje naprzeciw francuskiego podoficera z żelaznym rożnem w dłoni, na co Francuz rzuca szablę i wraz z resztą oddziału ucieka, mocno poturbowany.

– Francowate żabojady! Nie wazcie się tu wrócić!

Ale Francuzi wracają, co gorsza, dysząc żądzą zemsty. Poturbowany podoficer – teraz z zabandażowaną głową i zaślepiiony wściekłością – poprosiwszy o wsparcie na piętrze, wraca na czele plutonu grenadierów, wbiega do kuchni z nałożonym na karabin bagnetem i wskazuje tych,

którzy wyróżnili się walecznością w trakcie poprzedniego starcia. Do wodociągów przy Atochy zabierają więc, w samej koszuli i na bosaka, Péreza del Valle i drugiego kuchennego oraz pięciu instrumentariuszy z chirurgii. W spisanej później relacji dotyczącej wypadków tego dnia naoczny świadek, sędzia Pedro la Hera, zaświadczy, że „żaden z nich nie wrócił potem do szpitala, ani nikt już o nich później nie słyszał”.

Wizja obrony arsenału bardzo niepokoi kapitana Daoiza. Kiedy otworzono bramę i rozdano karabiny, większość z tych, którzy domagali się broni, chwyciła ją i ruszyła w miasto, gotowa bić się na własną rękę; wielu zaś, nieobytych z bronią palną, zabrało tylko szable i bagnety. Wspólnymi siłami Daoiz, kapitan Velarde i pozostali oficerowie zatrzymali trochę cywilów, przekonując ich, że tu bardziej się przydadzą. W gorącej dyskusji w sali sztandarowej chłodna дума Daoiza starła się z ekstatycznym uniesieniem Velardego i jego absolutną pewnością, że kiedy w innych koszarach dowiedzą się o walce rozpoczętej w Monteleón, hiszpańskie wojsko wyjdzie na ulice.

– Czy nasza walka do czegoś się przyda? – pytał jeden z towarzyszy, kapitan artylerii José Córdoba. – Jest nas garstka.

– Naszym przykładem zachęcimy innych – tak brzmiała optymistyczna odpowiedź Velardego. – Żołnierski honor nie pozwoli żadnemu z wojskowych na pozostawienie nas samych.

– Tak sądzisz?

– Od tego zależy moje życie. A raczej nasze życie.

Sceptyczny Daoiz, zawsze ostrożny i rozsądny, bardzo wątpi, by tak się stało. Jest świadom zarówno obojętności i zamętu panujących w armii, jak i moralnego tchórzostwa najwyższych dowódców. Wie doskonale – wiedział to w chwili podjęcia decyzji o wydaniu broni cywilom – że ci,

którzy podejmą walkę w obronie arsenału, będą walczyć samotnie. Dla honoru, koniec, kropka. Co więcej, niewiele jest w Madrycie miejsc trudniejszych do skutecznej obrony. Monteleón to nie koszary, tylko cywilny budynek, a właściwie zespół budynków: dawny pałac książąt de Monteleón, przekazany przez Godoya na potrzeby artylerii. Pół miliona stóp kwadratowych w zasadzie nie do obronienia, otoczonych nawet nie solidnym murem, lecz ogrodzeniem, równie niewysokim, co słabym, w kształcie kwadratu: od tyłu wzdłuż ulicy Rondas, od zachodu wzdłuż ulicy św. Bernarda, od wschodu wzdłuż św. Andrzeja, a od południa wzdłuż św. Józefa. Arsenał, otoczony budynkami i wzniesieniami, które nad nim górują, pozbawiony jest możliwości dogodnej obserwacji okolicznego terenu, nie licząc paru okien na trzecim piętrze budynku, dość oddalonego od ogrodzenia, skąd można zobaczyć jedynie kawałek ulicy św. Józefa, co oznacza, że strażę ostrzegające o nadchodzących siłach wroga trzeba wystawić w pobliskich kamienicach albo – zupełnie nieosłonięte – na ulicy. Prócz tego, z wyjątkiem żołnierzy z Korpusu Ochotników i paru kanonierów, ewentualnym obrońcom brakuje wojskowej dyscypliny i doświadczenia. I na domiar złego, według informacji przekazanych właśnie przez sierżanta Rosenda de la Lastra, działa zaopatrzone w zaledwie dziesięć worków prochu, a kolejnych dwadzieścia jest dopiero naprędce przygotowywanych, i co prawda nie brakuje kul różnych kalibrów, jednak nie ma granatów ani kartaczy. Świadom tych okoliczności, Luis Daoiz wie, że nie wchodzi w rachubę żadne zwycięstwo, a wszystkie podjęte przez niego działania co najwyżej odroczą klęskę. Jeśli Francuzi przypuszczą atak, Monteleón wytrwa dopóty, dopóki starczy desperacji jego obrońcom.

– Za pozwoleniem, panie kapitanie – odzywa się porucznik Arango. – Podzieliłem ludzi na oddziały, zgodnie z rozkazem... Kapitan Velarde

rozstawia ich na stanowiskach.

– Ilu ich jest?

– Trochę ponad dwustu cywilów na ulicy i na terenie arsenału, choć ciągle dołączają okoliczni mieszkańcy... Do tego trzeba dodać żołnierzy z Korpusu Ochotników, artylerzystów z tutejszej załogi i pół tuzina oficerów, którzy przyszli nas wesprzeć.

– Czyli mniej więcej trzystu – podsumowuje Daoiz.

– Tak... no, może trochę więcej...

Arango, stojąc na baczność przed Daoizem, czeka na rozkazy. Kapitan obserwuje jego twarz, na której widać zaniepokojenie przygotowaniami do obrony, i czuje coś na kształt wyrzutów sumienia. Młody oficer, nie mając nic wspólnego z jakimikolwiek spiskami, znalazł się tu, bo dziś przypadał dzień jego służby, i może poczuł się rozgoryczony, że wszystko przygotowano za jego plecami. Dowódca arsenału nie wie nawet, co sądzi Arango o francuskiej okupacji ani o środkach, które zostaną przedsięwzięte, i nie zna jego politycznych przekonań. Widzi tylko, jak wypełnia jego rozkazy, i tylko to się liczy. Tak czy inaczej, stwierdza na koniec w duchu, szczęście czy przyszłość tego młodzieńca niewiele go obchodzą. Nie jest wszak jedynym, któremu dziś w Madrycie uniemożliwiono wybór swego przeznaczenia.

– Niech pan każe ustawić blisko bramy dwa działa ośmioletowe i dwa czteroletowe – rozkazuje Daoiz. – Czyste, załadowane i gotowe do strzału.

– Nie mamy kartaczy, panie kapitanie.

– Wiem. Załadujcie je kulami. A poza tym proszę wysłać kogoś, niech poszuka starych gwoździ, kul do karabinów czy czegoś w tym rodzaju... Nawet skałki karabinowe mogą się przydać, a tych mamy sporo. W ostateczności niech nimi wypchają worki kartaczowe.

– Tak jest.

Kapitan przygląda się kobietom, które stoją na dziedzińcu pośród mężczyzn. W przeważającej części są krewnymi żołnierzy albo uzbrojonych cywilów: to matki, żony i córki, mieszkanki okolicznych ulic, które zjawiły się tu, by towarzyszyć swoim bliskim. Niektóre z nich pod komendą podoficera artylerii José Montaña znoszą prześcieradła, kapy i obrusy, a potem drą je, przygotowując stos szarpi i bandaży do opatrywania rannych. Inne otwierają skrzynki z amunicją i wrzucają garście ładunków do wiklinowych koszy i kobiałek, a potem zanoszą je mężczyznom zajmującym osłonięte pozycje w budynkach arsenału albo na ulicy.

– Jeszcze jedno, Arango. Proszę postarać się wyprowadzić stąd te kobiety, zanim zjawią się Francuzi... To nie jest miejsce dla nich.

Porucznik wzdycha ciężko.

– Już próbowałem, panie kapitanie. Śmieją mi się w nos.

Naprzeciwko bramy arsenału i w zupełnie innym nastroju niż Luis Daoiz niezmordowany Pedro Velarde nadzoruje rozstawienie strzelców, a za nim krok w krok postępują wierni jak cień pisarze wojskowi Rojo i Almira. Sama obecność Velardego i jego płomienny zapach, widoczny na każdym kroku, rozpalają żołnierzy i cywilów, żywiołowo wyrażających swoje poparcie i gotowych pójść za nim nawet do piekła. Kapitan jest jednym z niewielu dowódców – a dziś widać to aż nadto – którzy potrafią zarazić entuzjazmem swoich podwładnych. Potrafi nawet nauczyć się od ręki nazwisk wszystkich podległych mu osób i teraz zwraca się do nich – w tym nawet do najbardziej niemrawych cywilów i wojskowych żółtodziobów – tak jakby przewalczył z nimi całe życie.

– Pogonimy Francuzów z tym, co tu mamy! – przechodzi od grupy do grupy, zacierając ręce. – Francuziki nie mają pojęcia, co ich tu czeka!

Jego słowa dodają wszystkim otuchy, ludzie stawiają sobie za punkt honoru wypełnienie rozkazów. Dzięki zachętom i zdecydowanej postawie kapitana niepewni swego losu cywile, samozwańcze oddziały złożone niemal w całości z prostych ludzi, skromnych handlarzy, rzemieślników, miejskich cwaniaczków, kelnerów, oberżystów, lokajów i biedaków, którzy po raz pierwszy w życiu mają muszkiet w ręku – niektórzy poddali się zwątpieniu, widząc, jak z bronią na ramieniu odchodzą ci, z którymi wystawali pod bramą arsenału – nabierają świadomości zbiorowej, organizują się i wspierają jedni drugich, wypełniają polecenia i zadowoleni ruszają tam, gdzie zostają wysłani.

– Trzeba przystawić te rusztowania do ogrodzenia, najlepiej przy bramie, żeby nasi mogli się tędy wspinać i strzelać górą... Co pan o tym sądzi, Goicoechea?

– Zmieści się tam ledwie czterech czy pięciu.

– Cztery czy pięć karabinów tam, u góry, to całe mnóstwo.

– Tak jest.

W porozumieniu z kapitanem z Korpusu Ochotników Velarde podzielił na pół oddział żołnierzy przybyłych z koszar przy ulicy Mejorada, wzmacniając ich grupami cywilów. Piętnastu z trzydziestu trzech strzelców, pod wodzą porucznika José Ontorii i podporucznika Tomasa Bruguery strzeże tyłów arsenału – kuchni, warsztatów i stajni, przylegających do ulic św. Bernarda i Ronda. Reszta żołnierzy, dowodzona przez Goicoecheę i jego adiutanta Francisca Alveró, wraz z grupą cywilów pod wodzą majstra murarskiego Francisca Maty, kiedy już zacznie się bitwa, zajmie kilka okien, z których widać główne wejście arsenału, bramę i ulicę św. Józefa. Pozostałych cywilów Velarde zostawia pod wodzą tych, którzy przybyli na

ich czele, ale pod dowództwem kapitanów Cónsula, Cordoby, Roviry i Dalpa. Wyznacza im pozycje przy ogrodzeniu i w prywatnych kamienicach po drugiej stronie ulicy, pod osłoną bram i sieni, albo usadawia za barykadami ustawionymi z mebli, tobołków, materaców i innych sprzętów wyniesionych przez okolicznych mieszkańców. Wysyła również grupy cywilów na róg ulic św. Bernarda i św. Piotra, wychodzącej tuż przy klasztorze Maravillas – budynek klasztoru Sióstr Karmelitanek stoi naprzeciwko głównej bramy arsenału – i na róg ulicy Fuencarral z poleceniem, by natychmiast powiadomiono arsenał o pojawieniu się wroga. Na tej pozycji ustawił oddział pod komendą asturyjskiego studenta José Gutierrez, któremu towarzyszą między innymi fryzjer Martín de Larrea i jego pomocnik Felipe Barrio. Ich zadaniem będzie ostrzeżenie, że wróg się zbliża, a potem wycofanie się, zajęcie pozycji w pobliskich kamienicach i przystąpienie do walki.

– Przede wszystkim niech nikt nie waży się strzelać bez rozkazu. Jak tylko pojawią się Francuzi, ostrożnie się wycofajcie i powiadomcie nas. Lepiej uderzyć, gdy się tego nie spodziewają... Zrozumiano?

– Tak jest, panie kapitanie. Zobaczyć, a potem cicho i szybko przynieść wiadomość.

– Właśnie. Odmaszerować i zachować czujność! Ku chwale Hiszpanii!

– Tak jest.

– A jakie są nasze zadania, panie kapitanie?

Velarde zwraca się do kolejnej grupy oczekującej rozkazów: to grupa José Fernández Villamila, właściciela zajazdu przy placu Matute, którego ludzie – José Muñiz Cueto i jego brat Miguel, paru innych chłopców z gospody, okolicznych mieszkańców i żebrak z placu Antón Martín – pojawili się z własną bronią po zdobyciu karabinów w wartowni Korpusu Weteranów przy magistracie. Oberżysta i jego ludzie to jedni z niewielu

obecnych na terenie arsenału, którzy zdążyli już dziś powąchać prochu, walcząc w wielu punktach miasta. Dzięki temu czują się pewniej. A co więcej, jak opowiada Fernández Villamil kapitanowi artylerii, jeden z jego chłopców, José Muñiz, jednym celnym strzałem zabił francuskiego oficera. Słuchając tego, Velarde z aprobatą kiwa głową i wina Muñizowi. Wie, co znaczy pochwała przełożonego, zwłaszcza wojskowego i w takich okolicznościach. Podchodzi jeszcze bliżej.

– Powiedzcie mi jedno... Dacie radę na ulicy, w walce wręcz?

– Sam pan zobaczy – chełpi się oberżysta.

– To pytanie nas obraża – obrusza się jego kompan.

Velarde uśmiecha się zadowolony, starając się przybrać minę pozostającego pod wrażeniem tych słów. W to mu graj.

– Nic już nie musicie mówić, i tak zamierzam wam powierzyć kluczowe zadanie... Na razie ukryjcie się naprzeciwko, w klasztornym ogrodzie, ale nie strzelajcie, dopóki nie zacznie się prawdziwa wymiana ognia. Mamy zamiar wyciągnąć działa na ulicę i potrzebujemy, żeby ktoś nas osłaniał. W stosownej chwili wyjdziecie z ogrodu, położycie się na bruku, mierząc w stronę Fuencarral i w stronę św. Bernarda. Jasne? W ten sposób nie pozwolicie Francuzom podejść bliżej i wystrzelać naszych artylerzystów.

– A dlaczego nie wyciągniemy tych dział teraz? – pyta zuchwale żebrak z placu Antón Martín.

Wojskowi skrybowie, Rojo i Almira, chodzący krok w krok za Velardem, patrzą na żebraka krytycznym wzrokiem: czerwony nos pijaka, brudne spodnie i stara kapota na lepkiej od brudu koszuli. Palce, kurczowo ściskające lśniący karabin, mają czarne, połamane paznokcie. Velarde uśmiecha się wyrozumiale. W końcu to jeden człowiek więcej. Jeden karabin, jeden bagnet, dwie ręce. Dziś każda para rąk się przyda.

– Jeszcze za wcześnie, żebyśmy ryzykowali, nie wiemy, skąd nadejdzie atak – odpowiada spokojnie. – Wytoczmy je, kiedy będzie jasne, w którą stronę strzelać.

Fernández Villamil i pozostali, pełni entuzjazmu, patrzą na artylerzystę. Wszyscy ślepo mu wierzą.

– Czy przyjdzie więcej wojska, panie kapitanie?

– Oczywiście – odpowiada przekonująco Velarde. – Jak tylko padną pierwsze strzały... Chyba nie sądzicie, że nas zostawią samych?

– Pewnie, że nie! Może pan na nas liczyć, panie kapitanie! Niech żyje król Ferdynand! Niech żyje Hiszpania!

– Niech żyje. A teraz zajmijcie już swoje pozycje.

Kiedy odchodzą, zuchwali i roześmiani jak grupa dzieciaków bawiąca się w wojnę, Velarde czuje w sercu ukłucie niepokoju. Wie, że wysłała ich na niebezpieczną pozycję. Udając, że nie dostrzega znaczących spojrzeń skrybów Roja i Almiry – obaj wiedzą doskonale, że nie ma co czekać na hiszpańskie oddziały – dalej ustawia ludzi na pozycjach, tak jak wcześniej ustalił to z Luisem Daoizem.

– Dobrze, kto dowodzi tą grupą?... To pan jest Cosme, prawda?

– Tak, panie kapitanie – odpowiada węglarz Cosme de Mora, wyraźnie zadowolony z faktu, że oficer zapamiętał jego imię. – Ku chwale ojczyzny, panie kapitanie.

– Czy wszyscy potrafią obsługiwać karabiny?

– Mniej więcej. Ja poluję ze strzelbą.

– To nie to samo. Ci dwaj panowie wyjaśnią w skrócie, jak to działa.

Podczas gdy skrybowie wyjaśniają, w jaki sposób odgryźć ładunek, szybko załadować broń, przymierzyć się do strzału, wycelować i wystrzelić, i znów załadować broń, Velarde przygląda się stojącym wokół.

Niektórzy z nich to ledwie wyrostki, a wśród nich stoi jakiś malec z przerażonymi oczyma.

– A to dziecko?

– To nasz brat, panie kapitanie – odpowiada jeden z chłopców, stojący obok drugiego, bardzo do niego podobnego. – Nie możemy go zmusić, żeby poszedł do domu... Ani prośbą, ani groźbą.

– Tu będzie niebezpiecznie. I wasza matka będzie się martwić.

– Co mamy zrobić? Nie chce sobie pójść.

– Jak się nazywa?

– Pepillo Amador.

Velarde przestaje się martwić dzieciakiem, ma pilniejsze sprawy do załatwienia. Oto stoi przed nim najliczniejszy z oddziałów przybyłych do Monteleón, a na twarzach mężczyzn malują się najróżniejsze uczucia: niepokój, zdecydowanie, zakłopotanie, smutek, nadzieja, odwaga... I naiwna wiara w kapitana, który przed nimi stoi, czy raczej ślepa wiara w jego stopień i mundur. Słowo kapitan brzmi dobrze, wzbudza zaufanie wśród tych ochotników, walecznych, prostych, osieroconych przez króla i rząd, gotowych pójść za tym, kto ich poprowadzi. Wszyscy zostawili swoje rodziny, domy i warsztaty, śmiało przybiegając do arsenału, wiedzeni wściekłością, poczuciem honoru, miłością do ojczyzny, odwagą i nienawiścią do francuskiej buty. Już niedługo, myśli sobie Velarde, wielu z nich nie będzie żyło. Pewnie i on podzieli ich los. Milczy zamyślony, aż nagle przypomina sobie o utkwionych w nim wyczekujących spojrzeniach. Prostuje się, podnosi głos.

– Jeśli chodzi o bagnety i białą broń – dodaje – to w przypadku mężczyzn takich jak wy zbyteczne jest chyba wyjaśnianie czegokolwiek.

Ta pochwała odnosi skutek: twarze się rozjaśniają, słychać śmiechy, mężczyźni poklepują się po plecach. Ani jeśli chodzi o bagnety, ani jeśli

chodzi o noże, chełpią się niektórzy, uderzając w rękojeści sprężynowców noszonych za pasem. A jeśli ktoś nie wierzy, to niech zapyta żabojadów.

– Dobrą stroną tej broni jest to – kończy Velarde, chwytając za rękojeść szabli – że nigdy się nie kończy ani nie potrzebuje prochu... No i żaden Francuz nie włada nią tak doskonale jak Hiszpanie!

– Żaden!!

Odpowiada mu gromki okrzyk. I tak oto, natchnawszy ich odrobiną entuzjazmu – a kapitan wie doskonale, że podobnie jak strach, tak i odwaga jest zaraźliwa – obsadza grupą węglarza barykady, chodniki i balkony domów przylegających do arsenału i do klasztornego ogrodu, nakazując, by walczyli na jak największej powierzchni przy zbiegu ulic św. Józefa i św. Bernarda.

– Co pan o tym wszystkim sądzi, panie kapitanie? – pyta cicho skryba Almira, z powątpiewaniem kręcąc głową.

Velarde wzrusza ramionami. Ważny jest przykład. Może poruszy sumienia i sprawi, że stanie się cud. Wbrew pesymistycznym zapatrywaniom Daoiza on wciąż wierzy, że jeśli Monteleón stawi opór, hiszpańscy żołnierze nie będą beczynn timer czekać. Wcześniej czy później wyjdą na ulice.

– Trzeba wytrzymać, cokolwiek się wydarzy – odpowiada.

– Tak, ale... Jak długo?

– Tyle, ile damy radę.

Prowadząc cichą rozmowę, kapitan i wojskowy skryba podążają w stronę ochotników. W tej grupie, składającej się w sumie z piętnastu mężczyzn i chłopców, są: cyrulik Jerónimo Moraza, woźny sądowy Félix Tordesillas, stolarz Pedro Navarro, sprzedawca napojów z ulicy Hortaleza José Rodríguez – wraz ze swoim synem Rafelem – oraz bracia Antonio

i Manuel Amador, którym towarzyszy Pepillo, jedenastoletni braciszek, targający z sobą ciężki kosz wyładowany nabojami.

Otrzymawszy karabin i paczkę ładunków, osiemnastoletni Francisco Huertas de Vallejo, syn dobrze sytuowanej rodziny z Segowii, idzie zająć wyznaczoną mu pozycję: balkon na pierwszym piętrze naprzeciwko ogrodzenia arsenału. Z tego miejsca może obserwować skrzyżowanie z ulicą św. Bernarda. Towarzyszy mu dwóch mężczyzn: uzbrojony w karabin szczupły młodzieniec w okularach, który po ceremonialnym uściśnięciu dłoni przedstawia się jako Vicente Gómez Pastrana, z zawodu zecer, oraz właściciel tego domu, uśmiechnięty, z siwymi bokobrodami i w słusznym wieku, w myśliwskich sztylpach, z fuzją i dwiema ładownicami przewieszonymi przez pierś.

– To najlepsze miejsce – objaśnia myśliwy. – Jak tylko Francuzi ukażą się na rogu, mamy ich na muszce.

– Dobrze się pan uzbroił.

– Wybierałem się rano w okolice Fuencarral razem z moim psem. Ale w końcu postanowiłem zostać... To lepsze niż strzelanie do królików.

Myśliwy, który przedstawia się jako Francisco García – dla przyjaciół i znajomych, dodaje, don Curro – zdaje się nigdy nie tracić dobrego humoru i nie przejmować zbyt wiele losem swych domowych sprzętów. Z pomocą Francisca Huertasa i młodego zecera odsuwa meble, żeby zrobić więcej miejsca przy balkonie, i zasłania żelazną balustradę dwoma zwiniętymi materacami, tworząc rodzaj zapory, na wypadek gdyby, jak sam mówi, trafiła tu zbłąkana kula. Potem zabiera porcelanowe naczynia i obraz Jezusa Nazareńskiego wiszący obok kredensu i wszystko to wynosi w głąb mieszkania, do sypialni. Rozgląda się dookoła, zaciera ręce i puszcza oko do towarzyszy.

– Wysłałem żonę do siostry. Nie chciała jechać, ale udało mi się ją przekonać. Mam nadzieję, że nie będzie za dużo zniszczeń... Po co żona ma się martwić.

Trzej mężczyźni patrzą przez balkon i widzą, jak uzbrojeni cywile zajmują pozycje w ogrodzie przy Maravillas, kładą się na chodniku pod ogrodzeniem albo po drugiej stronie ulicy. Ktoś biegnie, ktoś krzyczy, słychać sprzeczne rozkazy, ale wszyscy trzymają się w ryzach. Białe mundury Korpusu Ochotników migają w oknach jedyne go budynku na terenie arsenału, który stoi blisko ogrodzenia, a w bramie widać granatowe plamy artyleryjskich mundurów. Francisco Huertas obserwuje oficera w zielonej kurtce, który wydaje rozkazy przy bramie. Nie zna jego nazwiska, ale i wojskowi, i cywile słuchają go bez szemrania. To wzbudza zaufanie młodego segowianina, który wyszedł dziś rano z domu wuja, don Francisca Lorria – gdzie przebywa, starając się w Madrycie o państwową posadę, w czym mają mu pomóc rodzinne koneksje – z zamiarem przyjrzenia się tylko całemu zamieszaniu, nie oparł się jednak entuzjazmowi tłumu. Kiedy otworzono bramę arsenału i ludzie wtargnęli do środka w poszukiwaniu broni, uznał, że wstyd byłoby zostać na zewnątrz i patrzeć. Poszedł więc tak jak inni i zanim się obejrzał, trzymał w dłoni lśniący karabin, a kieszenie miał wypchane ładunkami.

– Może wychylimy po kieliszeczkę, skoro i tak czekamy, jedno nie przeszkadza drugiemu... Mają panowie ochotę?

Don Curro pojawił się z butelką słodkiej anyżówki, trzema kieliszkami i trzema hawańskimi cygarami. Francisco Huertas pociąga łyk wódki i czuje się o wiele lepiej.

– Pasowałoby – odzywa się zecer – wyprawić na tamten świat jakiegoś żabojada.

– Wypijmy więc i za to – gospodarz mieszkania ponownie napełnia szklanki – i za zdrowie króla Ferdynanda.

Słysząc hałasy na ulicy. Francisco Huertas z cygarem w ustach, choć go nie zapala – nie uważa, by była to stosowna chwila na palenie – duszkiem dopija anyżówkę i podchodzi do balkonu z karabinem w dłoni. Ludzie leżą na ziemi, ci bliżej załomu ulicy już z wycelowanymi karabinami. Paru biegnie w stronę klasztoru Maravillas. Kapitan w zielonej kurtce zniknął za bramą arsenału, która powoli się zamyka, wzbudzając w młodym segowianinie dziwne poczucie osamotnienia. Spogląda w stronę okien budynku naprzeciwko i widzi, że żołnierze Korpusu Ochotników schowali się i zza karabinów dostrzec można tylko ich twarze.

– Murat zaprasza nas na drugie śniadanie, panowie – mówi don Curro, flegmatycznie wydmuchując dym.

Francisco Huertas obserwuje, jak młody zecer gasi cygaro i drżącymi rękoma wsypuje proch do lufy, wrzuca kulę z papierem ładunku i ubija wszystko stemplem. Czując dreszcze przebiegające mu po plecach, ramionach i udach, młodzieniec wykonuje te same czynności, po czym klęka wraz z dwoma towarzyszami za osłoną z materaców, z kolbą przyklejoną do policzka. Czuje woń metalu, drewna i oleju.

Co ja tutaj robię?, zaczyna się zastanawiać, mocno wystraszony.

Z sąsiedniego balkonu ktoś krzyczy, że nadchodzą Francuzi.

Jedynym oddziałem ochotników, który nie zdążył jeszcze dotrzeć do arsenału, jest grupa Blasa Moliny Soriano. W odruchu ostrożnej przezorności, po scenach, których był świadkiem na pałacowym dziedzińcu, ślusarz prowadzi swoich ludzi w milczeniu, nadkładając drogi, stara się bowiem unikać Francuzów, którzy zapewne rozgromiliby jego oddział. Próbuje przemknąć niepostrzeżenie, grupa maszeruje od ulicy

Tudescos do alei św. Pawła, na plac św. Ildefonsa, kluczy w zaułkach i wychodzi na ulicę św. Wincentego, w stronę ulicy Palma i klasztoru Maravillas. Bliskie sąsiedztwo arsenału Monteleón ośmiela Molinę i jego podwładnych, którzy, zapominając o ostrożności, zaczynają wiwatować na cześć Hiszpanii i życzyć śmierci Francuzom. Kiedy jednak wychodzą zza rogu św. Wincentego na ulicę św. Andrzeja, ślusarz unosi dłoń i każe im przystanąć.

– Cisza! – rozkazuje. – Cisza!

Ludzie z oddziału zbierają się wokół, przyklejeni do ściany narożnego domu, i spoglądają w górę ulicy. Nasłuchują. Wiwaty i życzenia śmierci ustały, twarze są bardzo poważne. I Molina, i wszyscy jego ludzie słuchają uważnie odgłosów, które trudno pomylić z czymś innym, doskonale słyszalnych między ciągiem kamienic po obu stronach: złowrogich, suchych, gęstych i regularnych trzasków. Trwa walka w arsenale Monteleón.

5

Pomiędzy dwunastą trzydzieści a pierwszą po południu Madryt zostaje przecięty na pół. Od alei Prado aż do Pałacu Królewskiego wszystkie główne aleje pozostają w rękach Francuzów, a cesarska kawaleria, galopując w tę i z powrotem, zdobywa kolejne ulice, przypuszczając gwałtowne szarże, wspierana ogniem dział, strzelających do każdego bez wyjątku Hiszpana, oraz oddziałami piechoty, posuwającymi się naprzód od przecznicy do przecznicy. I choć machina wojenna nabiera rozpędu, daleko jej jeszcze do całkowitego zapanowania nad miastem. Kirasjerzy z brygady Rigauda wciąż czekają przy Puerta Cerrada na przetarcie szlaku. Grupy madrytczyków, atakowane przez francuską artylerię na placach Mayor, Santa Cruz i Antón Martín, pierzchają w pobliskie ulice po każdej salwie, by wrócić, zebrać się i na nowo uderzyć, nękając wroga z bram i sieni. Porzuciwszy nadzieje na zwycięstwo, znaczna część co bardziej rozsądnych obywateli, pozbawionych złudzeń czy przerażonych rozmiarem rzezi, ucieka albo szuka schronienia w domu. Wciąż jednak pozostaje wielu madrytczyków, którzy są gotowi bić się, strzelbą czy nożem, o każdą bramę i każdą przecznicę. Walczący z taką desperacją to ci, którzy nie dopuszczają możliwości ucieczki, nie mają nic do stracenia, chcą pomścić przyjaciół i krewnych – to mieszkańcy ubogich dzielnic, gotowi na wszystko i żywiący jedno tylko mocne pragnienie: by Francuzi zapłacili drogo – oko za oko, ząb za ząb – za dzisiejszą rzeź.

– Do ataku! Niech płacą, francowate żabojady! Niech płacą!

Jedna i druga strona płaci okrutną cenę. Ciała leżą na ulicach, w bramach, w zaułkach. Ogień artylerii, która nie żałuje kartaczy, zmiotł

z balkonów i okien prawie wszystkich hiszpańskich strzelców, a nieustanne salwy fizylierów, wołtyżerów i grenadierów wyczyściły fasady, dachy i tarasy kamienic. Wiele kobiet tak właśnie traci życie, kule dosięgają ich, gdy wychylone z okien zrzucają na Francuzów doniczki, wazony i meble. Na ulicy Fuencarral umiera trzydziestosześcioletnia Aragonka Ángela Villalpando; na ulicy Toledo – Catalina Calderón, lat trzydzieści siedem, i María Antonia Monroy, lat czterdzieści osiem; na ulicy Soldado – trzydziestoośmioletnia damulka Teresa Rodríguez Palacios, na Jacometrezo zaś – wdowa Antonia Rodríguez Flórez. Kupiec Matías Álvarez dostaje kulą w pierś, kiedy strzela do cesarskich z balkonu na ulicy św. Anny. A w swoim własnym domu, na rogu ulic Toledo i Concepción Jerónima, w trakcie zrzucania dachówek i sprzętów kuchennych na każdego przechodzącego Francuza zostaje trafiona kulą w lewe udo niejaka Segunda López del Postigo.

Jednak większość z tych, którzy dziś giną lub zostają ranni, stojąc w oknach i na balkonach, nie uczestniczy w walce, lecz zostaje trafiona przypadkiem, kiedy wygląda na ulicę albo próbuje schować się przed strzelaniną. Do takiego zdarzenia dochodzi na ulicy Espejo, gdzie jedna zbłąkana – albo też doskonale wymierzona – kula zabija młodą Catalinę Casanova y Perrona, córkę królewskiego alkada, don Tomasa de Casanova, i jej młodszego braciszka, Joselita; a na rogu ulic Rosa i Luzón kolejna francuska salwa pozbawia życia szesnastoletnią Catalinę Pajares de Carnicero na krótko przed planowanym ślubem i rani służącą z jej domu, Dionisję Arroyo. W taki sam sposób tracą życie, choć nie uczestniczą w walkach, trzydziestosześcioletnia Escolástica López Martínez urodzona w Caracas; na placu Cebada – trzydziestoletni pomocnik kucharza José Pedrosa; na ulicy Panaderos – Josefa Dolz de Castellar; na placu Cordón – wdowa María Francisca de Partearroyo; i wielu innych, a wśród nich dzieci:

Esteban Castarera, Marcelina Izquierdo, Clara Michel Cazervi i Luisa García Muñoz. A kiedy małą Luisę powierzono opiece matki i lekarza, jej ojciec i najstarszy z braci, którzy dotychczas nie brali udziału w walkach, chwytają starą szablę, długi nóż i dwa pistolety i wybiegają na ulicę.

Francuzi strzelają szybko, choć nie zawsze starannie mierzą. Na ulicy Tesoro oddział Gwardii Cesarskiej i działo ustawione na rogu Biblioteki Królewskiej gęstym ogniem ostrzeliwują liczną grupę cywilów: uciekinierów z różnych potyczek, mieszkańców tej okolicy i gapiów. W jednej chwili giną Juan Antonio Álvarez, ogrodnik z Aranjuez, i siedemdziesięcioletni neapolitańczyk Lorenzo Daniel, nauczyciel języka włoskiego królewskich infantów, a ranny zostaje Domingo de Lama, dostawca wody do łazienek Marii Ludwiki. Osuwa się na ziemię i czołga się z trudem, zostawiając za sobą smugę krwi, a próbujący mu pomóc Pedro Blázquez, kawaler, nauczyciel sztuki czytania i pisania, zaatakowany przez francuskiego grenadiera dzielnie stawia mu czoła, za jedyną broń mając długi scyzoryk schowany w kieszeni. Uciekającemu przez podwórka Blázquezowi udaje się zgubić grenadiera i wrócić na pomoc rannemu de Lamie, którego oddaje pod opiekę sąsiadom. Nauczyciel rusza w stronę domu, na ulicę Hortaleza, ale nieszczęśliwie, skręcając za róg ulicy, wpada na francuskiego strzelca, usadowionego tam z karabinem i bagnetem. Świadom, że gdy tylko spróbuje ucieczki, Francuz strzeli mu w plecy, Blázquez rzuca się na wroga i starając się ugodzić go scyzorykiem w szyję, sam zostaje trafiony bagnetem w żebra. Udaje mu się oswobodzić i uciec ulicą Infantas do domu znajomej Teresy Mirandy, kobiety niezamężnej, guwernantki panien z dobrych domów. Kiedy przerażona hałasem nauczycielka otwiera drzwi Blázquezowi – choć ten musiał dobijać się dość długo – widzi przed sobą zakrwawionego mężczyznę ze scyzorykiem w zaciśniętej dłoni, przypominającego jej – jak opowie później swoim

przyjaciołom – postać „niczym z eposu Homera, niezłomną”. Wpuszcza go do środka, a gdy mężczyzna zdejmie koszulę, by można było opatrzyć rany, samotna guwernantka poważnie zakocha się w bohaterskim nauczycielu. Po stosownie długim okresie narzeczeństwa i daniu na zapowiedzi Pedro Blázquez i Teresa Miranda rok później wezmą ślub w kościele Najświętszego Zbawiciela.

W tym samym czasie, gdy Teresa Miranda opatruje ranę zadaną bagnetem, w centrum miasta wciąż toczą się walki. Wojska cesarskie zajęły już główne ulice, lecz mimo kawaleryjskich szarży i gęstego ognia piechoty nie udaje im się zająć Puerta del Sol, gdzie grupy cywilów przypuszczają – niesłabnące mimo ogromnych strat i twardych odpowiedzi wroga – ataki spod kościoła Buen Suceso i przyległych ulic. Podobna sytuacja panuje na placu Antón Martín i przy Puerta Cerrada oraz w górnym odcinku ulicy Toledo i na Plaza Mayor. Tu, pod łukiem przy wylocie ulicy Nueva, oddział francuskich artylerzystów z ośmioletowym działem został zaatakowany przez blisko pięćdziesięciu mężczyzn w poszarpanych ubraniach, brudnych i rozczochranych, którzy zbliżyli się niepostrzeżenie, przemykając w małych grupkach od bramy do bramy. To więźniowie wypuszczeni z pobliskiego Królewskiego Więzienia przy placu Provincia, którzy okrążają Francuzów i uderzają na nich z okrucieństwem właściwym ich podłej kondycji, uzbrojeni w szpikulce, noże i broń zdobytą po drodze. Artylerzyści, napadnięci z wielu stron jednocześnie, zostają nieomal rozszarpani przy swoim dziale, bezlitośnie odarci z mundurów, pozbawieni karabinów, szabli i bagnatów. Po sumiennym przeszukaniu trupów – o złotych zębach nie zapominając – napastnicy, wspomagani radą pochodzącego z Galicji Souta – który, według jego własnych słów, trzy lata temu służył na pokładzie okrętu „San Agustín” pod Trafalgarem –

odwracają działo i mierzą w wylot ulicy Nueva przy Puerta de Guadalajara, prosto we francuską piechotę, nadciągającą od strony ulicy Consejos.

– Kartacze! Załadujcie kartacze, one czynią najwięcej szkody! Ale poczekajcie, trzeba stłumić iskry w lufie, bo zapali się proch. Właśnie tak! Dalej, dawać mi tu lont!

Inni cywile, uciekinierzy w rozsypce, zachęceni tym bojowym męstwem, dołączają do oddziału więźniów, zabarykadowanych w północno-zachodnim rogu placu. Są wśród nich dwaj Asturyjczycy: trzydziestosześcioletni Domingo Girón, żonaty węglarz z ulicy Bordadores, i Tomás Güervo Tejero, dwudziestojednoletni lokaj z domu *monsieur* Laforesta, ambasadora Francji. Do oddziału przystają również: pochodzący z Murcji czterdziestodwuletni Felipe García Sánchez, weteran z trzeciej kampanii, jego syn, z zawodu szewc, Pablo Policarpo García Vélez, młynarz Antonio Maseda, rymarz Manuel Remón Lázaro oraz pięćdziesięcioletni Francisco Calderón, żebrak spod kościoła św. Filipa, a wszyscy oni przybiegli tu z ulicy Postas, uciekając przed kolejną szarżą francuskiej kawalerii.

– A co z naszym wojskiem, bracie? Przyjdą nam na pomoc czy nie przyjdą?

– Czy przyjdą? Sam widzisz. Przychodzą tylko żabojady.

– Ale na placu Cebada minąłem właśnie paru z Gwardii Walońskiej...

– To na pewno dezercerzy... Jeszcze ich rozstrzelają, jak ich tylko złapią albo jak wrócą do koszar...

Zebrana w rogu placu dość liczna, choć źle zorganizowana i jeszcze gorzej uzbrojona grupa mężczyzn wzbudza respekt francuskich oddziałów nadchodzących od strony Puerta de Guadalajara, zmuszając je do wycofania się na Consejos. Dodaje to odwagi paru więźniom, którzy wypuszczają się pod osłoną bram i dopadają maruderów, wszczynając

chaotyczne potyczki z użyciem białej broni, z nożami przeciwko bagnetom, pomiędzy Platería, fosą kościoła św. Michała i placem noszącym to samo imię. Te potyczki pozwalają na uprzątnięcie fragmentu ulicy Mayor i przeniesienie rannych do apteki na sąsiedniej ulicy św. Jakuba, otwartej przez właściciela, don Mariano Péreza Sandina, od początku zamieszek. Jednym z opatrzonych w tej aptece jest Manuel Calvo del Maestre, urzędnik z archiwum Ministerstwa Wojny i weteran kampanii w Rousillon, z rozerwanym przez kulę policzkiem. Po chwili docierają tam rymarz Remón, bez dwóch palców, odciętych francuską szablą, i lokaj z ambasady francuskiej Tomás Güervo, krzyczący przeraźliwie i podtrzymujący rękoma rozcięty brzuch. Według opinii więźnia Francisca Xaviera Cayóna, który przytargał rannego, Güervo przypominał konia pikadora wziętego przez byka na rogi.

– Przerwać ogień! Nie traćmy ładunków!

Leżąc na ziemi na rogu ulic św. Józefa i św. Bernarda, pod ogrodzeniem arsenału Monteleón, ludzie z oddziału José Fernándeza Villamila ładują broń i strzelają, ogłuszeni wybuchami i z oczyma podrażnionymi przez dym ze spalonego prochu. Wyszli z ogrodu przy Maravillas samowolnie, zbyt wcześnie, a teraz strzelają na oślep, marnując amunicję, bo Francuzi, którzy zbliżali się do arsenału – dwudziestu żołnierzy i oficer próbujący wdrzeć się do środka – zniknęli w górze ulicy, uciekając przed kulami, pozostawiając jedynie dwa znieruchomiłe ciała na ulicy Visitación i jednego rannego, który czołga się w stronę fontanny Matalobos. Oberżycie z placu Matute udaje się w końcu przekonać towarzyszy, by przerwali ogień. Podnoszą się z ziemi, w oszołomieniu spoglądają po sobie. Podczas pierwszej strzelaniny wszyscy wyszli na ulicę wbrew rozkazom kapitana Velardego, który polecił im skrywać się cały czas w przyklasztornym ogrodzie. Prawdziwa walka z ostrą wymianą ognia

trwała ledwie minutę, ale rozochoceni cywile strzelali nieco dłużej, już bez celu, i dopiero ostrzeżenia żołnierzy z koszar powstrzymały ich przed ruszeniem w pogoń za Francuzami ulicą św. Bernarda.

- Patrzcie, jak uciekają!
- Pozdrówcie Napoleona, zabojady!
- Tchórze! Zadaliśmy wam bobu!

Brama arsenału uchyla się, wychodzi kapitan Luis Daoiz i stanowczym krokiem, z surową miną zmierza w stronę oddziału Fernándeza Villamila. Nie ma kapelusza i mimo szlif oficerskich na błękitnej kurtce, szabli i butów jego niewysoka sylwetka nie wzbudzałaby wielkiego szacunku, gdyby nie władczy, śmiały wyraz twarzy i gniewne spojrzenie, którym przesywa cywilów.

– Nie próbujcie więcej łamać rozkazów! Słyszycie?! Albo poddajecie się wojskowej dyscyplinie, albo wracacie do domów!

Oberżysta próbuje się bronić, wtórują mu towarzysze. Chcieli tylko pomóc, przekonuje. Kiedy zobaczyli Francuzów, sądzili, że ich zadaniem jest przyłączyć się do strzelających z arsenału.

– Francuzów wzięli na siebie – i z zadania wywiązali się bez zarzutu – kapitan Goicoechea i żołnierze z Korpusu Ochotników – przerywa Daoiz. – Tu każdy ma przydzielone zadania. Wy mieliście zostać w ogrodzie, tak jak mówił kapitan Velarde, dopóki nie wytoczymy dział.

– Ale przecież uciekali przed nami jak zające. Już tu nie wrócą!

– To był tylko oddział czołowy. Przyjdzie ich tu więcej, możecie mi wierzyć. I nie pójdzie wam z nimi tak gładko... Zostały wam jeszcze ładunki?

– Tak, mamy jeszcze trochę.

– To ich nie marnujcie. Dziś każda kula jest na wagę złota. Zrozumiano? A teraz wracajcie natychmiast na swoje pozycje.

– Tak jest.

– No właśnie. Zobaczymy, czy to prawda. I czy tak będzie.

Na pierwszym piętrze domu stojącego obok, na obłożonym materacami balkonie don Curra Garcíi, Francisco Huertas de Vallejo słyszy rozmowę artylerzysty z ludźmi od Fernándeza Villamila. Siedzi na podłodze, oparty plecami o ścianę, z karabinem między nogami, ogarnięty dziwną euforią. W czasie starcia wystrzelił dwa z dwudziestu ładunków, a teraz unosi do ust trzeci kieliszek anyżówki, którą gospodarz domu właśnie poczęstował jego i zecera Gómeza Pastranę. Dla uczczenia, jak powiedział, chrztu bojowego.

– Ten kapitan ma rację – filozoficznie stwierdza don Curro, powoli dopalając hawańskie cygaro. – Bez dyscypliny Hiszpanię diabli wezmą.

Tym razem Francisco Huertas nie zdążył dopić anyżówki. Słyszą, że ktoś nadchodzi ulicą i krzyczy, mijając klasztor Maravillas. Trzej mężczyźni chwytają za broń, podnoszą się i spoglądają nad balustradą. Ci, którzy biegną, to student José Gutiérrez, fryzjer Martín de Larrea i jego pomocnik Felipe Barrio z oddziału ustawionego na czatach na rogu ulic św. Józefa i Fuencarral. Bardzo się spieszą.

– Francuzi! Mnóstwo Francuzów! Co najmniej jeden regiment!

Ulica pustoszeje w mgnieniu oka. Kapitan Daoiz wydaje trzy lub cztery krótkie komendy i wolnym krokiem udaje się w stronę bramy, spokojny i opanowany. José Gutiérrez i jego ludzie chowają się w ogrodzie klasztoru razem z oddziałem oberżysty Fernándeza Villamila. Na balkonach i w oknach przykucają żołnierze i cywile, kryjąc się, najlepiej jak potrafią.

– Chcieliście sobie potaćować?... No to nadchodzi orkiestra – stwierdza don Curro, załadowawszy broń i spiesznie wychylając, z nieco już zmaconym wzrokiem, czwarty dziś kieliszek anyżówki.

Kiedy brama arsenału zamyka się za Luisem Daoizem, porucznik Rafael de Arango, który nadzoruje przenoszenie ładunków do dział w bezpieczne miejsce niedaleko bramy, widzi, jak Pedro Velarde podchodzi do swojego zwierzchnika, jak obaj dyskutują przyciszonym głosem, jak Daoiz stanowczo kręci głową, wskazując przy tym na cztery działa ustawione przy bramie. Potem dwaj kapitanowie podchodzą do świeżo naoliwionych, wypolerowanych i lśniących luf armatnich leżących na lawetach.

– Żołnierze, bacność! – rozkazuje Daoiz.

Zaskoczeni Arango, Velarde, pozostali oficerowie, szesnastu artylerzystów i żołnierze z Korpusu Ochotników stają w dwóch szeregach obok dział. Z okien wychylają się kapitan Goicoechea i jego podkomendni. Daoiz robi trzy kroki do przodu i spokojnym wzrokiem przygląda się każdemu z żołnierzy. Potem wyciąga szablę z pochwy.

– Do tego momentu – oświadcza głośno i wyraźnie – czuję się odpowiedzialny za wszystko, co się tu wydarzyło i za to odpowiem przed moimi przełożonymi, moją ojczyzną i moim sumieniem... Natomiast co do wydarzeń, które nastąpią od tej chwili, sprawy mają się inaczej. Każdy, kto przyłączy się teraz do mojego okrzyku, nieodwołalnie zamyka sobie możliwość odwrotu... Zrozumiano?

Milknie. Zapada śmiertelna cisza. W oddali słychać odgłosy zbliżających się werbli. Wszyscy wiedzą, że to werble Francuzów.

– Niech żyje król Ferdynand VII! – krzyczy Daoiz. – Niech żyje wolna Hiszpania!

Porucznik Arango krzyczy oczywiście razem z wszystkimi. Od tej chwili nie będzie mógł powiedzieć, że tylko wypełnia rozkazy, lecz że honor żołnierza nie pozwala mu postępować inaczej. Spośród reszty oficerów i żołnierzy nikt nie odpowiedział milczeniem: na dziedzińcu

rozbrzmiewają dwa donośne „Niech żyje!”. Pedro Velarde wychodzi z szyku, wyciąga szpadę, unosi ją i krzyżuje z szablą Daoiza.

– Lepsza śmierć niż niewola! – wznosi okrzyk.

Trzeci z oficerów wychodzi przed szereg. Porucznik Jacinto Ruiz chwiejnym – z powodu nękającej go gorączki – krokiem przyłącza się do dwóch kapitanów, wyciąga szablę i bez słowa krzyżuje ją z szablami dwóch oficerów. Żołnierze i oficerowie wiwatują. Rafael de Arango stoi nieruchomo w szeregu z szablą w pochwie. Pogodzony z losem. Zaschło mu w gardle, czuje gorycz w ustach, jakby rozgryzał ziarna prochu. Oczywiście, że stanie do walki, skoro nie ma innego wyjścia. Aż do ostatniej kropli krwi, jak nakazuje mu honor. Choć nie ma najmniejszej ochoty umierać.

Struchleli ze strachu, z ustami otwartymi z przerażenia węglarz Cosme de Mora i jego ludzie, w milczeniu pochyliwszy głowy, śledzą zbliżających się Francuzów, obserwując ich przez szpary w drzwiach i w okiennicach. Piętnastu mężczyzn, wśród których są Antonio i Manuel Amador, i ich braciszek Pepillo, zajęło należący do handlarza ostnicą sklep, którego okna wychodzą na ulicę św. Józefa, na parterze kamienicy przy klasztorze Maravillas.

– Matko Przenajświętsza – szepcze stolarz Pedro Navarro.

– Cicho tam, do diabła!

Od ulicy Fuencarral nadciągają znaczne siły Francuzów. Przynajmniej jedna pełna kompania, szacuje woźny sądowy Félix Tordesillas, który w młodości nabył nieco wojskowego doświadczenia. Maszerują odważnie przy wtórze werbli, w idealnym szyku, pod powiewającym trójkolorowym proporcem. Ku zdumieniu madrytczyków, śledzących ich z ukrycia, zarówno oficerowie, jak i żołnierze noszą wysokie kaszkiety,

charakterystyczne dla Francuzów, ale kurtki ich mundurów nie są granatowe, lecz białe, z niebieskimi wyłogami i srebrnymi guzikami. Przed piechotą idą saperzy z toporami, grenadierzy i paru oficerów.

– Chyba są wściekli – szepcze Cosme de Mora. – Niech mi tu nikt przypadkiem nie strzela, bo zostanie z nas miazga.

Werble milkną, przez szpary w drzwiach widać dwóch oficerów, którzy podchodzą do bramy arsenału, wołają coś i uderzają w nią pięściami, rozglądając się jednocześnie dookoła. Z ust jednego z oficerów pada komenda, a dwudziestu saperów i żołnierzy zbliża się do bramy i zaczyna walić w nią toporami i kolbami. W sklepie handlarza ostnicą klęczący na stosie świeżo wyplecionych parcianych worków, z okiem przyklejonym do szpary w okiennicy, kupiec galanteryjny Benito Amégide y Méndez oblizuje wargi i szepcze do cyrulika Jeronima Morazy, który siedzi obok:

– Nie wydaje mi się, żeby ci w środku dali...

Ogłuszający trzask odbiera mu głos i oddech, a tymczasem potężna fala uderzeniowa trzech następujących jeden po drugim wybuchów odbija się od murów kamienic, roztrzaskuje szyby w oknach i wznieca chmurę odłamków, kawałków tynku i cegieł, które z łoskotem spadają dookoła. Cosme de Mora i jego ludzie, przestraszeni i wciąż zaskoczeni, wyglądają na ulicę z karabinami w ręku, a to, co widzą, wprawia ich w osłupienie: brama arsenału już nie istnieje, pod łukiem z kutego żelaza zwisają ledwie resztki roztrzaskanych desek, smętnie uczone w zawiasach. Naprzeciw nieistniejącej bramy w promieniu piętnastu czy dwudziestu łokci ziemia pokryta jest gruzem, krwią i poszarpanymi ciałami Francuzów; ci zaś, którzy uniknęli śmierci, uciekają w popłochu, popychając się nawzajem.

– Odpalili ładunki wybuchowe założone wewnątrz bramy!

– Niech żyje Hiszpania! Żaden Francuz nie wyjdzie stąd żywy! Na nich!

Ulica zapełnia się cywilami, którzy strzelają do uciekających Francuzów, ścigając ich aż do fontanny Nueva de los Pozos na skrzyżowaniu z ulicą Fuencarral. Entuzjazm udziela się wszystkim. Z domów wychodzą mężczyźni, kobiety i dzieci, zbierają broń porzuconą przez uciekających nieprzyjaciół, strzelają do Francuzów, którzy nie zdążyli zniknąć z pola widzenia, dobijają rannych nożami i ogoławają trupy z wszystkich użytecznych przedmiotów: broni, ładunków, pieniędzy, pierścieni czy ubrań.

– Zwycięstwo! Uciekają! Zwycięstwo! Śmierć zabojadom!

Naiwny tłum – teraz do uzbrojonych cywilów chce przyłączyć się jeszcze więcej ludzi – próbuje ruszyć w pogoń za Francuzami, ścigając ich aż pod same koszary. Porucznik Arango, któremu Luis Daoiz polecił wyjść z kilkoma kanonierami i temu zapobiec, dokłada wszelkich starań, by ludzie zaczęli myśleć rozsądnie.

– To żadne zwycięstwo! – krzyczy tak głośno, że niebawem chrypie. – Oni zaraz się pozbierają, uporządkują szyki i wrócą! Wrócą!

– Niech żyje Hiszpania! Niech żyje król! Śmierć Napoleonowi! Śmierć Muratowi!

Wreszcie, nieomal siłą, Arango i artylerzyści zaprowadzają porządek. Pomaga im pojawienie się oddziału madrytczyków pod wodzą ślusarza Blasa Moliny Soriano, który klucząc długi czas w obawie przed Francuzami – przeczekawszy na ulicy Palma, aż skończy się ostatnie starcie – nareszcie dołącza do obrońców Monteleón. Powitany z radością Blas Molina zostaje zaprowadzony do arsenału, gdzie informuje kapitana Daoiza o francuskich wojskach w okolicy. Nadchodzą dość szybko od bramy św. Barbary. Kapitan Velarde, doświadczony oficer sztabu głównego, znając skład armii napoleońskiej, rzuca okiem na mundury i oznaczenia leżących przed bramą trupów francuskich żołnierzy i rozpoznaje formację, która uczestniczyła

w ostatnim ataku. To szpica batalionu westfalskiego, w którym walczy w sumie ponad pół tysiąca żołnierzy. I to właśnie oni, według słów ślusarza Moliny, podążają różnym krokiem w stronę Monteleón.

Przy fontannie Mariblanca na Puerta del Sol Dionisio Santiago Jiménez, znany jako Coscorro, parobek w królewskich posiadłościach w San Fernando, swojej rodzinnej miejscowości, patrzy na śmierć przyjaciela, czterdziestosześcioletniego José Fernández Salceda, któremu francuska kula urwała pół twarzy.

– Nie wystawiajcie się, do diabła! Schowajcie się!

Coscorro i towarzyszący mu krzepcy i zuchwali mężczyźni gromadnie przybyli do Madrytu już wczoraj, pragnąc wyrazić poparcie dla Ferdynanda VII, a dziś, daleko od swoich domów i bez możliwości schronienia się gdziekolwiek, biją się z ogromnym poświęceniem, ani myśląc o odwrocie. Tak postępuje wielu członków tego licznego oddziału, prawie setka mężczyzn, którzy od półtorej godziny uparcie walczą w okolicach placu, rozbiegając się po każdej kolejnej szarży Francuzów i zbierając za każdym razem, by znów uderzyć. Są wśród nich sześćdziesięcioletni José Pérez Hernán de la Fuente i jego synowie Francisco i Juan, którzy przybyli do Madrytu wczoraj z Miraflores de la Sierra, odświętnie ubrani w długie marsylskie surduty z grubego sukna, ozdobione aksamitnymi naszykami, skórzane czapki i szkarłatne peleryny; ogrodnik markiza de Santiago en Griñón, dziewiętnastoletni Miguel Facundo Revuelta Muñoz, któremu towarzyszy ojciec Manuel Revuelta, ogrodnik z królewskich posiadłości w Aranjuez. Nieopodal, przy bramie szpitala Buen Suceso wychodzącej na ulicę św. Hieronima i Alcalá, biją się z Francuzami bracia Rejón, z pustym już bukłakiem i zakrwawionymi nożami, w towarzystwie Matea González, aktora Isidora Máiqueza, zecera Antonia Tomása de Ocaña, uzbrojonego w sztucer, przybyłych z Perales del Río Francisca del Pozo i Francisca

Marota oraz młodych chłopców: piętnastoletniego Tomása Gonzáleza de la Vega i czternastoletniego Juanita Vie Angela. Temu ostatniemu również towarzyszy ojciec, dawny żołnierz, weteran Gwardii Walońskiej Juan Vie del Carmen.

– Jest ich więcej!

Czterech polskich szwoleżerów i kilku dragonów z uniesionymi szablami pędzi galopem, by rozgromić małą grupkę, która znów pojawiła się przy Mariblanca. W tym momencie ze szpitala Buen Suceso wychodzi zecer Ocaña i wypala ze sztucera prosto w pierś jednego z galopujących koni, który pada, pociągając za sobą jeźdźca. Ten zaś nie zdążył jeszcze dotknąć ziemi, gdy dopadają go z nożami bracia Rejón i Mateo González, a Máiquez, załadowawszy dopiero co pistolet, strzela do innych. Nadbiegają kolejni cywile, sieką szablami Polaków i Francuzów, słysząc strzały z karabinów francuskich piechurów, którzy przypuszczają atak z nasadzonymi bagnietami od ulicy Alcalá i pośród ogromnego zamieszania, przy wtórze wrzasków i przekleństw, trwa okrutna walka. Cięty szablą Mateo González, obficie krwawiąc, doczołguje się do najbliższej bramy. Rozbrzmiewają kolejne strzały, nadciąga więcej nieprzyjaciół, Antonio Ocaña pada przeszyty kulą, Francisco del Pozo wycofuje się, głośno jęcząc po okrutnym cięciu szablą, które prawie pozbawia go ręki, zaś reszta szuka schronienia w klasztorze Buen Suceso, gdzie kilka kobiet krzyczy z przerażenia, starając się wejść do środka, wokół rozbrzmiewają salwy, a Francuzi próbują sforsować bramę.

– Nie mam już kul – oznajmia Isidoro Máiquez – i mam już dosyć.

Uciekając frontową bramą zakonu Victoria, aktor biegnie w stronę swojego domu niedaleko placu św. Anny. Razem z nim biegną bracia Rejón, którym zaproponował schronienie. Próbuje pobiec ich śladem Francisco Maroto, ale dostaje kulą w plecy i pada na środku ulicy,

naprzeciw pijalni wód „La Canosa”. Zaraz za nim wypada stary żołnierz Juan Vie del Carmen razem z synem, którego chwytą za rękę, i razem biegną w przeciwnym kierunku, na róg ulicy Carretas. Wokół słychać świst kul i odgłosy ich uderzeń o bruk i fasady kamienic.

– Biegiem, Juanito, biegiem! Pomyśl o mamie! Biegiem!

Kiedy biegną już przez Carretas, tuż przed skrzyżowaniem w prawo, za budynkiem poczty, chłopiec puszcza dłoń ojca, potyka się i upada.

– Tato! Tato!

Truchlejąc ze strachu, Juan Vie zatrzymuje się i wraca. Juanito jest ranny w nogę. Przerażony ojciec bierze syna na ręce i próbuje go ocalić, osłaniając własnym ciałem, lecz w mgnieniu oka otaczają ich nieprzyjacielscy żołnierze. Są jeszcze bardzo młodzi, mają brudne mundury i twarze czarne od prochu. Z brutalną zaciętością Francuzi tłuką kolbami ojca i syna.

– Idą żabojady!

Na ulicy św. Józefa, przed arsenałem Monteleón, kapitan Daoiz powstrzymuje rozzuchwalonych cywilów, którzy chcą wyjść na spotkanie nadciągającym francuskim oddziałom. Tym razem cesarskim nie towarzyszy odgłos werbli, a według wysłanych po wieści zwiadowców nadchodzą w znacznej sile.

– Tylko bez pośpiechu, chłopcy. Niech podejną jak najbliżej i wtedy damy im łupnia.

Mówienie *per ty* sprawia cywilom dużą przyjemność, czują satysfakcję, że kapitan artylerii traktuje ich jak równych sobie. Ślusarz Molina, który zaproponował przygotowanie zasadzki przy fontannie Nueva, przekonuje swoich ludzi, że pan oficer ma rację i należy słuchać jego poleceń. Luis Daoiz, nakazując ostrożność, oszczędność amunicji i niewystawianie się na

cel nieprzyjacielskich kul, wysłała Molinę i jego oddział do domu na rogu ulicy św. Andrzeja. Doliczając ludzi przyprowadzonych przez Molinę, Daoiz ma teraz pod sobą nieco ponad czterysta osób, w tym artylerzystów, żołnierzy Korpusu Ochotników i cywilów oraz dziesiątkę rezolutnych kobiet. To one pomagają wytoczyć na ulicę cztery działa, wcześniej sprytnie wykorzystane w zasadzce przy bramie. W zasięgu armatniego ognia znajdzie się ulica św. Józefa w obu kierunkach, aż do św. Bernarda i fontanny Matalobos po prawej i Fuencarral oraz fontanny Nueva po lewej, armaty wycelowane też zostaną w dół ulicy św. Piotra, która od samej bramy arsenału biegnie prostopadle wzdłuż klasztoru Maravillas. Rzecz w tym, że pozostało jedynie trzydzieści kul do dział i ledwie kilka ładunków kartaczy przygotowanych naprędce. Działa obsługiwane będą na otwartej przestrzeni, narażonej na francuski ostrzał, a chronionej tylko przez strzelców rozlokowanych w oknach budynku arsenału, na ogrodzeniu i pobliskich kamienicach. Tymczasem zapas ładunków karabinowych – choć i artylerzyści, i pozostali żołnierze pracują w prochowni, gdzie najszybciej jak potrafią przygotowują ładunki pod czujnym okiem sierżanta Lastry – nie przekracza dwudziestu, trzydziestu na jeden karabin.

– Rozkaz wykonany, Luis. Działa gotowe.

Daoiz, z niepokojem obserwując ulicę św. Józefa i zastanawiając się, zza którego rogu wyłoni się nieprzyjaciel, odwraca się na głos Pedra Velardego. Zgodnie z jego poleceniem Velarde nadzorował ustawienie czterech armat: trzy lufy wymierzono w trzy strony spodziewanych uderzeń, czwarta pozostała w gotowości, w rezerwie, jako wsparcie dla najbardziej zagrożonej strony. Do każdego z dział przydzielono zespół artylerzystów, mający do pomocy cywilnych ochotników, przydatnych przy noszeniu amunicji i przetaczaniu armat. Według przyjętego planu Velarde ma kierować obroną wewnątrz koszar, natomiast Daoiz będzie osobiście

dowodził ogniem artylerii, wspomagany przez poruczników Aranga i Ruiza – ten ostatni zgłosił się na ochotnika, służył bowiem jako artylerzysta w Gibraltarze. W dłoniach każdego z dowódców działonów dymią lonty, a oczy wszystkich, żołnierzy i cywilów, spoglądają wyczekująco na dwóch kapitanów. Ślepa wiara, którą Daoiz wyczytuje w ich twarzach, naiwne, zuchwałe uśmiechy, widok kobiet, które od jednego do drugiego działa noszą wino artylerzystom albo dostarczają ładunki do klasztornej ogrodu i pobliskich kamienic, napełniają niepokojem jego serce. Nie wiedzą, myśli sobie, co nas czeka.

– Pchnąłś chłopaka? – pyta Velarde.

Daoiz kiwa głową. O tej porze kadet z Korpusu Ochotników Juan Vázquez Afán de Ribera, któremu powierzono tę misję ze względu na młody wiek i bystrość, powinien właśnie biec co sił w nogach ulicą św. Bernarda z pismem do dowódcy madryckiego garnizonu. W paru słowach, bardziej pod naciskiem Velardego niż w nadziei, iż zda się to na cokolwiek, Daoiz, jako dowódca arsenału Monteleón, wyjaśnia powody, dla których stają do walki z Francuzami, wyraża gotowość trwania do samego końca i prosi o pomoc swoich towarzyszy, „by ofiara żołnierzy i cywilów pod moim zwierzchnictwem nie poszła na marne”.

– Wejź do środka, Pedro – zwraca się do Velardego. – I niech Bóg ma nas w swojej opiece.

Velarde uśmiecha się. Wygląda, jakby chciał coś powiedzieć, może jakieś zdanie specjalnie przygotowane na tę okazję. Daoiz zna go doskonale i takie słowa wcale by go nie zaskoczyły. Velarde tylko wzrusza ramionami.

– Życzę szczęścia, panie kapitanie!

– Życzę szczęścia, przyjacielu!

– Niech żyje Hiszpania!

– Dobrze już, wchodź do środka.

– Tak jest.

Daoiz stoi nieruchomo, patrząc, jak Velarde znika wewnątrz arsenału. Twarda sztuka, myśli sobie. Potem odwraca się w stronę dział. Ktoś krzyczy z balkonu, że Francuzi są już za rogiem. Daoiz przełyka ślinę, nabiera tchu i wyciąga szablę.

– Wszyscy na swoje stanowiska! – rozkazuje. – Strzelać na mój rozkaz!

Na rogu ulic Palma i św. Bernarda Juan Vázquez Afán de Ribera, kadet 2. Kompanii 3. Batalionu Korpusu Ochotniczego, przystaje, by złapać oddech. Zwinny dwunastolatek z listem od kapitana Daoiza schowanym za lewym mankietem kurtki dobiegł tu z Monteleón, a teraz sposobi się, by pokonać otwartą przestrzeń. Czuje niepokój na widok pustego skrzyżowania ulic – ani żywej duszy, żadnego człowieka w oknie czy na balkonie. Dowódca arsenału, kiedy żegnał go przed chwilą, podkreślił doniosłość tej misji.

– Od ciebie zależy, czy przyjdą nam z pomocą, czy nie.

Młodziutki kandydat na oficera przeczesuje dłonią potargane i spocone włosy. Kapelusz zostawił w koszarach, żeby nie przeszkadzał mu w czasie drogi, a za całą broń ma tylko sztylet przy pasie. Czujnym wzrokiem obserwuje okolicę. Nikogo, stwierdza raz jeszcze. Bramy pozamykane, okiennice zaryglowane, wystawy sklepów zabite deskami. A nad wszystkim króluje niepodzielnie złowroga cisza, przerywana echem dalekich wystrzałów.

Trzeba ruszać, myśli. List z prośbą o pomoc dla towarzyszy nieomal pali mu rękaw. Rozważnie i zgodnie z naukami wyniesionymi ze szkoły wojskowej obmyśla kolejny odcinek biegu. Przetnie ulicę i dobiegnie do słupa naprzeciwko, a stamtąd postara się doskoczyć aż do opuszczonego wozu, pozostawionego przed bramą zdaje się jakiegoś zajazdu. Oby tylko

nie było w pobliżu francuskich strzelców. Bierze trzy głębokie oddechy, pochyla głowę i wybiega.

Zostaje trafiony kulą, zanim usłyszy strzał. Uderzenie w pierś i trzask. Nie czuje bólu. Zdaje się, że mnie postrzelono, myśli. Muszę uciekać. Boże mój, dopomóż mi. Nagle czuje, że twarzą dotyka ziemi, a wszystko dookoła tonie w ciemności. Muszę dostarczyć list, myśli zmartwiony. Próbuje się podnieść i oddaje ducha.

Pojawienie się kolejnych oddziałów nieprzyjacielskiej piechoty na ulicy św. Hieronima i od strony Pałacu Królewskiego przekreśla możliwość dalszej obrony Puerta del Sol. Ziemia usłana jest trupami Francuzów i Hiszpanów, cielskami martwych koni, zlana krwią i przysypana gruzem. Wyludnione balkony, puste okna, kamienice podziurawione kulami i kartaczami – tak oto plac przechodzi wreszcie w ręce cesarskich. W trakcie ostatnich walk, próbując ucieczki w przyległe ulice albo broniąc się rozpaczliwie niczym zaszczute zwierzęta, giną: węglarz Andrés Cano Fernández, lat dwadzieścia cztery, osiemdziesięcioletni Juan Alfonso Tirado i robotnik rolny Félix Sánchez de la Hoz, lat dwadzieścia trzy, a wielu innych, którym nie udało się uciec, zostaje rannych albo wziętych do niewoli. Strzały dopadają biegnących ulicą Montera siedemdziesięcioletniego Joaquína Ruesgę i czterdziestosześcioletnią mieszkankę Lavapiés Franciscę Pérez de Párraga. Ostatni hiszpański wystrzał na Puerta del Sol oddaje z balkonu własnego mieszkania – znajdującego się nieopodal skrzyżowania z Arenal – pięćdziesięcioletni pracownik Loterii Królewskiej José de Fumagal y Salinas, który raniony w odwiecie francuską kulą pada martwy na żelazną balustradę na oczach struchlałej żony. A na dole, przy fontannie Soledad, fechtmistrz Pedro Jiménez de Haro, który walczył wraz ze swoim kuzynem, równie biegłym w fechtunku Vicentem Jiménezem, pada na ziemię po starciu z grupką

francuskich dragonów, zaś jego kuzyn, rozbrojony przez cesarskich, zostaje wzięty do niewoli. Francuzi, nie szczędząc mu razów, prowadzą go do piwnic pod kościołem św. Filipa, gdzie zbierają wszystkich, których uda im się pojmać w pobliżu. Vicente Jiménez znajduje się wśród podobnych mu mężczyzn, niepewnych swojego losu.

– Rozstrzelają nas – słychać głos jednego z uwięzionych.

– Zobaczymy.

W ciemnościach panujących w piwnicy słychać modlitwy i przekleństwa. Ktoś liczy na interwencję hiszpańskich władz, ktoś inny nie kryje się z wiarą w powszechny bunt wojskowych przeciwko Francuzom, ale odpowiada mu tylko wymowne milczenie. Od czasu do czasu otwierają się drzwi do lochu i strażnicy wrzucają kolejnego więźnia. W taki sposób trafiają tu – związani, skrwawieni i umęczeni – buchalter z magistratu, trzydziestoczteroletni Gabino Fernández Godoy i Gregorio Moreno y Medina, trzydziestoosmioletni pośrednik finansowy z Aragonu.

– Rozstrzelają nas, zobaczycie – odzywa się ten sam głos.

– Nie kracz pan, bo jeszcze pan wykraczesz...

Pierwsze egzekucje następują dość szybko. W paru punktach miasta Francuzi przestają zabijać pojedynczych powstańców i zaczynają rozstrzeliwać całe grupy, nie czekając na wyroki sądu. We wschodniej części Madrytu, wkrótce po zlikwidowaniu oporu na szerokiej alei Prado, urzędnicy z Izby Celnej przy Recoletos oraz cywile złapani z bronią w rękę, popychani kolbami karabinów, zostają doprowadzeni do fontanny Cibeles, gdzie mają się rozebrać, by nie ubrudzić odzieży krwią i prochem. Na ulicy Alcalá urzędnik z izby księgowej Luis Antonio Palacios z balkonu pałacu markiza de Alcañices obserwuje, jak z Buen Retiro podążają gęsiego więźniowie, pilnowani przez sporą liczbę francuskich żołnierzy. Palacios,

rozplaszczony na podłodze balkonu w obawie przed francuskimi kulami, z lunetą przy oku, rozpoznaje wśród uwięzionych kilku urzędników z Izby Celnej i jednego ze swoich przyjaciół, pochodzącego ze szlacheckiej rodziny Félix de Salinas González. Przerażony buchalter widzi przez lunetę, jak Francuzi zdzierają z Salinasa surdut i zegarek, po czym każą mu uklęknąć i zabijają strzałem w tył głowy. Obok Salinasa giną jeden po drugim celnicy Gaudosio Calvillo, Francisco Parra i Francisco Requena oraz ogrodnik księżnej de Frías Juan Fernández López.

Potężne wybuchy wstrząsają zasnutą kłębam dymu ulicą św. Józefa przy arsenale Monteleón. Ciągły łoskot kul zagłuszają salwy ognia artyleryjskiego.

– Kryć się! – ochrypłym głosem woła kapitan Daoiz. – Kto nie strzela z działa, ma się schować!

Francuzi wyciągnęli wnioski z dwóch wcześniejszych, nieudanych ataków: już nie próbują szybkiego natarcia, ale powoli zacieśniają pierścień oblężenia od strony ulic św. Bernarda, Fuencarral i Palma, przy szczególnym udziale fizylierów, którzy zasypują gradem kul obrońców arsenału. Od czasu do czasu, decydując się na zajęcie kolejnej sieni czy zlikwidowanie załogi następnej kamienicy, przypuszczają skoncentrowane uderzenie małą grupą żołnierzy, która posuwa się do przodu przyklejona do ścian domów – wynik tych wysiłków w znacznym stopniu niweczą cywile ulokowani z karabinami w oknach domów i żołnierze Korpusu Ochotników, usadowieni na trzecim piętrze budynku wewnątrz koszar, i wreszcie ogień z czterech armat ustawionych przy wejściu i wymierzonych we wszystkich kierunkach wzdłuż ulic. Ale i Hiszpanie, zarówno ci obsługujący działa, jak i ci ulokowani z muszkietami pod murem arsenału, odnotowują spore straty. Oddział oberżysty Fernándeza Villamila boleśnie doświadcza celności francuskich strzelców: kule

roztrzaskują się tuż ponad głowami Hiszpanów albo uderzają rykoszetem, odbijając się od bruku, oczy ślepną od gryzącego dymu, a gdy oddział decyduje się wycofać za mur arsenału, nieprzyjacielska kula dosięga żebraka z placu Antón Martín – nigdy nie poznano jego nazwiska – oraz rani w głowę Antonia Claudia Dadinę, złotnika z ulicy Gorguera. Bracia Muñiz, z muszkietami przewieszonymi przez plecy, posuwają się na czworakach pod deszczem francuskich kul i ciągną złotnika za nogi, chcąc ułożyć go w bezpiecznym miejscu.

– Zostały nam już tylko dwa kartacze, panie kapitanie!

– Ładujcie kule... A z kartaczami poczekajcie, aż Francuzi podejną bliżej.

– Tak jest!

Luis Daoiz przechadza się między armatami z szablą wspartą na ramieniu jak w czasie wojskowej parady, z pozornym spokojem na twarzy, i dyryguje ogniem czterech dział, wystawiając się na nieprzyjacielskie kule. Szczęście uśmiecha się do kapitana – żaden z ołowianych bąków przelatujących ze świstem nie trafia do celu.

– Ruiz!

Porucznik Ruiz, który pomaga przy ładowaniu jednej z ośmioletowych armat, staje na baczność pośród kłębow dymu. Jest bledszy od swojej mundurowej kurtki, ale oczy mu błyszczą, rozpalone gorączką.

– Tak jest, panie kapitanie!

Kula muska prawy policzek Daoiza, kapitan czuje, jak ściska go w żołądku. To nie potrwa długo, stwierdza w duchu. Lada moment te łajdaki mnie załatwią.

– Niech pan spojrzy na tę grupę Francuzów na rogu św. Józefa. Jak pan myśli, czy są w zasięgu strzału?

– Jeśli przesuniemy dział o parę kroków, można by spróbować.

– A zatem do dzieła.

Dwie francuskie kule przelatują ze świstem między dwoma mężczyznami. Porucznik Ruiz z niezadowoleniem spogląda w kierunku, z którego nadleciały, tak jak spojrzełby na kogoś niewychowanego, kto właśnie próbował przerwać im rozmowę. Dobry z niego chłopak, myśli sobie Daoiz. Nigdy wcześniej go nie widział, ale bardzo mu ten młody porucznik przypadł do gustu. Oby tylko wyszedł stąd cało.

– Alonso! Portales! Pomóście przesunąć działo!

Kapral Eusebio Alonso i trzydziestotrzyletni artylerzysta z Walencji José Portales Sánchez, którzy właśnie załadowali działo dowodzone przez porucznika Arango, podbiegają, chyląc głowy przed kulami, i toczą koła lawety. W połowie drogi Portales zostaje trafiony i pada, nie zdążywszy nawet krzyknąć. Co widząc, któraś z kobiet, o dość ładnej buzi, nie zważając na przelatujące kule, z zakasaną spódnicą, przynosi dwa kartacze spod bramy arsenału i przyłącza się do grupy.

– Niech pani stąd ucieka! – sierżant Alonso nieomal rozkazuje.

– Sam sobie uciekaj, niedorajdo!

Ta kobieta – o czym artylerzyści dowiedzą się później – to Ramona García Sánchez, trzydziestoczteroletnia mieszkanka pobliskiej ulicy św. Grzegorza. Za chwilę zmieni ją jakiś artylerzysta. Jest jedną z wielu kobiet biorących teraz udział w bitwie. Niejaka Clara del Rey y Calvo, lat czterdzieści siedem, mieszkająca pod numerem jedenastym przy ulicy św. Józefa, pomaga porucznikowi Arango i artylerzyście Sebastiánowi Blanco w ładowaniu i celowaniu przy jednym z dział razem ze swoim mężem Juanem Gonzálezem i trójką synów. Pozostałe kobiety roznoszą ładunki, wino i wodę między walczącymi. Pomędzy nimi uwija się też siedemnastoletnia Benita Pastrana, mieszkanka tej dzielnicy, która wyszła z domu na wieść o tym, że został ranny jej narzeczony Francisco Sánchez

Rodríguez, ślusarz z placyku Gato. Walczą też: pięćdziesięcioletnia Juana García z Malagi; Francisca Olivares Muñoz z ulicy Magdalena; Juana Calderón, która leży w jednej z bram i ładuje karabin swojemu mężowi José Beguiemu; i wreszcie piętnastoletnia dziewczynka, która wielokrotnie przebiega przez ulicę i nie zważając na strzały Francuzów, nosi w fartuszkach ładunki dla ojca i jego oddziału, który ostrzeliwuje wroga z klasztornej ogrodu, do czasu, gdy w gęstym ogniu pada martwa od francuskiej kuli. Nazwiska tej dziewczynki nigdy nie ustalono z całkowitą pewnością, choć niektórzy świadkowie twierdzili, że była to Manolita Malasaña.

– Że co się dzieje w arsenale? – pyta rozwścieczony Murat. Generałowie i adiutanci zebrani wokół księcia Bergu rozlokowanego na Campo de Guardias wraz z całym sztabem i liczną eskortą nerwowo przełykają ślinę. Straty Francuzów są zatrważające. Kapitan Marcellin Marbot – który zdążył zameldować, że choć piechota pułkownika Friederichsa zdobyła Puerta del Sol, to wciąż trwają walki na Antón Martín, Puerta Cerrada i Plaza Mayor – widzi, jak Murat zgniata w dłoni raport dowódcy batalionu Westfalczyków, toczącego zażartą walkę w Monteleón. Powstańcy stawiają zacięty opór. Artylerzyści, przy wsparciu paru żołnierzy, przyłączyli się do cywilów. Ustawione na dogodnych pozycjach działa sięją spustoszenie.

– Macie ich zmieść z powierzchni ziemi – rozkazuje Murat. – Natychmiast.

– Próbujemy, Wasza Wysokość. Ale ponosimy straty.

– Nic mnie nie obchodzą straty. Czy to jest jasne?! Nie chcę słyszeć o żadnych stratach!

Murat, pochylony nad planem Madrytu, rozłożonym na polowym stoliku, uderza palcem w jeden punkt w górnej części mapy: czworobok

otoczony prostymi ulicami, którym do tej pory nikt sobie nie zaprzętał myśli. Monteleón. Na planie nie ma nawet tej nazwy.

– Macie go zdobyć za wszelką cenę! Zrozumiano? Za wszelką cenę! Te łajdaki potrzebują nauczki... Lagrange, powiedz mi, kogo tam mamy w pobliżu?

Generał dywizji Joseph Lagrange, dziś pełniący obowiązki pierwszego adiutanta księcia Bergu, rzuca okiem na plan i sprawdza coś w notatkach podanych przez adiutanta. Z ulgą stwierdza, że w pobliżu znajdują się jakieś wojska.

– Major Montholon, Wasza Wysokość. Dowódca 4. Pułku Piechoty. Czeka na rozkazy pomiędzy bramą św. Barbary i Puerta de los Pozos.

– Doskonale. Niech natychmiast wesprze Westfalczyków. Tysiąc pięciuset ludzi wystarczy, by wytłuc ten motłoch, do jasnej cholery!

– Tak sędzę, Wasza Wysokość.

– Tak pan sądzi? Co do diabła, pan sądzi?

Na placu Antón Martín, leżącym w połowie ulicy Atocha w kierunku Plaza Mayor, madrycki zawadiaka Miguel Cubas Saldaña, który po walkach przy bramie Toledo zdołał umknąć i schronić się w kościele św. Izydora, wyczerpał swój limit szczęścia. Dotarł na plac, walcząc po drodze z każdym, kto mu się nawinął, wraz z grupką mężczyzn, która na koniec rozbiega się w popłochu, uciekając przed kulami. Saldaña, ogłuszony uderzeniem, z krwią ciekącą z nosa i uszu, podnosi głowę znad ziemi i widzi wokół francuskie bagnety. Prowadzą go, szarpiąc i popychając, w stronę Prado, Saldaña idzie chwiejnym krokiem, ze związanymi dłońmi, obserwując ze smutkiem, jak na okolicznych ulicach wygasa opór powstańców. Przy wsparciu armaty, która oczyszcza przedpole wzdłuż szerokiej alei, francuska piechota posuwa się od domu do domu,

ostrzeliwując zapobiegawczo każde okno, balkon czy wylot ulicy. Ziemia usłana jest trupami, których nikt nie zbiera.

Wkrótce po uwięzieniu Cubasa Saldañi zostają również zlikwidowane dwa ostatnie oddziały walczące na Atocha i Antón Martín. Przyparciu do bramy domostwa na ulicy Magdaleny, ostrzelani z działa stojącego na placu, padają martwi: złotnik Francisco Balseyro María, lat czterdzieści dziewięć, trzydziestoletnia Galisyjka Manuela Fernández, raniona odłamkiem w głowę, i lokaj Francisco Fernández Gómez, pochodzący z Asturii, któremu pocisk rozszarpuje prawe ramię. Z tego oddziału przeżyją tylko koziarz Matías López de Uceda, cierpiący z powodu ran, i dwaj mężczyźni, którzy go niosą: syn koziarza Miguel oraz robotnik rolny z Palencji, Domingo Rodríguez González. Nadkładając drogi, próbują dotrzeć do Hospital General, bo nie otworzą im drzwi i nie udzielą pomocy w żadnym z domów, do których kołatają po drodze.

– Uciekajmy! Ratuj się, kto może!

Los drugiego oddziału jest podobny. Zasypani gradem pocisków, rozbiegają się i w trakcie panicznej ucieczki na ulicy Flor giną, wystrzelani niczym króliki: dwudziestosiedmioletni muzyk Pedro Sessé y Mazal, trzydziestotrzyletni Manuel Anvías Pérez, służący z sierocińca Inclusa i stajenny Fulgencio Álvarez z León, lat dwadzieścia cztery. Ten ostatni z powodu zranienia nogi staje się łatwym łupem Francuzów i do końca broniąc się nożem, zostaje zakłuty bagnietami. Niewiele więcej szczęścia ma osiemnastoletni Donato Archilla y Valiente, którego pojmanego i związanego poprowadzono w stronę Prado, co widział jego krajan i kompan, piekarz Pascual Montalvo, kiedy uciekali razem przez ulicę León. Montalvo, porzuciwszy w bramie po drodze francuską szablę, ruszył w ślad za przyjacielem, obserwując z dala, dokąd go prowadzą, i szukając sposobu, by go wyratować. Nieco później, schowany za zaroślami przy alei

Prado, będzie świadkiem egzekucji pod murem kościoła Jezusa Nazareńskiego, w której życie utraci i Donato Archilla y Valiente, i Miguel Cubas Saldaña.

Nie wszyscy zabici przy placu Antón Martín to uczestnicy walk. Choćby osiemdziesięciodwuletni chirurg Fernando González de Pereda, który umiera trafiony kulą obok fontanny, kiedy wraz z paroma sanitariuszami ochotnikami opatruje rannych z obu walczących stron. Tego dnia zginie wielu innych lekarzy, chirurgów i pielęgniarzy, niosących pomoc potrzebującym: trzydziestodwuletni chirurg Juan de la Fuente y Casa zostaje śmiertelnie postrzelony, kiedy wraz z sanitariuszami, zaopatrzonego w materiały opatrunkowe, przechodzi przez plac św. Izabeli; Francisco Javier Aguirre y Angulo, trzydziestotrzyletni medyk, zostaje trafiony kulą przez francuskiego strzelca, gdy opatruje porzuconych rannych na Atocha; wreszcie kula roztrzaskuje biodro profesorowi z kliniki uniwersyteckiej w Barcelonie, Carlosowi Noguesie y Pedrola, który po opatrzeniu licznych ofiar walk przy Puerta del Sol wraca do swojego domu przy ulicy Carmen. Życie tracą również: Miguel Blanco López, sześćdziesięcioletni pielęgniarz z bractwa św. Ludwika; instrumentariusz Saturnino Valdés Regalado, który wraz z kolegą dźwiga nosze z rannym ulicą Atocha; kapelan klasztoru Karmelitanek Bosych José Cremades García, którego Francuzi zabijają jednym celnym strzałem u samych drzwi kościoła, gdy udziela ostatniego namaszczenia konającemu.

Pośród wszystkich śmierci, jakie pogrążyły dziś w żałobie Madryt, najdziwniejsza i najbardziej tajemnicza, nigdy do końca niewyjaśniona, pozostanie śmierć Marii Beano, kobiety, pod której balkonem codziennie rano przechodził kapitan Pedro Velarde, wieczorem zaś składał jej wizytę. Ta wciąż młoda i piękna kobieta, wdowa po oficerze artylerii, ciesząca się

szacunkiem sąsiadów i nieposzlakowaną opinią, matka czworga małych dzieci, trzech dziewczynek i chłopca, przez cały ranek stoi przy otwartym oknie, nasłuchując wieści z arsenału Monteleón. I kiedy wreszcie uzyskuje pewną wiadomość, iż artylerzyści walczą tam z Francuzami, biegnie do toaletki, czesze włosy, poprawia suknię, nakłada czarną woalkę i wybiega na ulicę, bez słowa wyjaśnienia powierzając dzieci opiece starej, wiernej piastunki. María Beano przebiega ulicę, „zmieniona na twarzy i targana niepokojem”, jak potwierdzą później świadkowie, którym dane ją było spotkać, i kieruje się do arsenału, szukając bezpiecznej drogi pośród wielu ulic, które tam prowadzą. Ale pierścień oblężenia jest bardzo szczelny, nikt nie może przedrzeć się przez francuskie siły blokujące drogę. Odpędzana przez cesarskich, powstrzymywana siłą przez madrytczyków, którzy próbują udaremnić ów bezsensowny zamiar, piękna wdowa na koniec uwalnia się z rąk przytrzymujących ją ludzi, zostawia za sobą francuskie oddziały i nie zważając na okrzyki straży, biegnie w górę ulicy św. Andrzeja i pada, trafiona kulą. Ciało w kałuży krwi, owinięte czarną chustą, przez cały dzień leżeć będzie na bruku. To dziwne zachowanie i sekretny powód, dla którego kobieta pragnęła dotrzeć do Monteleón, pozostaną na zawsze owiane nimbem tajemnicy.

Kapitan Velarde, nie wiedząc o śmierci Maríi Beano, od trzech kwadransów dowodzi ogniem żołnierzy usadowionych w budynku i ustawionych pod łukiem bramy arsenału Monteleón. Luis Daoiz poprosił, by na razie nie pokazywał się przy działach i na wypadek śmierci Daoiza objął po nim dowództwo. Velarde stoi przy bramie, nadzorując strzelców, którzy leżą na ziemi i ukryci pod rusztowaniem przy ogrodzeniu, osłaniają ogniem z muszkietów mężczyzn uwijających się przy czterech działach. Na najbliższe ulice zdołały dotrzeć tylko oddziały francuskiej piechoty, na razie nie wprowadzono ciężkiej artylerii, Velarde jest zadowolony z rozwoju

sytuacji. Artylerzyści i żołnierze z Korpusu Ochotników wykazują się w walce zarówno umiejętnościami, jak i sporym poświęceniem, a prawie wszyscy cywile dobrze wywiązują się z powierzonych zadań, bo choć strzelają nie zawsze celnie, to ich ogień wzbudza respekt Francuzów. Zaniepokojony Velarde dostrzega, jak nieprzyjacielscy wołyżerowie, przeskakując z bramy do bramy, podchodzą coraz bliżej. To zmusza cywilów do wycofania się z niektórych wysuniętych pozycji, jak choćby z rogu ulic św. Bernarda i św. Andrzeja. Francuzi zajęli pierwsze piętro w jednej z kamienic przy ulicy św. Andrzeja i ostrzeliwują stamtąd Hiszpanów, przenoszących rannych do klasztoru Maravillas. Velarde postanawia zlikwidować tych Francuzów i staje na czele niedużego oddziału, w którego skład wchodzi: pisarz wojskowy Almira (drugi ze skrybów, Rojo, obsługuje działą u boku porucznika Ruiza), trzech żołnierzy z Korpusu Ochotników: Julián Ruiz, José Acha i José Romero oraz służący z ulicy Jacometrezo Francisco Maseda de la Cruz.

– Za mną!

Sześciu mężczyzn, jeden za drugim, przebiega ulicę, przemyka między armatami i przykleja się do fasady kamienicy z naprzeciwka. Stamtąd na migi Velarde wyjaśnia Daoizowi swoje zamiary. Dowódca arsenału, który trwa pośród nieustannej strzelaniny spokojny niczym na przechadzce, wykonuje gest, który można uznać za przyzwolenie, choć, jak podejrzewa Velarde, mogło to być tylko wzruszenie ramionami. Nie bacząc na to, kapitan wraz z oddziałem posuwa się do przodu tuż przy ścianie, przeskakując od bramy do bramy, by dotrzeć do składu ostnicy, gdzie ulokowała się wcześniej grupa pod wodzą węglarza Cosme de Mora.

– Ilu was jest? – pyta Velarde.

– Piętnastu, panie oficerze.

– Połowa za mną.

Wychodzą na ulicę pojedynczo, czekając na znak dany przez Velardego: Almira, trzech ochotników, Maseda, Cosme de Mora i jeszcze sześciu, przebiegają skrzyżowanie ulic św. Józefa i św. Andrzeja i stają razem po drugiej stronie ulicy.

– Jest nas trzynastu – szepcze Maseda. – Zła wróżba.

– Cisza! Bagnet na broń!

Żołnierze wykonują rozkaz szybko i sprawnie. Cywile idą w ich ślady znacznie mniej zręcznie.

– Nie wszyscy mają bagnety, panie oficerze – wyjaśnia kupiec galanteryjny Benito Amégide y Méndez.

– To użyjcie kolb... Na górę!

I całą zgrają, z Velardem na czele, trzynastu mężczyzn wbiega po schodach na pierwsze piętro, wyłamuje drzwi i rzuca się na Francuzów.

– Niech żyje Hiszpania! Niech żyje Hiszpania! Bóg z nami!

Rozgorzała zacięta walka, mężczyźni kłują na oślep i bez pardonu, pośród połamanych mebli słysząc krzyki, uderzenia, strzały. Sukiennik Amégide otrzymuje jedenaście ran, ginie ochotnik José Acha, raniony bagnetem w udo, i służący Francisco Maseda, trafiony kulą w pierś. Spośród nieprzyjaciół czterem poderżnięto gardła, pięciu zmuszono do wyskoczenia przez okno. W ostatniej chwili dwudziestotrzyletni ochotnik Julián Ruiz dostaje postrzał z tak bliska, że umiera, zanim ostygnie francuska kula, która dymi w kurtce jego munduru.

Nieprzyjacielski ogień nieco słabnie, więc Hiszpanie oszczędzają ładunki. Przed bramą arsenału, tam gdzie stoją armaty – jedno z dział ma rozerwany wylot lufy, ulicę osłaniają zatem już tylko trzy działa – porucznik Jacinto Ruiz ładuje i mierzy z działa wycelowanego w róg ulic św. Józefa i Fuencarral, przy fontannie Nueva, ale wstrzymuje się

z oddaniem salwy, póki nie pojawi się godny cel. U boku porucznika uwijają się pisarz wojskowy Domingo Rojo, żołnierz z Korpusu Ochotników José Abad Leso i dwóch kanonierów z załogi arsenału: młody kapral Eusebio Alonso i szeregowy José González Sánchez. Z powodu wysokiej gorączki Ruiz ulega halucynacjom, które każą mu lekceważyć niebezpieczeństwo. Zachowuje się tak, jakby proch palił się w nim samym, a nie na zewnątrz. Próbując dojrzeć cokolwiek w obłokach dymu, porucznik wskazuje obnażoną szablą domniemany cel, a tymczasem kapral Alonso i reszta załogi, z szeroko otwartymi ustami, co ma zapobiec popękaniu bębenków w uszach, klęczy za działem z lontem w dłoni, czekając na rozkaz.

– Tam, tam! Na lewo!

Kapitan Luis Daoiz, który z tyłu czuwa nad całą baterią, widzi, jak niespodziewana francuska salwa trafia działo porucznika, rani go w ramię i przewraca kaprała Alonsa, ochotnika José Abada i artylerzystę Gonzáleza Sáncheza. Dopada ich dwoma susami: González Sánchez ma roztrzaskaną głowę, a Abad, choć jeszcze żyje – ma odłamek w karku. Kapral Alonso, draśnięty odłamkiem w czoło, podnosi się, przecierając ranę, gotów dalej wykonywać swoje obowiązki. Jacinto Ruiz z rozdartym rękawem trzyma się za mocno krwawiące ramię.

– Jak się pan czuje? – Daoiz musi krzyżeć, żeby przebić się przez huk strzałów.

Porucznik, chwiejąc się, próbuje oprzeć się o lufę działa. Oddycha głęboko, kręci głową.

– W porządku, panie kapitanie, proszę się nie martwić... Mogę tu zostać.

– Ta rana nie wygląda najlepiej. Proszę iść ją opatrzyć.

– Potem... Jeszcze zdążę.

Trzech mężczyzn i dwie młode kobiety – jedną z nich jest Ramona García Sánchez, która wcześniej pomogła przetoczyć działo – wybiegają z pobliskich bram i ciągną Gonzáleza Sáncheza i José Abada, zostawiając na ziemi krwawą smugę, aż do klasztoru Maravillas. Weteran José Pacheco, który wraz z synem kadetem Andrésem Pacheco przynosi cztery porcje prochu w woreczkach, wyciąga z kieszeni chusteczkę i obwiązuje ją wokół rany na ramieniu Jacinta Ruiza. Głośny huk – działo dowodzone przez porucznika Arango strzela w stronę ulicy św. Piotra – ogłusza wszystkich. Teraz ogień francuskich karabinów skierowany zostaje w resztki bramy arsenału i żaden z artylerzystów, którzy się tam chronią, nie przybiegnie, by zastąpić poległych. Daoiz na migi wzywa dwóch spośród paru cywilów leżących pod ogrodzeniem klasztornego ogrodu: sprzedawcę napojów z ulicy Hortaleza José Rodrígueza i jego syna Rafaela.

– Potraficie obsługiwać działo?

– Nie... Ale patrzyliśmy, jak to robią inni.

– Pomożecie tutaj. Przechodźcie pod rozkazy tego oficera.

– Tak jest, panie kapitanie!

Nie wszyscy są tak ofiarni, zauważa Daoiz. Artylerzyści, żołnierze i ochotnicy dają z siebie wszystko, lecz ilekroć wzmagą się francuski ostrzał, coraz więcej ludzi szuka schronienia za murem arsenału albo zostaje w klasztorze pod pretekstem zajmowania się rannymi. Nie ma się czemu dziwić, chłodno konkluduje kapitan. Ostra strzelanina i krew skutecznie studzą entuzjazm. A i wśród oficerów, którzy stawili się tu rano, są tacy, co nie wychylają nosa. Jeden z tych, którzy gardłowali najgłośniej na wszystkich spotkaniach i w kawiarniach, woli teraz siedzieć w budynku. Daoiz wzdycha zrezygowany, a ostrze szabli, wspartej na ramieniu, delikatnie muska mu prawy policzek. Do diabła z tym. Dopóki on, Velarde, i paru innych będą świecić przykładem, większość żołnierzy i cywilów

wytrwa, czy to z powodu ślepego zaufania do mundurów tych, którzy nimi dowodzą – ach, gdyby ci biedni ludzie wiedzieli... mówi sobie w duchu – czy z powodu nawyku wypełniania bez dyskusji obowiązków i rozkazów. Z braku innych, słowo odwaga czyni cuda pośród prostych ludzi.

– Działo gotowe? Pal!

Rozkazy Jacinta Ruiza znów rozbrzmiewają przy działach. Zadowolony Daoiz widzi, że i pozostałe armaty spełniają swe zadanie. Kule przelatują ze świstem niczym bąki i sewilczyk dziwi się, jak to możliwe, że jeszcze żyje, zamiast leżeć martwy na ziemi jak ci nieszczęśnicy pod murem, z otwartymi oczyma i twarzami zbryzganymi krwią, albo ci, co jęcząc niesieni do klasztoru z urwanymi nogami czy rękoma, w oczekiwaniu niechybnej śmierci. Prędzej czy później wszyscy tak skończymy. Na ziemi albo w klasztorze. Ta myśl sprawia, że na twarzy pojawia się wyraz zwątpienia. Przez moment jego spojrzenie krzyżuje się ze wzrokiem porucznika Rafaela de Arango, czarnego od prochu, zlanego potem, z rozpiętą kurtką i kamizelką, który niestrudzenie wydaje komendy swoim ludziom. Młodzieniec zachowuje się zgodnie z oczekiwaniami, ale w jego spojrzeniu nie sposób nie zauważyć wyrzutu. Pewnie myśli, że ja czerpię z tego jakąś przyjemność, dochodzi do wniosku Daoiz. Dziwny z niego chłopak: podejrzliwy i mało sympatyczny. Pewnie sobie wyobraża, że jeśli wyjdzie żywy z Monteleón i nie zostanie rozstrzelany albo uwięziony, to z naszej winy ma już na zawsze złamaną karierę. Do diabła z nim. Każdy odpowiada za siebie. Porucznicy, kapitanowie, żołnierze – nikt nie może się już wycofać. To obowiązuje wszystkich, również cywilów. Reszta jest bez znaczenia.

Tak rozmyślając, Daoiz spogląda w drugą stronę i widzi kapitana Velardego.

– Co ty tu robisz?

Pedro Velarde, z pisarzem Almirą idącym za nim jak cień, wraca usmolony i ranny z wycieczki na róg ulicy św. Andrzeja, gdzie jako wzmocnienie wysłał właśnie resztę oddziału Cosme de Mora. Daoiz dostrzega, że przyjaciel stracił parę guzików od eleganckiej kurtki oficerskiej, a kapitańskie szlify zostały przecięte ostrzem szabli.

– Sądysz, że przyjdą nam z pomocą? – pyta Velarde.

Musiał krzyknąć, żeby dało się go usłyszeć wśród huku strzałów. Daoiz wzrusza ramionami. Sam nie wie, co gorzej znosi: nieme wyrzuty porucznika Arango czy niepoohamowany optymizm Velardego.

– Nie sądzę. Jesteśmy sami... I ten płomień wątko się pali.

– Ogień Francuzów słabnie.

– Na razie.

Velarde podchodzi bliżej, nie chce, by usłyszał go Almira.

– Ale wciąż jest nadzieja, prawda? Twoja wiadomość musiała już dotrzeć do dowódcy garnizonu... Może ruszą na pomoc. Nasz przykład powinien ich zawstydzić!

Francuska kula świsnęła między dwoma wojskowymi, którzy spojrzeli sobie w oczy. Pierwszy jak zwykle z egzaltacją, drugi jak zwykle ze spokojem.

– Nie pleć głupstw, przyjacielu – odpowiada Daoiz. – I schowaj się do środka, bo cię zastrzelą.

6

Wystrzeliwując ostatnie ładunki, żołnierze Gwardii Walońskiej Paul Monsak, Gregor Franzmann i Franz Weller zaczynają odwrót w zwartym szyku spod Puerta Cerrada ku Plaza Mayor pod kamiennym łukiem Cuchilleros. Cofają się, osłaniając nawzajem, przyklejeni do ścian i wciąż walcząc z prawdziwie germańskim uporem, od czasu gdy szarża kirasjerów i atak francuskiej piechoty wymiotły ich z placu Cebada razem z grupą cywilów, wśród których znajdowali się między innymi: zamieszkały przy Arganzuela Andrés Pinilla, szewc Francisco Doce González, strażnik z Casa de Campo León Sánchez i weterynarz Manuel Fernández Coca. Udało się im zabić jednego oficera i dwóch francuskich żołnierzy w pobliżu pałacu arcybiskupa Toledo, co rozwścieczyło Francuzów do tego stopnia, że wpadli do budynku i bez litości go splądrowali. Zaatakowana przez francuską kawalerię grupka ulega rozproszeniu. Sánchez i Fernández Coca uciekają w stronę placu Cordón, reszta biegnie w kierunku ulicy Cava Alta, gdzie jedna kula z karabinu gruchocze kość nogi Andrésowi Pinilli, a druga zabija szewca Doce González. Kiedy ocaleni – trzech gwardziści, trzydziestjednoletni lekarz wojskowy Esteban Rodríguez Velilla, pomocnik murarza Joaquín Rodríguez Ocaña i Bask Cayetano Artúa, sługa markiza de Villafranca – próbują zabarykadować się u stóp schodów przy Cuchilleros, spod Puerta de Guadalajara nadciąga pluton cesarskiej piechoty, strzelając do wszystkiego, co się rusza.

– Naprzód! Prędkiej! Uciekajmy stąd!

Złapani w dwa ognie padają martwi pomocnik murarza i Bask, natomiast Monsak, Franzmann i Weller uciekają schodami do góry,

tymczasem Esteban Rodríguez Velilla, ranny w udo, szukając schronienia, kieruje się ku gospodzie Soledad, w której mieszka. Po drodze pada od dwóch cięć kirasjerskiego pałasza, z których jedno dosięga głowy, a drugie pozostawia głęboką bruzdę na szyi. Poważnie ranny, obficie krwawiąc, lekarz czołga się od bramy do bramy aż do Puerta Cerrada, gdzie jacyś litościwi mieszkańcy, jedni z niewielu, którzy odważyli się wyściubić nos, zabierają go i zanoszą do gospody. Na dziedziniec wybiega jego młoda żona Rosa Ubago, przerażona widokiem męża, którego widzi bez tchu i w ubraniu przesiąkniętym krwią. W tym samym momencie wchodzi do gospody kilku nieprzyjacielskich żołnierzy, którzy zauważyli, jak wnoszono rannego, i chcą go teraz dobić.

– *Coquin! Salaud!*⁴ – rzucają obelgi rozwścieczeni cesarscy.

Walą kolbami, uderzają gdzie popadnie, biją żonę, wypędzają sąsiadów, w końcu porzucają Rodrígueza Velillę, sądząc, że umarł, i plądrują mieszkanie. Agonia lekarza będzie trwała jeszcze dziesięć dni, w końcu dokona żywota z powodu odniesionych ran i ciosów. Wdowa po nim, Rosa Ubago, wyjedzie do Galicji i według słów z zachowanego listu do rodziny nie wyjdzie powtórnie za mąż, „by uszanować pamięć tego, który umarł śmiercią bohatera”.

– Niech żyją walczący! Niech Bóg ma ich w opiece! Niech żyje Hiszpania!

Tak krzyczy zakonnica, siostra Eduarda de San Buenaventura, jedna z pięciu sióstr zakonnych, które wraz z czternastoma nowicjuszkami, przeoryszą i jej zastępczynią przebywają w klasztorze Maravillas naprzeciwko arsenału Monteleón. W odróżnieniu od swoich współsióstr Eduarda nie opatruje rannych przynoszonych z ulicy ani nie pomaga kapelanowi don Maelowi Rojo udzielającemu duchowej posługi. Wspiąwszy się na jedno z klasztornych okien z widokiem na bramę

arsenału, dodaje otuchy walczącym, a przez kratę rzuca obrazki świętych i szkaplerzyki, które powstańcy podnoszą, całują i chowają na piersi.

– Niechże siostra stąd odejdzie, na miłość boską! – prosi przeorysza, matka María de Santa Teresa, próbując odciągnąć mniszkę od okna.

– *Salve! Salve!* – nie przestaje krzyczeć zakonnica, zupełnie nie zwracając uwagi na przełożoną. – Niech żyje Hiszpania!

Od huków armatnich popękały witraże transeptu i okna klasztoru, zamienionego w szpital polowy. Kruchta, kościół, rozmównica i zakrystia przyjmują wciąż nowych rannych, a szerokie smugi krwi, z początku ścierane szmatami i polewane kubłami wody, teraz już nikomu nie przeszkadzają, znacząc podłogi korytarzy i sal. Zapomniano o kracie i klauzurze, furtę i bramę otworzono, a ubogie karmelitanki biegają w tę i z powrotem z szarpami, bandażami, ciepłym bulionem i strawą, w habitach i fartuchach splamionych krwią. Niektóre wychodzą do bramy, by pomóc walczącym, rannym od kul i kartaczy, prowadzonym przez towarzyszy albo idącym o własnych siłach na chwiejnych nogach, utykającym i dłońmi zakrywającym rany.

– Niech żyją powstańcy! Niech żyje Niepokalana Maryja!

Niektórzy czynią znak krzyża, słysząc okrzyki siostry Eduardy. Luis Daoiz, wciąż dowodzący ogniem baterii, przygląda się zakonnicy w oknie, pełen obaw, że jakaś zbłąkana kula czy odłamek pocisku przeniesie ją na tamten świat. Wystarczy być szalonym, myśli sobie. Albo tylko przeklętym patriotą. Choć nie jest pasjonatem świętych obrazków ani nie zwykł modlić się częściej, niż wymaga tego konieczność, przyjmuje medalik z Maryją, ofiarowany przez jednego z cywilów z polecenia zakonnicy.

– To dla pana oficera, tak powiedziała.

Daoiz bierze medalik i ogląda go, położywszy na dłoni. Ludzie są różni. W sumie, myśli sobie, to przecież nikomu nie szkodzi, a zakonnicy winno

się okazać wdzięczność za ten niesłabnący entuzjazm. Jej obecność w oknie dodaje otuchy walczącym. Daoiz nabożnie całuje medalik, starając się, by zobaczyli to wszyscy dookoła, po czym wkłada go do kieszonki na piersi i dziękuje zakonniczy skinieniem głowy. A to tylko wzmacnia siłę jej okrzyków.

– Niech żyją hiszpańscy oficerowie i żołnierze! – krzyczy zza kraty. – Nie traćcie ducha, Bóg patrzy na was z nieba! I tam na was czeka!

Czarny od prochu, ze strupem zaschniętej krwi na czole i z wąsami osmalonymi dymem, kapral Eusebio Alonso, czyszcząc lufę działa, przez chwilę wpatruje się osłupiały w mniszkę, po czym zwraca się do Daoiza:

– Jeśli o mnie chodzi, niech sobie czeka. Prawda, panie kapitanie?

– Też tak sobie pomyślałem, Alonso. Nie ma po co się tam spieszyć.

Dwa kwartały dalej, na odcinku Fuencarral między ulicami św. Józefa i Palma, major Charles Tristan de Montholon, dowódca 4. Pułku z Brygady Salm-Isemburg 1. Dywizji Piechoty, ostrożnie wychyla się zza rogu i ocenia sytuację. Major jest mężczyzną wytwornym i pochodzi z dobrej rodziny, jego ojczym to dyplomata i senator – markiz de Semonville, kiedyś nieprzejednany rewolucjonista, dziś jeden z kręgu zaufanych ludzi cesarza. To właśnie tym sprzyjającym układom rodzinnym Charles de Montholon zawdzięcza wysoki, zważywszy na swój młody wiek, stopień wojskowy, zwłaszcza że w jego stanie służby figuruje przede wszystkim praca w sztabach znaczących generałów, nie zaś doświadczenie bojowe z pierwszych linii frontu. Tymczasem młody dowódca pułku nawet sobie nie wyobraża, stojąc w ów pełen zamętu majowy poranek niedaleko arsenału w Madrycie – którego nazwa, Monteleón, brzmi dziwnie podobnie do jego rodowego nazwiska – że los chowa dla niego w zanadrzu nie tylko stopień marszałka polowego i tytuł hrabiego Cesarstwa, ale również

zaszczytną rolę świadka ostatnich chwil życia Napoleona, któremu zamknie powieki na Wyspie Świętej Heleny. Na to jednak poczekać musi jeszcze trzynaście lat. Teraz jest w Madrycie, stoi w pełnym słońcu, z kapeluszem pod pachą i chustką do wycierania zroszonego potem czoła w dłoni, w towarzystwie dwóch oficerów, trębacza i tłumacza.

– Niech wołyżerowie oczyszczą ulice i zlikwidują tych, co obsługują działa... Przypuścimy atak z wielu stron: Westfalczyki pójdą od św. Bernarda, a czwarta kompania od ulicy... Jak nazywa się ta ulica?

– Św. Piotra. Wychodzi dokładnie na bramę arsenału.

– No właśnie, od św. Piotra. A stąd, przez św. Józefa, ruszą druga i trzecia kompania. Jednoczesny atak z trzech stron przysporzy im sporo kłopotów. Ruszamy. Zbierać się.

Kapitanowie towarzyszący Montholonowi patrzą po sobie. Hiller i Labeledoyere to dwaj weterani, którzy doświadczenie zdobywali w walce na polach bitew połowy Europy, a nie wśród adiutantów i planów układanych w sztabach.

– Nie powinniśmy zaczekać na armaty? – ostrożnie pyta Hiller. – Może byłoby lepiej wyczyścić ulice ogniem kartaczy.

Montholon krzywi się w grymasie lekceważenia.

– Damy sobie radę sami. To zaledwie kilku wojskowych i trochę cywilów. Nie zdążą oddać jednej salwy i już nas będą mieli na karku.

– A Westfalczyki? Dostali niezłego łupnia.

– Byli zbyt pewni siebie i nieostrożni. Nie traćmy już czasu.

Ufając wojsku, którym dowodzi, major rozgląda się dookoła. Podczas gdy wysunięci na przednie pozycje wołyżerowie ostrzeliwiają działa nieprzyjaciela, siły główne, odpowiednio rozstawione, oczekują na rozkaz do ataku. Od fontanny Nueva po Puerta de los Pozos ulica Fuencarral pełna jest granatowych kurtek, białych spodni, czarnych getrów i kaszkietów

cesarskiej piechoty liniowej. Żołnierze to młodzi chłopcy, podobnie jak w armii hiszpańskiej, ale dowodzą nimi zdyscyplinowani i doświadczeni oficerowie i podoficerowie. Może dlatego z pozornym spokojem reagują na widok trupów swoich towarzyszy zaścielających nieco dalej ulicę. Pragną ich pomścić, a świadomi swej liczebnej przewagi, nabierają wiary w swą skuteczność. W końcu to piechota najlepszej armii na świecie. Nie wątpi w to również sam Montholon. Kiedy zaatakują, szybko zmiażdżą obronę buntowników.

– Ruszamy.

– Tak jest!

Słychać głos trąbki, uderzenia werbli, kapitan Hiller wyciąga szablę i z okrzykiem „Niech żyje Cesarz!” staje na środku ulicy, a za nim rusza dziewięćdziesięciu sześciu żołnierzy z jego kompanii. Najpierw wołyżerowie posuwają się od bramy do bramy, za nimi piechota gęsiego, przy ścianach kamienic, prowadzona przez oficerów. Dowódca ze swego stanowiska obserwuje, jak posuwają się do przodu po obu stronach ulicy, przy niesłabnącym ogniu i pośród dymu, który ściela się po bruku niczym poranna mgła. Odgłos innych werbli gdzieś w pobliżu daje Montholonowi pewność, że podobne ruchy wojsk mają miejsce na ulicy św. Piotra, obok żeńskiego klasztoru, a Westfalczycy, pomni wcześniejszych doświadczeń, posuwają się ostrożnie ulicą św. Bernarda. Plan zakłada, że trzy równoległe prowadzone natarcia zbiegną się u bramy arsenału.

– Coś szwankuje – stwierdza Labedoyere, który towarzyszy Montholonowi.

Montholon, niestety, musi się z nim zgodzić. Mimo zmasowanego ognia fizyliarów, skierowanego na działa powstańców, Hiszpanie nie ustępują. Tumany dymu raz po raz rozświetlają błyski wystrzałów. Od wybuchów drżą ściany domów, pociski uderzają o mury, odłupując kawałki tynku,

cegły i drewna. Po chwili pojawiają się ranni francuscy żołnierze, idą, potykając się i opierając o ściany, albo wloką wsparci na ramionach towarzyszy. Jednym z nich okazuje się kapitan Hiller z twarzą umazaną krwią, z czołem poranionym od rykoszetu, który zdarł mu kaszkiet z głowy.

– Nie ustępują – oznajmia, ścierając krew z oczu, każe sobie zabandażować czoło i ze stoickim spokojem zawodowego żołnierza powraca w tumany dymu.

Widząc, jak się oddala, Labeledoyere krzywi się.

– Coś mi się zdaje, że nie pójdzie nam tak łatwo – stwierdza.

Montholon krótkim rozkazem zmusza go do milczenia.

– Proszę ruszać ze swoją kompanią!

Labeledoyere wzrusza ramionami, wyciąga szablę, każe uderzyć w werble, krzyczy „bagnet na broń!” i wkracza w pylistą mgłę w ślad za Hillerem, a za nim stu dwóch żołnierzy, którzy schylają głowy, ilekroć roziskrza się przed nimi różaniec pocisków.

– Do ataku! Niech żyje Cesarz! Do ataku!

Wciąż na tym samym rogu ulicy major Montholon nerwowo obgryza paznokieć serdecznego palca lewej dłoni, na którym lśni złoty sygnet z rodzowym herbem. To niemożliwe, myśli sobie, by w tym brudnym, ponurym, mało chwalebny epizodzie przywracania porządku publicznego paru obszarpanych buntowników opierało się zwycięzcom spod Jeny i Austerlitz. Zdaje się, że kapitan Labeledoyere ma rację. Nie pójdzie nam łatwo.

Kula przeszywa plecy Jacinta Ruiza i wychodzi piersią. Z odległości pięciu, sześciu kroków Luis Daoiz widzi, jak porucznik prostuje się nagle, jakby zniecka przypomniawszy sobie o czymś ważnym. Potem młodzieniec wypuszcza szablę, w zdumieniu przygląda się dziurce od kuli na białej

kurtce, a po paru sekundach, dławiąc się krwią buchającą mu z ust, upada – najpierw opiera się o lufę armaty, a potem osuwa się na ziemię, ocierając o lawetę.

– Zabierzcie oficera! – rozkazuje Daoiz.

Paru cywilów chwyta Ruiza i zabiera go do arsenału, a Daoiz nie ma nawet czasu opłakiwać straty porucznika. Już dwóch artylerzystów i czterech cywilów obsługujących działa padło pod gradem francuskich kul, wielu spośród tych, którzy pomagają ładować i celować, zostało rannych. Przez cały ten czas, gdy nieprzyjaciel powoli podchodzi coraz bliżej i wzmacnia siłę ognia, ołowiane kule przelatują ze świstem i uderzają w lufy dział albo z trzaskiem wbijają się w drewniane lawety. Gdy Daoiz rozgląda się wokół, kula uderza w głownię jego szabli, głośno dzwoniąc. Kapitan dostrzega szczerbę w ostrzu, długą na pół piędzi.

„Nie wyjdę stąd żywy”, powtarza sobie w duchu.

Wokół słychać coraz więcej świstów i trzasków. Daoiz czuje ból w plecach i w piersi, czuje napięte mięśnie oczekujące w każdej chwili uderzenia francuskiej kuli. Artylerzysta, który obsługuje działo porucznika Arango, dwudziestośmioletni Sebastián Blanco, chwyta się rękoma za głowę i upada z jękiem.

– Zawołać tu ludzi! Pod żadnym pozorem nie opuszczać tego działa!

Daoiz zauważa z satysfakcją, że choć walczą prawie nieosłonięci na ulicy, odpalają działa regularnie i z dużą skutecznością, a armatnie kanonady, choć tylko z użyciem kul, a nie kartaczy, sieją popłoch wśród Francuzów, podobnie jak niesłabnący ogień z ogrodzenia i okien budynku arsenału, gdzie bez wytchnienia pracują kapitan Goicoechea i jego ochotnicy. Z położonych naprzeciw kamienic i z ogrodu przy Maravillas nieustannie strzelają albo informują o poczynaniach wroga wciąż jeszcze pełni zapалу cywile. Daoiz widzi, jak jeden z nich opuszcza bezpieczne

stanowisko, biegnie, nie bacząc na ostrzał, jakieś dwadzieścia metrów, żeby przeszukać kieszenie Francuza leżącego pod arkadami klasztoru, a ograbiwszy go, wraca nietknięty ile sił w nogach.

– Tam zbierają się żabojady! Chcą na nas uderzyć z bagnietami.

– Przynieść kartacze! Trzeba w nich strzelać kartaczami!

Płócienne worki wypełnione kulami karabinowymi i żelaznymi siekańcami niedawno się skończyły. Ktoś przynosi worek napełniony skałkami karabinowymi.

– Mamy to, panie kapitanie.

– Jest tego więcej?

Wspólnym wysiłkiem Daoiz i reszta załogi ustawiają działą, kierując lufę w stronę ulicy św. Bernarda. Nieprzyjacielska kula trafia tuż obok prawej dłoni kapitana, metal uderza o metal i spłaszczony krążek wielkości monety spada na ziemię. Daoizowi pomagają artylerzysta Pascual Iglesias i pochodzący z Maravillas dwudziestosiedmioletni Antonio Gómez Mosquera, zuchwały i postawny. Ponieważ koła lawety grzęzną w gruzie, Ramona García Sánchez, która niestrudzenie donosi ładunki i wodę niezbędną do gaszenia ognisk prochowych w lufach dział i dla artylerzystów, pomaga je pchać.

– Coś słabi jesteście, panowie żołnierze – beszta ich żartobliwie z zaciśniętymi z wysiłku zębami, opierając się ramieniem o koło lawety. Siateczka podtrzymująca upięte włosy pęka, pozwalając im opaść na ramiona.

– Niech żyją dzielne niewiasty – rzuca przystojny Gómez Mosquera, zerkając na nieco rozluźniony gorset kobiety.

– Mniej gadania, kawalerze. Więcej celności... Wymarzyłam sobie wachlarz z piór żabojadów na niedzielną korridę.

– Według życzenia, ma pani moje słowo.

Ustawivszy działo, artylerzysta Iglesias wpycha w lufę worek wypełniony skałkami, ubija wszystko stemplem, zapala lont i podnosi ręką.

– Gotowe do strzału!

– Ognia – pada rozkaz, wszyscy odskakują od działa.

Gómez Mosquera pełni rolę lontowego. Działo, siłą odrzutu odjeżdżając do tyłu, wypluwa z siebie grad kamieni, które niczym kartacze sieczą Francuzów odległych o jakieś pięćdziesiąt kroków. Daoiz oddycha z ulgą: grupa nieprzyjaciół rozpierzcha się, część pada na ziemię, część ucieka i kawałek ulicy zostaje pusty. Z muru i okolicznych balkonów strzelcy wiwatują na cześć artylerzystów.

Ramona García Sánchez, wierzchem dłoni otarłszy nos, śmiało komplementuje eleganckiego kapitana.

– Niech nam żyją przystojni panowie oficerowie, choćby i nie za wysocy. Ukłony dla szanownej mamusi pana oficera.

– Dziękuję. – Ale proszę już stąd uciekać, zaraz będą strzelać.

– Uciekać? Nie wykurzą mnie stąd nawet Arabowie od Murata, nawet cesarzowa Agrypina ani ten mydłek Naplujleon Nicniewarte we własnej osobie. Co najwyżej król Ferdynand.

– Nalegam, by pani stąd poszła – upiera się niezadowolony Daoiz. – To niebezpieczne tak wystawiać się na strzały.

Kobieta uśmiecha się półgębkiem z twarzą uczernioną prochem i zawiązuje chustkę wokół głowy, żeby przytrzymać włosy. Pod pachami na koszuli, co zauważa Daoiz, widać ciemne zapocone kółka.

– Dopóki pan tu będzie, mości kanonierze, Ramona García pana nie odstąpi... Moja kuzynka, niezamężna, zawsze powtarza, że za mężczyzną trzeba iść aż do ołtarza, a za odważnym mężczyzną – aż na koniec świata.

– Naprawdę tak mówi ta pani kuzynka?

– Słowo w słowo, serce moje.

Ramona García Sánchez przysuwa się bliżej i pośród zmęczonych, choć uśmiechniętych artylerzystów i cywilów nuci kapitanowi Daoizowi kilka taktów ludowej przyśpiewki.

Do ostatniej walki w centrum Madrytu dochodzi na Plaza Mayor, gdzie wycofały się niedobitki oddziałów toczące bój o ulice z francuskimi żołnierzami. Chroniąc się po bramach, sieniach i przyległych uliczkach, bez amunicji, za jedyną broń mając szable i noże, w beznadziejnej walce tracą życie lub wolność kolejni mężczyźni. Piekarz Antonio Maseda, osaczony przez oddział francuskiej piechoty, odmawia wypuszczenia z dłoni starej, zaśnieżonej szpady i zostaje zakłuty bagnietami w bramie przy ulicy Pañeros. Podobny los spotyka żebraka Francisca Calderona, który ginie od kuli, uciekając zaułkiem Infierno.

– Tu nie ma już kto walczyć! Ratuj się, kto może!

Jeszcze tylko ostatnia salwa i wszyscy rzucą się pędem do ucieczki. U wylotu ulicy Nueva więźniowie z Królewskiego Więzienia wystrzelili z działa po raz ostatni w stronę francuskich grenadierów nadciągających od ulicy Platería. Potem, zgodnie ze wskazówkami Galisyjczyka Souta, wbili gwóźdź w otwór zapałowy, zagwaźdżając działo, i rozbiegli się, szukając schronienia w pobliskich uliczkach. Kula kładzie jednego z więźniów, Dominga Palena, towarzysze zabierają go, wciąż żywego. Węglarz z Asturii Domingo Girón oraz więźniowie Souto, Francisco Xavier Cayón i Francisco Fernández Pico, uciekając na oślep, wpadają w ulicę Amargura prosto na sześciu polskich szwoleżerów, którzy chcą przymusić ich do poddania się. I prawie się to udaje, gdy do akcji wkracza piętnastoletnia Felipa Vicálvaro Sáez, która zrzuca na Polaków donice, strącając jednego z jeźdźców z konia. Słysząc strzał, dziewczyna upada raniona kulą, a więźniowie korzystają z chwili zamieszania i chwytają za noże.

– Francowate żabojady! Wsadzimy wam szable w dupy!

Podrzynają gardło leżącemu na ziemi, reszta jeźdźców zawraca, czterech Hiszpanów przebiega ulicę Mayor. Nadjeżdża więcej Polaków, słysząc strzały i na rogu ulicy Bordadores ginie węglarz Girón. Kilka kroków dalej, na ulicy Aguas, kula gruchocze kolano następnemu – Fernández Pico upada na bruk.

– Nie zostawiajcie mnie! Pomocy!

Wyraźnie słysząc stukot końskich kopyt. Ani Souto, ani Cayón nie patrzą za siebie. Ranny próbuje dostać się do bramy, ale jeden z Polaków wstrzymuje przy nim konia i pochyliwszy się nad więźniem, nie zsiadając z wierzchowca, bez pośpiechu siecze szablą. Tak umiera osiemnastoletni Francisco Fernández Pico, pasterz, mieszkaniec ulicy Paloma. Odsiadywał w więzieniu karę za zasztyletowanie oberżysty, który podał mu rozwodnione wino.

Ostatnich broniących się na Plaza Mayor los przywiódł pod bramę Cuchilleros, gdzie spotkali się: mieszkający przy schodach Ánimas niejaki Teodoro Arroyo, pocztylion Pedro Linares, któremu udało się dziś wyjść cało z wielu opresji, Monsak, Franzmann i Weller z Gwardii Walońskiej, neapolitańczyk Bartolomé Pechirelli, weteran z 3. Kompanii Felipe García Sánchez wraz z synem, szewc Pablo García Vélez, emerytowani urzędnicy ambasad Nicolás Canal i Miguel Gómez Morales, krawiec Antonio Gálvez i niedobitki grupy utworzonej przez złotnika z Atochy, Juliána Tejedora de la Torre i jego przyjaciela rymarza Lorenza Domingueza, oraz paru majstrów i czeladników. Tych siedemnastu mężczyzn broni się pod kamiennym łukiem łączącym ulicę św. Michała z placem, a jest ich tak wielu, że zwracają uwagę nieprzyjacielskiego oddziału, który właśnie przejął porzucone działo. Francuzi nie mogą dosięgnąć Hiszpanów ogniem

z karabinów, bo ci kryją się za szerokimi kolumnami bramy, więc nakładają bagnety i przystępują do okrutnej walki wręcz. Ginie wielu cesarskich żołnierzy, ale umiera też Teodoro Arroyo z rozciętą bagnetem pachwiną, a pocztalion Pedro Linares w żelaznym uścisku przetacza się po ziemi z francuskim sierżantem, dźgając go nożem, by na koniec zginąć od ciosów nieprzyjacielskich bagnatów.

– Paul! Paul, uciekaj!

Ostrzegawczy okrzyk walońskiego gwardzisty Franza Wellera rozbrzmiewa zbyt późno i jego towarzysz Paul Monsak z przestrzelonymi płucami pada na ziemię, plując krwią. Rozwścieczeni Weller i Gregor Franzmann uzbrojeni w karabiny z bagnetami nacierają na Francuzów i ich stalowe ostrza. Walczą, biją kolbami, kłują bagnetami. Jedni i drudzy wznoszą okrzyki, by dodać sobie odwagi i by wzbudzić strach wroga, wielu pada, krew leje się strumieniami. Powstańcy odpierają atak, cesarscy się wycofują.

– Za nimi! – krzyczy Pablo García Vélez. – Uciekają! Nam nie uciekną!

Weller i Franzmann, lekko ranni – pierwszy ma rozcięty do kości łuk brwiowy, drugi zaś ramię przeorane bagnetem – wiedzą doskonale, że słowo ucieczka w odniesieniu do wroga to mrzonka, toteż wymieniwszy szybkie, znaczące spojrzenia, rzucają broń i biegną pod arkadami, starając się unikać kul karabinów wymierzonych w nich z drugiej strony placu. Docierają na plac Provincia i tu natykają się znów na francuskich żołnierzy. Ku ich zdziwieniu Francuzi, widząc ich w mundurach, ale bez broni, nie okazują wrogości. Rozmawiają przez chwilę, trochę po francusku, trochę po niemiecku, a nawet pomagają bandażować gwardzistom rany, gdy ci opowiadają, że zostali ranni przy próbach rozdzielenia walczących stron.

– Ci Hiszpanie, *vous savez* – wyjaśnia Franzmann. – Wszyscy oni są jak dzikie bestie. *Ja*.

Po czym, zgodnie z otrzymanymi od Francuzów wskazówkami, którzy przejść najbezpieczniej, dwaj towarzysze schodzą ulicą Atocha, by opatrzyć rany w Hospital General. Po paru godzinach, późnym popołudniem, Węgier i Alzacyjny wrócą do koszar. I pojawiwszy się tam, głęboko przekonani, iż grozi im surowa kara za dezercję, z prawdziwą ulgą stwierdzą, że z powodu potwornego zamieszania nikt nawet nie zauważył ich nieobecności.

Mniej szczęścia niż walońscy gwardziści Franzmann i Weller ma krawiec Antonio Gálvez, który usiłuje wydostać się po potyczce spod bramy Cuchilleros. Kiedy biegnie z ulicy Nueva do placu św. Michała, drogę przecina mu granat, który wyrywa kawałki bruku i trafia Gálveza w nogi, powalając go na ziemię. Mężczyzna z trudem się podnosi i biegnie dalej resztkami sił, potykając się, przy wtórze okrzyków zachęcających do ucieczki, dobiegających z okolicznych balkonów, zdoła jednak zrobić zaledwie kilka kroków i znów upada. Czołga się, kiedy dopadają go cesarscy, którzy strzelają dla postrachu w stronę balkonów i bez litości walą kolbami w zmaltretowane ciało. Uznany za zmarłego, uratowany później przez litościwe kobiety, które wyjdą po niego i zabiorą go z ulicy do jednej z pobliskich kamienic, Antonio Gálvez zostanie inwalidą do końca swoich dni.

Niedaleko stamtąd, wydostawszy się z Plaza Mayor, dwudziestoletni szewc Pablo García Vélez szuka swego ojca. Kiedy kolejny atak uzbrojonej w bagnety francuskiej piechoty przy wsparciu kilku kirasjerów z ulicy Imperiał rozniósł na szablach ostatnich powstańców z oddziału spod bramy Cuchilleros, García Vélez i jego ojciec – pochodzący z Murcji czterdziestodwuletni Felipe García Sánchez – rozdzielili się, bo każdy szukał ratunku na własną rękę. Z nożem za pasem, z lekko krwawiącą na głowie raną od szabli, wyczerpany walką i ucieczką przed francuskim

pościgiem, młodzieniec posuwa się ostrożnie do przodu, szukając schronienia w bramach, zatroskany losem ojca, nie wiedząc, że o tej porze Felipe García Sánchez, któremu co prawda udało się dotrzeć aż w poblizę ulicy Preciados, leży na ziemi z dwiema kulami w plecach.

– Proszę uważać! Przy placu Consejos jest pełno Francuzów!

García Vélez odwraca się zaskoczony. Na drewnianych schodach, ukryta w cieniu bramy, siedzi szesnasto- albo siedemnastoletnia dziewczyna.

– Biegnij na górę, dziewczuszko! To nie zabawa dla ciebie.

– Ja tu nie mieszkam. Czekałam, aż droga będzie bezpieczna.

– To poczekaj jeszcze trochę, aż wszystko się uspokoi.

Młodzieniec stoi na progu i obserwuje okolicę. Panuje pozorny spokój, choć na Plaza Mayor wciąż rozbrzmiewają pojedyncze strzały. Paręnaście kroków dalej dostrzega leżącego twarzą do ziemi martwego mężczyznę.

Mam nadzieję – pociesza się w duchu – że ojcu udało się uratować.

Potem myśli o innych. O tych wszystkich, którzy przeżyli ostatnie francuskie natarcie. Zanim sam rzucił się do ucieczki, zdołał zobaczyć, jak kilku unosi ręce w geście poddania. Nie miał ochoty znaleźć się w ich skórze, wzięwszy pod uwagę trupy Francuzów zaścielające plac.

– Chcesz chleba?

García Vélez nie miał w ustach nic, od kiedy wczesnym rankiem wyszedł z domu. Siada więc na schodach obok dziewczyny, która częstuje go połówką bochenka, jednego z dwóch, które ma w koszyku. Nie jest ani ładna, ani brzydka. Nazywa się Antonina Nieto Colmenar, jest szwaczką i mieszka niedaleko, w kamienicy przy kościele św. Jakuba. Wyszła rano na zakupy, niespodziewanie znalazła się na polu walki i poszukała schronienia.

– Masz spódnicę poplamioną krwią, mała – zauważył szewc.

– Ty też masz pokrwawione ręce i głowę.

Młodzieniec uśmiecha się na widok ciemnej, zaschniętej krwi na dłoniach i ostrzu noża. Dotyka rany na głowie. Czuje pieczenie.

– To francuska krew – z dumą pokazuje dłonie.

– Ta na mojej spódnicy to krew mężczyzny, który padł tu niedaleko. Przyklęłam, by mu pomóc, ale nic już nie mogłam zrobić. Potem schowałam się tutaj. To z powodu tej krwi nikt nie chciał mnie wpuścić do domu. Jak ktoś otworzył drzwi, to zaraz je zamykał, jak tylko mnie zobaczył... Ludzie nie szukają kłopotów.

Szewc słucha w roztargnieniu, łapczywie wgrzyzając się w chleb, ale nie jest go w stanie przełknąć, bo zaschło mu w gardle. Oddałbym życie za kwaterkę wina, myśli sobie. Podnosi się i idzie po schodach, pukając do trzech albo czterech drzwi po drodze. Nikt mu nie otwiera, zniechęcony schodzi z powrotem.

– Tchórze, do diabła z nimi... Gorszi niż żabojady.

Dziewczyna z koszykiem na ramieniu obserwuje ulicę.

– Chyba się uspokoiło. Pójdę do domu.

García Vélez nie uważa, że to dobry pomysł. Wszędzie pełno Francuzów, mówi. I niczego się nie boją, robią, co chcą.

– Lepiej poczekaj tu jeszcze trochę.

– Wyszłam z domu już dość dawno. Mama pewnie się martwi.

Rzuciwszy czujne spojrzenie w jedną i drugą stronę, dziewczyna zbiera spódnice jedną ręką i wychodzi na ulicę szybkim, ostrożnym krokiem. García Vélez obserwuje ją z bramy. Dokładnie w tej chwili słyszy stukot końskich kopyt dobiegający od strony placu Consejos, odwraca się i widzi w górze ulicy jadących klusem pięciu francuskich kirasjerów. Na widok dziewczyny spinają konie i z okrzykami tryumfu przejeżdżają przed bramą. Szewc przeklina w duchu. Biedaczka nie ma szans na ucieczkę.

„I tu kończy się twoje szczęście, chłopcze”.

Mówi tak do siebie, gotów stawić czoło temu, co nieuniknione. Pablo García Vélez z trzaskiem otwiera swój sprężynowy nóż z rogową rękojeścią.

Z okna na drugim piętrze w mieszkaniu w jednej z kamienic przy ulicy Mayor, zajmowanym przez pięćdziesięcioletniego Lucasa Espejo, pracownika Biblioteki Królewskiej oraz jego chorą matkę i niezamężną siostrę, Espejo widzi zza żaluzji pięciu francuskich kirasjerów i dziewczynę uciekającą przed końmi, które w końcu ją dopędzają i tratują. Trzech jeźdźców gna dalej, dwóch wraca i kręci się wokół dziewczyny, która podnosi się oszołomiona. I nagle rzuca się do ucieczki. Jeden z kirasjerów pochyla się w siodle i brutalnie chwyta ją za włosy. Ta próbuje się wyrwać, gryzie Francuza w rękę, a ten uderza ją szablą.

– Mój Boże – szepcze Lucas Espejo, odsuwając od okna siostrę, która próbuje też coś zobaczyć.

Przerażony pracownik Biblioteki Królewskiej właśnie zamierza odejść od okna, kiedy widzi, jak z pobliskiej bramy wybiega młody człowiek z szerokim pasem, w espadrylach, kamizelce i koszuli i rzuca się z nożem na kirasjera, kłuje konia w szyję, koń przyklęka na przednie nogi, a młodzieniec chwyta jeźdźca usadowionego w siodle i raz po raz wbija długie na dwie piędzi ostrze w szczeliny pancerza, dopóki drugi z kirasjerów, zbliżywszy się od tyłu, nie zabije go strzałem z pistoletu.

Trzej mężczyźni kryją się za materacami przed gradem francuskich kul na balkonie jednej z kamienic przy ulicy św. Józefa, naprzeciwko ogrodzenia arsenału Monteleón.

– To zaczyna brzydko pachnieć – zauważa właściciel mieszkania, don Curro García, dopalając hawańskie cygaro.

Opróżniona butelka po anyżówce, walająca się u jego stóp, nie miała wpływu na sprawność ręki. Don Curro strzelał z dubeltówki celnie, jak przystało na myśliwego, trafiając Francuzów wychylających się zza rogu św. Bernarda. Ale nieprzyjacielski ogień, z każdą chwilą coraz mocniejszy, właściwie nie pozwala już nawet na podniesienie głowy. U boku don Curra siedzi osiemnastoletni Francisco Huertas de Vallejo, w ustach czuje gorzkocierpki, nieprzyjemny smak prochu. Usta i język ma zabarwione na szaro, bo odgryzł i włożył do lufy karabinu, wraz z kulami, siedemnaście z dwudziestu przydzielonych mu ładunków z woskowanego papieru – każdy zawiera kulę i porcję prochu koniecznego do oddania strzału – które wręczono mu przed bitwą. Nikomu nie udało się przynieść więcej amunicji z arsenału, którego mur ginie teraz pośród tumanów dymu i błysków wystrzałów. Próbował dokonać tego zecer Vicente Gómez Pastrana, który zużył przed chwilą swój ostatni ładunek, a teraz opiera się o ścianę pozostającego w nieładzie salonu – sufit znaczą odpryski po pociskach, z mebli sterczą drzazgi – i z rękoma w kieszeniach spogląda na strzelających towarzyszy. Chciał pójść po ładunki, ale nieprzyjaciel podszedł dość blisko, siła ognia wzmagą się i nikt nie odważy się wyjść na ulicę. Na dole nikogo już nie ma, w sąsiednich domach też nikt nie został. W każdej chwili, rzuca zaniepokojony zecer, żabojady mogą się pojawić na schodach.

– Trzeba uciekać – dodaje.

– Którędy?

– Tyłem. Do klasztoru Maravillas.

Francisco Huertas odgryza ładunek, wrzuca proch i kulę do lufy karabinu i używając woskowanego papieru jako przybitki, upycha wszystko stemplem. Potem kręci głową bez przekonania. Rzeczywistość nie przypomina tego, co sobie wyobrażał, gdy zwabiony wrzawą wyszedł wraz

z wujem na ulicę, gotów walczyć za ojczyznę. W rzeczywistości zaczyna walczyć o siebie. O swoje życie.

– Moim zdaniem, powinniśmy się przyłączyć do tych z arsenału. Tam będziemy mogli walczyć dalej.

– Nie damy rady przejść ulicą – sprzeciwia się Gómez Pastrana. – Żabojady są o jakieś dwadzieścia metrów, nie przebiegniemy... Może jak pójdziemy dziedzińcami, to dotrzemy do naszych dział. Jeśli tu zostaniemy, zamkniemy się w pułapce.

Niezdeterminowany Francisco Huertas naradza się z gospodarzem. Don Curro drapie się po posiwiałych bokobrodach i bezradnie rozgląda się dookoła. To jego dom i nie ma ochoty zostawić go nieprzyjaciołom.

– Idźcie sami – odzywa się wreszcie ponurym głosem. – Ja zostanę.

– Żabojady są o krok.

– Właśnie dlatego... Co powiedzieliby sąsiedzi, gdybym to wszystko zostawił!

– Przecież sami uciekli...

– Każdy odpowiada za siebie.

Cieńsko określić, czy odwaga don Curra wynika stąd, że broni on własnego domu, czy z tego, że opróżnił niedawno butelkę anyżówki. Tymczasem Huertas, przyczajony za materacami, ostrożnie rozgląda się po ulicy. Przybywa granatowych mundurów na rogu św. Bernarda, mimo nieustannego ostrzału żołnierzy Korpusu Ochotników, ulokowanych w wyższych oknach budynku arsenału. Na ulicy św. Józefa, naprzeciw głównej bramy arsenału, wciąż bluzgają ogniem trzy działa, a paru cywilów strzela z okien przyległych kamienic. Przy hiszpańskich armatach dzielnie uwija się liczna grupa mężczyzn i kilka kobiet, nie dbając o to, że znajdują się na otwartej przestrzeni pośrodku ulicy, na celownikach nieprzyjacielskich karabinów.

– Idę – oznajmia, wchodząc do pokoju.

Zecer Gómez Pastrana odkleja się od ściany.

– Gdzie?

– Do tych, co walczą na dole.

Zecer bierze karabin, nakłada bagnet i oblizuje wargi, równie szare od prochu, jak usta Francisca Huertasa.

– No to biegiem – decyduje po chwili zastanowienia. – Oby nie było za późno.

– Idzie pan z nami, don Curro?

Pan domu, sięgając po zapalną do kolejnego cygara, kręci głową.

– Już mówiłem, że zostaję – oznajmia, z bohaterską miną, wydmuchując kłęb dymu. – Tu zginie Samson i wszyscy Filistyni.

– A pańska żona?

– Robię to dla niej... I dla moich dzieci, gdybym je miał – wydmuchuje kolejny kłęb dymu. – Niestety, nie mam.

Francisco Huertas zawiesza muszkiet na ramieniu.

– Niech Bóg ma pana w opiece.

– I was też, moje dzieci.

Dwaj młodzieńcy zbiegają po schodach i zamiast do głównej bramy, kierują się na patio zastawione doniczkami pelargonii, z niedużą fontanną pośrodku, po czym wychodzą tylnym wyjściem. W powietrzu świszczą kule, mężczyźni pochylają głowy. Gómezowi Pastranie pęka jedno ze szkła w okularach.

– A niech to. Akurat tym okiem celuję.

Pomagając sobie nawzajem, przeskakują ogrodzenie i są już w przyklasztornym ogrodzie. W oddali nad dachami widać dym. Na okolicznych ulicach trwa strzelanina.

– Ktoś za nami idzie – szepcze zecer.

– Żabojady?

– Może.

Nie zdążył skończyć, kiedy przed jego bagnetem wymierzonym w stronę ogrodzenia ukazały się siwe bokobrody i rumiana twarz don Curra. Myśliwy, z fuzją przewieszoną przez plecy, jest mokry od potu i ciężko dyszy z wysiłku.

– Przemyślałem to raz jeszcze – oznajmia.

Ślusarz Blas Molina Soriano, który pomógł przenieść porucznika Ruiza, wraca przed bramę arsenału z kieszeniami pełnymi ładunków. Tu, wsparty o resztki węgara, mierzy do Francuzów, którzy podchodzą od fontanny Nueva i ulicy Fuencarral. Ma wrażenie, że minęło wiele dni od czasu, kiedy dziś rano stanął na czele zamieszek obok Pałacu Królewskiego. I powoli ogarnia go rozczarowanie. Niewielu ludzi chwyciło za broń, zważywszy na liczbę mieszkańców Madrytu. A wojskowi, z wyjątkiem tych w Monteleón, gdzie prawie wszyscy żołnierze biją się wzorowo i z oddaniem, wcale nie mają ochoty przyłączyć się do cywilów. Mimo wszystko Molina wciąż wierzy, że hiszpańscy żołnierze wyjdą z koszar. To niemożliwe, żeby mężczyźni, w których żyłach płynie hiszpańska krew, pozwolili Francuzom bezkarnie wystrzelać lud Madrytu i nawet nie kiwnęli palcem. Choć ta zwłoka i brak jakichkolwiek wieści nie wróżą najlepiej. Wraz z upływającym czasem, zacieśniającym się pierścieniem oblężenia i rosnącą liczbą ofiar gasną nadzieje ślusarza. Nie nadciągają utęsknione posiłki i z każdą chwilą coraz więcej cywilów i żołnierzy, zmęczonych czy przestraszonych, przemyka, uciekając przed ogniem, i chowa się na tyłach arsenału albo w okolicznych domach, podczas gdy Francuzi roją się jak

pszczoły w ulu. Na koniec Molina w przerwie między salwami podchodzi do oficera, który z szablą w dłoni kieruje ogniem baterii.

– Kiedy przyjdzie nasze wojsko, panie kapitanie?

– Wkrótce.

– Na pewno?

Luis Daoiz spogląda nań niewzruszony, z nieobecny wyrazem twarzy. Jakby go nie widział.

– Jak Bóg na niebie.

Molina, poruszony zachowaniem oficera, z trudem przełyka ślinę, bo gardło ma suche jak pieprz.

– No skoro pan tak mówi...

Kobieta, która pomaga przy najbliższej z armat, Ramona García Sánchez, wyciera nos wierzchem brudnej dłoni i spod przymrużonych, przyczernionych prochem powiek rzuca okiem na ślusarza.

– Nie słyszałeś pana kapitana, hultaju jeden? Jak powiedział, że przyjdzie, to przyjdzie. Koniec, kropka. A teraz pomóż nam tutaj albo idź i nie przeszkadzaj. Nie ma co gadać po próżnicy.

– Nie unoś się tak.

– Unosi to mi się spódnica, a tobie nic do tego.

Ostatnie słowo zagłusza potężny wybuch. Wystrzelono z kolejnego działa, a siła odrzutu przetacza armatę, która omal nie przewraca Moliny, ten jednak zdąży uskoczyć na bok. Odpowiedzią jest wściekły ogień francuskich karabinów. Pośród kłębow dymu i przelatujących ze świstem kul któryś z mężczyzn obsługujących działło krzyczy w stronę bramy arsenału:

– Proch i kule! Tutaj! Prędko!

Od bramy biegnie paru cywilów, w tym dwie kobiety – młodsza Benita Pastrana i Juana García, mieszkająca przy ulicy św. Grzegorza – z ładunkami w wielkich, plecionych koszach, schylone, by uniknąć nieprzyjacielskich kul. Zaopatrują w amunicję działo porucznika Arango, wycelowane w ulicę św. Piotra, przy którym rozkazy Aranga sprawnie wypełnia kanonier Antonio Martín Magdalena razem z pomocnikami od wyciora i stempla: Juanem Gonzálezem, jego żoną Clarą del Rey oraz ich trzema synami: dziewiętnastoletnim Juanitem, siedemnastoletnim Ceferinem i zaledwie piętnastoletnim Estanislajem. Amunicję dostarczają też do ośmioletniego działka, skierowanego na Fuencarral i fontannę Nueva, wcześniej dowodzonego przez porucznika Ruiza, teraz zaś przez kaprala Eusebia Alonsa, wspomaganego przez wojskowego pisarza Roja i sprzedawcę napojów z Hortalezy José Rodrígueza wraz z synem Rafaelem. I wreszcie cztery ładunki prochu i cztery kule otrzymuje trzecie działko, wycelowane w ulicę św. Bernarda i fontannę Matalobos, które obsługują kanonierzy Pascual Iglesias i Juan Domingo Serrano, pochodzący z Maravillas chwacki Antonio Gómez Mosquera i żołnierz z Korpusu Ochotników Antonio Luque Rodríguez. Pośród nich leżą na ziemi, klęczą albo i stoją ci najodważniejsi – cywile i żołnierze, którzy strzelają z karabinów, osłaniając załogi dział przed kulami Francuzów. Są i tacy, którzy ładują broń albo czekają, aż zza muru podadzą im załadowane karabiny, kryjąc się za lawetami czy zburzoną bramą arsenału. Obrońcy padają bez przerwy, wśród zabitych są Juan Rodríguez Llerena, garbarz, urodzony w Cartagena de Levante, dziewiętnastoletni żołnierz Korpusu Ochotników Esteban Vilmendas Quílez i Francisca Olivares Muñoz z ulicy Magdalena, trafiona kulą w szyję, gdy niosła kanonierom gąsior z winem. Armatnie lawety poplamione są krwią, na ziemi pełno czerwonych kałuż i krwawych smug pozostawionych przez ciała rannych, przeciąganych za

bramę arsenału albo do klasztoru Maravillas. W jednym z jego okien stoi siostra Eduarda, rozrzucając medaliki i święte obrazki, nieustannie dodając otuchy walczącym.

– Niech Bóg wam błogosławi! Niech żyje Hiszpania!

Błogosławionych czy pozbawionych błogosławieństwa, myśli sobie Luis Daoiz, tak czy inaczej wystrzelają nas jak króliki. Dzieli się tą gorzką uwagą – dyskretnie i cicho – z kapitanem Velardem, który pojawił się, by sprawdzić rozwój wypadków.

– To z naszej winy ci biedacy znaleźli się w opałach, Pedro.

Velarde, jak zwykle natchniony, spogląda na Daoiza z miną osoby właśnie spadłej z księżyca.

– Musimy jeszcze trochę wytrzymać – stwierdza, poprawiając epolety przecięte szablą. – Towarzysze nas tak nie zostawią.

– Towarzysze? Jacy towarzysze? – Daoiz stara się mówić cichym głosem. – Wszyscy pochowali się w koszarach. I jeśli wyjdziemy stąd żywi, i ciebie, i mnie czeka kulka w łeb. Bez względu na wszystko jesteśmy straceni.

Koło głów przelatują ze świstem dwie francuskie kule. Spojrzawszy ze spokojem w jedną i drugą stronę ulicy, Velarde podchodzi jeszcze bliżej.

– Przyjdą – szepcze przyjacielowi do ucha. – Ja ci to mówię.

– A po cóż mieliby tu przychodzić...

Velarde wraca do arsenału, a Luis Daoiz znów rozgląda się dookoła i czuje wyrzuty sumienia na widok tyłu utkwionych w nim ufnych spojrzeń: jego mundur i zachowanie dodają otuchy walczącym. Tak czy inaczej, stwierdza w duchu, nie ma już odwrotu. We znaki daje się zmęczenie, straty w ludziach, nieustający ostrzał Francuzów. Daoiz nie chce myśleć o tym, co się stanie, jeśli Francuzi, było nie było zawodowi żołnierze, przystąpią do walki wręcz, na bagnety. Pod warunkiem, że zostanie tu jeszcze ktoś, kto tę

walkę podejmie. Najgęstszy ogień nieprzyjaciel kieruje na powstańczą baterię trzech dział, a francuscy wołyżerowie popisują się celnością. Kolejna kula uderza o lufę i rykoszetem, o piędź mijając kapitana, trafia w szyję kanoniera Pascuala Iglesiasa, który upada, ściskając stempel w dłoni, bluzgając krwią, niczym byk raniony szpadą w czasie korridy. Daoiz krzyczy, żeby zabrano ciało, ale żaden z artylerzystów chroniących się przy bramie arsenału nie kwapi się, by zająć miejsce po zabitym. Zamiast nich przy dziale melduje się żołnierz z Korpusu Ochotników, niejaki Manuel García, weteran o orlich rysach, z gęstymi bokobrodami i ogorzałą twarzą.

– Nie stójcie tak wszyscy przy działach! – woła Daoiz. – Odsuńcie się! Schowajcie się trochę!

Na darmo, myśli sobie. Cywile, którzy jeszcze nie stracili zapału do walki ani się nie poddali, nie znają podstawowych zasad zachowania się w boju i w bitewnym zapale sami wystawiają się na niebezpieczeństwo. Francuska salwa właśnie pozbawia życia mieszkańca tej dzielnicy Vicente Fernández de Herosa, niosącego ładunki do karabinów, i dwudziestoczteroletniego pomocnika piekarza Amara Otera Méndeza, a jego pracodawczyni, Cándida Escribano – obserwująca walkę z okna własnej piekarni – widzi, jak młodzieniec upada raniony dwiema kulami po walce stoczonej u boku towarzyszy, wśród których są trzydziestoletni Guillermo Degrenon Dérber, osiemnastoletni Pedro del Valle Prieto i dwudziestodwuletni Antonio Vigo Fernández. Trzej pomocnicy z piekarni biorą rannego i niosą go do klasztoru, ale mimo ich szybkiej pomocy Amaro Otero Méndez, którego krew spływa im po rękach, wykrwawia się na śmierć. W drodze powrotnej, gdy tylko wkraczają na ulicę, francuska kanonada poważnie rani w głowę Guillerma Degrenona, dosięga piersi

Antonia Vigo i zabija Pedra del Valle. W zaledwie dziesięć minut piekarnia z ulicy św. Józefa traci czterech pracowników.

Charles Tristan de Montholon, dowódca 4. Pułku Cesarskiej Piechoty, sprawdza, czy wszystkie guziki jego kurtki są regulaminowo zapięte, poprawia kapelusz i wyciąga szablę. Nie ma ochoty, by jego żołnierze zostali wystrzelani jak kaczki. Po otrzymaniu raportów od kapitanów i złych wieści od Westfalczyków, którzy utknęli u zbiegu ulic św. Józefa i św. Bernarda, postanawia uderzyć wszystkimi siłami. Równoległy atak trzema ulicami nie posunął wojsk do przodu, francuskie oddziały ponoszą wielkie straty, a rozkazy nadchodzące ze sztabu głównego są w coraz bardziej poirytowanym i nagłym tonie. „Proszę z tym skończyć!”, brzmi ostatni, lakoniczny rozkaz własnoręcznie podpisany przez Joachima Murata. Toteż Montholon, nakazawszy taktyczne przegrupowanie wojsk, na pierwszej linii pozostawił tylko Westfalczyków i oddziały wołtyżerów, które mają nękać wroga ogniem prowadzonym z tarasów i dachów. Resztę sił zbiera w jednym miejscu.

– Ruszymy zwartą kolumną – poinstruował oficerów. – Od fontanny Nueva ulicą św. Józefa aż do samego arsenału. Idziemy z bronią do ataku, nie zatrzymujemy się... Ja pójdę na czele kolumny.

Oficerowie kończą ustawiać szeregi i zajmują swoje pozycje w szyku. Montholon stwierdza z satysfakcją, że cesarska kolumna stanowi jednorodną masę, najeżoną ośmiuset bagnietami i zajmuje całą ulicę, a młodzi żołnierze, widząc się wśród towarzyszy, zdają się ufać własnym siłom. Na czele kolumny Montholon ustawił wszystkich grenadierów pułku. Atak szykiem zwartym to budząca trwogę taktyka regularnych armii – w tym francuskiej. Pola bitewne Europy mogą zaświadczyć, że trudno odeprzeć natarcie kolumn idących w takim szyku bojowym, który co prawda naraża atakujących na ogromne straty, ale przy dobrym

wyszkoleniu, determinacji oficerów i żołnierzy pozwala dotrzeć do linii wroga i rozbić ją. Kolumny są tak zwarte i dysponują tak ogromną siłą ognia, że zdolne są – na podobieństwo taranów – wbić się klinem głęboko w pozycje nieprzyjaciela. W ten właśnie sposób wygrano już dziesiątki bitew.

– Niech żyje Cesarz!

Trąbka daje sygnał do boju, zaraz potem zaczynają grzmieć werble.

– Naprzód! Naprzód!

Granatowa, zwarta, imponująco liczna, lśniąca od bagnatów kolumna wchodzi jednolitym krokiem w ulicę św. Józefa. Montholon idzie na czele, narażony na duże niebezpieczeństwo, z tym dziwnym poczuciem nierealności, które dopada go zawsze przed bitwą: wyćwiczone, automatyczne ruchy i wpojona dyscyplina zastępują wolę i uczucia. Jednocześnie stara się zepchnąć w najdalszy zakątek świadomości lęk przed nieprzyjacielską kulą.

– Naprzód marsz! Podwójny krok!

Rytm kroków ulega przyspieszeniu, łomot podkutych butów niesie się po ulicy. Montholon słyszy za plecami urywany oddech maszerujących za nim piechurów, a na przedzie odgłosy strzałów osłaniających atak. Idąc do przodu, młody dowódca dostrzega mnóstwo szczegółów: ciała żołnierzy, krew, odpryski i dziury po kulach na fasadach domów, stłuczone szyby, ogrodzenie arsenału, klasztor Maravillas za rogiem ulicy św. Andrzeja, nieco dalej bramę arsenału, stojące przy niej działa i ludzi, którzy się przy nich uwijają. Jedno z dział bluzga ogniem i kula, lecąc wysoko, uderza w dach, obsypując Francuzów kawałkami cegieł, gipsem i dachówkami. Z armat pod ogrodzeniem i w bramie arsenału trwa nieustanny ostrzał.

– Ściśnij szeregi!

Hiszpanie nie mają kartaczy, stwierdza z ulgą francuski dowódca. Kątem oka sprawdza, co dzieje się za jego plecami, i widzi, że choć kule dosięgły i położyły paru żołnierzy, kolumna niewzruszenie posuwa się do przodu.

– Nie gubić kroku! Broń do ataku! Równy krok! – krzyczy, zagrzewając ludzi do boju. – Niech żyje Cesarz!

– Niech żyje Cesarz!!! Niech żyje Cesarz!!! Niech żyje Cesarz!!!

Nareszcie, stwierdza w duchu Montholon, mamy zwycięstwo w zasięgu ręki.

Zebrawszy na dziedzińcu tylu ludzi, ilu zdołał, Pedro Velarde z obnażoną szablą rusza z nimi na ulicę.

– Bagnet na broń! Nadchodzą!

Choć wielu zostaje przy bramie albo przy ogrodzeniu, za Velardem wybiega pięciu żołnierzy z Korpusu Ochotników i pół tuzina cywilów, a wśród nich ślusarz Molina i niedobitki oddziału oberżysty Fernándeza Villamila, złotnik Antonio Claudio Dadina i bracia Muñiz Cueto.

– Zatrzymamy ich! – wrzeszczy Velarde głosem zachrypłym z gniewu i od prochu. – Nie przejdą ani kroku dalej! Słyszycie?! Niech żyje Hiszpania!

W chaotycznej strzelaninie do grupy dołączają mężczyźni z oddziału Cosme de Mora, wycofujący się w nieładzie z kamienicy na rogu św. Andrzeja, którą niedawno zdobyli wraz z Velardem, oraz pojedynczy cywile: student José Gutiérrez, fryzjer Martín de Larrea i jego pomocnik Felipe Barrio, zecer Gómez Pastrana, don Curro García i młody Francisco Huertas de Vallejo, którym udało się tu dotrzeć przez klasztorny ogród. Wszyscy zbierają się wokół dział, co w połączeniu z załogą baterii daje pół setki walczących, pośród których znajdują się Ramona García Sánchez,

trwająca wiernie u boku kapitana Daoiza, i Clara del Rey, wraz z mężem i synami obsługująca armatę dowodzoną przez porucznika Arango.

– Odwagi! Bagnety na broń! Noże w ręce! Odwagi!

Skupieni w jednym miejscu powstańcy zapłacą za to krwią, bo stają się łatwym celem dla wołyżerów ulokowanych w pobliskich kamienicach i na dachach. Siedemnastoletnia Benita Pastrana zostaje ranna w nogę i umrze parę dni później z powodu zakażenia. Trafieni kulą padają również siedemnastoletni robotnik Manuel Illana, asturyjski żołnierz z Korpusu Ochotników Antonio López Suárez, lat dwadzieścia dwa, a postrzelony w głowę zostaje trzydziestoczteroletni tracz Antonio Matarranz y Sacristán.

– Już tu idą! Już tu są!

Otarłszy pot z czoła rękawem kurtki, Luis Daoiz unosi szablę. Dwa z trzech dział są naładowane, a załogi pospiesznie wycelowują je w ulicę św. Józefa, którą nadciąga – marszowym krokiem i z nastawionymi bagnetami – potężna kolumna francuskiej piechoty, niewzruszenie prąc do przodu, mimo że ludzie kapitana Goicoechei wciąż ostrzeliwują ją z okien budynku arsenału. Po innych oficerach, którzy zameldowali się tu rano, nie pozostał nawet ślad. Siedzą gdzieś w spokoju na tyłach, co za odwaga, myśli z goryczą Daoiz. Co do sił wroga, który lada moment przypuści atak, doświadczony kapitan artylerii nie ma żadnych złudzeń, wie doskonale, że nie jest w stanie odeprzeć natarcia, a kiedy zwarte francuskie szeregi uderzą wręcz, obrońcy arsenału zostaną rozniesieni na bagnetach. Mają zatem do wyboru poddać się albo umrzeć w walce. Zamiast stanąć przed plutonem egzekucyjnym – od czego nikt i nic go nie wybroni – Daoiz woli zginąć tu, z podniesionym czołem i szablą w dłoni. Tak powinien postąpić w obecnej sytuacji każdy, kto – tak jak Daoiz – nie ma ochoty dać sobie strzelić w łeb. Woli najpierw odstrzelić łby tyłu Francuzom, ilu zdoła. I dlatego, zapominając o bożym świecie, kapitan opiera się mocno nogami o ziemię

i sposobi się, by opuścić szablę, krzyknąć „ognia!” dla dwóch dział – gdybyśmy chociaż mieli kartacze, wzdycha po raz nie wiadomo który – aby potem użyć tej szabli i sprzedać swoje życie za najwyższą cenę, walcząc z odwagą i desperacją. Przez moment jego wzrok napotyka rozgorączkowane oczy Pedra Velardego, który naciska spust pistoletu i strzela do Francuzów, nie przestając krzyczeć i powstrzymując tych, którzy na widok nieprzyjaciół próbują umknąć i skryć się na tyłach. Oto gdzie nas przywiódł twój i mój patriotyzm, nas, godnych lepszej Hiszpanii niż ta smutna i nieszczęsna, która właściwie sprawia, że zazdrościmy Francuzom, że nas podbijają i mordują.

– Kiedy nadejdą posiłki, panie kapitanie? – pyta Ramona García Sánchez, stojąc obok Daoiza z nożem w jednej i z bagnetem w drugiej ręce.
– Bo nie da się ukryć, że coś długo im schodzi, niech ich diabli.

– Niebawem.

Kobieta uśmiecha się, twardo i złowieszczo, z twarzą osmaloną prochem.

– Jak poczekają jeszcze z półtorej minuty, to mogą nie zdążyć.

Daoiz otwiera usta, by wydać rozkaz do ostatniej salwy: Francuzi właśnie mają minąć róg św. Andrzeja, są o jakieś czterdzieści kroków. I dokładnie w tym samym momencie, kiedy francuskie wojsko dochodzi do skrzyżowania, rozlega się dźwięk trąbki i mężczyzna w mundurze, jakiś hiszpański oficer, pojawia się na rogu z uniesioną szablą i zawiązaną na jej ostrzu białą flagą.

– Stać! Przerwać ogień!

Pokusa uniknięcia dalszego rozlewu krwi jest ogromna. Major Montholon wie, że choć zdobędzie arsenał, to poniesie spore straty w ludziach. I ten oficer, który nadchodzi, powiewając białą flagą

i rozpaczliwie próbując przerwać walkę, ofiaruje sposobność, z której nieskorzystanie byłoby – w dosłownym tego słowa znaczeniu, wszak Montholon osobiście maszeruje na czele swoich oddziałów – samobójstwem. Dlatego Francuz rozkazuje kolumnie stanąć i opuścić lufy karabinów, jak zwykło się to czynić na znak żałoby. Następuje chwila najwyższego napięcia, bo strzały nie ustają i zachowanie Hiszpanów nie do końca jest jasne. Spod bramy parku dobiegają sprzeczne rozkazy, a tymczasem niewysoki oficer w granatowej kurtce krąży między działami z uniesionymi rękoma i próbuje powstrzymać swoich podwładnych. Kula dosięga jednego z francuskich piechurów, który osuwa się na ziemię przy wtórze gniewnych okrzyków towarzyszy. Zdezorientowany Montholon gotów jest już wydać rozkaz kontynuowania natarcia, a tymczasem po zaledwie dwóch strzałach ogień zostaje przerwany, a zza ogrodzenia i z okien budynku arsenału wychylają się nieliczni zaciekawieni powstańcy. Oficer z białą flagą dobiegł do dział stojących przed bramą, gdzie wszyscy głośno się kłóca. Montholon nie rozumie ani słowa z tego języka, prosi więc tłumacza, stojącego tuż za nim wraz z trębaczem i dobozem, żeby tłumaczył to, co usłyszy. Następnie rozkazuje żołnierzom wziąć broń na ramię i podejść do hiszpańskich dział na odległość dziesięciu metrów. Tu na ich spotkanie wychodzi oficer z odkrytą głową, w zielonej kurtce z rozciętym szablą epoletem, i niezbyt grzecznie wymachując rękoma, peroruje po hiszpańsku, kończąc swoją przemowę w łamanym francuskim:

– *Si continués, ye ordone vu tirer desús... Comprí o no comprí?*⁵

– Mówi, że... – zaczyna tłumacz.

– Doskonale rozumiem, co mówi – odpowiada Montholon.

Francuski dowódca nakazuje kolumnie stać, wysuwa się do przodu i wraz z tłumaczem, trębaczem i kapitanami Hillerem i Labedoyere'em kieruje się ku grupie Hiszpanów, pośród których stoją: oficer z białą flagą,

oficer w granatowej kurtce – kapitan artylerii, stwierdza Montholon, dostrzegając czerwone wyłogi munduru – oficer w zielonej kurtce, również w stopniu kapitana, oraz pół tuzina wojskowych i cywilów, którzy wychodzą zza dział, odważniejsi niż cała reszta, cisnąca się za armatami, w bramie, na ogrodzeniu i w oknach budynku arsenału, z bronią w ręku, obserwująca zdarzenie z pełną rezerwy ciekawością. Z klasztoru Maravillas też wychodzą uzbrojeni mężczyźni, żeby sprawdzić, co się dzieje – patrzą i nasłuchują, stojąc za pogiętą od kul kratą. Oficer z białą flagą żywo dyskutuje z pozostałymi dwoma. Montholon dostrzega również u niego kapitańskie dystynkcje na białym mundurze z czerwonymi wyłogami, podobnym do mundurów kilku spośród żołnierzy broniących arsenału. Co oznaczałoby, że należy do tego samego pułku, co oni. Choć wśród obrońców widać również granatowe kurtki kanonierów, takie same jak kurtka niewysokiego kapitana. Natomiast wyższy wzrostem kapitan, który ma wyhaftowane na kołnierzu „granaty gorejące”, z racji swej zielonej kurtki należy chyba do wyższych oficerów tej formacji. Francuski dowódca, lekko zbity z tropu, zastanawia się kogo ma przed sobą i kto, u licha, tutaj dowodzi.

Kapitan Melchor Álvarez z Pułku Piechoty Korpusu Ochotników spływa potem, ledwie dyszy i jest mocno poirytowany. Pot i zadyszka to konsekwencja szybkiego biegu od koszar przy ulicy Mejorada, skąd pułkownik Esteban Giraldes wysłał go przed piętnastoma minutami z rozkazami do dowodzących obroną Monteleón: mają przerwać ogień i poddać arsenał Francuzom. Natomiast irytacja wynika stąd, że choć on sam ryzykował życiem, wchodząc między walczące strony, a za ochronę mając tylko białą chustę przywiązaną do szabli, to żaden z oficerów dowodzących tą absurdalną obroną nie raczy go posłuchać. Kapitan Luis Daoiz powiedział mu, żeby wracał, skąd przyszedł, a drugi z buntowników,

Pedro Velarde, właśnie roześmiał mu się prosto w twarz i bezczelnie stwierdził:

– Pułkownik Giraldes tutaj nie dowodzi.

– To nie jest rozkaz Giraldesa, ale rządu! – nie ustępuje Álvarez, pokazując dokument. – To jest rozkaz podpisany osobiście przez ministra wojny. Jest oburzony takim brakiem rozwagi i nakazuje natychmiast przerwać ogień.

– Minister traci czas – oznajmia Velarde. – I pan również.

– Jesteście sami. Nikt wam nie pomoże, a w całym mieście panuje spokój.

– Już powiedziałem, że traci pan czas, żegnam! Ogłuchł pan?

Kapitan Álvarez spogląda niechętnym wzrokiem na starszego oficera. Wręczając mu rozkaz, pułkownik Giraldes wspomniął o egzaltacji i fanatyzmie tego Velardego, choć nie sprecyzował, jakich granic sięgają. Bardziej niepokoi fakt, że ów drugi z kapitanów, cieszący się opinią człowieka zrównoważonego i spokojnego, dał się do tego przekonać. Niestety, myśli sobie Álvarez, patrząc na spustoszenia dookoła, na ziemię splamioną krwią, na cisnących się i wyczekujących ludzi, sprawy zaszły za daleko.

– Są panowie zupełnie nieodpowiedzialni – oświadcza surowo. – Podburzacie ludność cywilną i narażacie ją na niebezpieczne konsekwencje... Nie wystarczy wam krew przelana przez obie strony?

Kapitan Daoiz badawczo przygląda się Francuzom. Dowódca kolumny stoi w odległości paru kroków w towarzystwie dwóch kapitanów i trębacza. Obok stoi tłumacz i przekłada to, co zdoła usłyszeć. Dowódca słucha uważnie, przechyliwszy nieco głowę, marszczy czoło i bawi się kłamrą u pasa, nie wypuszczając szabli z drugiej ręki.

– Strzelają do ludu i jego krew przelewają tamci panowie – odzywa się Daoiz, wskazując na Francuza. – A rząd i pan sam, kapitanie Álvarez, oraz wielu innych siedzą z założonymi rękoma i patrzą.

– I czynią to zapewne – dorzuca Velarde, mocno podenerwowany – w cichej zмовie z nieprzyjacielem.

Álvarez, który nie jest zbyt cierpliwy, czuje wzbierający w nim gniew. Nie jest stronnikiem Francuzów, ale żołnierzem wiernym rozkazom i Jego Królewskiej Mości Ferdynandowi VII. Przyszedł tu, mniejsza o rozkazy, bo uważa, że opór przeciw wojskom cesarskim ma posmak złowieszczej i niebezpiecznej awantury. Ani lud razem z wojskowymi, ani nawet zbrojne powstanie w całej Hiszpanii nie jest w stanie przeciwstawić się potędze najlepszej armii na świecie.

– Z nieprzyjacielem? – oburza się. – Tu jedynym nieprzyjacielem jest motłoch kotłujący się bez opamiętania. A wzmiankę o cichej zмовie traktuję jako osobistą zniewagę!

Pedro Velarde postępuje krok do przodu, z surową miną i dłonią zaciśniętą na rękojeści szabli.

– A zatem? Żąda pan satysfakcji? Chce pan ze mną walczyć? Proszę więc zerwać tę hańbiącą białą flagę i przyłączyć się do tych francuskich jegomościów, a ja przyrzekam, że otrzymają panowie godną satysfakcję.

– Uspokój się – wtrąca się Daoiz, przytrzymując go za ramię.

– Ja mam się uspokoić? – Velarde uwalnia się szarpnięciem z rąk Daoiza. – To niech oni idą do diabła, do kroćset!

Álvarez gotów jest ustąpić. Daremny trud, myśli. Niech się pozabijają, jeśli nie ma innego wyjścia. Niech się dzieje wola Boga. Jednak wymieniwszy szybkie spojrzenie z dowódcą Francuzów – wygląda na wytwornego i rozsądnego młodego człowieka, w przeciwieństwie do reszty skoszarowanych w mieście barbarzyńców z cesarskiej armii – postanawia

jeszcze trochę ponaciskać. Z dwóch zbuntowanych kapitanów Luis Daoiz jest niewątpliwie tym bardziej rozsądnym, dlatego tym razem zwraca się do niego.

– A pan nie ma nic do powiedzenia? Gdzież pańska rozwaga, na Boga! Artylerzysta zdaje się namyślać.

– Obie strony posunęły się dość daleko – odzywa się po chwili. – Należałoby ustalić, na jakich warunkach przerwiemy ogień – tu rzuca spojrzenie w stronę francuskiego dowódcy. – Proszę go o to zapytać.

Wszyscy zwracają oczy ku dowódcy francuskiej kolumny, który pochylony nad tłumaczem słucha z uwagą. Potem kręci głową i odpowiada coś w swoim języku. Kapitan Álvarez nie mówi po francusku, ale zanim tłumacz dokona przekładu, słyszy twardy, pewny siebie ton francuskiego dowódcy. No cóż, myśli sobie, ma swoje powody. Załoga arsenału wybiła mu sporo żołnierzy.

– Pan major żałuje, lecz nie może zaproponować żadnych warunków – przekłada tłumacz. – Macie panowie oddać francuskich jeńców całych i zdrowych oraz złożyć broń. Prosi panów, by zechcieli pomyśleć o ludności cywilnej, bo wielu cywilów straciło już dziś życie. Jest gotów przyjąć od panów natychmiastową kapitulację.

– Kapitulację? Po moim trupie! – krzyczy Velarde.

Luis Daoiz unosi rękę. Kapitan Álvarez zauważa, że francuski major i hiszpański kapitan patrzą sobie w oczy jak zawodowi wojskowi. Tli się w nim płomyk nadziei.

– Dobrze – Daoiz przemawia ze spokojem. – Nie można tego zakończyć w inny sposób?

Francuz gwałtownie przeczy, usłyszawszy wyjaśnienia tłumacza. I kiedy artylerzysta baczenie mu się przygląda, Álvarez wzrusza ramionami.

– Zatem nie mamy wyjścia – stwierdza Daoiz z uśmiechem błakającym się po twarzy.

Kapitan Korpusu Ochotników raz jeszcze pokazuje rozkaz podpisany przez ministra O’Farrila.

– Ale mamy to. Bądźcie panowie rozsądni.

– Ten papier nie nadaje się nawet do latryny – rzuca Velarde.

Nie zwracając na niego uwagi, kapitan Álvarez obserwuje Luisa Daoiza. Ten zaś spogląda na kawałek papieru, ale nie wyciąga po niego ręki.

– Tak czy inaczej – prosi Álvarez, wyraźnie straciwszy nadzieję – bardzo proszę, by pozwolił mi pan zabrać stąd moich ludzi.

Daoiz patrzy na niego, jakby nie rozumiał.

– Pańskich ludzi?

– Mam na myśli kapitana Goicoecheę i żołnierzy z Korpusu Ochotników... Nie przyszli tu, by walczyć. Pułkownikowi bardzo na tym zależy.

– Nie.

– Przepraszam, nie rozumiem.

– Nie zabierze ich pan.

Daoiz powiedział to tonem chłodnym i stanowczym, rozglądając się wokół, jakby sytuacja, w której się znalazł, była mu obca i daleka. Są uparci jak osły, dochodzi do wniosku Álvarez, teraz już pełen obaw. Wydarzeń, których jest świadkiem, nikt nie przewidział: egzaltowany Velarde, bujający w obłokach, i ten drugi oficer, od którego wionie nieludzkim chłodem, zupełnie oszaleli. Przez krótką chwilę Álvarez, wiedziony służbową rutyną gotowości do wypełniania rozkazów, rozważa możliwość wygłoszenia przemowy do żołnierzy z jego oddziału i wydania im rozkazu opuszczenia Monteleón. Tym samym osłabiłby znacznie pozycję tych dwóch

wizjonerów i być może zmusiłby ich do kapitulacji na francuskich warunkach. I właśnie wtedy, jakby czytając mu w myślach, Daoiz pochyła się nad nim delikatnie, niemal uprzejmie, wciąż z tym samym dziwnym uśmiechem na twarzy.

– Jeśli spróbuje pan podburzać żołnierzy – oznajmia dyskretnym szeptem – zabiorę pana do środka i strzelę mu w łeb.

Francisco Huertas de Vallejo przysłuchuje się wymianie zdań między hiszpańskimi i francuskimi oficerami, stojąc pośród cywilów, tłoczących się przy działach. Młody ochotnik w towarzystwie don Curra i zecera Gómeza Pastrany czeka z karabinem opartym kolbą o ziemię i rękoma wspartymi na armatniej lufie. Nie wszystko, co mówią, dociera do jego uszu, ale zachowanie hiszpańskich dowódców nie budzi wątpliwości, o czym świadczą zarówno okrzyki Velardego, który mówi najgłośniejszym głosem ze wszystkich, jak i gesty pozostałych. W duchu młodzieniec ufa, że obie strony dojdą do honorowej zgody. Półtorej godziny walki nieco zweryfikowało jego wyobrażenia o wojnie. Nigdy nie przypuszczał, że obrona ojczyzny polega na przyczajeniu się na balkonie za materacami i odgryzaniu ładunków czy gnanej zajęczym strachem gonitwie i przeskakiwaniu przez ogrodzenia z Francuzami depczącymi po piętach. Głęboka przepaść dzieli rzeczywistość od kolorowych plansz z bohaterskimi czynami żołnierzy. Nigdy też nie wyobrażał sobie kałuży krwi na ziemi, roztrzaskanych głów, nieruchomych, okaleczonych ciał, trwoźnych wrzasków rannych i smrodu wylewających się z ich rozciętych brzuchów wnętrzości. Ani tej zwierzęcej radości, że wciąż żyje, choć tyłu wokół straciło życie. Zdrowszy i cały, z bijącym sercem, z wszystkimi rękoma i nogami. Chwilowe, krótkie zawieszenie broni daje czas na przemyślenie, a wniosek jest tak prosty, że nieomal go zawstydzają: pragnie, by wszystko się skończyło, a on sam mógł wrócić spokojnie do domu wuja. Z tą myślą

w głowie rozgląda się dookoła, szukając podobnych odczuć na twarzach, które go otaczają, ale ich nie znajduje – a przynajmniej ich nie dostrzega – bo widzi tylko zacięty upór i pogardę dla Francuzów. Natychmiast prostuje się i przybiera surowy wyraz twarzy, w obawie, by mina nie zdradziła jego uczuć. I podobnie jak reszta, młodzieniec stara się spojrzeć z pogardą na nieprzyjaciół, wśród których jest zresztą wielu podobnych mu gołowąsów, oczekujących w szeregu oddalonym ledwie o parę kroków. Z bliska są mniej przerażający, stwierdza w duchu, choć wyglądają groźnie w eleganckich granatowych mundurach, z białymi lederwerkami i karabinami przy ramieniu, jakże różni od nieszczęsnej armii Hiszpanów, surowych i milczących, stojących naprzeciwko.

– Nie jest dobrze – szepcze don Curro.

Kapitan Daoiz mówi coś do kapitana Korpusu Ochotników, który przybył tu z białą flagą i który nie wydaje się zadowolony z tego, co słyszy. Francisco Huertas widzi ich rozmowę, widzi również tłumacza, który podchodzi bliżej, starając się ich usłyszeć. I wtedy jeden z madrytczyków, zawadiaka z Maravillas, oparty o lufę działa – młody Huertas dowie się później, że był to Antonio Gómez Mosquera – gwałtownie odpycha Francuza, a ten upada na ziemię.

– Do diabła! – krzyczy. – Niech żyje Ferdynand VII!

To, co następuje potem, z nagłą i brutalnie, rozgrywa się bardzo szybko. Bez niczyjego rozkazu, umyślnie czy przypadkiem, kanonier z zapalonym lontem w dłoni przytyka go do załadowanej armatniej lufy. Ku powszechnemu zdumieniu przez ulicę przetacza się huk wystrzału, działo cofa się, a gładka kula, przelatując tuż obok nieprzyjacielskiego dowódcy i jego oficerów, zostawia krwawą wyrwę w nieruchomej i bezbronnej francuskiej kolumnie. Wszyscy krzyczą jednocześnie, Hiszpanie są oszołomieni, a Francuzi przerażeni, do okrzyków oficerów dołączają jęki

ranych cesarskich żołnierzy, wijących się z bólu pośród urwanych kawałków własnych ciał, przerażenie na widok okaleczeń oraz wrzaski paniki rozczłonkowanej kolumny, która rozbiega się w poszukiwaniu schronienia. Po chwilowym osłupieniu Francisco Huertas – podobnie jak reszta towarzyszy – chwyta karabin i celuje z bardzo bliska do uciekających w popłochu nieprzyjaciół. W narastającym bitewnym łoskocie słyszy, jak kapitan Daoiz woła nadaremnie „Przerwać ogień!”, ale nikt nie jest już w stanie opanować ludzkiego żywiołu. Kapitan Velarde z uniesioną szablą podbiega do cesarskiego dowódcy i zmusza Montholona oraz jego oficerów do poddania się. Francuz, klęczący na ziemi, ogłuszony armatnim wystrzałem – tak bliskim, że osmalił mu mundur – na widok lśniącego ostrza szabli przed oczyma unosi ręce, oszołomiony, nie rozumiejąc, co się dzieje, zaś francuscy oficerowie, tłumacz i trębacz idą jego śladem. Podobnie czyni wielu żołnierzy, którzy stanowili czoło kolumny, a nie zdążyli uciec ulicami św. Józefa i św. Piotra: rzucają karabiny, podnoszą ręce i proszą o litość, otoczeni przez tłum cywilów, kanonierów i hiszpańskich żołnierzy. A ci, popychając i uderzając kolbami karabinów, kłując bagnietami, prowadzą francuskich piechurów i ich oficerów za bramę arsenału, przy wtórze rozradowanych okrzyków „zwycięstwo!” i wiwatów na cześć Hiszpanii, króla Ferdynanda VII i Najświętszej Pani. Okna, mury i brama zakonu zapełniają się cywilami i wojskowymi, którzy krzyczą z radości i świętują zwycięstwo. I wtedy Francisco Huertas, który wiwatuje razem z don Currem, zecerem Gómezem Pastraną i całą resztą, wymachując zatkniętym na lufę karabinu skrwawionym francuskim kaszkietem, nareszcie pojmuje niezwykłość ostatnich wydarzeń. Oto w jednej chwili obrońcy z Monteleón nie tylko pojмали dowódcę i paru oficerów nieprzyjacielskiej kolumny, ale też wzięli około stu jeńców. Dlatego bardzo się dziwi, że kapitan Luis Daoiz, znieruchomiały

i zamyślony w środku rozradowanego tłumu, zamiast przyłączyć się do powszechnej radości, stoi z tak poważną, posępną i bladą twarzą, jakby właśnie zobaczył ducha.

Od pierwszej po południu w centrum Madrytu zapada złowrogie milczenie. Wokół Puerta del Sol i Plaza Mayor słychać pojedyncze wystrzały i odgłosy krążących patroli francuskich żołnierzy, którzy przeczesują okolicę z karabinami gotowymi do strzału. Wojska cesarskie opanowały główne aleje i większe place, choć wciąż dochodzi do nielicznych potyczek, gdy Hiszpanie próbują uciekać, szukają kryjówek czy kołaczą do bram, których nikt im nie otwiera. Przerażeni madrytczyzy, ukryci za okiennicami, żaluzjami i zasłonami, oraz ci najodważniejsi, wyglądający z okien czy bram, widzą na ulicach francuskie oddziały pędzące przed sobą jeńców. Trzej tacy nieszczęśnicy ze związanymi rękoma maszerują ulicą Milaneses, pilnowani, a raczej popychani przez francuskich fizylierów. Złotnik mieszkający na tej ulicy, Manuel Arnáez, który nie zważając na błagania żony, stoi w drzwiach swojego warsztatu, rozpoznaje w jednym z pojmanyh kolegę po fachu, właściciela sklepu przy Atocha, niejakiego Juliána Tejedora de la Torre.

– Julián! Julián, dokąd cię prowadzą?

Francuzi wrzeszczą do złotnika, żeby się natychmiast schował, jeden nawet grozi mu lufą karabinu. Arnáez zdąży jeszcze dostrzec, jak Julián Tejedor odwraca się i pokazuje mu związane ręce, jednocześnie wznosząc zrezygnowany wzrok ku niebu. Później dowie się, że Tejedor wyszedł na ulicę, aby razem z mistrzami i czeladnikami swego cechu bić się z Francuzami, i został schwytany na Plaza Mayor wraz z jednym z mężczyzn, który i teraz mu towarzyszy: ze swoim przyjacielem, rymarzem z placyku Matute, Lorenzem Dominguezem.

Trzeci z jeńców to Manuel Antolín Ferrer, pomocnik ogrodnika królewskiej rezydencji we Floridzie, skąd przybył wczoraj, by przyłączyć się do planowanych zamieszek. To mężczyzna korpulentny i silny w rękach, czego dowiódł, walcząc na placu Consejos, przy Puerta del Sol i na Plaza Mayor, gdzie poturbowali go i złapali Francuzi już w trakcie bezładnej ucieczki. Zacięty, milczący, posępny maszeruje z towarzyszami niewoli ze spuszczoną głową i prawym okiem nabrzmiętym po uderzeniu kolbą, przeczuwając, co go niebawem spotka. I pociesza go jedynie świadomość, że własnymi rękoma i własnym nożem wysłał na tamten świat dwóch francuskich żołnierzy.

Sceny podobne do tej z ulicy Milaneses rozgrywają się w wielu innych punktach miasta. W Buen Retiro i w piwnicach przy ulicy Mayor Francuzi wciąż zamykają kolejnych pojmanych. W piwnicach pod schodami kościoła św. Filipa liczba więźniów zwiększa się do szesnastu, kiedy Francuzi wtrącają do celi, pomagając sobie kolbami, dwudziestodwuletniego neapolitańczyka Bartolomé Pechirellego y Falconiego, lokaja z pałacu markiza de Cerralbo przy ulicy Cedaceros. Wyszedł rano razem z innymi służącymi i został schwyty w czasie ucieczki po rozbiciu ostatniego punktu oporu na Plaza Mayor.

Tuż obok przez plac św. Dominika francuski oddział prowadzi kolejnych jeńców, a są to: sześćdziesięciosześcioletni Antonio Macías de Gamazo z ulicy Toledo, Juan Antonio Alices, masztalerz z królewskich stajni, Francisco Escobar Molina, trudniący się wyrobem powozów, i Gabriel López, *banderillero*, wszyscy schwytni w ostatnich potyczkach. Stojąc w bramie królewskich stajni, pomocnik masztalerza Lorenzo González widzi na ulicy Najświętszej Marii Panny kilku grenadierów Gwardii Cesarskiej, którzy prowadzą między innymi jego przyjaciela, emerytowanego urzędnika ambasady Miguela Gómeza Moralesa, z którym

parę godzin temu brał udział w zamieszkach na pałacowym dziedzińcu, a który potem, uciekając przed karabinami Francuzów, walczył w okolicach Plaza Mayor. Kiedy ze związanymi rękoma mija Gonzáleza, prosi go o pomoc:

– Na miłość boską, niechże pan kogoś sprowadzi! Kogokolwiek! Ci barbarzyńcy zaraz mnie rozstrzelają!

Zupełnie bezradny pomocnik masztalerza obserwuje, jak francuski kapral zamyka usta starszemu mężczyźnie, wymierzając mu siarczysty policzek.

Tą samą drogą podąża kolejny sznurek więźniów, wśród których jest Domingo Braña Balbín, dostawca tytoniu dla Królewskiego Urzędu Cei, i Francisco Bermúdez López, lokaj z Pałacu Królewskiego. Braña i Bermúdez należą do tych, którzy walczyli najodważniej na ulicach Madrytu i znajdzie się wielu świadków, którzy zrelacjonują dokładnie ich szlak bojowy. Czterdziestoczteroletni Asturyjczyk Braña został schwytany, gdy z wielką odwagą bił się na szable w pobliżu Hospital General. Natomiast Francisco Bermúdez z ulicy św. Bernarda wyszedł z domu, gdy wybuchły pierwsze walki, i uzbrojony we własny karabinek skałkowy przez cały ranek brał udział w najbardziej zażartych potyczkach – „odważnie i śmiało”, jak opiszą to później liczni świadkowie – po czym został schwytany, gdy wyczerpany i ranny, otoczony przez nieprzyjaciół, nie wypuściwszy karabinu z rąk, nie mógł się już bronić. Antonio Sanz, strażnik Sali Alkadów na dworze królewskim, rozpozna Bermudeza, kiedy Francuzi prowadzą go obok parafii pod wezwaniem Najświętszej Marii Panny. Zaraz potem jego znajoma, Juliána García z ulicy Nueva, dostrzeże go z balkonu pomiędzy innymi więźniami, „kulejącego z powodu rany na nodze i z twarzą osmaloną prochem”.

Inni mają więcej szczęścia. Jak pewien młodzieniec, Bartolomé Fernández Castilla, który cudem ratuje życie na placyku Ángel. Służący w rezydencji markiza de Ariza, chwilowo zamienionej na kwaterę francuskiego generała Emmanuela Grouchy'ego, Fernández Castilla wyszedł z domu wczesnym rankiem, uzbrojony w fuzję. Brał udział w walkach przy Puerta del Sol, a po licznych starciach na uliczkach pomiędzy św. Hieronima i Atocha zostaje ranny podczas kanonady na Plaza Mayor. Jego oddział poszedł w rozsypkę, a trzech przypadkowi towarzysze broni zanieśli go do domu jego pana i zostawili przed bramą, gdzie natychmiast otoczyły go straż francuskiego generała, próbując dobić bagnetami. Zauważa to jedna ze służących, a na jej wołanie o pomoc przybiega reszta służby i stawia opór Francuzom. Dochodzi do przepychanki, ale służącym udaje się wnieść Fernándeza Castillę do domu, a sprzeczka zostaje zażegnana wraz z pojawieniem się adiutanta generała Grouchy'ego, który nakazuje oszczędzić życie młodzieńca i zanieść go na noszach jako jeńca do Buen Retiro. Służba buntuje się, nie chce go nigdzie zanosić, z domu wychodzą nawet kucharki, by sprzeciwić się cesarskim żołnierzom. Wreszcie markiz we własnej osobie, don Vicente María Palafox, włącza się w spór i przekonuje Francuzów, by uszanowali życie rannego. Pod jego osobistą opieką młodzieniec przeleży cztery miesiące w łóżku, lecząc rany. Wiele lat później, po zakończeniu wojny z Napoleonem, markiz de Ariza stawia się z własnej inicjatywy przed stosowną komisją, prosząc, by władze przyznały jego dawnemu służącemu rentę za zasługi oddane ojczyźnie.

Kiedy na placyku Ángel ważą się losy Bartolomé Fernándeza Castilli, niedaleko stamtąd, na placu Provincia, główny nadzorca Królewskiego Więzienia Félix Ángel słyszy stukanie do tylnych drzwi budynku i biegnie sprawdzić, kto się do nich dobija. To wracają więźniowie, którzy wyszli

rano walczyć na ulicach miasta. Wielu ma twarze osmalone prochem i liczne rany, niektórych podtrzymują kompani, ale wszyscy trzymają się na własnych nogach. Wracają pojedynczo, dwójkami albo w niedużych grupkach, wyczerpani ucieczką przed Francuzami.

– Nigdy bym nie pomyślał, że wrócę tu z radością – zauważa jeden z więźniów.

Nie brakuje takich, którzy ze swadą opowiadają o bitewnych wyczynach, są i tacy, którzy zdążyli się napić w oberży pod arkadami na Botoneras. Wielu ma ubrania poplamione krwią, niekoniecznie własną, wielu przyniosło broń zdobytą na Francuzach: szable, karabiny i pistolety, które zostawiają w przedsiionku, a więzienny nadzorca pospiesznie się ich pozbywa, wrzucając je do studni. Wraca Galisyjczyk Souto – w kurtce francuskiego artylerzysty – i uśmiechnięty Francisco Xavier Cayón, więzień, który napisał list z prośbą o pozwolenie opuszczenia aresztu, rękując własnym honorem powrót do więzienia, kiedy walka dobiegnie końca.

– Ciężko było?

– Chwilami tak.

Nie mówiąc nic więcej, z pewnością siebie tak charakterystyczną dla twardych mężczyzn, Cayón podchodzi do bukłaka stojącego na stoliku przy wejściu, odchyła głowę do tyłu i wlewa sobie do ust strumień wina. Potem podaje go Soutowi, który również raczy się trunkiem.

– Duże straty? – dopytuje się Félix Ángel.

Cayón ociera usta wierzchem dłoni.

– Z tego, co wiem, to zabili Pica.

– Frasquita? Tego młodego pasterza z Palomy?

– Właśnie jego. A rannego Dominga Palena zabrali do szpitala, ale nie wiem, czy tam dotarł... Wydaje mi się, że widziałem, jak padło jeszcze

dwóch, ale nie jestem pewien.

– Których?

– Quico Sánchez i Cygan.

– A co z resztą, która nie wróciła?

Dwaj więźniowie patrzą na siebie z kpiną w oczach, Cayón wzrusza ramionami.

– Nie wiem, gdzieś muszą być.

– Obiecali wrócić.

Souto puszcza oko do Cayóna.

– Skoro obiecali, to pewnie wrócą, prawda? Tak mi się wydaje.

Przypuszczenie Francisca Xaviera Cayóna okaże się prawie całkowicie zgodne z prawdą. Ostatni z więźniów zastuka do więziennej bramy następnego dnia w południe, ogolony, w czystym ubraniu, po nocy spędzonej spokojnie w rodzinnym domu przy Rastro. Ostateczny rachunek, przedłożony dwa dni później przez nadzorcę dyrektorowi więzienia, wyglądał następująco:

Więźniów: 94

Odmówiło wyjścia: 38

Wyszło: 56

Zabitych: 1

Rannych: 1

Zaginionych (uznanych za zmarłych): 2

Zbiegłych: 1

Wróciło: 51

Na wzgórzu San Vicente Joachim Murat wpadł w atak furii. Spod czarnych loków, spomiędzy gęstych bokobrodów, z oczu okrutnego

dowódcy lecą iskry. Adiutant zdaje relację z wypadków w arsenale.

– Więźniów!?! – Murat nie wierzy własnym uszom. – Niemożliwe! Ilu!?

Adiutant przełyka ślinę. On też nie mógł w to uwierzyć, dopóki osobiście tego nie sprawdził. Wrócił przed momentem z ostrogami we krwi, na rumaku toczącym pianę z pyska.

– Pojmali majora Montholona, jego oficerów i około stu żołnierzy z jego oddziału – stara się to powiedzieć najspokojniej jak potrafi, widząc purpurową twarz swego rozmówcy. – Jeśli dodamy do tego rannych, których zabrali do środka, i oddział naszych siedemdziesięciu pięciu żołnierzy stacjonujący w koszarach w chwili podniesienia buntu, to w sumie daje coś około... No cóż, jakichś dwustu żołnierzy.

Wielki książe Bergu z nabiegłymi krwią oczyma chwyta adiutanta za szamerunki czerwonej kurtki.

– Dwustu?! Chce mi pan powiedzieć, że ten motłoch uwięził dwustu Francuzów?

– Niestety tak, Wasza Wysokość.

– Skurwysyny! Cholerne skurwysyny!

Zaślepiiony gniewem, Murat kieruje mordercze spojrzenie na dwóch hiszpańskich dostojników, którzy stoją opodal bez kapeluszy, bez koni. Są to dwaj ministrowie, Azanza, minister finansów i O’Farril, minister wojny, którym każe czekać od dłuższej chwili. Przed południem Murat wysłał list do Rady Kastylji, nakazując uspokojenie ludowych zamieszek pod groźbą srogich represji. A dwaj ministrowie, po przejściu – na darmo i z narażeniem życia – ulic przylegających do Pałacu Królewskiego, stawili się przed obliczem wodza francuskich wojsk, by prosić go o ograniczenie działań odwetowych.

– Ograniczenie działań odwetowych, tak? Wszyscy zaraz zobaczą, co znaczy prawdziwy odwet!

I bez żadnej zwłoki, gniewnym krzykiem Murat wydaje dyspozycje dotyczące represji wobec ludności cywilnej, nakazując rozstrzelanie każdego madrytczyka winnego śmierci Francuza oraz powołanie sądów polowych z prawem skazywania na karę śmierci każdego mężczyzny, kobiety czy dziecka schwytanych z bronią w ręku, począwszy od broni palnej, a skończywszy na nożach, nożycach czy jakimkolwiek narzędziu do kłucia czy cięcia. Zarządza również natychmiastowe aresztowanie w domach wszystkich podejrzanych o udział w zamieszkach i zezwala cesarskim żołnierzom na wtargnięcie do kamienic, z których do nich wcześniej strzelano.

– A co zrobimy z buntownikami w arsenale, Wasza Wysokość?

– Wszystkich rozstrzelać.

– Najpierw musimy... No cóż... Musimy zdobyć arsenał.

Murat obraca się gwałtownie w stronę generała dywizji, Josepha Lagrange'a.

– Proszę mnie posłuchać, Lagrange. Chcę, by objął pan dowództwo 6. Pułku w brygadzie Lefranca, który idzie od El Pardo i św. Bernardyna w stronę Monteleón. I jego siłami, przy wsparciu artylerii i wszystkiego, czego będzie pan potrzebował, włączając w to batalion westfalski i 4. Pułk, skończy pan z tym całym arsenałem. Czy to jasne? Macie ich roznieść na bagnietach.

Jego rozmówca, stary, doświadczony żołnierz, weteran kampanii w Pirenejach, Egipcie i Prusach, salutuje, stukając obcasami.

– Tak jest, Wasza Wysokość!

– Nie chcę mieć od pana żadnych wieści, żadnych raportów, żadnych informacji. Czy to jasne? Nie interesuje mnie żadna wiadomość, poza tą o wycięciu w pień buntowników... Czy to dla pana jasne, generale?

– Najzupełniej, Wasza Wysokość.

– A zatem proszę ruszać.

Lagrange nie zdążył jeszcze dosiąść konia, kiedy Murat zwraca się do szefa sztabu, generała dywizji Daniela Belliarda.

– Belliard!

– Tak jest!

Wielki książę Bergu wskazuje pogardliwie na dwóch hiszpańskich ministrów, potulnie czekających na audiencję. Parę tygodni później obaj bez żadnych skrupułów zaczną służyć królowi intruzowi, Józefowi Bonaparte. Teraz czekają, choć nikt nie raczy ich przyjąć. Nawet strzelcy konni i grenadierzy z eskorty Murata śmieją się im prosto w twarz.

– Proszę się zająć tymi dwoma głupkami. Niech tu zostaną, ale niech zejda mi z oczu... Mam ochotę ich obu też rozstrzelać.

Oparty o strzaskany węgar bramy arsenału, kapitan Luis Daoiz nie ma już żadnych złudzeń. Od czasu pojmania żołnierzy francuskiej zwartej kolumny nie nastąpił wprawdzie żaden poważny atak, ale nieprzyjacielski ostrzał nie ustępuje. Arsenał został całkowicie otoczony, a ludzie przy działach kryją się jak mogą, by uniknąć francuskich kul. Każdy, kto próbuje dostać się od bramy arsenału do klasztoru albo do okolicznych kamienic, musi biec, ryzykując trafienie kulą. I jakby tego było mało, kapitan Goicoechea, który wraz ze swoimi żołnierzami i sporą liczbą cywilów wciąż zajmuje pozycje w oknach najwyższego budynku arsenału, informuje o ruchach nieprzyjacielskich oddziałów na odcinku św. Bernarda, obok fontanny Matalobos. Wszystko wskazuje na to, że Francuzi sposobią się do kolejnego ataku i tym razem nie zamierzają ponieść klęski.

– Jak się sprawy przedstawiają? – pyta Pedro Velarde. Daoiz spogląda na przyjaciela, który zjawił się z fajką w ustach. Z szablą schowaną w pochwie, z dwoma pistoletami zatkniętymi za pas, z oberwanymi

guzikami kurtki, z przeciętym epoletem i obsypany tynkiem przypomina raczej przemytnika z Andaluzji niż oficera. Pewnie i ja, myśli sobie kapitan, nie wyglądam lepiej.

– Źle – odpowiada.

Dwaj wojskowi milczą, nasłuchując odgłosów z zewnątrz. Poza sporadycznymi strzałami przyczajonych strzelców miasto spowija cisza.

– W jakim stanie jest porucznik Ruiz? – chce wiedzieć Daoiz.

– W bardzo poważnym. Wciąż jest przytomny, ale bardzo cierpi... Odważny z niego żołnierz, prawda? Taki dobry chłopak.

– Może należałoby go przenieść do klasztoru, pod opiekę mniszek?

– Nie można go ruszać. Stracił dużo krwi i mógłby nie przeżyć przenosin. Jest w sali oficerskiej razem z innymi rannymi, naszymi i Francuzami.

– A poza tym?

Krótko i zwięźle Velarde zdaje mu relację z aktualnego stanu rzeczy. Liczebność obrońców arsenału stopniała do pół tuzina oficerów, dziesięciu kanonierów, trzydziestu żołnierzy z Korpusu Ochotników i niespełna trzystu cywilów, w tym: pięćdziesięciu kanonierów i broniących kamienic przyległych do klasztoru, kolejnych kilkudziesięciu, którzy walczą z Velardem w bramie i pod ogrodzeniem, tych parunastu, którzy pod wodzą Goicoechei strzelają z okien trzeciego piętra i wreszcie tych, którzy mają bronić tyłów arsenału, choć akurat tamtędy ucieka ich najwięcej. Poza tym nie wszyscy biorą udział w obronie, część ludzi pilnuje majora i trzynastu francuskich oficerów wziętych do niewoli w budynku wartowni oraz dwustu żołnierzy zamkniętych w wozowniach i stajniach. Co do amunicji, kurczą się zapasy ładunków, daje się dotkliwie we znaki brak prochu do armat, a kartaczy nie ma już wcale: zachowano jeden ładunek zrobiony ze

skalek od karabinów, aby użyć go zamiast prawdziwego kartacza, gdyby francuska piechota podeszła dostatecznie blisko.

– Niech no tylko podejście – posępnym tonem odzywa się Daoiz.

Jego przyjaciel pali fajkę, wyraźnie zdenerwowany. Stracił wiarę, myśli sobie Daoiz. Nawet taki zapaleniec jak on nie może się już okłamywać.

– Ile ataków jeszcze wytrzymamy?

Brzmi to bardziej jak głośno wypowiedziana myśl niż pytanie. Daoiz z powątpiewaniem kręci głową.

– Jeśli Francuzi się postarają, nie więcej niż jeden.

Dwaj kapitanowie stoją przez chwilę w milczeniu i obserwują, jak paru żołnierzy i cywilów próbuje ulepszyć osłony wokół dział. Korzystając z chwilowej przerwy w walkach, zakrywają działa przodkami wyciągniętymi z arsenału i meblami przyniesionymi z domów. Velarde krzywi się.

– Myślisz, że to czemuś służy?

– Trochę podnosi morale.

Od strony arsenału podchodzi do nich dziewczyna w brudnej, poszarpanej spódnicy, z odkrytymi ramionami i chustką na włosach, z karafkami wina w rękach. Dziękują grzecznie za wino i proszą, by poczęstowała walczących, więc dziewczyna, skulona, pospiesznie przebiega w stronę dział. Daoiz nie pozna jej imienia – ta niespełna trzynastoletnia mieszkanka sąsiedniej ulicy św. Wincentego to Manoli Armayona y Ceide.

– Obawiam się, że w Madrycie już nikt nie walczy – odzywa się nagle Velarde. – I to ty miałeś rację... Nikt nie kiwnie palcem, by nam pomóc.

– A czego się spodziewałeś?

– Przyzwoitości. Patriotyzmu. Odwagi... Sam nie wiem. Hiszpania przynosi sobie wstyd... Ufałem, że nasz przykład pociągnie innych.

– Sam widzisz.

– Chciałbym ci zadać jedno pytanie, Luis. Wtedy, kiedy prowadziliśmy rozmowy z Francuzami... Czy choć przez chwilę pomyślałeś o kapitulacji?

Milczenie. Po chwili Daoiz wzrusza ramionami.

– Może.

Velarde patrzy spod oka, zamyślony, pyka z fajki. Kręci głową.

– No cóż – odzywa się na koniec. – Tak czy inaczej to już bez znaczenia. Po tym wybryku z salwą pod białą flagą już nie możemy skapitulować, prawda?

Daoiz uśmiecha się niemal wbrew sobie.

– To chyba nie byłoby dobrze widziane.

– No właśnie – Velarde też próbuje przywołać na twarz blady uśmiech.

– Lepiej nam skończyć tutaj, z szablą w dłoni, niż dać się rozstrzelać o świcie gdzieś pod murem.

Zmęczony Daoiz ruchem podbródka pokazuje na mężczyzn i kobiety przykucniętych za połamanymi meblami i lawetami dział.

– Powiedz to im.

Twarze kanonierów i cywilów, osmalone dymem, przypominają lśniące od potu szare maski. Słońce przypieka dość mocno o tej porze i widać od razu, że zmęczenie, napięcie i bitewne spustoszenie dokonały swego. A mimo to większość spogląda ufnym wzrokiem na obu kapitanów. Pod klasztornym ogrodzeniem, pośród grupy cywilów uzbrojonych w karabiny, odpoczywających i osłoniętych od francuskich strzelców, Daoiz dostrzega dziesięcio- albo jedenastoletniego smyka – powiedziano mu wcześniej, że to Pepillo Amador – który zjawił się tu w towarzystwie swoich braci, a teraz dumnie nosi francuski kaszkiet. Nieco dalej, między Gómezem Mosquerą z Maravillas a kapralem kanonierów Eusebiem Alonsem, z ogromnym kuchennym nożem zatkniętym za spódnicę, siedzi na ziemi

filuterna Ramona García Sánchez, która, kiedy spotykają się ich spojrzenia, posyła kapitanowi promienny uśmiech.

– Ciągłe ci ufają – stwierdza Velarde. – Wierzą nam.

Daoiz raz jeszcze wzrusza ramionami.

– Gdyby było inaczej – odpowiada szczerze – dawno bym się poddał.

Między pierwszą a drugą po południu z balkonu kamienicy przy ulicy Fuencarral, niedaleko Przytułku św. Ferdynanda, literat i emerytowany inżynier okrętowy floty José Mor de Fuentes wraz ze swoim przyjacielem Venanciem Luną oraz ze szwagrem tego ostatniego, księdzem, obserwują przemarsz francuskich batalionów przez bramę św. Barbary przy dźwiękach werbli, w kolumnach plutonami. Przemierzając miasto, Mor de Fuentes schronił się tu po spotkaniu z cesarskimi żołnierzami, kiedy próbował przedostać się pod arsenał. Zatrzymany przez patrol na rogu ulicy Palma, wybronił się bez trudu dzięki doskonałej znajomości francuskiego.

– Nie za dobrze to wygląda – zauważa Luna.

– Pewnie, że nie za dobrze. Na szczęście udało mi się tu dotrzeć.

– Co pan widział po drodze? – dopytuje się ksiądz.

Mor de Fuentes trzyma w dłoni kieliszek wina o intensywnej woni. Drugą ręką wykonuje gest, którym chce pokazać, że nic, co widział, nie okazało się godne jego waleczności i patriotyzmu.

– Mnóstwo Francuzów. A później struchlałych ze strachu madrytczyków i puste ulice. Prawie wszyscy powstańcy poszli do Monteleón albo rozpiezchli się po mieście.

– Słyszeliśmy, że na Prado rozstrzeliwują ludzi – stwierdza Luna.

– Tego nie wiem. Nie udało mi się przejść za fontannę Cibeles, natknąłem się tam na francuską kawalerię... Próbowałem się dostać do koszar Gwardii Hiszpańskiej, tam mam znajomych. Oczywiście z zamiarem

przyłączenia się do wojska, jeśli tylko wzięłoby udział w walkach. Ale nie miałem takiej okazji.

– Dotarł pan do koszar?

– No cóż... Nie do końca. Po drodze doszły mnie wieści, że pułkownik Marimón rozkazał zamknąć bramy i zakazał opuszczania koszar, więc zrozumiałem, że nie warto tam iść. I oni tylko podawali – górą, nad ogrodzeniem – dziesiątki karabinów cywilom.

– Pewnie w innych koszarach też tak zrobiono.

– Z tego, co słyszałem, to broń wydała madrytczykom tylko Gwardia Hiszpańska i Korpus Weteranów. No i oczywiście kanonierzy z Monteleón. O całej reszcie, Gwardii Walońskiej czy Gwardii Przybocznej, nic mi nie wiadomo.

– Czy sądzi pan, że w końcu wyjdą na ulice? – dopytuje się ksiądz.

– Teraz? Kiedy w Madrycie pełno jest żołnierzy Murata? Wątpię. Jest już za późno.

– Więc proszę mi wierzyć, że wcale nad tym nie ubolewam. Ten uzbrojony motłoch jest gorszy niż Francuzi. W końcu to Napoleon przywrócił ołtarze sprofanowane przez rewolucję... Ważne, by zapanował spokój i zakończono te wybryki. Porządni ludzie, o umiarkowanych poglądach i miłujący porządek, nie mają się czego obawiać.

Z ulicy dobiega odgłos bardzo bliskiego strzału i trzech mężczyzn, poważnie zaniepokojeni, schodzą z balkonu. W salonie na sofie Mor de Fuentes upija nieco wonnego napoju.

– Nie będę się z tym spierał.

Pułkownik Giraldeś, markiz de Casa Palacio i dowódca Pułku Piechoty Liniowej Korpusu Ochotników, opiera się o stół w swoim gabinecie tak mocno, jakby miał się za chwilę przewrócić.

– To pański arsenał, na miłość boską! To pańscy kanonierzy to wszystko zaczęli!

– A pańscy żołnierze? – odgryza się pułkownik Falcón. – Chyba mieli z tym coś wspólnego?

– To pana podwładni, do diabła... To pan ponosi odpowiedzialność, nie ja.

Już od kwadransa czynią sobie nawzajem wyrzuty. José Navarro Falcón, szef sztabu artylerii i bezpośredni zwierzchnik kapitanów Daoiza i Velardego, stawiał się w koszarach Mejorada poważnie zaniepokojony wiadomościami z Monteleón. Podobnie zaniepokojony wydaje się i Giraldes, po tym jak dowiedział się, że żołnierze, których oddał pod dowództwo Velardemu i Goicoechei, biorą udział w walkach. Na dodatek straty w szeregach wojsk francuskich są bardzo poważne. Zważywszy na te wszystkie okoliczności, obu dowódcom nogi uginają się w kolanach na myśl o konsekwencjach.

– Jak mógł pan powierzyć wojsko władzy Pedra Velardego, biorąc pod uwagę, w jakim stanie znajdował się ten oficer? – dopytuje się Navarro Falcón.

Dałem się zwieść – pada odpowiedź Giraldesa. – Ten pański szalony kapitan próbował wywołać bunt w wojsku.

– Należało go aresztować!

– A dlaczego pan tego nie uczynił, będąc jego bezpośrednim zwierzchnikiem? Niech mnie pan nie denerwuje. Moi oficerowie też chodzili podekscytowani, też chcieli wyjść na ulicę. Dla świętego spokoju wysłałem Goicoecheę i trzydziestu trzech żołnierzy. I postawiłem sprawę jasno! Żadnego bratania się z ludem, żadnych walk z Francuzami. I sam pan widzi. Prawdziwe nieszczęście. Proszę mi wierzyć, klnę się na mój honor, to prawdziwe nieszczęście.

– No właśnie. Dla nas wszystkich.

– Z jednym zastrzeżeniem! To pan pozwolił Velardemu wyjść z budynku sztabu i to pan wysłał kapitana Daoiza do Monteleón. Zgadza się? To pański arsenał i pańscy ludzie, Navarro. Powtarzam: moi żołnierze nie mieli innego wyjścia, jak słuchać rozkazów.

– A skąd pan wie, jak to wyglądało?

– No cóż... To są moje przypuszczenia.

– Pana przypuszczenia? I to zamierza pan powiedzieć na swoją obronę przed naczelnym wodzem?

Giraldes unosi palec.

– Już mu o tym mówiłem, jeśli pan pozwoli... Wysłałem do Negretego list, w którym zapewniam, że nie mam nic wspólnego z tym szaleństwem... I wie pan, co mi odpowiedział? Że on umywa ręce... Następny! – Giraldes bierze leżącą na stole kartkę i pokazuje ją pułkownikowi artylerii. – Dla rozwiania wątpliwości przesłał mi – za zwrotnym potwierdzeniem odbioru – kopię listu wysłanego dziś rano przez Murata do rządu... Proszę sobie przeczytać, dostałem to przed chwilą.

Żądamy, by w mieście zapanował natychmiastowy spokój, w przeciwnym razie mieszkańcy Madrytu mogą spodziewać się konsekwencji swych zuchwałych postępów...

– Co pan o tym sądzi? – ciągnie Giraldes, na powrót biorąc do ręki papier. – Jasne jak słońce. I co gorsza, kiedy wysłałem jednego z moich adiutantów do Monteleón, by przywołał tych nieokrzeszańców do porządku, co *de facto* pan powinien był uczynić, to potrafili tylko wystrzelić z armaty w czasie pertraktacji o zawieszeniu broni i zacząć krwawą jatkę. To, jak skończy się walka w arsenale, nie ma już większego znaczenia. Martwię się o konsekwencje...

– Ma pan mnie na myśli?

– W pewnym sensie tak. Nas jako odpowiedzialnych, nas wszystkich, rzecz jasna. Sam pan widzi, jakim człowiekiem jest Murat. Czarno to widzę, Navarro, czarno to widzę.

Rozgoryczony, wściekły, nie bardzo wiedząc, co powinien teraz uczynić, pułkownik Navarro Falcón żegna Giraldesa. Już na ulicy postanawia rzucić okiem na Monteleón i podchodzi ulicą św. Bernarda aż do rogu ulicy Palma, gdzie w dość brutalny sposób zatrzymuje go francuski patrol, nie zważając na jego mundur i wojskowe dystynkcje.

– *Arrêtez-vous!* ⁶

Nieudolnym francuskim, wyuczonym w czasie kampanii w Pirenejach, dowódca madryckiej artylerii prosi o rozmowę z jakimś oficerem, ale podchodzi do niego ledwie wąsaty podporucznik z pryszczatą twarzą. Po mundurze Navarro Falcón identyfikuje go jako żołnierza 5. Pułku 2. Dywizji Piechoty, która dziś wczesnym rankiem, według posiadanych wiadomości, stacjonowała przy drodze do El Pardo. Cesarscy wprowadzają do walki wszystkie swoje siły, wnioskuje.

– Możę przejść troszka do przodu, pan pozwala?

– *Interdit! Reculez!* ⁷

Navarro Falcón dotyka haftowanych złotą nicią granatów na kołnierzu kurtki.

– Jestem szefem sztabu...

– *Reculez!*

Dwóch żołnierzy unosi karabiny, a ostrożny pułkownik zawraca. Wie już, że dziś rano brygadier Nicolás Galet y Sarmiento, dowódca Straży, który próbował wstawić się za swoimi urzędnikami z Recoletos, został przez Francuzów zastrzelony. Lepiej nie kusić losu. Navarro Falcón czuje, że zuchwała młodość, Brazylia, Rio de la Plata, kolonia Sacramento, oblężenie Gibraltaru i wojna z Republiką Francuską zostały gdzieś daleko.

Teraz czeka go awans – a przynajmniej czekał go jeszcze dziś rano – i dwóch wnuków, których dorastanie pragnąłby zobaczyć. Kiedy odchodzi niespiesznym krokiem sztywno wyprostowany, gdzieś z daleka dobiega go odgłos pojedynczych strzałów. Zanim się odwrócił, zdążył jeszcze zobaczyć spore siły piechoty i cztery francuskie działa ustawione przy pałacu Montemar, obok fontanny Matalobos. Dwie z armat wymierzone są w stronę ulicy św. Bernarda i pnącej się stromo św. Dominika, a jego doświadczenie podpowiada mu, że ustawiono je właśnie tam, by odciąć drogi ewentualnego wsparcia dla oblężonych. Dwa inne działa wycelowano na ulicę św. Józefa i w stronę arsenału. I kiedy pułkownik oddala się, nie oglądając się za siebie, słyszy, jak działa otwierają ogień.

Pierwszy armatni wystrzał obsypuje obrońców chmurą pyłu, tynkiem i odłamkami cegieł.

– Uwaga, strzelają spod Matalobos! Uwaga!

Ostrzeżeni o nieprzyjacielskich ruchach przez kapitana Goicoecheę i żołnierzy usadowionych w budynku arsenału, obrońcy mają czas na znalezienie schronienia i pierwsza salwa rani ledwie dwóch cywilów: osiemnastoletniego Bernarda Ramosa i dwudziestoosmioletnią Angelę Fernández, która przyszła tu razem z mężem, węglarzem z ulicy Palma, niejakim Anzelem Jiménezem – oboje rannych przeniesiono natychmiast do klasztoru Maravillas.

– Kanonierzy na ulicy, kryć się! – krzyczy kapitan Daoiz. – Reszta, też kryć się! Szybko! Kryj się, kto może!

Rozkaz pada w porę. Francuzi biją salwami po raz drugi i trzeci, kapitan wie, że za chwilę zaczną strzelać ogniem dowolnym, bardziej celnym, gęstym, prowadzonym zza załomów kamienic, z balkonów i dachów. Luis Daoiz, jedyny, który pozostał przy działach mimo straszliwego ostrzału,

przejrzał zamiary wroga: nie dać wytchnienia obrońcom, nie pozwolić im wychynąć z ukrycia, ostrzeliwując gradem kul, a wszystko to stanowić ma zaledwie przygotowanie do ostatecznego ataku. Dlatego krzyczy do ludzi, by się chowali i oszczędzali ładunki na francuską piechotę. Kapitanowi Velardemu, który nie zważając na ogień, przychodzi po instrukcje, nakazuje, by został ze swoimi ludźmi wewnątrz arsenału, gotowy do przyjęcia ataku, jak tylko zobaczą francuskie bagnety.

– Zostań z nimi, Pedro, dobrze? Tu nie masz nic do roboty, a ktoś musi mnie zastąpić, jak mnie w końcu trafią.

– Stój tu dalej, a zaraz będę musiał cię zastąpić.

– Wracaj do arsenału, to rozkaz.

Chwilę później zaczyna się ogłuszający ostrzał – podmuch potężnej kanonady wdziera się na ulicę, uderzając w pierś obrońców równocześnie z kartaczami lecącymi z trzaskiem – i gęsty ogień francuskich karabinów sieje śmierć wśród obrońców arsenału. Wzmaga się siła ognia, leje się krew, a niektórzy z ukrywających się po okolicznych bramach, w ogrodzie i za bramą klasztoru, uciekają i szukają schronienia gdzieś dalej. Jak młody Francisco Huertas de Vallejo i jego towarzysz don Curro, którzy ukryli się w klasztorze, gdy zecer Gómez Pastrana wykrwawił się na śmierć, raniony odłamkiem w szyję. Ranni zostają też ślusarz Francisco Sánchez Rodríguez, trzydziestosiedmioletni ksiądz don Benito Mendizábal Palencia – ubrany w świeckie odzienie, dzielnie strzelający z fuzji – i student José Gutiérrez, przez cały dzień obecny po kolei we wszystkich niebezpiecznych punktach miasta. Asturyjczyk z Covadongi otrzymuje czwartą dziś ranę – dostanie niebawem kolejnych trzydzieści dziewięć, a mimo tego ujdzie z życiem – kula idąca rykoszetem urywa mu kawałek ucha. Gutiérrez na własnych nogach udaje się do klasztoru, by siostry opatrzyły mu ranę, po czym wraca na pole bitwy. Opowie później, że tym, co wywarło na nim największe

wrażenie, była ogromna ilość krwi – „jakby wylano jej na podłogę całe wiadra” – po której depcze, przechodząc korytarzami klasztoru.

Tymczasem na ulicy reszta oddziału José Gutierrezza właściwie przestaje istnieć – kolejna francuska salwa zabija stojących w bramie arsenału dwóch z trzech pozostałych przy życiu mężczyzn, którzy przyszli z nim do Monteleón: fryzjera Martína de Larea i jego ucznia Felipe Barria. Ciężko ranny pada kanonier Juan Domingo Serrano, a jego miejsce zajmuje stangret markiza de San Simón, niejaki Tomás Álvarez Castellón, młodzieniec wysoki, postawny, szeroki w barach. Obok armaty, którą obsługuje wraz z mężem i synami, ginie niebawem mieszkanka tej dzielnicy Clara del Rey, raniona w czoło kartaczem. Najbardziej poruszająca jest śmierć jedenastoletniego Pepilla Amadora Álvareza, który przez cały czas dzielnie wspomagał w walce swoich braci Antonia i Manuela. Wreszcie dosięga go francuska kula, gdy po raz kolejny przebiega odważnie – zważywszy na to, jak małym jest dzieckiem – ostrzeliwaną ulicę, wracając z koszykiem wypełnionym amunicją. I tak oto umiera najmłodszy z obrońców arsenału.

Niewiele starszy od Pepilla Amadora jest francuski żołnierz, konający na rękach siostry Pelagii Revut w zorganizowanym naprędce szpitalu w klasztorze Maravillas.

– *Ma mère!*⁸ – woła, oddając ducha.

Mniszka doskonale rozumie słowa chłopca, bo sama jest Francuzką – przybyła do Hiszpanii w 1794 roku razem z grupą zakonnicy uciekających przed rewolucją. Dziś rano, kiedy od pierwszej armatniej salwy popękały szyby transeptu i okna klasztoru, przerażone siostry opuściły swoje cele i zebrały się na modlitwach przed ołtarzem, przekonane, że nadchodzi właśnie koniec świata. Dopiero kapelan zakonu don Manuel Rojo najpierw

pokrzepił karmelitanki modlitwą i słowami otuchy, po czym, odwoławszy się do ludzkiego i chrześcijańskiego miłosierdzia, nakazał otworzyć kościół, furtę klasztoru i kratę kruchty. Następnie przy pomocy paru cywilów zaczął znosić do środka rannych, nie patrząc na kolor munduru – na początku przeważali Francuzi – a tymczasem siostry, przygotowawszy szarpie, bandaże, pożywny bulion i krople nasercowe, zajęły się nieszczęśnikami. Teraz w kruchcie, kościele, rozmównicy i zakrystii rozbrzmiewają jęki i krzyki w obu językach, dwadzieścia jeden sióstr – w rzeczywistości dwadzieścia, bo siostra Eduarda wciąż dodaje otuchy walczącym, stojąc w oknie klasztoru – opatruje rannych, a kapelan krąży między okaleczonymi ciałami i kałużami krwi i udziela im duchowego wsparcia. Ostatni z przyniesionych obrońców Monteleón to konająca kobieta, Juana García, mieszkająca w kamienicy numer czternaście przy ulicy św. Józefa, i młody elegant z Maravillas, podtrzymujący rękoma wyszarpane wnętrzności, niejaki Pedro Benito Miró. Położono go na ziemi między dwoma innymi, również w agonii, bez możliwości udzielenia jakiegokolwiek pomocy, nie licząc zabandażowania brzucha.

– Ojcze! – woła siostra Pelagia, zamykając oczy zmarłemu francuskiemu żołnierzowi.

Don Manuel szepcze modlitwę i czyni znak krzyża na czole Francuza.

– Był katolikiem?

– Nie wiem.

– Nieważne. To i tak bez znaczenia.

Podnosząc się z kolan, siostra spieszy z pomocą swoim rodakom. Siostra María de Santa Teresa, przełożona klasztoru, poleciła jej, jako Francuzce z urodzenia i władającej tym językiem, by zajęła się rannymi Francuzami z kolumny Montholona oraz tymi, którzy wchodzą od południowej strony klasztoru przez bramę kościoła przy ulicy Palma.

W Maravillas doszło do szczególnej sytuacji, możliwej tylko w bitewnym zamęcie panującym na zewnątrz: gdy strzały francuskich dział pustoszą sad i ogród, burzą budynek nowicjatu, rozbijają mury, a dziedzińce i krużganki wyścielają gruzem, od strony św. Józefa i św. Piotra walczący wnoszą rannych Hiszpanów, a od ulicy Palma – rannych Francuzów, przy czym obie strony szanują teren klasztoru jako obszar neutralny czy raczej uświęcony. Takie zachowanie to rzadkość w przypadku wojsk cesarskich, które do tego czasu sprofanowały wiele, a i w przyszłości sprofanują jeszcze więcej kościołów w Madrycie i w całej Hiszpanii. Fakt, że siostry przyjmują rannych obu walczących stron, oraz współczująca obecność siostry Pelagii dokonały cudu.

W pobliżu pałacu Montemar generał dywizji Joseph Lagrange, przyszły hrabia Cesarstwa, którego nazwisko zostanie zapisane na Łuku Triumfalnym w Paryżu, obserwuje ostrzał arsenału przez artylerię.

– Wydaje mi się, że już dostatecznie ich osłabiliśmy – zauważa generał brygady Lefranc, obserwując przez lunetę ulicę św. Józefa.

– Poczekajmy jeszcze trochę.

Czując za plecami oddech księcia Bergu, Lagrange, dokładny i opanowany żołnierz – to dlatego jego właśnie wyznaczył Murat do rozwiązania tej kwestii – nie chce ponosić zbędnego ryzyka. Madrytczycy przy swoim nikłym doświadczeniu wojskowym – tak nikłym, że nie powołali nawet straży miejskich – nie są przyzwyczajeni do takich ataków, toteż francuski generał jest pewien, że im dłużej potrwa ostrzał, tym mniejszy będzie opór przy końcowym i ostatecznym natarciu. Lagrange, doświadczony w boju pięćdziesięcioczeroletni żołnierz o bladej cerze, orlim nosie i bokobrodach okalających twarz według cesarskiej mody, ma

spore doświadczenie w tłumieniu zamieszek: w czasie kampanii egipskiej miał za zadanie zdławić bezlitośnie – strzelając do tłumu – bunt w Kairze.

– Nie sądzi pan, że moglibyśmy już zaatakować? – nie ustępuje Lefranc, niecierpliwie uderzając palcami o tubę lunety.

– Jeszcze nie – pada szorstka odpowiedź Lagrange’a.

W rzeczywistości jest gotów do wydania piechocie rozkazu do ataku, ale Lefranc – nerwowy blondyn, niekryjący się ze swoimi uczuciami – nie przypadł mu do gustu i dlatego postanawia go jeszcze podręczyć. Generał dywizji rozumie, że jego kolega, upokorzony odsunięciem ze stanowiska dowódcy, nie należy do najszcześniejszych pod słońcem. Ale czym innym jest zadra na żołnierskim honorze, a czym innym niemiłe przyjęcie zgotowane mu przez Lefranca, który niechętnie przedstawił mu skład i rozstawienie oddziałów. Do tego stopnia, że generał dywizji, raczej unikający nieporozumień przy wypełnianiu rozkazów, przywołał do porządku generała brygady, bez ogródek przypominając mu, że to nie on prosił o dowództwo tej operacji, że to rozkaz pochodzący bezpośrednio od księcia Bergu i że w wojsku cesarskim, jak we wszystkich armiach świata, wypełnia się rozkazy wydane przez dowódcę.

– Chodźmy tam – odzywa się po chwili. – Niech działa prowadzą ostrzał, dopóki szperacze nie dotrą do skrzyżowania ulic. A potem ruszamy do ataku.

Adiutanci przyprowadzają konie obu generałom, bo do ataku, zdaniem Lagrange’a, należy przystąpić zgodnie z procedurą. Słychać dźwięk trąbki, werble, łopot trójkolorowego sztandaru z orłem, głośne rozkazy oficerów – i tysiąc ośmiuset mężczyzn 6. Pułku Piechoty formuje szyk bojowy. Niemal tyle samo ludzi – wliczając w to zdziesiątkowany pułk wziętego do niewoli Montholona i resztki batalionu westfalskiego – zacieśnia pierścień dookoła arsenału, odcinając możliwość jakiegokolwiek pomocy z zewnątrz. W tym

samym momencie, posłuszni trąbce i werblom, Francuzi zwiększają siłę ognia. Wzdłuż kolumny słycać zwyczajowe wiwaty na cześć cesarza, bo takimi okrzykami francuscy żołnierze zwykli zagrzewać się do boju. Na czele kolumny Lagrange ustawił oddział saperów, których użyje do likwidacji zatorów na drodze, oraz wąsatych grenadierów z Gwardii Cesarskiej. Jest pewien, że weterani – postawieni na czele, cieszący się sławą niezwycięzonych – z łatwością pociągną za sobą rekrutów. Rozejrzawszy się wokół po raz ostatni, zazdrozcząc w duchu szlachetnego jabłkowitego wierzchowca z Jerez, którego dosiada Lefranc – zarekwirowanego prawem wojny przed dwoma tygodniami w Andaluzji – kairski pogromca dosiada konia i uznaje, że wszystko gotowe. I z zadowoleniem spojrzawszy na zwartą, lśniącą bagnetami kolumnę, która rozciąga się od placu Monserrate aż po ulicę Comendadoras de Santiago, poprawia się w siodle, opiera stopy w strzemionach i prosi Lefranca, by stanął u jego boku.

– A teraz, jeśli pan pozwoli, generale – odzywa się oschle – skończymy z tym raz na zawsze.

Dziesięć minut później na odcinku od skrzyżowania ze św. Bernardem aż do klasztoru Maravillas ulica św. Józefa stoi w ogniu. Klęby dymu raz po raz rozdzierają błyski wystrzałów, a ponad werble i dźwięki trąbki wzbija się niemilknący trzask strzelających karabinów. W tę zasłonę dymną mierzą ci, którymi dowodzi kapitan Goicoechea z okien wyższych pięter głównego budynku arsenału i mierzą ze wszystkiego, co mają pod ręką – strzelają, do tego rzucają kamienie, dachówki i wyrwane z muru cegły – ci, którzy wspięli się na ogrodzenie, próbują z bliska utrudnić Francuzom posuwanie się do przodu. Naprzeciw bramy działa biją kulami w kolumnę wroga, a wokół dział zbierają się cywile i żołnierze, wyciągnięci zza murów przez kapitana Velardego i gotujący się do rychłego ataku na bagnety.

– Wytrwajcie! Za Hiszpanię i króla Ferdynanda VII! Wytrwajcie!

Kanonierzy, ochotnicy, mężczyźni i kobiety, ściskając w dłoniach karabiny, bagnety, szable i noże, widzą, jak z mgły wyłaniają się – niczym niepowstrzymane – bermyce nieprzyjacielskich grenadierów, topory saperów, czarne kaszkiety i bagnety siejącej postrach cesarskiej piechoty. Ale zamiast zadrzeć czy ustąpić, trwają niewzruszenie przy armatach, z bronią w ręku strzelają do Francuzów, niemal dotykając lufami ich piersi, a ostatnia armatnia salwa, z braku kartaczy, wyrzuca grad skałek zebranych z zamków karabinowych i czyni spore straty w przednich szeregach Francuzów, rozplątuje brzuch jabłkowitego rumaka generała Lefranca, który spada na ziemię. Francuzi przez moment zawahali się po tak okrutnym ciosie i ta chwila wahania tchnęła w obrońców nowe siły.

– Za Hiszpanię! Niech żyje! Do ataku!

Ci najodważniejsi ruszają do kontrataku, rzucają się na grenadierów i wywiązuje się ostra walka wręcz, na bagnety przeciw kolbom, z karabinami – już bez amunicji – chwytanymi za lufę. W czasie walki tracą życie Tomás Álvarez Castrillón, robotnik rolny José Álvarez i dwudziestodwuletni żołnierz z Korpusu Ochotników Manuel Velarte Badinas, rany zaś odnoszą: Francisco García, pomocnik rzeźnika, Lázaro Cansanillo, żołnierz, i czterdziestoczteroletnia Juana Calderón Infante, która walczy tu u boku męża, José Beguiego. Strona francuska też doznaje poważnych strat. Porażeni determinacją obrońców cesarscy wycofują się, zostawiając ziemię usłaną trupami i rannymi, pod gęstym ostrzałem z okien i z murów. Następnie, na nowo formując szyk, na rozkaz oficerów, strzelają, dziesiątkując obrońców, i ruszają naprzód z nastawionymi bagnetami. Francuskie kule, padając gęsto, ranią leżącego na murze cywila Clemente de Rojas i kapitana milicji z Santiago de Cuba Andrésa Rovirę, który przybył do arsenału z Velardem i ludźmi kapitana Goicoechei. Kula dosięga

też stojącą w bramie arsenału Manoli Armayonę, dziewczynę, która w czasie ostatniej przerwy w walkach częstowała kanonierów winem, oraz śmiertelnie rani znajdujących się w pobliżu dział José Aznara, który walczył ramię w ramię ze swoim synem, José Aznarem Moreno – syn pomści ojca jako partyzant w oddziałach obu Kastylii – sześćdziesięcioletniego rymarza Juliána Lópeza Garcíę, mieszkańca ulicy św. Andrzeja Dominga Rodrígueza Gonzáleza i wreszcie dwóch dwudziestolatków: woziwodę Antonia Martína Rodrígueza i murarza Antonia Fernández Garrida.

– Idą Francuzy! Trzeba ich zatrzymać, bo oni życia nie darują nikomu!

Impet drugiego uderzenia przywiódł Francuzów pod same armaty, mają je na wyciągnięcie ręki. Nie ma czasu na ponowne załadowanie dział, więc kapitan Daoiz, kręcąc szablą młynka nad głową, stara się zebrać jak najwięcej ludzi.

– Za mną! Drogo za to zapłacą!

W akcie desperacji otaczają go pozostali przy życiu członkowie oddziału Cosme de Mora, chełpliwy zawadiaka Gómez Mosquera, kanonier Antonio Martín Magdalena, wojskowy pisarz Domingo Rojo, zuchwała Ramona García Sánchez, student José Gútierrez, paru żołnierzy z Korpusu Ochotników i z tuzin cywilów, którzy nie zdążyli jeszcze zbiec w poszukiwaniu schronienia. Pedro Velarde, ogarnięty furją, z szablą w dłoni, biega na tyłach, zmuszając do powrotu na pole bitwy tych, którzy ukryli się w Maravillas albo za murem arsenału. Siłą zostają wyciągnięci z klasztoru młody Francisco Huertas de Vallejo, don Curro i paru innych, lżej rannych, którzy się tam ukryli – Velarde zmusza ich do przyłączenia się do grupy broniącej baterii.

– Każdego, który się cofnie, osobiście zabiję! Niech żyje Hiszpania!

Trwa walka wręcz po drugim ataku francuskich żołnierzy. Nikt z obrońców nie zdążył odgryźć ładunku i załadować broni, słyhać ledwie parę wystrzałów z pistoletów wśród szczęku bagnetów i noży. Teraz, w tej krótkiej chwili, nieprzyjaciel ma co najwyżej przewagę liczebną, bo posuwający się do przodu atakowani są przez mężczyzn i kobiety walczących niczym dzikie bestie, pijanych krwią i nienawiścią.

– Drogo zapłacą! Niech ich piekło pochłonie!

Ginie wielu Francuzów, ale też i Hiszpanów otoczonych wrogami, których walą kolbami karabinów albo dźgają nożami. Podziurawieni kulami i bagnetami padają artylerzysta Martín Magdalena, chwacki Gómez Mosquera, trzech ochotników: Nicolás García Andrés, Antonio Luce Rodríguez i Vicente Grao Ramírez, prócz tego stróż z Galicji Pedro Dabraña Fernández i sprzedawca napojów z ulicy św. Hieronima José Rodríguez, który wraz z synem Rafaelem atakował nieprzyjacielskiego oficera.

– Francuzi stanęli! – wrzeszczy kapitan Daoiz. – Wytrwajmy! Powstrzymaliśmy ich!

To prawda. Po raz drugi atak tysiąca ośmiuset żołnierzy kolumny Lagrange’a i Lefranca został odparty tuż przed baterią dział, gdzie piętrzące się stosy trupów i rannych z obu stron znacznie utrudniają przejście. Kolejna salwa – niespodziewanie wystrzelona z ulicy św. Piotra – przeszywa studenta José Gutierrez, który osuwa się, cudem nie tracąc życia, choć otrzymał już trzydzieści dziewięć ran od kartaczy. Ten sam wystrzał zabija mieszkankę ulicy Palma Angelę Fernández Fuentes, lat dwadzieścia osiem, walczącą pod łukiem bramy, jej przyjaciółkę Francisę Olivares Muñoz, ich sąsiada José Álvarez i sześćdziesięciosześcioletniego Juana Oliverę Diosę.

– Załadować działo! Idą!

Tym razem francuskie natarcie już się nie zatrzyma. Z okrzykiem „*Sacré nom de Dieu, en avant, en avant!*”⁹ grenadierzy, saperzy i fizylierzy depczą po stosach ciał, wpadają na obrońców baterii i dochodzą pod bramę arsenału. Przez obłoki dymu i błyski ognia z karabinów tych, którym zostały jeszcze resztki ładunków, przebijają krzyki i jęki, mlaski otwieranych ran i chrzęst łamanych kości, woń palonego prochu, wiwaty, złorzeczenia i prośby o litość. W bitewnym oblężeniu, pośród straszliwej rzezi, ostatni obrońcy arsenału mordują i umierają, przekroczywszy w desperacji granice szaleństwa i odwagi. Daoiz, który broni się szablą, widzi, jak obok pada martwy skryba wojskowy Rojo. Stary kapral Eusebio Alonso nie ma już broni – francuski grenadier wyrwał mu karabin z rąk – i osuwa się ciężko ranny, próbując jeszcze bronić się pięściami i kopniakami. Ginie też zuchwała Ramona García Sánchez, a przed śmiercią, wymachując długim kuchennym nożem, grozi nieprzyjacielowi: „Chodź, to ci wydłubię oczy, kochaneczku!”, i pada zakłuta bagnietami. I dokładnie w tym momencie w bramie arsenału, biegnąc z posiłkami, od nieprzyjacielskiej kuli ginie kapitan Velarde. Ślusarz Blas Molina, który biegnie za nim wraz z wojskowym skrybą Almirą, oberżystą Fernándezem Villamilem, braćmi Muñiz Cueto i kilkoma żołnierzami z Korpusu Ochotników, widząc osuwającego się na ziemię kapitana, staje zaskoczony i cofa się razem z resztą. Almira i nadzorca z Real Florida Esteban Santirso pochylają się nad ranionym kapitanem i ciągnąc go za ramiona, próbują przesunąć w bezpieczne miejsce. Kolejna kula dosięga piersi Santirsa, który też upada. Almira zaprzestaje wysiłków, uświadamia sobie, że ciągnie już tylko trupa.

Młody Francisco Huertas de Vallejo obserwuje z ulicy śmierć kapitana Velardego i widzi, jak Francuzi wdzierają się przez bramę arsenału.

Czas uciekać, myśli sobie.

Nie zaprzestając walki, nie ma bowiem śmiałości, ot tak, otwarcie uciec, wycofuje się ostrożnie, dzielnie wymachując bagnetem, i próbuje wymknąć się z krwawej rzezi przy działach. Wraz z don Curro Garcíą i jeszcze kilkoma cywilami tworzą grupkę, do której przyłączają się bracia Antonio i Manuel Amador, dźwigający bezwładne ciało małego braciszka Pepilla; drukarz Cosme Martínez de Corral, żołnierz z Korpusu Ochotników Manuel García oraz Rafael Rodríguez, syn zabitego przed chwilą sprzedawcy napojów z ulicy Hortaleza José Rodrígueza. Wszyscy oni próbują dotrzeć do tylnych drzwi klasztoru Maravillas, ale przy kracie bramy dopadają ich cesarscy. Rafael Rodríguez zostaje schwytyany, Martínez del Corral i bracia Amador zdołają uciec, ginie z głową rozplataną francuską szablą don Curro. Jedni walczą, reszta ucieka, Francisco Huertas z wściekłością naciera na francuskiego oficera, pragnąc pomścić śmierć towarzysza. Bez trudu zatapia ostrze bagnetu w ciele Francuza i czuje, jak dostaje gęziej skórki, słysząc chrzęst żelaza o kości przeciwnika, który wydawszy straszliwy okrzyk, pada na ziemię. Odzyskawszy karabin, przerażony swoim czynem, chyląc głowę przed świszczącymi wokół kulami, Francisco Huertas odwraca się i szuka schronienia w klasztorze.

Otoczony ciałami poległych, pośród tłumu najeżonego bagnetami, ogłuszony salwami z dział i niesłabnącym ogniem karabinów, kapitan Daoiz niestrudzenie wymachuje szablą. Na ulicy zostało nie więcej niż tuzin Hiszpanów wtłoczonych pomiędzy lawety, zatopionych w morzu nieprzyjaciół, teraz pragnących jedynie przeżyć za wszelką cenę i zabić jak najwięcej wrogów. Daoiz nie jest w stanie myśleć w ferworze walki, ochrypli od wydawania rozkazów i oślepiiony chmurą dymu. Porusza się po omacku. Nie jest w stanie nawet kontrolować ramienia władającego szablą, a jego instynkt żołnierza podpowiada mu, że lada moment jedno z licznych ostrzy szukających jego ciała w końcu go dosięgnie.

– Wytrwajcie! – krzyczy oślepiiony, trafiając w próżnię.

Nagle dostaje uderzenie w prawe udo – ostry cios wstrząsa całym jego ciałem, a kapitan czuje, że szybko traci siły. Z przerażoną miną spogląda w dół i z niedowierzaniem patrzy na ranę po kuli, rozszarpane udo, po którym płynie strumień krwi, barwiąc na czerwono nogawkę spodni. To już koniec, myśli szybko i cofa się, potykając, aż trafia dłonią na lufę działa. Rozgląda się dookoła, biedacy, wzdycha w duchu.

Stojąc twardo na ziemi pośród bitewnego zamętu, niemal na czele swego wojska, generał dywizji Joseph Lagrange rozkazuje przerwać ogień. Parę kroków z tyłu, obok poturbowanego generała brygady Lefranca, stoi hiszpański dostojnik, markiz de San Simón, który w mundurze naczelnego dowódcy, ze wszystkimi stosownymi insygniami i orderami, zdołał dotrzeć aż tu w ostatniej chwili, z prośbą, by przerwali to szaleństwo, i z obietnicą, że osobiście przywoła do porządku tych, którzy wciąż walczą na terenie arsenału. Generał Lagrange, przerażony ogromem strat wśród swoich ludzi przy kolejnych szturmach, niechętnie myśli o dalszej walce i okupionym licznymi ofiarami zdobywaniu sala po sali budynków arsenału, w których ukryli się powstańcy, chętnie więc przystaje na prośbę starego Hiszpana, znanego mu od dawna. Powiewają białe chustki, a sygnał trąbki, powtórzony kilkakrotnie, sprawia, że zdyscyplinowani cesarscy żołnierze wstrzymują ogień i przestają atakować hiszpańskich niedobitków kryjących się między działami. Ustają strzały i krzyki, opada dym i przeciwnicy spoglądają na siebie zdumieni: po jednej stronie setki Francuzów wokół dział i na dziedzińcu Monteleón, po drugiej Hiszpanie w oknach i na murach strzaskanych pociskami – ci drudzy rzucają broń albo biegną w stronę głównego budynku, tymczasem pozostali na ulicy nieliczni obrońcy, brudni i obszarpani do tego stopnia, że trudno odróżnić cywilów od wojskowych, czarni od prochu, pokrwawieni, rozglądają się wokół

oszołomionym wzrokiem niczym skazańcy ułaskawieni na moment przed wykonaniem wyroku śmierci.

– Natychmiastowa kapitulacja albo wyrzynamy was w pień – krzyczy tłumacz generała Lagrange’a. – Rzućcie broń albo was rozniesiemy na bagnietach!

Po chwili wahania prawie wszyscy oddają broń, powoli, z wysiłkiem. Poruszają się jak we śnie. Idąc krok w krok za generałem Lagrange’em, który przeciska się między swoimi oddziałami, markiz de San Simón z przerażeniem spogląda na ulicę zasłaną trupami i rannymi, którzy jeszcze ruszają się, jęcząc. Zdziwiony jest wielką ilością cywilów, w tym kobiet, których ciała tkwią między trupami żołnierzy.

– Wszyscy zostają wzięci do niewoli – krzyczy francuski tłumacz, powtarzając słowa generała. – Arsenał przechodzi pod dowództwo francuskie jako zdobycz wojenna!

Markiz de San Simón dostrzega nieco dalej oficera artylerii, którego beszta francuski generał. Oficer klęczy oparty o działo, z siną twarzą, przyciskając dłonią ranę na zakrwawionej nodze, w drugiej dłoni wciąż trzymając szablę. Może, zastanawia się w duchu San Simón, to kapitan Daoiz, którego on sam osobiście nie zna, ale o którym wie – bo to wiadomo już w całym Madrycie – że jest odpowiedzialny za powstanie w arsenale. Kiedy stary markiz wiedziony ciekawością podchodzi, pragnąc przyjrzeć mu się z bliska, słyszy niektóre słowa w pospiesznej mieszance francuskiego i hiszpańskiego wypowiedane podniesionym tonem przez zmęczonego rzezią generała Lagrange’a do ранego oficera. Mówi coś o odpowiedzialności, zuchwałości i szaleństwie, a oficer słucha go, patrząc prosto w oczy, nie schylając głowy. W tej właśnie chwili Lagrange, trzymając szablę w dłoni, szturcha pogardliwie jej ostrzem jeden z epoletów kapitana.

– *Traître!*¹⁰ – rzuca.

Widać, że ranny kapitan – teraz już markiz de San Simón jest pewien, że to Luis Daoiz – rozumie język francuski albo przynajmniej domyśla się sensu obelgi. Bo jego twarz, pobladła z upływu krwi, płonie czerwienią, gdy kapitan słyszy, że nazwano go zdrajcą. Po czym, nie mówiąc ani słowa, unosząc się gwałtownie z grymasem bólu i stając na zdrowej nodze, uderza Francuza ostrzem szabli. Lagrange pada do tyłu w ramiona swoich adiutantów, tracąc przytomność i plując krwią. Gdy wokół wybuchu pełne wrzawy zamieszanie, paru grenadierów stojących z tyłu rzuca się na kapitana i wbija mu bagnety w plecy.

8

Pułkownik Navarro Falcón dociera do arsenału tuż przed trzecią, gdy jest już po wszystkim. Krajobraz po bitwie napawa go przerażeniem. Mur usiany jest wyrwami po kulach, a ulica św. Józefa, brama i dziedziniec arsenału pokryte gruzem i ciałami poległych. Francuzi spędzają na plac około trzydziestu jeńców cywilów, rozbijają kanonierów i żołnierzy z Korpusu Ochotników, ustawiając ich nieco dalej. Navarro Falcón staje przed generałem Lefrankiem, który traktuje go dość oschle – raniony ciosem szabli Daoiza generał Lagrange jest wciąż opatrywany – po czym obchodzi teren, ciekawy losów walczących tu ludzi. Kapitan Juan Cónsul, artylerzysta, zdaje mu relację jako pierwszy.

– Gdzie Daoiz? – pyta pułkownik.

Cónsul, z twarzą naznaczoną bitewnym znojem, skrajnie wyczerpany, lekko unosi rękę.

– Zabrali go do domu, jest w poważnym stanie... Właściwie umierający. Nie było noszy, położyli go na drabinie przykrytej kocem.

– A Pedro Velarde?

Cónsul pokazuje stos trupów obok fontanny na dziedzińcu.

– Tam.

Nagie ciało Velardego rzucono pomiędzy innych zabitych, Francuzi wcześniej odarli je z mundurów. Zielona kurtka oficera padła łupem chciwych zwycięzców. Navarro Falcón nieruchomieje, sparaliżowany trwogą. Wszystko wygląda o wiele gorzej, niż to sobie wyobrażał.

– A wojskowi pisarze, którzy przyszedli tu razem z nim? Gdzie jest Rojo?

Cónsul patrzy na pułkownika, jakby z trudem rozumiał, co ten do niego mówi. Ma zaczerwienione oczy i mętne spojrzenie. Po chwili wolno kręci głową.

– Wydaje mi się, że zginął.

– Mój Boże... A Almira?

– Poszedł z Daoizem.

– A co z resztą? Z kanonierami i porucznikiem Arango?

– Z Arango wszystko w porządku. Widziałem go gdzieś tutaj, z Francuzami... Co do kanonierów, straciliśmy siedmiu, wliczając w to zabitych i rannych. Ponad jedną trzecią załogi, która tu stacjonowała.

– A żołnierze z Korpusu Ochotników?

– Też mają spore straty. Zginęła przynajmniej połowa. I około sześćdziesięciu cywilów.

Pułkownik nie może oderwać wzroku od trupa Pedra Velardego: półprzymknięte powieki, otwarte usta i blada, niemal błękitna skóra, z dziurą po kuli w okolicy serca.

– To zakrawa na obłęd. Dlaczego to zrobiliście?

Cónsul wskazuje kałużę krwi obok działa, przy którym upadł Daoiz, ugodziwszy wpierw szablą francuskiego generała.

– Luis Daoiz wziął odpowiedzialność na siebie – odpowiada, wzruszając ramionami. – Poszliśmy za nim.

– Za nim? To była skrajna nieodpowiedzialność! Szaleństwo, za które wszyscy drogą zapłacimy!

Rozmowę przerywa adiutant generała La Riboisière, dowódcy francuskiej artylerii. Zapytawszy pułkownika, czy to on jest dowódcą arsenału, prosi o wydanie kluczy do magazynów, wojskowego archiwum

i zbiorników z wodą. Ponieważ koszary wzięto w zwycięskiej bitwie, wyjaśnia, całe mienie przechodzi na własność cesarskiej armii.

– Nie mam nic do oddania – odpowiada Navarro Falcón. – Wzięliście wszystko, nie potrzebujecie żadnego przeklętego klucza.

– Słucham?

– Zechce mnie pan zostawić w spokoju, dobrze?

Francuz patrzy zdziwiony, spogląda na Cónsula, jakby biorąc go na świadka tej impertynencji, po czym odwraca się na pięcie i odchodzi.

– Co z nami będzie? – dopytuje się Cónsul.

– Nie wiem. Nie mam żadnych rozkazów, a Francuzi robią swoje... Pan, kapitanie, postara się wyprowadzić stąd naszych kanonierów najszybciej, jak to będzie możliwe. Wszystko się może zdarzyć.

– Ale komendant garnizonu... Junta rządowa...

– Proszę mnie nie rozśmieszać.

Cónsul wskazuje na grupkę ocalałych z Korpusu Ochotników, którzy wraz z kapitanem Goicoecheą zbierają się w narożniku dziedzińca, rozbrojeni i wyczerpani.

– Co z nimi?

– Nie wiem. Powinni się nimi zająć ich zwierzchnicy, mam taką nadzieję. Na pewno interweniował będzie pułkownik Giraldes... Zamierzam wysłać notę do naczelnego dowódcy i wyjaśnić, że artylerzyści zostali zmuszeni do walki wbrew swej woli, z winy Daoiza, i że to ten oficer ponosi całą odpowiedzialność. On i ten cały Velarde.

– To nie do końca tak się odbyło, panie pułkowniku... Zapewniam.

– Cóż z tego? – Navarro Falcón ścisza głos. – Ani jeden, ani drugi nie mają już nic do stracenia. Velarde leży tam, a Daoiz kona... To chyba lepsze, niż dać się rozstrzelać.

Cónsul milczy. Jest zbyt oszołomiony, by racjonalnie myśleć.

– A co stanie się z cywilami? – zapytuje na koniec.

Pułkownik krzywi twarz.

– Ci nie mogą się tłumaczyć wypełnianiem rozkazów. Zresztą to nie moja sprawa. Nasza odpowiedzialność kończy się na...

Falcón przerywa w połowie zdania, czując się niezręcznie. W oczach podwładnego dostrzega błysk pogardy.

– Ja już idę – oznajmia lakonicznie. – I proszę pamiętać, co panu powiedziałem. Jak to tylko będzie możliwe, proszę opuścić arsenał.

Juan Cónsul – który zginie niebawem, walcząc w obronie Saragossy – kiwa głową, smutny i nieobecny, rozglądając się dookoła.

– Spróbuję. Choć ktoś powinien tu zostać i dowodzić naszymi ludźmi.

– Dowodzą Francuzi, jak pan widzi – ucina pułkownik. – Zostawimy tu porucznika Arango, jest najmłodszym oficerem.

Los cywilów uwięzionych w Monteleón martwi nie tylko kapitana Cónsula, ale przede wszystkim bardzo niepokoi samych zainteresowanych. Trzydziestu mężczyzn, początkowo zebranych w głębi dziedzińca i trzymany pod strażą francuskiego oddziału, teraz zamkniętych w stajni arsenału, szukających sobie miejsca pośród końskiego łajna i zgniłej słomy, trzydziestu – choć ich liczba rośnie, w miarę jak Francuzi doprowadzają kolejnych ukrywających się i wyciągniętych z okolicznych kamienic powstańców – czeka, aż rozstrzygnie się ich los. To ci, którym nie udało się uciec, przeskoczyć przez ogrodzenie, schować w piwnicy czy na strychu i zostali schwytani przy działach albo w najbliższej okolicy arsenału. Fakt, że oddzielono ich od wziętych do niewoli wojskowych, budzi niepokój.

– Skończy się tak, że tylko my za to zapłacimy – odzywa się majster murarski Francisco Mata.

– Może darują nam życie – nieśmiało oponuje jeden z towarzyszy niedoli, woźny sądowy Félix Tordesillas.

Mata patrzy na niego z powątpiewaniem.

– Po tym jak wysłaliśmy na tamten świat tych wszystkich żabojadów? Co, do diabła, nam darują!?

Mata i Tordesillas należą do grupy cywilów, którzy strzelali z okien głównego budynku pod rozkazami kapitana Goicoechei. Razem z nimi siedzą Bernardo Morales, ślusarz z Ávila; Pedro Navarro, stolarz; Juan Antonio Martínez del Álamo, urzędnik z Dzierżaw Królewskich; niejaki Antonio González Echevarría, mieszkaniec tej dzielnicy – z krwawiącą raną od drzazgi na czole, i Rafael Rodríguez, syn sprzedawcy napojów z ulicy Hortaleza José Rodrígueza, zabitego przy działach, którego ciała mógł okazać synowskie miłosierdzie jedynie przez przykrycie twarzy chusteczką.

– Ktoś widział może Pedra piekarza?

– Zabity.

– A Quico García?

– Też. Widziałem jak go trafili przy armacie, obok żony Beguiego.

– Biedaczka... Miała więcej krzepy niż niejeden z nas. A gdzie jej mąż?

– Nie wiem, zdaje się, że zdążył uciec.

– Po co ja tyle czekałem... Teraz bym tu nie siedział.

– Nie mówiąc o tym, co cię czeka.

Drzwi od stajni stają otworem, Francuzi wpychają do środka nową grupkę więźniów. Mocno pokiereszowani, ze śladami od kolb karabinów, zostali złapani przy próbie ucieczki przez mur od strony kuchni. Cyrulik Jerónimo Moraza, mulnik z Leonu Rafael Canedo, krawiec Eugenio Rodríguez – przyszedł, kuśtykając, podtrzymywany przez syna, Antonia Rodrígueza Lópeza – i węglarz Cosme de Mora, który mimo wielu

otrzymanych ran cieszy się ze spotkania z żywymi Tordesillasem, Matą i stolarzem Navarro, z którymi przybył dziś do Monteleón w jednej grupie.

– Co z nami będzie – lamentuje Eugenio Rodríguez, trzęsąc się cały, gdy jego syn próbuje przewiązać mu ranę chustką.

– Będzie, co ma być, wola boska – stwierdza obojętnie Cosme de Mora.

Leżąc na brudnej słomie, Francisco Mata głośno przeklina. Inni czynią znak krzyża, całują szkaplerze i medaliki wyciągnięte spod koszul. Niektórzy się modlą.

Uzbrojony w szablę, przeskakując kolejne ogrodzenia i ogrody już za bramą Fuencarral, Blas Molina Soriano zdołał uciec z arsenału Monteleón. Niezłomny ślusarz wycofał się w ostatniej chwili, kiedy zobaczył, jak pada kapitan Velarde, a Francuzi wdzierają się z bagnetami na dziedziniec. Z początku uciekali wraz z nim oberżysta José Fernández Villamil, bracia José i Miguel Muñiz Cueto i niejaki Juan Suárez z ulicy Barquillo, ale już po chwili musieli się rozdzielić, bo dopadł ich francuski patrol i od francuskiej kuli padł starszy z braci Muñizów. Molina kryje się, nadkładając drogi aż do ulicy św. Dyzmy, i stamtąd widzi w oddali tylko Suáreza, prowadzonego przez Francuzów ze związanymi rękoma, Fernández Villamil zaś znika bez śladu. Odczekawszy dobrą chwilę, nie wypuszczając szabli z dłoni, gotów drogo sprzedać swoje życie, byle tylko nie dostać się do niewoli, Molina postanawia wrócić do domu, gdzie jego żona – jak sobie wyobraża – pewnie umiera z niepokoju. Podąża więc przez ulicę św. Dyzmy do kaplicy Zbawiciela, ale natyka się na francuskie odwody, ustawione u wylotu paru uliczek przy placu Capuchinas, wchodzi więc w ulicę Cuadra, do domu praczki Josefy Lozano, która właśnie wiesza bieliznę na patio.

– Co pan tu robi z szablą w ręku, panie Blas? Przecież żabojady zaraz nas wszystkich wystrzelają.

– W tym rzecz, doña Pepa. Muszę się jej pozbyć, jeśli pani pozwoli.

– A gdzie ja mam ją schować, na miłość boską?

– Proszę ją wrzucić do studni.

Praczka unosi pokrywę cembrowiny i Molina wrzuca szablę. Już spokojniejszy, umywszy twarz i pozwoliwszy kobiecie uporządkować nieco swoje odzienie i zatrzeć ślady walki, rusza w dalszą drogę. I z najniewinniejszą na świecie miną przechodzi pomiędzy oddziałem francuskich fizyliarów – sądząc z beretów i języka Basków – na placu św. Dominika i tuż obok plutonu grenadierów Gwardii Cesarskiej na ulicy Inquisición, a nikt go o nic nie pyta, nikt go nie zatrzymuje. Niedaleko domu spotyka sąsiada Miguela Orejasa.

– Skąd wracacie, przyjacielu?

– A skąd mam wracać? Z arsenału w Monteleón. Biłem się za ojczyznę.

– A niech was! I jak tam walczyliście?

– Bohatersko.

Zostawiając Orejasa z rozdziawionymi ustami, Molina wchodzi do domu, gdzie zastaje zapłakaną żonę. Przytula ją i pociesza, prosi o ciepły bulion i wypija go na stojąco. A potem znów wychodzi na ulicę.

Francuska kula uderza w ścianę, z wyrwy wypadają kawałki tynku. Z pochyloną głową osiemnastoletni Francisco Huertas de Vallejo wycofuje się ulicą św. Łucji, wokół słychać tylko świst kul. Jest sam, czuje strach. Nie wie, czy Francuzi strzelaliby do niego z równą zaciętością, gdyby nie karabin trzymany w ręku, ale choć strach gna go rączym kłusem, na razie nie ma ochoty pozbywać się broni. Choć już bez ładunków, to przecież ten karabin otrzymał w arsenale, walczył nim przez cały dzień, a na bagnecie są

plamy nieprzyjacielskiej krwi – na wspomnienie chrzęstu stalowego ostrza wcinającego się w kości znów dostaje gęsiej skórki. Nie wie, kiedy go będzie znów potrzebował, więc woli się z nim nie rozstawać. Uciekając przed kulami, młodzieniec przebiega przez bramę, przemyka przez patio, tratując stadko kur dziobiących ziarno, i na oczach dwóch przerażonych kobiet, które patrzą na niego jakby był diabłem, wybiega na tylną uliczkę, gdzie próbuje złapać oddech. Jest bardzo zmęczony i nie potrafi określić swojego położenia, nie zna tej okolicy. Stań i pomyśl trochę, mówi sobie, albo ustrzelą cię jak kaczkę. Próbuje głęboko oddychać i uspokoić się. Czuje ogień w płucach i gorzki smak prochu w ustach, szarych od odgryzania ładunków. Postanawia zawrócić. Spotyka ponownie dwie sąsiadki i prosi je o szklankę wody, z trudem rozpoznając swój ochrypły głos. Przynoszą mu wodę, z początku przestraszone na widok karabinu, potem pełne współczucia dla jego młodego wieku i nieszczęśliwego wyglądu.

– Jesteś ranny – zauważa jedna.

– Biedaku. Takiś młody.

Francisco Huertas najpierw kręci głową, potem patrzy i widzi, że na prawym boku ma rozdartą koszulę, a z rany sączy się krew. Jestem ranny, myśli i czuje, jak miękną mu nogi, jednak kolejny rzut oka natychmiast go uspokaja. To tylko powierzchowne draśnięcie, rykoszet od jednej z kul, którymi strzelano za nim na ulicy. Kobiety pospiesznie opatrują ranę, dają glinianą miskę do umycia twarzy i przynoszą kawałek chleba i suszone mięso, które młodzieniec łapczywie zjada. Powoli schodzą się sąsiedzi i wypytują go o wydarzenia w Monteleón, ale gdy ludzi zbiera się coraz więcej, Francisco Huertas boi się, że takie zbiegowisko nie umknie uwagi Francuzów. Żegna się, kończy jeść chleb z mięsem, pyta, jak dojść do ulicy Ballesta i do szpitala Alemanes, wychodzi tyłem patia i rusza od przecznicy

do przecznicy, za każdym razem ostrożnie wychylając się zza rogu i badając sytuację. I nie rozstaje się ze swoim karabinem.

Do godziny trzeciej w mieście ustają już wszelkie walki. Od pewnego czasu wojska cesarskie kontrolują wszystkie place i główne aleje, a komisje porządkowe utworzone na rozkaz księcia Bergu patrolują Madryt, nakazując mieszkańcom zachowanie spokoju, zakazując brania udziału we wrogich manifestacjach i tworzenia grup, które mogłyby drażnić Francuzów. „Spokój, spokój, niebezpieczeństwo zażegnane”, informują członkowie tych komisji, utworzonych przez sędziów Rady i Trybunałów, ministra wojny O’Farrila i francuskiego generała Harispe’a. Każda z komisji, której towarzyszy oddział wojsk francuskich i hiszpańskich, ulica po ulicy głosi słowa o spokoju i zgodzie, aż w końcu mieszkańcy, zaufawszy ich słowom, wychylają się z bram i próbują dowiedzieć się czegoś o losie krewnych i przyjaciół, biegną do koszar i urzędów, szukają ciał pośród trupów, których Francuzi nie pozwalają zabierać. Murat chce pozostawić je jako nauczkę, niektóre z ciał leżeć tak będą jeszcze przez długi czas, rozkładając się w miejscu, gdzie spotkała je śmierć. Nie zastosuje się do tego rozkazu dwudziestodwuletni Manuel Portón del Valle, sanitariusz ze szpitala Real Refugio, który wcześniej opatrywał rannych na ulicach, gdy razem z kolegami spróbuje zabrać kolejne ciało w pobliżu Plaza Mayor, zostanie zastrzelony.

Kiedy pokojowe komisje przemierzają miasto, Murat, który opuścił wzgórze San Vicente i przed powrotem do swojej kwatery głównej w pałacu Grimaldi udał się na chwilę do Pałacu Królewskiego, dyktuje sekretarzom odezwę i rozkaz dzienny. W odezwie, stanowczej i jednocześnie pojednawczej, gwarantuje członkom rządu i mieszkańcom Madrytu uszanowanie ich praw i poglądów, choć zapowiada ostre represje wymierzone w tych, którzy zakłócać będą porządek publiczny, strzelać do

Francuzów czy nosić broń. W rozkazie dziennym użyje mocniejszych sformułowań:

Lud Madrytu przystąpił do powstania i nie cofnął się przed morderstwem. Wiem, że porządni Hiszpanie żalowali, że doszło do zamieszek. Choć daleki jestem od łączenia ich z tymi nędznikami, którzy pałają jedynie żądzą mordy i grabieży, to przecież jednak przelano francuską krew. W następstwie czego zarządzam, co następuje: 1. Generał Grouchy zwoła tej nocy Trybunał Wojskowy. 2. Wszyscy pojmani w czasie zamieszek bądź schwytani później z bronią w ręku zostaną rozstrzelani. 3. Junta rządowa rozbroi mieszkańców Madrytu. Każdy madrytczyk, który po wejściu w życie tego rozporządzenia zostanie złapany z bronią w ręku, zostanie rozstrzelany. 4. Każdy dom, w którym dojdzie do zabójstwa Francuza, zostanie spalony. 5. Każde spotkanie, w którym uczestniczyć będzie więcej niż osiem osób, uznane będzie za próbę wzniecenia buntu i jako takie rozpedzone z użyciem broni palnej. 6. Odpowiedzialność za służących ponoszą ich państwo, za czeladników – majstrowie, za dzieci – ojcowie i matki, za mnichów – przeorzy klasztorów.

Tymczasem francuscy żołnierze nie potrzebują rozkazów na piśmie, by się do nich zastosować. Kiedy komisje porządkowe przemierzają ulice, a mieszkańcy powracają do domów czy też pełni ufności w końcu z nich wychodzą, cesarscy żołnierze zatrzymują wszystkich podejrzanych o udział w walkach, wszystkich, którzy noszą broń – noże, nożyczki czy szydła. W taki sposób dostają się do niewoli osoby, które nie miały nic wspólnego z ludowym powstaniem, jak chirurg Ángel de Ribacova, zatrzymany za posiadanie zestawu lancetów w futerale z narzędziami chirurgicznymi. Odnotowano też przypadki następujące: z powodu pilnika zostaje aresztowany ślusarz Bernardino Gómez; z powodu scyzoryka – służący z klasztoru Merced, niejaki Domingo Méndez Valador; z powodu nożyka do cięcia podeszew – dziewiętnastoletni szewc José Peña; a za rymarskie szydło noszone przy czapce – mulnik Claudio de la Morena. Cała piątka

zostanie wkrótce rozstrzelana: Ribacova, de la Morena i Mendéz na Prado, Gómez przy Buen Suceso, a Peña na pagórku Buen Retiro.

Podobny los spotyka dwudziestotrzyletniego Felipe Llorente y Cárdenasa, pochodzącego z zamożnej kordobańskiej rodziny, który parę dni wcześniej przybył do Madrytu razem z bratem Juanem, aby wziąć udział w uroczystościach związanych z wyniesieniem na tron Ferdynanda VII. Dziś rano nie uczestniczyli tak naprawdę w żadnej z potyczek, a tylko przypatrywali się z boku bitewnemu zgiełkowi. Teraz, kiedy miasto zdaje się już spokojne, przechodząc pod łukiem bramy z Plaza Mayor na ulicę Toledo, zostają zatrzymani przez francuski patrol – Juan Llorente zdoła się wymknąć cesarskim, wskakując w najbliższą bramę, ale Felipe zostaje aresztowany, gdy okaże się, że ma w kieszeni scyzoryk. Jego brat nigdy więcej go już nie zobaczy. Dopiero parę dni później, wśród zebranych przez zakonników od św. Hieronima resztek odzienia pozostałych po rozstrzelanych w Retiro i na Prado, rodzina Felipe Llorente rozpoznaje jego frak i buty.

Niektórym, pomimo tych wszystkich przeciwności, dopisuje szczęście. Nierzadko miłosierdzie okazują sami Francuzi. Jak w przypadku siedmiu mężczyzn prowadzonych przez dragonów przez plac Antón Martín, których uwalnia pewien elegancko ubrany mężczyzna, przekonawszy dowodzącego tym oddziałem Francuza. Albo w przypadku prawie czterdziestu cywilów, których jedna z komisji porządkowych – z ministrem O’Farril i generałem Harispe na czele – spotyka na ulicy Alcalá, obok pałacu markiza de Valdecarzana, zbitych ciasno niczym stadko owiec i przygotowanych do wymarszu w stronę Buen Retiro. Obecność hiszpańskiego ministra i francuskiego dowódcy przekonuje cesarskiego oficera.

– Zbierajcie się stąd – szepcze O’Farril jednemu z uwięzionych – zanim ci panowie pożałują swojego uczynku.

– Nazywa pan tych dzikusów panami?

– Nie nadużywaj ich cierpliwości, dobry człowieku. Ani mojej.

Kolejnym szczęściarzem, któremu uda się uratować życie w ostatniej chwili, jest Domingo Rodríguez Carvajal, sługa Pierre’a Bellocq, sekretarza i tłumacza ambasady francuskiej. Po walkach przy Puerta del Sol, skąd – z raną od kuli, jednym cięciem od szabli na ramieniu i drugim, które pozbawiło go trzech palców u lewej ręki – przyjaciele prowadzą go do domu jego pana, do kamienicy pod trzydziestym drugim numerem na ulicy Montera. Tam, podczas gdy rannego opatruje lekarz z poselstwa del Carmen, don Gregorio de la Presa – kuli nie udało się wyjąć i Rodríguez Carvajal będzie ją nosił w ciele już do końca życia – *monsieur* Bellocq osobiście zatyka na bramie francuską flagę i korzystając z przywilejów dyplomaty, uniemożliwia francuskim żołnierzom aresztowanie służącego.

Niewielu jednak skorzysta z takiej ochrony. Francuzi, prowadzeni przez zdrajców, często samych madrytczyków, którzy chcą wkupić się w łaski zwycięzców albo wyrównać rachunki z sąsiadami, wchodzą do domów, plądrują je i zabierają tych, którzy schronili się tu po walkach, czasem całych i zdrowych, a często rannych. Trzydziestoletni szewc Pedro Segundo Iglesias López wyszedł rano z domu przy ulicy Olivar uzbrojony w szablę i nawet usiekł nią jednego Francuza, a kiedy wrócił do matki staruszki, został zadenuncjowany przez sąsiada i aresztowany przez Francuzów. Kolejna ofiara represji to Cosme Martínez del Corral, który zdołał wydostać się z arsenału i wrócić do domu na ulicy Príncipe, skąd Francuzi zabrali go i doprowadzili do kościoła św. Filipa, nie dając mu czasu na schowanie weksli na 7250 reali, które miał w kieszeni. W ten sposób zapełniają się prowizoryczne areszty w piwnicach św. Filipa, przy bramie Atocha, w Buen Retiro, w koszarach przy bramie św. Barbary, Conde-Duque i Prado Nuevo oraz w samej rezydencji Murata, a tymczasem dwustronna komisja

wojskowa utworzona przez generała Emmanuela Grouchy'ego ze strony francuskiej i przez generała brygady José de Sexti ze strony hiszpańskiej przygotowuje się do zbiorowych sądów, procedujących bez konieczności wysłuchiwania oświadczeń więźniów i wydających wyroki na mocy rozporządzeń i obwieszczeń, których w większości nikt z więźniów nie zna.

Na dodatek wielu francuskich żołnierzy bierze sprawy w swoje ręce. Patrole, warty, ronty, straże nie ograniczają się do sprawdzania, zatrzymywania i odsyłania więźniów do aresztów, ale wymierzają sprawiedliwość własnoręcznie i niezwłocznie, łupiąc i mordując. Przy bramie Atocha koziarz Juan Fernández uważa się za szczęściarza, bo Francuzi puszczają go wolno, choć wcześniej rekwirują mu trzydzieści kóz, dwa osiołki i wszystkie pieniądze, jakie ma z sobą, ubrania oraz koce. Ośmieleni brakiem reakcji swoich dowódców, a wręcz do tego przez nich zachęceni, podoficerowie, kaprale i szeregowi żołnierze zamieniają się w prokuratorów, sędziów i katów. Naprędce zaimprovizowane egzekucje mnożą się z powodu bezkarności zwycięzców, mając za scenę podmiejską okolicę Casa de Campo, brzegi Manzanaresu, bramy Segovia i św. Barbary, kanały przy Atocha i Leganitos, ale również centrum miasta. Wielu madrytczyków ginie właśnie wtedy, choć na ulicach nie zdążyły wybrzmieć słowa „spokój, spokój, niebezpieczeństwo zażegnane”. Na rogach ulic, w zaułkach i w bramach padają na ziemię ranni lub zabici, zarówno cywile, którzy uczestniczyli w walkach, jak i ci zupełnie niewinni, którzy mieli pecha wychylić się z bramy czy przechodzić ulicą. Tak właśnie giną, wśród wielu innych, rymarz Facundo Rodríguez Sáez, którego Francuzi rzucają na kolana i rozstrzeliwują obok kamienicy, gdzie pracuje; Manuel Suárez Villamil, służący, wysłany do miasta przez swojego pana, gubernatora Rady Alkadów, don Adriana Martíneza i złapany przez żołnierzy, którzy uderzeniami kolb gruchoczą mu żebra; szwajcarski rytownik ożeniony

z Hiszpanką, Pedro Chaponier, zamęczony i zabity przez patrol na ulicy Montera; masztalerz z królewskich stajni Manuel Peláez, którego dwóch przyjaciół, krawiec Juan Antonio Álvarez i kucharz Pedro Pérez, szukających go na prośbę żony, odnajduje zawieszono głową w dół i ze zmiążdżoną potylicą niedaleko Buen Suceso; siedemdziesięcioletni woźnica Andrés Martínez, który przez cały dzień trzyma się z dala od zamieszek, zostaje zabity razem ze swoim towarzyszem Francisco Ponce de León, gdy obaj przybywają z Vallecas z ładunkiem wina, a pełniący straż przy bramie Atocha znajdują u nich nóż; mulnik Eusebio José Martínez Picazo, któremu Francuzi najpierw zabierają karawanę mułów, a potem rozstrzelują pod murem kościoła pod wezwaniem Jezusa Nazareńskiego.

Powstańcy, którzy uwierzyli w zapewnienia komisji pokojowych, przypłacili tę wiarę życiem. Jak choćby pośrednik handlowy Pedro González Álvarez, który najpierw walczył w grupie przy Paseo del Prado i Ogrodzie Botanicznym, a potem ukrył się w klasztorze Kapucynów. Po czym przekonany przez mnichów, że obwieszczono rozejm, wychodzi na ulicę, zostaje zrewidowany przez francuski patrol i kiedy Francuzi znajdują w kieszeni surduta niewielki pistolet, okradają mężczyznę, zdzierają z niego ubranie i bez zbędnych formalności rozstrzelują na pagórku Buen Retiro.

Nastaje też czas grabieży. Zwycięzcy zawładnęli ulicami, a oznaczywszy miejsca, z których do nich wcześniej strzelano, pchani żądzą odwetu i zysku na widok tylu dóbr zgromadzonych w domach, bezkarni cesarscy żołnierze strzelają do każdego, wyważają drzwi, wchodzi, nie napotykając oporu, wszędzie, gdzie zechcą, kradną, ranią i zabijają. Na ulicy Alcalá jedynie rozkaz francuskich oficerów, stacjonujących w pałacach markiza de Villamejor i hrabiego de Talara, powstrzymuje szeregowców przed splądrowaniem obu budynków, nikt jednak nie przeszkodzi hurmie mameluków i rozzuchwalonych żołnierzy,

grabiących pałac markiza Villescás parę kroków stąd. Pod nieobecność pana domu nikt nie jest w stanie sprzeciwić się łupieżcom i ci plądrują domostwo, twierdząc, że wcześniej do nich stąd strzelano. Jedni pustoszą pokoje i wynoszą wszystko, co zdołają, inni wywlekają majordomusa José Peligra, jego syna ślusarza José Peligra Hugarta, odźwiernego – wojskowego weterana José Espeja – i kapelana rodziny. Wstawiennictwo francuskiego oficera ratuje życie kapelanowi, ale majordomus, jego syn i stary odźwierny zostają zastrzeleni i rozsiekani szablami w bramie pałacu na oczach przerażonych sąsiadów, przyglądających się wypadkom z okien i balkonów. Wśród świadków tej sceny znajduje się drukarz Dionisio Almagro, mieszkaniec domu przy ulicy Huertas, który zaskoczony toczącymi się walkami znalazł schronienie w domu krewnego, funkcjonariusza policji Gregoria Zambrana Asensia – ten ostatni przed półtora miesiącem pracował dla Godoya, za niecałe trzy pracować będzie dla króla Józefa, a za sześć lat będzie ścigał liberałów na rozkaz Ferdynanda VII.

– Kto zasłużył, ten ma za swoje – stwierdza Zambrano, schowany za firankami przy oknie.

Podobne dramaty rozgrywają się w innych miejscach, począwszy od pałaców arystokracji przez domy bogatych kupców, a kończąc na ubogich mieszkaniach, które też zostają splądrowane i spalone. Około piątej po południu chorąży królewskiej marynarki Manuel María Esquivel, który rano zdołał powrócić do koszar z budynku poczty razem ze swoim plutonem grenadierów, staje przed komendantem madryckiego garnizonu, don Francisco Javierem Negrete, aby usłyszeć hasło i odzew obowiązujące w nocy. Zostaje wprowadzony do gabinetu generała, a ten rozkazuje mu wziąć dwudziestu ludzi do ochrony domu księcia de Híjar, plądrowanego przez Francuzów.

– Z tego, co wiem – wyjaśnia Negrete – kiedy dziś rano opuszczał ten dom jakiś rezydujący tam francuski generał, odźwierny wypalił do niego z pistoletu. Biedak nie trafił w generała, ale zabił konia. Natychmiast go zastrzelili, a dom oznaczyli sobie na później... I zdaje się, że teraz chcą z tego skorzystać i zabrać wszystko, co zdołają wynieść.

Zanim generał skończył swą przemowę, Esquivel pojął, jak trudną powierzono mu misję.

– Jestem do pańskich rozkazów, panie generale – zaczyna najspokojniej, jak potrafi. – Ale musi pan zrozumieć, że jeśli oni nie ustąpią pod wpływem moich słów, będę musiał użyć siły.

– Oni?

– Francuzi.

Generał patrzy w milczeniu, ze zmarszczonym czołem. Potem spuszcza wzrok i zaczyna miąć papiery, które leżą na biurku.

– To, co pan musi, panie chorąży, to wzbudzić respekt.

Esquivel przełyka ślinę.

– W obecnej sytuacji, panie generale – oponuje delikatnie – wzbudzić szacunek będzie dość trudno. Nie jestem pewien, czy...

– Niech pan postara się w nic nie mieszać – przerywa oschle komendant, nie odrywając wzroku od dokumentów.

Pot spływa ciurkiem po szyi oficera. Nie ma pisemnego rozkazu ani niczego, co by go przypominało. Dwudziestu żołnierzy i jeden chorąży wrzuceni między lwy na mocy wydanego ustnie polecenia.

– A jeśli mimo wszystko będę zmuszony się wmieszać?

Negrete nie otwiera ust, przegląda papiery z miną dającą wyraznie do zrozumienia, że to już koniec rozmowy. Esquivel próbuje jeszcze raz przełknąć ślinę, ale tymczasem zaschło mu w gardle.

- Czy mogę przynajmniej rozdać ładunki mojemu oddziałowi?
Komendant Madrytu i Nowej Kastylii nawet nie podnosi głowy.
- Odmaszerować.

Pół godziny później, krocząc na czele dwudziestu grenadierów królewskiej marynarki, którym rozkazał założyć bagnety, załadować broń i zabrać po dwadzieścia ładunków, chorąży Esquivel dociera do pałacu de Híjar na ulicy Alcalá i rozstawia swoich ludzi naprzeciw fasady. Według słów przerażonego majordomusa Francuzi opuścili pałac po splądrowaniu parteru, ale grozili, że wrócą przeszukać resztę posiadłości. Majordomus pokazuje Esquivelowi ciało odźwiernego Ramona Péreza Villamila, lat trzydzieści sześć, leżące na dziedzińcu w kałuży krwi i z twarzą przykrytą chusteczką. Majordomus informuje, że pałacowy cukiernik Pedro Álvarez, który wraz z Pérezem Villamilem zaatakował francuskiego generała, zdołał uciec na ulicę Cedaceros, gdzie zamierzał się schronić w domu znajomego tkacza. Niestety, drzwi były zamknięte, a dom opuszczony z powodu leżącego tam ciała dragona i Pérez Villamil został pojmany i zaprowadzony na Prado. Paru małych urwisów z okolicy, którzy poszli za nim, widziało, jak zaraz rozstrzelano go razem z innymi.

- Wracają Francuzi, panie chorąży! Stoją pod bramą!

Esquivel przybiega w mgnieniu oka. Po drugiej stronie ulicy krąży około dziesięciu cesarskich żołnierzy, którzy przybyli tu raczej w złych zamiarach. Nie ma wśród nich oficerów.

- Niech nikt się nie rusza bez mojego rozkazu. Nie spuszczać ich z oka.

Francuzi czekają dobrą chwilę, siadają w cieniu, ale nie decydują się na przejście ulicy. Obecność zdyscyplinowanego oddziału grenadierów królewskiej marynarki, odzianych w niebieskie mundury i wysokie futrzane czapy, hamuje ich zapędy. Po chwili, co chorąży marynarki przyjmuje

z ulgą, odchodzą. Pałac księcia de Híjar będzie bezpieczny przez najbliższe pięć godzin, aż oddział Esquivela zostanie zastąpiony strażą z batalionu westfalskiego.

Niewiele miejsc w Madrycie może korzystać z podobnej ochrony jak dom księcia de Híjar. Strach przed represjami sprawia, że wielu madrytczyków opuszcza swoje domostwa. Ci, którzy zostają, przypłacają to życiem, jak krawiec Miguel Carrancho del Peral, żołnierz emerytowany po osiemnastu latach służby, spalony żywcem przez Francuzów we własnym domu przy Puerta Cerrada. Nieobecność w domu uratowała życie ślusarzowi z Asturii Manuelowi Armayorowi, rannemu na początku zamieszek na pałacowym dziedzińcu. Kiedy niesiono go do domu przy ulicy Segovia, towarzyszący mu mężczyźni znaleźli na tej ulicy ciała dwóch Francuzów. Nie chcieli zostawić samego Armayora, zwłaszcza że mocno krwawił z kilku ran, wezwali jego żonę, która przybiegła najszybciej jak potrafiła z opatrunkami. I małżonkowie, eskortowani przez sąsiadów i znajomych, znaleźli schronienie w domu służącego księcia de Anglona na ulicy Morería Vieja. Powzięte środki ostrożności ocaliły życie ślusarzowi. Przybyli na ulicę Segovia Francuzi, rozwścieczeni śmiercią towarzyszy, przepytują sąsiadów i któryś z nich donosi, że Manuel Armayor brał udział w porannych walkach. Żołnierze wyważają drzwi, nie znajdują nikogo w środku i w odwecie podpalają domostwo.

– Francuzi tu idą!

Taki donośny okrzyk rozbrzmiewa w domu agenta Królewskiej Giełdy Eugenia Aparicia y Sáez de Zaldúa, pod numerem czwartym przy Puerta del Sol. To najbogatszy z agentów giełdowych w Madrycie. Jego mieszkanie, które w ostatnich dniach stało się miejscem przyjacielskich wizyt cesarskich dowódców i oficerów, jest bardzo przestronne i wytworne,

pełne obrazów, dywanów, kosztownych bibelotów. Dziś z jego okien nikt nie strzelał. Już przy pierwszej szarzy francuskiej kawalerii Aparicio nakazał rodzinie odsunąć się w głąb mieszkania, a służbie – zamknąć okna. Tymczasem, według słów przerażonej służącej, która przybiegła z mieszkania na dole, w czasie walki z mamelukami w bramie kamienicy zginął jeden z Francuzów, a jego pokłute nożami ciało zatarasowało przejście. I to generał Guillot we własnej osobie – jeden z francuskich wojskowych, który niedawno odwiedził ten dom – nakazał rewizję mieszkań.

– Niechaj wszyscy zachowają spokój – nakazuje Aparicio swojej rodzinie, krewnym i służbie, kierując się na klatkę schodową. – Sam porozmawiam z tymi kawalerami.

Słowo kawalerowie nie pasuje do rozwścieczonych żołdaków: około dwudziestu Francuzów wbiega na schody z wrzaskiem, łomocząc o drewniane stopnie, wyważa drzwi mieszkań, niszczy wszystko na swojej drodze. Aparicio natychmiast zdaje sobie sprawę z powagi sytuacji. Na nic zdadzą się tu uprzejme prośby, zatem z całą przytomnością umysłu wraca pędem do swojego gabinetu, wyciąga z sekretery rulon wypchany pesetami i wraca na schody, wysypując monety na głowy Francuzów. To ich jednak nie powstrzymuje. Wchodzą wyżej, łapią Aparicia, szarpią go i okładają kolbami. Na ratunek mężczyźnie przybiegają osiemnastoletni siostrzeniec Valentín de Oñate Aparicio i zatrudniony w rodzinnym przedsiębiorstwie trzydziestoosmioletni Gregorio Moreno Medina, pochodzący z Saragossy. Francuzi wpadają w furję, zakłuwają bagnietami siostrzeńca, a jego ciało rzucają w dół klatki, potem wloką schodami Eugenia Aparicia i Gregoria Morena, którego jakiś mameluk rzuca na kolana i podrzyna mu gardło w bramie kamienicy. Aparicia wyciągają na ulicę, biją bez opamiętania, rozpruwają mu brzuch, po czym dobijają szablami. A potem jeszcze raz

wbiegają po schodach, szukając kolejnych ofiar dla zaspokojenia żądy mordy. W tym krótkim czasie żona Aparicia zdążyła uciec dachami razem z czteroletnią córeczką, pokojówką i paroma sługami i ukryć się na ulicy Carretas w piekarni przy zakonie Soledad. Francuzi plądrują mieszkanie, kradną pieniądze i klejnoty, niszczą meble, obrazy, porcelanę i wszystko, czego nie mogą zabrać.

– Pan major mówi, że jest mu przykro z powodu śmierci tak wielu pańskich rodaków... Wyraża głęboki żal.

Słyszając słowa wypowiedane przez tłumacza, porucznik Rafael Arango patrzy na Charles'a Tristana de Montholon, dowódcę 4. Pułku. Po wycofaniu głównych sił cesarskich, zbędnych w zdobytym arsenale, Montholon pozostał tu jako dowódca na czele pięciuset żołnierzy. I prawdą jest, że Francuz humanitarnie traktuje rannych jeńców. Ten wykształcony mężczyzna o szlachetnym usposobieniu i wyglądzie zdaje się nie chować urazy za swoją krótką niewolę. „Na wojnie wszystko się może zdarzyć”, skwitował przed chwilą. Na pozostałe po rzezi trupy i rannych patrzy z bólem. Wydaje się być szczery w tych uczuciach, zatem porucznik Arango wyraża wdzięczność skinieniem głowy.

– Mówi również, że ci ludzie walczyli z wielką odwagą – ciągnie tłumacz. – Jak wszyscy Hiszpanie.

Arango rozgląda się wokół, lecz słowa Francuza nie niosą pocieszenia w obliczu smutnej panoramy rozciągającej się przed jego oczyma, nabiegłymi krwią, w czarnych obwódkach od prochu, który osmalił mu twarz. Przełożeni i towarzysze broni zostawili go tu, by zajął się rannymi i zabitymi. Reszta odmaszerowała z rozkazem stawienia się na żądanie władz po ostrej wymianie zdań między księciem Bergu – który zamierzał wszystkich rozstrzelać – a infantem don Antoniem i juntą rządową.

W końcu zwyciężył zdrowy rozsądek. Być może cesarscy wojskowi i hiszpańskie władze spróbują uchronić zbuntowanych żołnierzy i odpowiedzialnością za to, co się wydarzyło, obarczą cywilów i zabitych. A jest w kim wybierać. Ciągłe jeszcze trwa identyfikacja poległych Hiszpanów i Francuzów. Na dziedzińcu, pokrytym rzędami ciał, z których część litościwie okryto prześcieradłami i kocami, inne zaś pozostawiono nagie i zmalretowane, strumienie ledwie zaschniętej w słońcu krwi znaczą ziemię czerwonym błotem.

– Smutny to widok – konkluduje francuski dowódca.

Nawet więcej niż smutny, myśli sobie Arango. Wstępne rachuby, nieuwzględniające tych wszystkich, którzy umrą od ran za parę godzin czy za parę dni, są zatrważające. Na pierwszy rzut oka szacuje się, że Francuzi stracili w Monteleón około pięciuset ludzi, zabitych i rannych. Obrońcy również zapłacili wysoką cenę. Arango naliczył czterdzieści cztery trupy i dwudziestu dwóch rannych na samym dziedzińcu, a nie wie, ilu ich jest w klasztorze Maravillas. Jeśli chodzi o straty wśród wojskowych, to prócz kapitanów Daoiza i Velardego oraz porucznika Ruiza zabitych lub rannych zostało siedmiu artylerzystów i piętnastu żołnierzy z Korpusu Ochotników, którzy przyszli tu z kapitanem Goicoecheą; nic mu nie wiadomo o losie setki cywilów wziętych do niewoli pod koniec walk, choć gdy weźmie się pod uwagę rozkazy francuskiego dowództwa – rozstrzelać wszystkich, którzy chwycili za broń – ten los zdaje się mocno niepewny. Na szczęście, kiedy cesarskie oddziały wchodziły główną bramą, znaczna część obrońców zdążyła wymknąć się przez ogrodzenie w tylnej części arsenału. Niestety, o czym powiadomił Aranga kapitan Goicoechea, zanim opuścił arsenał wraz z kapitanami Cónsulem i Cordobą, pozostałymi oficerami i resztą załogi kanonierów oraz żołnierzami Korpusu Ochotników – już bez broni, za to pełnymi obaw, że Francuzi nagle zmienią zdanie i wszystkich

ich zaaresztują – w piwnicach i na strychach budynków arsenału ukrywa się jeszcze wielu cywilów. To bardzo martwi młodego porucznika, który próbuje maskować swój niepokój przed francuskim dowódcą. Nie może wiedzieć, że prawie wszystkim uda się uciec po zapadnięciu zmroku i przy ostrożnej pomocy porucznika Ontorii z Korpusu Ochotników i powoźnika Juana Parda.

W cieniu przed wejściem do wartowni leży grupa rannych. Rafael de Arango oddala się od Montholona i jego tłumacza i podchodzi do tej grupy, a tymczasem francuscy i hiszpańscy noszowi zaczynają przenosić rannych do rezydencji markiza de Mejorada na ulicy św. Bernarda, zamienionej przez Francuzów na szpital polowy. To kanonierzy i ochotnicy, ranni, ale żywi. Oddzieleni od cywilów, czekają na ewakuację, którą umożliwiła dobra wola francuskiego dowódcy.

– Jak się czujecie, Alonso?

Kapral Eusebio Alonso, leżąc w kałuży krwawego błota z krepulcem przy pachwinie owiniętej bandażem nasiąkłym krwią, spogląda mętными oczyma. Został ranny w ostatnich minutach bitwy, walcząc przy działach.

– Miałem w swoim życiu lepsze chwile, panie poruczniku – odpowiada cicho.

Arango przykuca obok, spogląda na twarz dzielnego weterana: wymizerowaną, brudną, z potarganymi włosami, oczyma czerwonymi od bólu i zmęczenia. Na czole, wąsach i ustach widnieją krwawe strupy.

– Zaraz was wezmą do szpitala. Poczujecie się lepiej.

Alonso bez przekonania kręci głową i powolnym gestem wskazuje pachwinę.

– To rana jak u torreadora, panie poruczniku... Tętnica udowa, sam pan wie. Umieram, powolutku co prawda, ale umieram.

– Nie mówcie głupstw. Wyleczą was. Osobiście tego dopilnuję.

Kapral marszczy czoło, tak jakby słowa przełożonego mu dokuczały. Wiele lat później, przy spisywaniu wspomnień z tego dnia, Arango dokładnie pamiętać będzie odpowiedź kaprała:

– Proszę zająć się tymi, którym można jeszcze pomóc... Ja się nie skarżyłem, nikogo nie prosiłem... Proszę tylko o to, bym mógł wreszcie odpocząć. Zgadzam się na to, bo umieram za króla, jak na żołnierza przystało.

Dopilnowawszy przeniesienia Alonsa – który niebawem umrze w szpitalu – Arango podchodzi do porucznika Jacinta Ruiza, którego właśnie kładą na noszach. Ruiz, którego rany do tej pory nie zostały jeszcze porządnie opatrzone, a jedynie były jak zabandażowane, jest blady jak kreda od upływu krwi. Jego urywany oddech przejmuje Aranga lękiem – nie wie, że Ruiz choruje na astmę – że rana na piersi porucznika jest śmiertelna.

– Już pana zabierają, poruczniku Ruiz – Arango pochyła się nad noszami. – Wykurują pana.

Porucznik patrzy nań nieprzytomnym wzrokiem, zdaje się nie rozumieć.

– Rozstrzelają mnie? – pyta na koniec słabym głosem.

– Co pan plecie? Już po wszystkim.

– Umrzeć bez broni w ręku... Na kolanach... – bełkocze Ruiz, z twarzą brudną i lśniącą od potu. – Hańba... To nie jest śmierć godna żołnierza.

– Nikt pana nie rozstrzela, proszę mi wierzyć. Dostaliśmy gwarancje.

Prawa dłoń rannego, przez chwilę zadziwiająco silna, wczepia się w ramię Aranga.

– Rozstrzelanie to nie jest... godny sposób... by umrzeć.

Dwóch pielęgniarzy bierze porucznika. Kiedy dźwigają nosze do góry, jego głowa spada na bok, kołysząc się w takt kroków pielęgniarzy. Arango patrzy za odchodzącymi, potem rozgląda się dookoła. Nie ma tu już nic do

roboty – ranni cywile zostali przeniesieni do klasztoru Maravillas – a słowa Jacinta Ruiza wywołują w nim dziwny niepokój. Jego doświadczenie z ostatnich godzin, sposób, w jaki traktuje się cywilów i olbrzymie straty w cesarskich oddziałach budzą uzasadnione obawy. Arango wie, czego się można spodziewać po francuskich gwarancjach i zdaje sobie doskonale sprawę, jak niemrawo hiszpańskie władze zabiegają o bezpieczeństwo ludzi. W ostatecznym rozrachunku wszystko zależy będzie od kaprysu Murata. I tacy honorowi kawalerowie jak Montholon nie powstrzymają swego naczelnego wodza, gdy ten zarządzi krwawy odwet. „Powinieneś czym prędzej stąd uciekać, Rafael”, przekonuje się w duchu. Nagle teren arsenału jawi mu się jako pułapka, z której jedyna droga prowadzi na cmentarz.

Podjąwszy decyzję, Arango kieruje kroki do cesarskiego dowódcy. Po drodze wygładza kurtkę, zapina guziki, starając się, by mundur przybrał wygląd najbliższy regulaminowemu. Stojąc przed Francuzem, prosi przez tłumacza o pozwolenie na oddalenie się do domu.

– Tylko na chwilę, panie majorze. Chciałbym uspokoić rodzinę.

Montholon stanowczo odmawia. Arango – wyjaśnia za pośrednictwem tłumacza – jest jego podwładnym aż do czasu zmiany rozkazu. Powinien tu pozostać.

– To znaczy, że jestem więźniem?

– Pan major powiedział podwładnym, nie więźniem.

– Zechce pan mu powiedzieć, bardzo proszę, że mam starszego brata, który kocha mnie jak ojciec. Zapewne pan major również posiada rodzinę i potrafi zrozumieć moje uczucia... Proszę powiedzieć, że dam słowo honoru, że niezwłocznie tu powrócę.

Słuchając tłumacza, major Montholon patrzy w oczy hiszpańskiego oficera. Mimo różnicy w stopniach wojskowych, są w podobnym wieku.

I choć jego rodacy zapłacili bardzo wysoką cenę za zdobycie arsenału, to przecież upór obrońców wywarł wielkie wrażenie na Francuzie. A ludzkie traktowanie przez hiszpańskich wojskowych, kiedy został wzięty do niewoli wraz ze swoimi oficerami – wcześniej wspomniał, jak obawiał się, że motłoch poderżnie mu gardło, a ciało poćwiartuje – niewątpliwie wpłynęło na francuskiego majora.

– Pan komendant kazał zapytać, czy poważnie traktuje pan obietnicę o powrocie do arsenału daną pod słowem honoru?

Arango – który nie ma najmniejszego zamiaru wypełniać danego słowa – salutuje, uderzając obcasami, nie spuszczaając wzroku z Montholona.

– Oczywiście.

„Nie udało mi się go oszukać”, myśli ze smutkiem, widząc błysk niedowierzania w oczach Francuza. Po czym zdumiony widzi, jak Francuz uśmiecha się i słyszy cichy, spokojny ton jego głosu.

– Pan major mówi, że może pan odejść... Rozumie pańską sytuację i przyjmuje obietnicę.

– *Familiare* – dodaje major po francusku.

– Rozumie pańską sytuację rodzinną – precyzuje tłumacz. – I przyjmuje obietnicę.

Arango, który musi dokonać dużego wysiłku, by ukryć swą radość, oddycha głęboko. Potem, nie za bardzo wiedząc, jak powinien postąpić ani co powiedzieć, wyciąga przed siebie rękę. Po chwili wahania Montholon ściska dłoń porucznika.

– Pan major życzy panu powodzenia – przekłada tłumacz. – W domu pańskiego brata czy gdziekolwiek indziej.

José Blanco White raz jeszcze wychodzi z domu po paru godzinach spędzonych w zamkniętym mieszkaniu na ulicy Silva. Idzie ostrożnie,

uważając na francuskie straże pilnujące placów i alei. Przed chwilą, gdy pojawił się przy Puerta del Sol, obsadzonej sporym oddziałem Francuzów – dwunastofuntowe działa stoją wymierzone w ulice Mayor i Alcalá, wszystkie sklepy i kawiarnie zamknięto – musiał uciekać wraz z grupą podobnych mu ciekawskich, kiedy cesarscy żołnierze udali, że strzelają, by rozpędzić tworzące się zbiegowiska. Po takiej nauczce Blanco White wchodzi w zaułek przy kościele św. Ludwika i spiesznie oddala się z tego miejsca, zasmucony widokiem, który ujrzał: ciała zabitych leżące na ziemi, strach w oczach tych niewielu madrytczyków, którzy odważyli się wyjść, by zdobyć jakieś wiadomości, i rozpanoszeni Francuzi, ponurzy i złowrodzy.

José Blanco White to człowiek od dawna targany wątpliwościami, a dziś jego niepokój tylko wzrośnie. Jeszcze do niedawna, kiedy wojska francuskie zbliżały się do Madrytu, wyobrażał sobie, tak jak wielu o podobnych poglądach, słodkie oswobodzenie z okowów, jakie nałożyła na przesądny i ciemny lud skorumpowana monarchia i wszechpotężny Kościół. Dziś ta fantazja się rozwiewa, a Blanco White nie wie, której z dwóch ścierających się na ulicach sił powinien bać się bardziej: napoleońskich bagnetów czy dzikiego fanatyzmu swoich rodaków. Młody sewilczyk Blanco White wie, że pośród zwolenników Francji znajdują się również uzdolnieni i światli Hiszpanie, i tylko tchnące stęchłąką wychowanie i wykształcenie klasy średniej i wyższej, ich kompletna niewiedza i brak zainteresowania sprawami publicznymi nie pozwalają im pojąć przyczyny, dla której ktoś próbuje zmieść z powierzchni Europy starą parę królewską i jej nieudolnego syna Ferdynanda. Tymczasem w Madrycie rozszarpanym barbarzyństwem jednych i drugich, w przenikliwym umyśle Blanca White'a rodzi się podejrzenie, że oto właśnie przy wtórze strzałów z francuskich dział i szczęku noży niedouczzonego ludu zaprzepaszczono

historyczną szansę. On sam, człowiek świątły, wykształcony, raczej anglofil niż frankofil, ale w każdym przypadku zwolennik wolnej myśli i postępu, stoi na rozdrożu – i tego dramatycznego, gorzkiego rozdarcia doświadczy całe jego pokolenie: przyłączyć się do wrogów papieżstwa, inkwizycji i najbardziej wiarołomnej i godnej pogardy z wszystkich rodzin królewskich w Europie czy też pójść prostą i jasną drogą, która pozwoli, by człowiek honoru, zostawiwszy wszystko na boku, wybrał między obcym wojskiem a rodakami.

Zagłębiając się w takich rozważaniach, Blanco White mija się w zaułku św. Marcina z czterema hiszpańskimi artylerzystami, którzy niosą mężczyznę ułożonego na drabinie, wspartej na ich na ramionach. Drabina przechyla się i sewilczyk rozpoznaje twarz konającego, pobladał od cierpienia i z upływu krwi, a jest to oblicze jego rodaka i znajomego, kapitana Luisa Daoiza.

– Jak się pan czuje?

– Konam – odpowiada żołnierz.

Blanco White zamiera w zdumieniu, z rękoma w kieszeniach surduta, niezdolny wykrztusić słowa. Wiele lat później w jednym ze swoich słynnych listów napisanych z wygnania w Anglii sewilczyk przywoła ostatnie spotkanie z Daoizem: „Nieznacznie się poruszył i cicho jęczał, ilekroć nierówność bruku potęgowała jego cierpienie”.

Podpułkownik artylerii Francisco Novella y Azábal, który złożony chorobą został w domu – jest bliskim przyjacielem Luisa Daoiza, lecz z powodu znacznego osłabienia nie udał się do Monteleón – również widział z okien mieszkania posępny i krótki orszak towarzyszący przyjacielowi. Novella, zbyt słaby, by wyjść z domu, siedzi w pokoju, targany bólem, rozpaczą i bezsilnością.

– Ci nędznicy zostawili go samego! – jęczy żałośnie, rodzina odprowadza go do łóżka. – Wszyscyśmy go zostawili!

Luis Daoiz, przyniesiony do domu, przeżyje jeszcze parę chwil. Bardzo cierpi, ale nie skarży się na ból. Zadane bagnetem rany na plecach zatopiły płuca we krwi i wszyscy obecni są świadomi nieuchronności tej śmierci. Jeszcze w arsenale został opatrzony przez francuskiego lekarza, następnie przeniesiono go do kamienicy markiza de Mejorada, gdzie pewien zakonnik – brat Andrés Cano – spowiada go i rozgrzesza, choć nie udziela mu ostatniego namaszczenia, bo skończyły się święte oleje. Na koniec zaniesiono Daoiza do domu pod numerem dwunastym przy ulicy Ternera na zaimprovizowanych noszach z drabiny przykrytej materacem i kocem, i wreszcie obrońca z Monteleón znalazł się w swojej sypialni, otoczony przez brata Andrésa, Manuela Almirę i tych przyjaciół, którzy mogli – czy raczej: którzy się odważyli – przybyć i stanąć u jego łoża: kapitanów artylerii Joaquína de Osme, Vargasa i Cesara Gonzáleza, i starszego chorążego Gwardii Walońskiej Javiera Cabanesa. Ponieważ brat Andrés martwi się, że Daoiz umrze bez ostatniego namaszczenia, Cabanes udaje się do kościoła pod wezwaniem św. Marcina w poszukiwaniu księdza i wraca niebawem z ojcem Romanem Garcíą i świętymi olejami. Lecz nim przybyły kapłan zdąży posmarować czoło i usta konającego, Daoiz ściska dłoń brata Andrésa, wzdycha głęboko i oddaje ducha. Klęczący przy łożu wierny wojskowy skryba Almira łka jak dziecko.

Pół godziny później w swoim gabinecie w sztabie głównym artylerii pułkownik Navarro Falcón zostaje poinformowany o śmierci Luisa Daoiza i natychmiast zaczyna dyktować jednemu ze skrybów raport z wyjaśnieniami, skierowany do komendanta Madrytu, z prośbą o przekazanie pisma juncie rządowej i władzom francuskim.

Wasza Ekscelencjo, z całym przekonaniem, choć daleki od zwalniania z odpowiedzialności za niedawne wydarzenia któregokolwiek z oficerów Korpusu Artylerii, stwierdzam, że wszyscy poczuliśmy niesmak, iż zaślepienie i przedziwny zapał kapitanów don Pedra Velardego i don Luisa Daoiza przyczyniły się do rozprzestrzenienia się tak biednej, acz brzemiennej w skutki idei wśród pozostałych oficerów, którzy nie mieli świadomości, iż ci dwaj działają wbrew obowiązującym rozkazom.

Ton tego pisma różni się od innych, które dowódca Korpusu Artylerii w Madrycie wystosuje w nadchodzącym czasie w miarę rozwoju wypadków zarówno w stolicy, jak i w całej Hiszpanii. Ostatni z tych dokumentów, podpisany przez Navarro Falcóna w Sewilli w kwietniu 1814 roku, już po zakończeniu wojny, zawierać będzie takie oto słowa:

W dniu 2 maja 1808 roku wspomniani bohaterowie, Daoiz i Velarde, dokonali chwalebnego czynu, który unieśmiertelnia ich imiona, a rodzinom i całemu narodowi przynosi chwałę.

W tym samym czasie, gdy dowódca Korpusu Artylerii sporządza swój raport, w budynku poczty zbiera się trybunał wojskowy pod przewodnictwem generała Grouchy'ego, któremu książę Bergu polecił sądzić powstańców pojmanyh z bronią w rękę. Ze strony hiszpańskiej na członka tego sądu oddelegowany został generał brygady José de Sexti. Emmanuel Grouchy – którego zaniedbanie siedem lat później przyczyni się do klęski pod Waterloo – ma spore doświadczenie w stosowaniu represji: w jego karierze czarnymi zgłoskami zapisały się spalenie włoskiego miasteczka Strevi i egzekucje w Fossano w czasie powstania w Piemontie w 1799 roku. Natomiast Sexti od razu umywa ręce i oddaje Francuzom więźniów, którzy są doprowadzani kolejno, związani, pojedynczo albo w niewielkich grupach, sędziowie zaś nie raczą ich wysłuchać ani nawet na nich spojrzeć. Jako sąd doraźny, Grouchy i jego oficerowie procedują szybko i sprawnie, odczytują bez emocji kolejne nazwiska i podpisują

wyroki śmierci, naprędce redagowane przez sekretarzy. I kiedy sędziowie hiszpańscy, którzy obeszlili już ulice z okrzykiem „spokój, spokój, niebezpieczeństwo zażegnane”, powracają do domów, przekonani, że mieli swój skromny udział w przywracaniu spokoju w mieście, Francuzi, którym nic i nikt nie stoi na przeszkodzie, nie ustają w kolejnych aresztowaniach i mordowaniu ludności, kierowani nieubłaganą żądzą zemsty.

Pierwszymi ofiarami okrutnej bezwzględności padają więźniowie z piwnic kościoła św. Filipa, do których dołączyli niedawno drukarz Cosme Martínez del Corral, przyprorowadzony tu ze swojego domu przy ulicy Príncipe, dwudziestosześcioletni ślusarz Bernardino Gómez i trzydziestoletni piekarz Antonio Benito Siara, ujęty niedaleko Plaza Mayor. Po drodze, kiedy francuski oddział prowadził Gómeza i Siarę, na drodze stanął im patrol Gwardii Przybocznej, próbując ich uwolnić. Doszło do gwałtownej wymiany zdań, gwardziści nie ustępowali, a na pomoc Francuzom przybyło więcej żołnierzy. Niestety, mimo starań hiszpańskich wojskowych Francuzi postawili na swoim. Wszyscy więźniowie siedzą teraz pod kluczem, a francuski podoficer niesie do budynku poczty listę z nazwiskami pojmanych, na której obok Martíneza del Corral, Gómeza i Siary figurują fechtmistrz Vicente Jiménez, księgowy Fernández Godoy, pośrednik finansowy Moreno, młody służący Bartolomé Pechirelli i inni, w sumie dziewiętnastu mężczyzn. Generał Grouchy podpisuje wszystkie wyroki śmierci – nawet ich nie czytając – a generał Sexti przypatruje się temu w milczeniu. Niemal natychmiast, ku rozpaczy przyjaciół i krewnych, którzy mimo lęku stoją na ulicy i z daleka obserwują więźniów prowadzonych przez uzbrojonych w bagnety Francuzów, skazańcy zostają wysłani do Buen Suceso. Podczas tego krótkiego marszu więźniowie przechodzą przez obstawioną żołnierzami i działami Puerta del Sol, pośród

leżących w wielkich kałużach krwi końskich cielsk z brzuchami rozprutymi w czasie porannych walk.

– Rozstrzelają nas! – krzyczy neapolitańczyk Pechirelli do ludzi mijanych przy Mariblanca. – Te łajdaki chcą nas rozstrzelać!

Idący szeregiem więźniowie rozdzierająco krzyczą, a są to wrzaski buntu i rozpacz, którym towarzyszą jęki krewnych, zamykających ten smutny kondukt. Wrzaski i lamenty powodują, że zaraz pojawia się więcej francuskich żołnierzy, którzy rozpędzają ludzi i uderzeniami kolb popychają związanych skazańców. Docierają do Buen Suceso, gdzie w jednej z pustych sal mężczyźni zostają zamknięci, a francuscy kaci zabierają im resztki wartościowych przedmiotów i obdzierają z co lepszego odzienia. Potem Hiszpanie zostają wyprowadzeni czwórkami i ustawieni na dziedzińcu przed plutonem, który strzela do nich z bardzo bliska, a przyjaciele i członkowie rodzin, oczekujący przed pałacem albo na jego korytarzach, reagują okrzykami przerażenia na odgłos wystrzałów.

Szpital Buen Suceso to początek zorganizowanego, uporządkowanego mordu, usankcjonowanego dekretem księcia Bergu, sprzecznego z obietnicami danymi hiszpańskiemu rządowi. Począwszy od trzeciej po południu nieustający trzask wystrzałów, okrzyki torturowanych i wrzaski katów sieją przerażenie wśród tych nielicznych madrytczyków, którzy szukając wiadomości o bliskich, zapuszczają się w pobliże Buen Retiro i Prado. Ta aleja oraz teren pomiędzy klasztorem Hieronimitów, fontanną Cibeles, murem kościoła Jezusa Nazareńskiego i bramą Atocha stają się wielkim polem śmierci, na którym trupów przybywa w miarę, jak dzień chyli się ku zachodowi. Egzekucje, do których dochodziło przypadkiem już przed południem, teraz poprzedzane są oficjalnymi wyrokami śmierci, następują masowo i potrwają do wieczora. Przy samym Prado już nazajutrz grabarze napełnią trupami dziewięć wozów, zostanie tu bowiem

rozstrzelanych bardzo wiele osób. Wśród nich znajdzie się szewc Pedro Segundo Iglesias, który zabił francuskiego żołnierza i został wydany przez jakiegoś człowieka na ulicy Olivar; parobek z królewskich posiadłości w San Fernando, niejaki Dionisio Santiago Jiménez znany jako Coscorro; toledańczyk Manuel Francisco González; kowal Julián Duque; pisarczyk z loterii Francisco Sánchez de la Fuente; Francisco Iglesias Martínez z ulicy Piamonte; służący z Asturii José Méndez Villamil; najemny tragarz Manuel Fernández; poganiacz bydła Manuel Zaragoza; piętnastoletni uczeń Gregorio Arias Calvo – jedyne dziecko stolarza Naracisa Ariasa; szklarz Manuel Almagro López i dziewiętnastoletni Miguel Facundo Revuelta, ogrodnik z Griñón, który walczył u boku ojca Manuela Revuelty, bo przybyli do Madrytu we dwójkę bić się przeciwko Francuzom. Rozstrzeliwują i innych nieszczęśników, którzy nie brali udziału w potyczkach, jak choćby murarzy Manuela Oltre Villenę i jego syna Pedra Oltre Garcíę, pojmany przy Puerta de Alcalá, kiedy nieświadomi tego, co dzieje się w mieście, pojawili się w Madrycie w poszukiwaniu pracy.

– *Sortez!*¹¹ Wszystkie wychodzą!

Na dziedzińcu pałacu Buen Retiro nadzorca powozowni, siedemdziesięcioletni Félix Mangel Senén, zwraca wzrok ku szaremu światłu kończącego się dnia, ku niebu, znów zwiastującemu deszcz. Francuzi wydarli go z zaimprovizowanej celi, magazynu dawnej fabryki porcelany, gdzie w towarzystwie innych więźniów spędził po ciemku dwie ostatnie godziny. Kiedy jego oczy oswoiły się ze światłem, zauważył, że wywleczeni z ciemności stoją obok woźnica Pedro García i stajenni z królewskich stajni, pięćdziesięcioletni Gregorio Martínez de la Torre i czterdziestodwuletni Antonio Romero – ci trzej są jego podwładnymi, a wszyscy razem walczyli przeciw Francuzom, dopóki nie pojmano ich przy Ogrodzie Botanicznym. Razem z nimi wyprowadzono garncarza

Antonia Coloma, pracującego w cegielni przy Puerta de Alcalá, kupca José Doctora Cervantesa i kopistę Estebana Sobolę. Wszyscy są brudni, ranni, poturbowani, pobici i zmalretowani, ponieważ pojmano ich w walce albo przyłapano z bronią ukrytą pod ubraniem. Francuzi wpadli w furję, kiedy Colomo stawiał opór, gdy przyszedli po niego do cegielni, gdzie się ukrywał, i pobili go aż do krwi. Teraz ledwie stoi na nogach, dwóch towarzyszy niedoli podtrzymuje go z obu stron.

– *Allez! Vite!* ¹²

Sposób, w jaki Francuzi trzymają karabiny, nie pozostawia wątpliwości co do losu, który czeka pojmany. Więźniowie, zdawszy sobie z tego sprawę, uderzają w płacz i lament. Colomo upada na ziemię, a Mangel i Martínez de la Torre, którzy cofają się aż pod mur, głośno przeklinają swoich katów. Obok Coloma, który modli się, ledwie poruszając wargami, klęczy Antonio Romero i rozdzierającym krzykiem błaga o litość.

– Mam troje małych dzieci! Moja żona zostanie wdową, dzieci sierotami, kto się zajmie moją starą matką?!

Niewzruszeni francuscy żołnierze nie przerywają przygotowań. Słychać trzask zamków. Kopista Sobola, który mówi po francusku, zwraca się w tym właśnie języku do podoficera dowodzącego plutonem, prosząc o darowanie im wszystkim życia. Na jego szczęście, ów sierżant młody blondyn, przygląda mu się z uwagą.

– *Est-ce que vous parlez notre langue?* ¹³ – pyta zaskoczony.

– *Oui!* – krzyczy skryba, natchniony rozpaczą. – *Je parle français, naturellement!* ¹⁴

Sierżant nie odrywa od niego wzroku, zamyślony. Po czym bez słowa odsuwa go od grupy i popycha w kierunku celi, podczas gdy żołnierze podnoszą karabiny i mierzą do reszty. Kiedy zabierają Estebana Sobolę –

uda mu się opuścić to miejsce żywym następnego dnia – do jego uszu dochodzą krzyki towarzyszy niedoli, ucięte karabinową salwą.

Zapada zmierzch. Na ławce przy fontannie Caños, otulony peleryną, w berecie na głowie, ślusarz Blas Molina Soriano powoli roztapia się w mroku, który ogarnia ulice Madrytu. Przez chwilę trwa nieruchomy, z bólem serca wspominając to, czego niedawno był świadkiem. Schował się w opustoszałym zakątku placu, gdy francuscy kawalerzyści rozpędzili grupkę madrytczyków – z niezłomnym ślusarzem na czele – domagającą się wypuszczenia na wolność więźniów prowadzonych ulicą Tesoro w stronę św. Gila. Przez całe popołudnie, od czasu kiedy wyszedł z domu po powrocie z arsenału, Molina krążył po ulicach, gnany niepokojem i poczuciem bezsilności. Nikt już nie walczy, nikt nie stawia oporu. Madryt, zdławiony przez wrogie wojska, tonie w ciemnościach. Ci, którzy zapuszczają się na ulice, szukając innego schronienia, wracając do domu czy próbując odnaleźć kryjówki krewnych i przyjaciół, czynią to ukradkiem, przyspieszając kroku w zapadających ciemnościach, w obawie przed aresztowaniem czy wypuszczoną bez ostrzeżenia kulą francuskiej pikiety. Jedyne płonące światła to ogniska francuskich żołnierzy na rogach ulic i placach, ogniska, do których użyto mebli ze splądrowanych domów. I te drżące płomienie, złowrogo czerwone, wydobywają błyski z bagnetów, dział, oświetlają mury podziurawione kulami, roztrzaskane szyby i leżące wszędzie ciała zabitych.

Blas Molina wzdryga się pod peleryną. Z niektórych domów słychać krzyki i szlochy, to rodziny martwią się o los nieobecnych bliskich albo oplakują nieuniknione i potwierdzone śmierci. Przechodząc ulicami, Blas Molina spotkał wielu członków rodzin i przyjaciół uwięzionych i zaginionych madrytczyków. Pojedynczo albo w niewielkich grupach, by nie narażać się na wściekłość Francuzów, nieszczęśnicy podążają do pałacu

albo do Rady Miejskiej, prosząc o niemożliwe wstawiennictwo: już dobrą chwilę temu ministrowie i rajcy udali się do domów, a tych niewielu, którzy próbują wymóc coś na Francuzach, nikt nie słucha. Pojedyncze salwy karabinowe rozbrzmiewają wciąż w czerni nocy, obwieszczając kolejne egzekucje i potęgując strach madrytczyków, ukrytych po domach. Przechodząc w stronę ulicy Caño del Peral, Molina zobaczył cztery świeże trupy przy klasztorze św. Pascala, a kolejne trzy między fontanną Neptuna i ulicą św. Hieronima – z tego, co opowiedział mu pewien mężczyzna, wie, że ci ludzie wracali ze strzyżenia mułów w Retiro i Francuzi znaleźli u nich nożyce – a prócz tego wiele pojedynczych trupów oraz dziewiętnaście ciał skoszonych salwą na dziedzińcu Buen Suceso, poskładanych w stos pod murem.

Rozmyślając o tym wszystkim ze zbolałym sercem, Blas Molina zaczyna płakać, czując wściekłość i upokorzenie. Tylu przecież walczyło, myśli. Tylu zginęło w arsenałach Monteleón i innych starciach, po to tylko, by nadszedł koniec, by wszystko zakryła ciemna zasłona nocy: francuskie ogniska z roześmianymi, pijanymi żołdakami, huk wystrzałów, od którego zamierają serca mieszkańców Madrytu, jeszcze niedawno walczących, nie bacząc na niebezpieczeństwo, za wolność i za swojego króla.

„Przysięgam, że ich pomszczę – mówi sobie, prostując się w ciemnościach. – Przysięgam, że zemszczę się na Francuzach za wszystko, co nam zrobili. Na nich i na tych zdrajcach, którzy zostawili nas samych. I niech Bóg ukarze mnie śmiercią, jeśli słowa nie dotrzymam”.

Blas Molina Soriano dotrzyma przysięgi. W nadchodzących burzliwych czasach jego skromne nazwisko zapisze się w annałach historii. Po ucieczce z Madrytu przed grożącymi mu represjami wróci do stolicy po zwycięskiej bitwie pod Bailén, by wziąć udział w obronie Madrytu, a po kapitulacji miasta i kolejnej ucieczce dzielny ślusarz przyłączy się do partyzantów.

Kiedy walka dobiegnie końca, Molina napisze memoriał – *Pozostawiwszy mą żonę całkowicie pozbawioną opieki, sam w służbie Jego Królewskiej Mości i Ojczyzny...* – prosząc króla o jakąś skromną posadę na dworze. Ale Ferdynand VII, powróciwszy do Hiszpanii po wojnie spędzonej w Bajonnie, gdzie gratulował Bonapartemu kolejnych zwycięstw, nigdy na tę petycję nie odpowie.

9

Asturyjczyk José María Queipo de Llano, wicehrabia de Matarrosa i przyszły hrabia de Torento, ma dwadzieścia dwa lata. Elegancki, wykształcony, entuzjasta postępowych idei, co w innych okolicznościach postawiłoby go raczej po stronie Francuzów niż współrodaków, w niedalekiej przyszłości zostanie jednym z twórców konstytucji z Kadyksu, później – po powrocie Ferdynanda VII – jako liberał na wygnaniu napisze fundamentalną *Historię powstania, wojny i rewolucji w Hiszpanii*. Ale tej nocy w Madrycie młody wicehrabia z trudem mógłby sobie to wszystko wyobrazić, podobnie jak nie wyobraża sobie, że już za cztery tygodnie, wypłynąwszy z Gijón na pokładzie okrętu angielskich korsarzy, znajdzie się na pełnym morzu i popłynie do Londynu z prośbą o pomoc dla walczących Hiszpanów.

– Nie udało się nam uratować Antonia Ovieda – oznajmia przygnębiony, opadając na fotel.

Jego dwaj przyjaciele, bracia Miguel i Pepe de la Peña, u których w domu właśnie się znajduje, są zrozpaczeni. Od późnego popołudnia razem z kuzynem, również pochodzącym z Asturii Marcialem Monem, José María Queipo de Llano biegał po całym Madrycie, próbując uwolnić ich wspólnego bliskiego przyjaciela Antonia Ovieda, który został aresztowany na ulicy przez francuski patrol, mimo że nie brał udziału w walkach, nie miał przy sobie broni i nie zachowywał się prowokująco względem cesarskich żołnierzy.

– Rozstrzelali go? – zboliałym głosem pyta Pepe de la Peña.

– O tej porze już na pewno tak.

Queipo de Llano zdaje przyjaciołom relację z tego, co się zdarzyło. Razem z Monem sprawdzili miejsce, w którym przetrzymywano Antonia Ovieda, i dowiedzieli się, że wraz z innymi więźniami zabrano go na Prado, gdzie, wbrew obietnicom Murata i zapewnieniom, że panuje spokój i niebezpieczeństwo zostało zażegnane, dokonywano egzekucji bez sądu i bez choćby pobieżnego rozpoznania, mordując zarówno buntowników, jak i niewinnych mieszkańców. Poważnie zaniepokojeni przyjaciele udali się do domu don Antonia Ariasa Mona, który prócz tego, że jest gubernatorem w Radzie Kastylii i członkiem rządu, jest również krewnym młodego Marciała Mona i samego Queipa de Llano.

– Biedny staruszek, zmęczony i wyczerpany po całym dniu, ucinął sobie drzemkę... Przekonany, jak wszyscy, że Murat dotrzyma słowa. I kiedy udało się nam go dobudzić i opowiedzieliśmy, co się dzieje, nie chciał nam uwierzyć. Poczłł się osobiście dotknięty.

– I co zrobił?

– To, co zrobiłby każdy przyzwoity człowiek. Uwierzył w końcu, że wszystko, co opowiadamy, to prawda i zaczął rozpaczać: „A ja, ufając tym obietnicom, sam prosiłem ludzi, żeby oddawali broń”. Po czym własnoręcznie napisał rozkaz wypuszczenia na wolność Ovieda, gdziekolwiek by go przetrzymywano. Biegaliśmy z tym listem wszędzie, przepychając się pomiędzy Francuzami...

– Którzy nas nieźle wystraszyli – dodaje Marcial Mon.

– Na koniec znaleźliśmy się w budynku poczty – ciągnie Queipo de Llano – gdzie naszymi dowodzi generał Sexti. Choć słowo dowodzi jest tu sporą przesadą.

– Znam tego Sextiego – wtrąca się Miguel de la Peña. – To nadęty i głupi Włoch na hiszpańskim żołdzie.

– No cóż, źle odpłaca się przybranej ojczyźnie. Obrzucił pismo chłodnym wzrokiem, wzruszył ramionami i oznajmił oschle: „Będziecie się panowie musieli dogadać z Francuzami...”. Na nic się zdało przypominanie mu, że to on, wraz z generałem Grouchym, jest odpowiedzialny za działanie sądów wojskowych. Chce uniknąć sporów, jak sam nam powiedział, więc oddaje wszystkich więźniów Francuzowi i umywa ręce.

– Nikczemnik! – wyrywa się z ust Pepe de la Peñi.

– To samo mu powiedziałem, użyłem nawet podobnego słowa, a on tylko odwrócił się na pięcie. Choć przez chwilę bałem się, że każe nas zaaresztować.

– A Grouchy?

– Nie chciał nas przyjąć. Jego adiutant wyrzucił nas w grubiański sposób i mamy szczęście, że pozwolono się nam oddalić bez przeszkód. Boję się, że o tej porze nasz biedny Oviedo...

Czwórka przyjaciół milczy. Przez zamknięte okna dobiega daleki odgłos strzałów.

– Słyszycie kroki na schodach? – pyta Miguel de la Peña.

Niepokój ogarnia wszystkich, bo tej nocy w Madrycie nikt nie czuje się bezpieczny. Wreszcie Marcial Mon zdecydowanym krokiem podchodzi do drzwi, otwiera je i cofa się o krok, jakby ujrzał ducha.

– Antonio! Antonio Oviedo!

Z okrzykami radości spieszą powitać przyjaciela, bladego, z włosami w nieładzie i w poszarpanym odzieniu. Nieomal niesiony na ramionach siada na sofie i powoli dochodzi do siebie dzięki kieliszкови wódki, zaaplikowanej celem przywrócenia rumieńców na twarzy i rozwiązania języka. Oviedo opowiada swą historię, podobną do historii wielu madrytczyków, którzy stanęli dziś przed plutonem egzekucyjnym, różniącą się tym tylko, że tuż przed rozstrzelaniem Oviedo został ułaskawiony przez

francuskiego oficera, który rozpoznał w nim stałego bywalca „Złotej Fontanny”.

– A reszta?

– Rozstrzelani... Wszyscy zostali rozstrzelani.

Z przerażeniem w oczach, wpatrzony w noc, która powoli zapada nad Madrytem, Antonio Oviedo dopija wódkę. A młody Queipo de Llano, który z troską zajmuje się przyjacielem, z przerażeniem zauważa na jego głowie kilka siwych włosów.

Wśród nieszczęśników, doświadczonych dzisiejszymi przeżyciami, są i tacy, którzy doznali uszczerbku na umyśle. Jak pochodzący z Saragossy Joaquín Martínez Valente, którego brat, dwudziestosiedmioletni Francisco, adwokat Królewskiego Kolegium, ma przy Puerta del Sol sklep do spółki z wujem obydwu, Jeronimem Martínezem Mazpule. Sklep był zamknięty przez cały dzień, otwarto go dopiero po ogłoszeniu rozejmu, pod wieczór, a w ostatniej chwili pojawili się w nim francuscy żołnierze i paru mameluków. Pod pretekstem, że z tego miejsca strzelano w czasie porannych walk, cesarscy otoczyli wuja i siostrzeńca w drzwiach sklepu. Martínez Mazpule zdołał uciec, wcześniej zaryglowawszy drzwi, ale Francisco Martínez Valente został pobity, a potem zawleczony po bruku aż pod bramę sąsiedniego sklepu. Tam, mimo wysiłków sprzedawców, którzy chcieli go uratować i wnieść do sklepu, adwokat został zastrzelony, a kula rozłupała mu głowę na oczach brata, biegnącego na pomoc. Utraciwszy rozum pod wpływem tej okrutnej, barbarzyńskiej i bezsensownej ofiary, Joaquín Martínez Valente majaczy zamknięty w domu wuja, od czasu do czasu wydając przeraźliwy wrzask, budzący grozę wszystkich sąsiadów. Umrze parę miesięcy później w szpitalu dla umysłowo chorych w Saragossie.

Wielu staje się ofiarami represji mimo ogłoszenia rozejmu, naiwnie zaufawszy pokojowym obietnicom. Prócz śmierci w masowych egzekucjach, które nie ustaną aż do świtu, tej nocy wielu madrytczyków straci życie tylko dlatego, że pojawią się na balkonach albo w bramach, nie zgaszą świateł w oknach czy też po prostu znajdą się w zasięgu strzału francuskich żołnierzy. Niedaleko rzeki Manzanares kula dosięga osiemnastoletniego pasterza Antonia Escobara Fernández, prowadzącego w ciemnościach swoje stado owiec; francuski wartownik zabija jednym strzałem wdowę Marię Vals de Villanueva, podążającą do domu córki pod numer trzynasty przy ulicy Bordadores. Pojedyncze strzały pijanych, zuchwałych i mściwych żołdaków zabijają niewinnych ludzi w ich własnych domach. Tak ginie czterdziestoletnia Josefa García, śmiertelnie raniona kulą, kiedy wychyla się z oświetlonego okna przy ulicy Almendro. Taki sam los spotka Marię Raimundę Fernández de Quintana, pokojówkę w pałacu Cayetana Obregona, która wyczekiwała na balkonie powrotu męża, i Isabel Osorio Sánchez, którą kula trafia przy podlewaniu kwiatów w mieszkaniu przy ulicy Rosario. Na ulicy Leganitos śmierć ponoszą dwunastoletni chłopiec Antonio Fernández Menchirón i jego dwie sąsiadki: Catalina González de Aliaga i Bernarda de la Huelga; na ulicy Torija ginie wdowa Mariana de Rojas y Pineda; na ulicy Molino de Viento – wdowa Manuela Diestro Nublada; a na ulicy Soldado kula dosięga trzydziestoośmioletnią Teresę Rodríguez Palacios, kiedy zapala lampę naftową. Na ulicy Toledo, gdy kupiec bławatny Francisco López siada z rodziną do kolacji, w ścianę domu trafia kula z francuskiego karabinu, rozbija szybę i śmiertelnie rani kupca.

Około dziesiątej w nocy, kiedy jedni umierają w domach, a inni jako więźniowie prowadzeni są w szeregach na miejsca straceń, stojący na czele junty rządowej infant don Antonio, który wcześniej wystosował do księcia

Bergu petycję z prośbą o ułaskawienie paru skazanych, otrzymuje następujące pismo, podpisane przez Joachima Murata:

Szanowny kuzynie. Otrzymałem od Waszej Królewskiej Wysokości pismo dotyczące spalenia domów, z których strzelano do Francuzów, zaplanowanego przez francuskich oficerów. Uprzedzam Waszą Królewską Mość, iż przekazuję tę sprawę w ręce generała Grouchy'ego, nakazując mu rozeznac sytuację. Wasza Królewska Mość prosi mnie o ułaskawienie paru cywilów wziętych do niewoli z bronią w ręku. Jednakże na mocy dziś wydanego przeze mnie rozkazu, w celu zapobieżenia takim działaniom w przyszłości, zostaną oni rozstrzelani. A moja konsekwencja, mam nadzieję, spotka się z aprobatą Waszej Królewskiej Mości.

O tej samej porze Francisco Javier Negrete, generał i naczelny dowódca garnizonu Madrytu, przed udaniem się na spoczynek pisze do księcia Bergu. Tworzy szkic listu przy płomieniu świecy, w pantoflach i szlafroku, a w przyległym pokoju jego ordynans szcnotkuje mundur, w którym Negrete wystąpi jutro rano, by pogratulować zwycięstwa Muratowi i poprosić go o rozkazy. W tym liście, opublikowanym parę dni później w paryskim „Moniteur”, dowódca jednostek hiszpańskich garnizonu madryckiego trafnie odda swoje stanowisko wobec wydarzeń dnia, który właśnie się kończy:

Jego Wysokość zrozumie niewątpliwie, z jak wielkim bólem hiszpański żołnierz patrzył na płynące ulicami stolicy strumienie krwi dwóch narodów, stworzonych wszak do tego, by zawrzeć ściśle przymierze i razem stawić czoła wspólnemu wrogowi. Jego Wysokość zechce być tak łaskawym i pozwolić mi na wyrażenie mej wdzięczności nie tylko za pochwały wygłaszane pod adresem garnizonu naszego miasta oraz za wszelkie dobrodziejstwa, które nam czyni, ale przede wszystkim za obietnicę przerwania represji tak szybko, jak pozwolą na to okoliczności. Tym samym Jego Wysokość potwierdzi wieści, które poprzedziły jego przybycie do tego kraju, przypisując mu wszelkie cnoty i dodając chwały Jego Wysokości. Przewidując zamiary Jego Wysokości, spodziewam się, że okażą się one w całości korzystne dla mojej ojczyzny. Pozostaję szczerze i całkowicie oddany Jego Wysokości.

W krypcie kościoła św. Marcina jedynie pięciu przyjaciół Daoiza i Velardego – oraz dwaj grabarze, Pablo Nieto i Mariano Herrero – czuwają przy kapitanach artylerii, a są to: ich towarzysze Joaquín de Osma, Vargas i César González, kapitan Gwardii Walońskiej Javier Cabanes i wojskowy skryba Almira. Ciała przyniesiono po zapadnięciu zmroku, wnosząc je po kryjomu od strony ulicy Bodeguilla przez drzwi ukryte za głównym ołtarzem. Trumna z ciałem Daoiza przybyła późnym wieczorem z jego domu przy ulicy Ternera, porucznik ma na sobie buty i ten sam mundur, w którym spotkała go śmierć w Monteleón. Zwłoki Velardego przyniesiono niedawno – przydźwigało je czterech kanonierów na dwóch deskach z łóżka, wzmocnionych dwoma poprzecznymi drągami – nagie, tak jak pozostawili je Francuzi po bitwie, owinięte płótnem z żołnierskiego namiotu, zabranego przez artylerzystów z Monteleón. Ktoś pożyczył franciszkański habit, aby ubrać ciało do trumny, i teraz dwaj kapitanowie leżą razem, jeden w mundurze, drugi w habicie. Twarz Daoiza w pośmiertnym stężeniu skierowana jest prosto do góry, a oblicze Velardego przechyliło się w prawo – bo porzucony na ziemi w tej pozycji zeszywniał – jakby ciągle czekał na ostatni rozkaz swego towarzysza. U wezłowania łka zrozpaczony Manuel Almira, a pod wilgotnymi, ciemnymi ścianami kościoła, w migotliwym świetle dwóch świec postawionych przy ciałach zmarłych, stoją w milczeniu nieliczni, którzy odważyli się tu przybyć, bo cała reszta o tej porze kryje się lub ucieka z obawy przed odwetem Francuzów.

– Wiadomo coś o poruczniku Ruizie? – pyta Joaquín de Osma. – Tym z Korpusu Ochotników?

– Francuski lekarz opatrzył mu rany w domu markiza de Mejorada – wyjaśnia Javier Cabanes. – Potem wzięli go do domu. Opowiadał mi o tym

przed chwilą don José Rivas, profesor z Akademii San Carlos, który złożył mu krótką wizytę.

– Jest w poważnym stanie?

– Bardzo poważnym.

– Przynajmniej Francuzi go nie zaarrestują.

– Tego nie byłbym tak pewny. Tak czy inaczej, rana wygląda na śmiertelną... Nie sądzę, żeby z tego wyszedł.

Wojskowi spoglądają na siebie z niepokojem. Krążą pogłoski, że Murat zmienił zdanie i teraz chce aresztować wszystkich, którzy wzięli udział w powstańczej walce w arsenale, zarówno cywilów, jak i wojskowych. Te wiadomości potwierdzają kapitanowie Juan Cónsul i José Córdoba, którzy właśnie wchodzą do krypty. Obaj otuleni pelerynami i bez szabel.

– Widziałem na ulicy paru pojmanych artylerzystów – opowiada Cónsul. – Francuzi poszli też po żołnierzy z Korpusu Ochotników, którzy wzięli udział w bitwie... Zdaje się, że Murat chce nam dać nauczkę.

– Sądziłem, że rozstrzeliwują tylko cywilów złapanych z bronią w rękę – dziwi się kapitan Vargas.

– Już nie. Grono wybrańców rośnie.

Wojskowi znów wymieniają się spojrzeniami, zdenerwowani ściszą głos. Tylko Cónsul, Córdoba i Almira walczyli w Monteleón, ale przyjaźń z poległymi i czuwanie przy zwłokach pogrąża ich wszystkich. To wystarczy, by Francuzi ich rozstrzelali.

– A co robi pułkownik Navarro Falcón? – szepcze César González. – Obiecywał, że wstawi się za swoimi żołnierzami.

Mówiąc to, oficer zerka w stronę schodów wiodących do krypty, których strzeże jeden z grabarzy. Tej nocy należy obawiać się zarówno cesarskich, jak tych – a nigdy ich nie brakuje w czasie wojennego zamętu – którzy próbują wkraść się w łaski najeźdźców. Parę miesięcy później, kiedy

cała Hiszpania stanie do walki przeciw Napoleonowi, jeden z oficerów, który dziś bił się w arsenale, porucznik artylerii Felipe Carpegna, złoży przysięgę na wierność królowi Józefowi Bonaparte i walczyć będzie po stronie Francuzów.

– Nie wiem, za kim i u kogo wstawia się Navarro – oznajmia Juan Cónsul. – Wciąż tylko powtarza, że od niego niewiele zależy i że on nic nie wie, ale gdyby to on walczył dziś w Monteleón, to jutro byłby już daleko od Madrytu.

– A zatem jesteśmy zgubieni! – woła Córdoba.

– Jeśli nas złapią, nie miej złudzeń – zaznacza Juan Cónsul. – Ja wyjeżdżam z miasta.

– Ja również. Jeszcze tylko wpadnę do domu zabrać parę rzeczy.

– Uważajcie na siebie – ostrzega ich Cabanes. – Nie zwlekajcie.

Oficerowie obejmują się, ostatni raz spoglądają na Daoiza i Velardego.

– Żegnajcie. Powodzenia.

– Tak. Niech Bóg ma nas w swojej opiece... Idziesz z nami, Almira?

– Nie – wojskowy skryba wskazuje na ciała kapitanów. – Ktoś musi przy nich czuwać.

– Ale Francuzi...

– Poradzę sobie z Francuzami. Idźcie już.

Pozostali nie dają się prosić. Rankiem, kiedy dwaj grabarze pochowają oba ciała, do samego końca towarzyszyć im będzie tylko wierny Manuel Almira. Ciało Daoiza złożą w krypcie pod ołtarzem kaplicy Matki Boskiej z Valbanera, a Velardego pochowają na zewnątrz, wraz z innymi zmarłymi tego samego dnia, na dziedzińcu kościoła przy fontannie z cicho szemrzącą wodą, w miejscu zwanym El Jardinillo. Wiele lat później Herrero spisze swoje świadectwo: „Staraliśmy się pochować ciała obu wspomnianych – don Luisa Daoiza i don Pedra Velardego – jak najpłycej pod powierzchnią

ziemi, na wypadek gdyby po jakimś czasie trzeba było je przenieść w miejsce bardziej godne dla uszanowania ich pamięci”.

Ildefonso Iglesias, sanitariusz ze szpitala Buen Suceso, staje przerażony pod łukiem bramy łączącej dziedziniec z krużgankami. W bladym świetle latarni, trzymanej przez drugiego z pielęgniarzy, Tadea de Navas, stos półnagich ciał stanowi upiorny widok. Iglesias i jego towarzysz widzieli przez cały dzień wiele okropności, bo obaj, narażając życie, opatrywali dziś rannych i przenosili zabitych, o ile tylko pozwoliły im na to krótkie przerwy w ostrzale i sami Francuzi. A mimo to ponura sceneria kościoła i szpitala przy Puerta del Sol jeży im włos na głowie. Po zachodzie słońca niewielu zabitych zostało zabranych przez przyjaciół czy krewnych – tych najbardziej śmiałych, bez lęku wystawiających się na kule wroga – reszta ciał mężczyzn rozstrzelanych o trzeciej po południu wciąż tu jest: blade, nieruchome, w kałużach zaschniętej krwi. Czuć odór z rozprutych trzewi. Cuchnie śmiercią i samotnością.

- Poruszyli się – szepcze Iglesias.
- Nie pleć bzdur.
- Ale to prawda. Coś poruszyło się między ciałami.

Dwaj pielęgniarze podchodzą do stosu trupów, ostrożnie, z duszą na ramieniu, i podnoszą latarnię. Czternaście ciał: szklane oczy, rozchylone usta, zaciśnięte dłonie, ułożone na różny sposób, w pozycji, w jakiej spotkała je śmierć albo w jakiej jeszcze ciepłe trupy pozostawili Francuzi, którzy wcześniej zdążyli ograbić skazańców.

- Masz rację – szepcze przestraszony Navas. – Coś się poruszyło.

Przyświecają latarnią, a słysząc cichy, zduszony jęk, jakby dochodzący z zaświatów, przestraszeni pielęgniarze cofają się o krok. Czyjaś dłoń, umazana brunatną krwią, unosi się wśród stosu ciał.

- Ten przeżył.
- To niemożliwe.
- Popatrz... Żyje – Iglesias dotyka dłoni. – Wyczuwam puls.
- Matko Przenajświętsza!

Spośród zimnych, sztywnych ciał dwaj pielęgniarze wydobywają jedyne, który jeszcze oddycha. To drukarz Cosme Martínez del Corral, który przeleżał tu osiem godzin, uznany za zmarłego, z czterema kulami w ciele, obrabowany z ubrań i 7250 reali w papierach wartościowych schowanych w odzieniu. Wyciągają go niczym upiora, nagiego, pokrytego strupami zaschłej krwi, własnej i cudzej, od stóp do głów. Szybko zanoszą na górę, gdzie chirurg Diego Rodríguez del Pino zdoła go ocucić, a nawet z powodzeniem opatrzyć rany. Przez sąsiadów i znajomych do końca życia, które spędzi w Madrycie, będzie traktowany z nabożnym szacunkiem: oto Cosme Martínez del Corral, człowiek, który 2 maja bił się z Francuzami, został rozstrzelany i powrócił do świata żywych.

Manuel García, żołnierz z Korpusu Ochotników, ze związanymi z tyłu rękoma idzie ulicą Flor prowadzony przez francuski patrol. Kapuśniaczek, który zaczął siąpić tuż przed północą z czarnego nieba, moczy mu mundur i odkrytą głowę. Po walkach w arsenale, gdzie obsługiwał jedno z dział, García odmaszerował do koszar Mejorada wraz z kapitanem Goicoecheą i resztą towarzyszy. Wieczorem, kiedy rozeszły się pogłoski, że i wojskowi, którzy wzięli udział w obronie Monteleón, staną przed lufami plutonów egzekucyjnych, García wyszedł z koszar razem z kadetem Pacheco, jego ojcem i jeszcze kilkoma żołnierzami. Chciał ukryć się w domu, gdzie oczekiwała go zaniepokojona matka wdowa. Kiedy wracał ranny i zmęczony, widziało go paru sąsiadów i ktoś na niego doniósł. Francuzi

przyszli, wyważyli drzwi i zabrali go bez najmniejszych skrupułów na oczach przerażonej matki.

– Szupko! *Allez!* Ruszaj się barhdziej szupko!

Francuzi prowadzą go, popychając kolbami muszkietów, do nowo budowanych koszar przy Prado Nuevo, później nazwanych Polacos, gdzie na dziedzińcu pod gołym niebem w świetle pochodni skwierczących w kroplach deszczu García dostrzega grupę skępowanych więźniów, pilnowanych przez żołnierzy z bagnetami. Strażnicy dołączają go do mężczyzn, którzy leżą bądź siedzą na ziemi w przemoczonych ubraniach, pobici i zmalretowani. Co jakiś czas Francuzi biorą jednego z więźniów, ciągną w narożnik dziedzińca, spisują jego dane, przepytują go, a potem bez litości obijają kijami. Krzyki bitych nie milkną, napełniając przerażeniem oczekujących na swoją kolej. Pośród zatrzymanych w migotliwym świetle pochodni García rozpoznaje jednego z cywilów, którzy walczyli w Monteleón. Co zresztą ten rozpoznany, zuchwalec z Barquillo Juan Suárez potwierdza, wyjaśniając, że złapał go patrol strzelców z Baigorry już po zajęciu arsenału przez cesarskie wojska, kiedy on sam próbował uciekać.

– Co z nami zrobią? – pyta żołnierz.

Twarz mężczyzny, który siedzi na ziemi oparty plecami o plecy innego więźnia, przybiera wyraz niepewności.

– Może nas rozstrzelają, a może nie. Tu każdy mówi coś innego... Ktoś wspominał, że zastrzelą co dziesiątego, bo jest nas tu tylu, że wezmą tylko paru. Chociaż słyshałem też, że mogą rozstrzelać nas wszystkich.

– Czy nasz rząd się na to zgadza?

Zawadiaka z Barquillo spogląda na żołnierza jak na głupka. Twarz Suáreza, brodata, brudna i mokra, lśni od potu w świetle pochodni. García dostrzega jego wargi, spękane od uderzeń i pragnienia.

– Rozejrzyj się wokół, przyjacielu. Co widzisz? Zwykłych ludzi. Biedaków, takich jak ty czy ja. Nie zatrzymano żadnego oficera, żadnego bogatego kupca, żadnego markiza. Nie widziałem, żeby którykolwiek z nich walczył na ulicach. A kto dowodził nami w Monteleón? Dwaj zwykli kapitanowie. To my, biedacy, nadstawialiśmy karku, jak zawsze. My, co to nie mieliśmy do stracenia nic poza naszymi rodzinami, kawałkiem chleba, na który ciężko pracujemy, i naszym honorem... I teraz tylko my za wszystko zapłacimy, tak jak zawsze. Ja ci to mówię. Ja, co mam siedemdziesięcioletnią matkę, żonę i trójkę dzieci... Ja ci to mówię i już.

– Jestem żołnierzem – unosi się García. – Moi oficerowie mnie stąd wyciągną. To ich obowiązek.

Suárez odwraca się w stronę więźnia, którego ma za plecami – banderillera Gabriela Lópeza – i wykrzywia twarz w drwiącym uśmiechu. Potem śmieje się gorzko, z przymusem.

– Twoi oficerowie? Siedzą sobie wszyscy wygodnie w koszarach i czekają, aż przestanie padać. Wystawili cię do wiatru tak samo jak mnie. Jak wszystkich.

– Ale ojczyzna...

– Nie pleć bzdur, przyjacielu. O czym tu gadać? Popatrz na siebie, popatrz na mnie. Popatrz na tych wszystkich biedaków, którzy wyszli na ulice tak jak my. Przypomnij sobie, czego dokonaliśmy w Monteleón. I co? Nikt nie kiwnął palcem. Tyle właśnie obchodzimy tę całą ojczyznę!

– To dlaczego się biłeś?

Suárez w zamyśleniu pochyla głowę, krople deszczu spływają mu po twarzy.

– Prawdę mówiąc, sam nie wiem – odzywa się na koniec. – Może dlatego, że nie mam ochoty, żeby te *monsiery* wzięły mnie za jednego

z tych zdrajców, co to im liżą dupy... Nie pozwolę, żeby mi nasikali na gębę.

Manuel García wskazuje podbródkiem na francuskie straże.

– Ci nam nasikają, jestem tego pewien.

Suárez obnaża zęby w wilczym grymasie, pełnym rozpacz i okrucieństwa.

– Ci może i tak – odpowiada. – Ale ci, co im rozpruliśmy brzuchy tam na górze, w arsenale... Z tamtych nie nasika już żaden.

W tym samym czasie, gdy Juan Suárez i Manuel García czekają na dziedzińcu koszar Prado Nuevo, inni ustawieni w szeregu więźniowie drżą na deszczu w północno-wschodniej części miasta. To cywile pojmani w arsenale i w innych punktach Madrytu: trzydziestu mężczyzn, przemoczonych, wyczerpanych, bez jedzenia i wody w ustach od czasu walk w Monteleón. Najpierw zabrano ich ze stajni w arsenale do cegielni przy Puerta de Fuencarral, teraz idą do obozu w Chamartín. Otoczeni bagnietami, obrzucani wyzwiskami i popychani przez Francuzów, którzy wychodzą z namiotów, żeby się im przyjrzeć, przecinają teren obozu i zatrzymują się na tonącym w mroku placu, oświetlanym mglistym światłem dwóch wbitych w ziemię pochodni.

– Co z nami zrobią? – pyta cyrulik Jerónimo Moraza.

– Poderzną nam gardła – odpowiada Cosme de Mora spokojnie, choć z wyczuwalną rozpaczą.

– Mogli to zrobić wcześniej, w cegielni.

– Mają całą noc przed sobą... Pewnie zechcą się trochę przy tym zabawić.

– *Taisez-vous!*¹⁵ – krzyczy francuski strażnik.

Więźniowie milkną. De Mora i Moraza to dwaj z sześciu, którzy zostali przy życiu z oddziału węglarza. Pozostała czwórka, ze związanymi rękoma, też tu jest: stolarz Pedro Navarro, Félix Tordesillas, Francisco Mata i Rafael Rodríguez. Razem z resztą więźniów zbijają się ciasno niczym przestraszone stado zwierząt, chroniąc między sobą, a tymczasem francuski oficer zbliża się do nich z latarnią w ręku i uważnie się im przygląda, powoli odliczając. Za każdym razem, kiedy dochodzi do dziesięciu, wydaje rozkaz żołnierzom, którzy wyciągają wskazanego mężczyznę z grupy. W ten sposób od więźniów odłączają ślusarz Bernardo Morales, mulnik z Leonu Rafael Canedo i urzędnik Królewskich Dzierżaw Juan Antonio Martínez del Álamo.

– Co oni robią? – dopytuje się przerażony stolarz Pedro Navarro.

Cosme de Mora przesuwając językiem po wargach, zlizując krople deszczu. Choć próbuje stać prosto i sztywno, boi się, że zaraz zmięknie mu kolana. Na pytanie Navarra odpowiada drżącym głosem:

– Dziesiątkują nas.

Oparty o balustradę na balkonie swojego domu na ulicy Barco, młody Antonio Alcalá Galiano wsłuchuje się w dalekie odgłosy wystrzałów. Ulica i jej skrzyżowanie z Puebla Vieja i placem św. Ildefonsa kryją się w mroku pod ciemnym i pochmurnym niebem, bez gwiazd i bez księżyca. Syn bohatera poległego pod Trafalgarem czuje rozgoryczenie. To, co w młodszej wyobraźni jawiło się rankiem jako patriotyczna przygoda, skończyło się matczyną reprimendą i smutnym rozczarowaniem. Ani arystokracja – ludzie z jego klasy, ani oficerowie, ani bogaci mieszczaństwo nie przyłączyli się do powstania. Poza rzadkimi wyjątkami, tylko pospólstwo, jak zawsze zuchwałe i nierozsądne, nie mając nic do stracenia, wstąpiło w nurt rwącej rzeki. Z tego, co mu wiadomo, bunt został

całkowicie zduszony przez Francuzów, przynosząc powstańcom wiele bólu i niewiele chwały. Antonio Alcalá Galiano cieszy się teraz, że nie podążył za buntownikami: ludźmi podłej kondycji, biednie odzianymi prostakami, o czym mógł się osobiście przekonać, kiedy rano próbował przyłączyć się do jednego z powstańczych oddziałów. Po południu, powróciwszy do domu po nieudanej próbie przystąpienia do walki, młodzieniec miał okazję wysłuchać dość odkrywczej dla siebie rozmowy. Mieszkańcy dzielnic, w których nie doszło do strzelaniny, wylegli na balkony, starając się zorientować w sytuacji, a ulica Barco należała do tych, na których panował względny spokój, ponieważ zamieszkuje ją sporo bogatych ludzi, w tym przedstawiciele arystokracji. Najpierw rozmawiały z sobą – stojąc na balkonach po przeciwnych stronach ulicy – hrabina de Tilly i jej matka, mieszkająca na czwartym piętrze tej samej kamienicy, której znaczną część zajmowała rodzina Alcalá Galiano. Ulicą przechodził właśnie odziany w mundur oficer Gwardii Hiszpańskiej Nicolás Morfi, znany rodzinie Alcalá Galiano, bo pochodzący z Kadyksu.

– I jak tam zamieszki, don Nicolás? – padło z góry pytanie hrabiny de Tilly.

– Nijak, droga pani – Morfi przystanął, uchylając kapelusza. – Dobrze to pani określiła – to tylko zamieszki, kotłowanina motłochu.

– Bo tu przed chwilą biegł jakiś człowiek i wołał, że poddał się cały jeden francuski batalion, no i my tutaj, Hiszpanie, krzyczeliśmy z radości.

Morfi lekceważąco machnął ręką.

– Nie ma się z czego cieszyć, zapewniam panią. To jakieś bzdurne opowieści wyssane z palca. Murat, choćby nam to było nie w smak, przywrócił porządek... Powinniśmy zachować spokój i zaufać rządowi, od tego w końcu jest. Rozzuchwalony motłoch jest zdolny do wszystkiego. To chyba gorsze niż Francuzi.

– Uff, dziękujemy. Teraz już będziemy spokojne, don Nicolás.

– Kłaniam się nisko pani hrabinie.

Chwilę po wysłuchaniu tej rozmowy Antonio Alcalá Galiano w kapeluszu dojazdy konnej, który nałożył, by poczuć się bezpieczniej, przez nikogo nieniepokoiony, przeszedł na ulicę Pez, żeby złożyć wizytę pannie, z którą jest oficjalnie zaręczony. Tam, siedząc na balkonie na drugim piętrze, spędzili popołudnie, grając w mariasza i obserwując, jak francuskie patrole zatrzymują nielicznych przechodniów i nakazują im nosić peleryny przewieszane przez ramię, na wypadek gdyby chcieli ukryć pod nimi broń. W drodze powrotnej pod zachmurzonym, zwiastującym deszcz niebem, młodzieniec natknął się na parę cesarskich oddziałów, których podejrzliwość wzrastała wraz z zapadającymi ciemnościami. Matka powitała go z wyraźną ulgą, siedząc przy podanej kolacji.

– Twoja przechadzka kosztowała mnie pięć *Różańców*. I obietnicę złożoną Jezusowi Nazareńskiemu.

Służąca sprząta ze stołu talerze, a Antonio Alcalá Galiano stoi na balkonie, z zadowoleniem paląc sewilskie cygaro, jak zwykł to czynić co wieczór, choć nigdy, przez szacunek, nie zapala go przy swojej matce.

– Zejdź z balkonu, synku. Boję się o ciebie, kiedy tam stoisz.

– Już schodzę, mamó.

Znów słysząc daleki, przytłumiony odgłos strzałów. Antonio Alcalá Galiano wyteża słuch, ale nie słyszy nic więcej. Miasto pogrążone jest w ciemnościach i ciszy. Na rogu ulicy przy placu św. Ildefonsa widać ciemne sylwetki francuskich straży.

Dzień pełen wrażeń, myśli sobie. Szybko o nim zapomni. Na szczęście nie wplątał się w żadne kłopoty.

O tej samej porze, zaledwie o jedną przecznicę dalej od kamienicy, na której balkonie Antonio Alcalá Galiano dopala cygaro, inny młody człowiek, Francisco Huertas de Vallejo – który dziś, i owszem, wplątał się w liczne kłopoty – wcale nie czuje się bezpiecznie. Jego wuj, don Francisco Lorrio, w którego domu znalazł schronienie po walkach i pełnej przygód ucieczce z Monteleón, powitał go z wielką radością, zmaconą jedynie faktem, że młodzieniec przyniósł z sobą karabin, co naraża ich wszystkich na znaczne niebezpieczeństwo. Broń ukryto więc głęboko w jednej z szaf, a doktor Rivas, lekarz i przyjaciel rodziny, oczyścił i odkaził ranę młodego człowieka, niewyglądającą groźnie, powstałą od odbitej rykoszetem kuli, która nie strzaskała żeber.

– Nie ma wewnętrznych krwawień, kość jest lekko drażnięta. Trzeba go będzie doglądać przez parę dni, aż rana się zasklepi. Jeśli nie będzie ropieć, nie powinno być problemów.

Francisco Huertas spędził resztę wieczoru i początek nocy w łóżku, wypijając kolejne filiżanki bulionu, otoczony spokojem i troskliwą opieką ciotki i dwóch kuzynek w wieku trzynastu i szesnastu lat. Wszystkie trzy patrzą na niego jak na cudem wróconego życiu Achillesa i każą sobie po raz kolejny opowiadać szczegóły bohaterskich przygód. Tymczasem późno w nocy, kiedy kuzynki poszły spać, a młodzieniec drzemał, do jego sypialni wkroczył z zasepionym obliczem wuj, trzymając lampę w dłoni. Towarzyszy mu Rafael Modenés, przyjaciel rodziny, sekretarz hrabiny de la Coruña i zastępca alkada San Ildefonso.

– Francuzi przeszukują domy tych, którzy wzięli udział w walkach – oznajmia Modenés.

– Karabin! – woła Francisco Huertas i obolały unosi się na łóżku.

Wuj i Modenés każą mu się położyć na poduszkach i starają się go uspokoić.

– Nie ma powodu, by tu przyszli – stwierdza wuj. – Nikt nie widział, jak wchodzisz, nikt nie wie o broni.

– Może się zdarzyć coś nieprzewidzianego – ostrożnie zauważa Modenés.

– No właśnie. Więc na wszelki wypadek pozbądźmy się karabinu.

– To niemożliwe – z żalem stwierdza chłopak. – Jeśli ktokolwiek wyjdzie z bronią w rękę, natychmiast go złapią na ulicy.

– Myślałem, żeby go rozebrać na części i ukryć w kilku miejscach – zaproponował wuj. – Ale jeśli przeszukują porządnie, to ryzykujemy tyle samo...

Zrozpaczony Francisco Huertas znów próbuje się unieść na ramionach.

– Ja odpowiadam za broń i ja ją stąd wyniosę.

– Nie waż się wstawać z łóżka – powstrzymuje go wuj. – Don Rafael wpadł na inny pomysł.

– Obaj przyjaźnimy się z pułkownikiem z oddziału Ochotników Aragońskich – wyjaśnia Modenés. – Zamierzam go poprosić, by przysłał do nas czterech żołnierzy pod jakimkolwiek pretekstem, i oni jakoś to załatwią. Ich nikt nie zapyta o broń.

Plan zostaje natychmiast wykonany. Don Rafael Modenés zajmuje się wszystkim, a jego działania zostają zwieńczone sukcesem: wczesnym rankiem czterech żołnierzy – jeden bez karabinu – stawi się w domu don Francisca, by poczęstować się kieliszkiem wódki, po czym wszyscy czterej wrócą do koszar, każdy ze srebrną monetą w kieszeni i karabinem kołyszającym się na ramieniu.

Nie wszyscy mają wpływowych przyjaciół, którzy pomogą tej nocy uratować wolność czy życie. Po godzinie pierwszej, w rześnym deszczu, który zalewa pogrążone w ciemnościach miasto, maszeruje grupa więźniów,

przemoczonych i umęczonych, w otoczeniu silnej eskorty. Z prawie wszystkich pojmanych zdarto już ubrania, biedacy idą boso, w kamizelkach albo tylko w koszulach. To Morales, Canedo i Martínez del Álamo – trzech nieszczęśliwcy z wyliczanki w Chamartín – i skryba Francisco Sánchez Navarro. Po drodze z innych tymczasowych aresztów i koszar zabrani zostają kolejno: sześćdziesięcioletni Antonio Macías de Gamazo; dostawca tytoniu do Królewskiego Urzędu Ceł Domingo Braña; urzędnicy z Izby Celnej Anselmo Ramírez de Arellano, Juan Antonio Serapio Lorenzo i Antonio Martínez oraz garderobiany z Pałacu Królewskiego Francisco Bermúdez. Na samym końcu, na placu Marii Aragońskiej, dołączają do skazańców masztalerz Juan Antonio Alises, majster powoźnik Francisco Escobar i kapłan z kościoła Encarnación, don Francisco Gallego Dávila, który walczył i został pojmany obok klasztoru Karmelitanek Bosych, a na koniec wepchnięty do piwnicy w pałacu Grimaldi. Tam sam książe Bergu, powracający ze wzgórza San Vicente, zaszczyił go swym spojrzeniem. Stając twarzą w twarz z kapłanem, Murat ciągle jeszcze dyszał wściekłością na wieść o stratach w szeregach francuskiej armii, a przecież wtedy nie można było jeszcze oszacować prawdziwych rozmiarów rzezi.

– Czi to żąda Bóg, klecha? Rhozlew krwi?

– Tego właśnie żąda – odparł kapłan. – Chce posłać was wszystkich do diabła.

Francuz patrzy na niego jeszcze chwilę z pogardą i lekceważeniem, nieświadomy paradoksu swego przeznaczenia. Za siedem lat Joachim Murat, zasłaniając się niepamięcią i wykazując absolutny brak godności, wylewać będzie łzy w Pizzo jako król Neapolu, kiedy usłyszy wyrok: śmierć przez rozstrzelanie. Tymczasem dziś namiestnik Cesarza w Hiszpanii zobaczył przed sobą tylko prostego księdza w brudnej, podartej sutannie, z twarzą z siniakami od kolby i fanatycznym błyskiem – wbrew

wszystkiemu – w oczach zaczerwienionych od cierpienia i zmęczenia. Kawalek mięsa dla plutonu egzekucyjnego.

– Tak mówi Ewangelia, tak, klecha? Kto mieczem wojuje, ten od miecza ginie. No więc cię rozstrzelami.

– Niech Bóg ci wybaczy, Francuzie. Bo ja nie zamierzam.

A teraz, smagany nasilającym się deszczem, don Francisco Gallego i reszta pojmanyh docierają do ogrodów przy ulicy Leganitos i koszar Prado Nuevo. Tu stoją dość długo w bramie, moknąc w deszczu i drżąc z zimna, a tymczasem Francuzi zbierają w środku drugą grupę więźniów. Gęsiego wychodzą murarze Fernando Madrid, Domingo Méndez, José Amador, Manuel Rubio, Antonio Zambrano i José Reyes, wszyscy pojmani dziś rano w kościele św. Jakuba. Za nimi podążają półnaczy, ze związanymi rękoma, kupiec galanteryjny José Lonet, emerytowany urzędnik ambasady Miguel Gómez Morales, banderillero Gabriel López i żołnierz z Korpusu Ochotników Manuel García, z którego tuż przed wyjściem Francuzi zdarli buty, pas i mundurową kurtkę. Już kiedy wyszli z koszar, francuski oficer, dowodzący eskortą, przelicza więźniów w świetle latarni. Niezadowolony z rachunku, mówi coś do żołnierzy, którzy wracają do budynku i po chwili wychodzą, prowadząc jeszcze czterech mężczyzn: złotnika z ulicy Atocha Juliána Tejedora, rymarza z placu Matute Lorenza Domingueza, robotnika Manuela Antolína Ferrera i zawadiakę Juana Suáreza. Kiedy wszyscy stoją w jednym szeregu, oficer daje rozkaz do marszu i smutny orszak posuwa się w stronę niedalekich murów między wzgórzem San Vicente i wodociągami przy Leganitos. To ogrodzenie przy wzgórzu Príncipe Pío.

Tej samej nocy, kiedy ksiądz don Francisco Gallego idzie w szeregu więźniów, jego przełożeni, kościelni hierarchowie, przygotowują dokumenty wyraźnie świadczące o dystansie, jaki zachowali wobec

dzisiejszych wydarzeń. Nieco później, zwłaszcza po klęsce Francuzów pod Bailén, rozwój wypadków i powszechne powstanie skłonią hiszpański episkopat do zmiany stanowiska; choć i tak dziesięciu biskupów zostanie oskarżonych, już pod koniec wojny, o kolaborację z najeźdźcami. Na razie oficjalne stanowisko Kościoła na temat wypadków minionego dnia znajdzie dość wymowne odbicie w liście pasterskim wystosowanym przez Radę Inkwizycji:

Gorszący bunt spóółstwa przeciw wojskom Cesarza Francuzów wprowadza konieczność staranniejszego i sprawniejszego dozoru władz... Podobne im buntownicze zamieszki, będące skutkiem źle pojmowanej miłości i lojalności, przyprawiają naszą Ojczyznę o wstrząsy, rwą więzy posłuszeństwa, stanowiące gwarancję zdrowia narodów.

Pośród wszystkich listów i dokumentów napisanych przez kościelnych dostojników i dotyczących wydarzeń w Madrycie, najbardziej wymowny pozostaje list pasterski biskupa z Guadix, don Marcosa Caballera. W tym liście, wyraziwszy najpierw aprobatę dla „słusznie zasłużonej przez nieposłusznych i zbuntowanych” kary, Jego Ekscelencja przestrzega:

Tak wstrętny i szkodliwy przykład nie może znaleźć następców w Hiszpanii. Oby Bóg nie zezwolił, by powtórnie się ujawnił straszliwy chaos tych bezładnych zamieszek... Prosty rozum rozpoznaje i widzi jasno przerażające i potworne wypaczenie rewolty, buntu czy kotłowaniny ślepego i ograniczonego spóółstwa.

Leandro Fernández de Moratín nie opuścił swego domu przy ulicy Fuencarral. Rano ubrał się szybko, ze strachem, bo bał się, że hołota – którą lada moment spodziewał się zobaczyć na schodach swojego domu pod wodzą zezowatej koziarki – wywlecze go na ulicę w pantoflach i szlafroku. I tak dotrwał do nocy, nieuczesany, nieogolony, nie tknąwszy kolacji, podanej przez starą służącą. Przez kilka ostatnich godzin dramaturg nie ruszył się z bujanego fotela, pełen niepokoju, to próbując wziąć się do

pracy nad białą kartką papieru z atramentem schnącym na zaostrzonym piórze, to znów tkwiąc nad otwartą książką, z której nie był w stanie przeczytać ani linijki. Przez cały dzień chodził w tę i z powrotem do okna z duszą na ramieniu, czekając na wieści od przyjaciół, ale wizytę złożył mu tylko zaprzyjaźniony kleryk Juan Antonio Melón. Samotność i niepokój Moratína nasiliły się pod wpływem przerażenia strzelaniną, wrzaskiem pospólstwa, tętentem francuskiej kawalerii przejeżdżającej ulicami miasta. W tym krótkim wspólnie spędzonym czasie Melón starał się go uspokoić, opowiadając, jak to Francuzi tłumią zamieszki, a junta rządowa nawołuje do spokoju. Teraz zaś, na powrót przepełniony lękiem, z czającą się za oknami balkonu groźną i ponurą nocą, Moratín nie może pozbierać myśli. Pomimo popularności swoich sztuk teatralnych dramaturg nie czuje się związany z ludem, a jako człowiek kulturalny i nieśmiały nienawidzi ślepej, niepohamowanej przemocy rozzuchwalonego pospólstwa, ale jednocześnie uważa się za prawdziwego patriotę i francuskie kule odbierające życie bezbronnyim mieszkańcom Madrytu budzą obrzydzenie jego hiszpańskiego oświeconego umysłu.

„Nieszczęsna, okrutna, ukochana i znienawidzona ojczyzna”, myśli rozgoryczony. Z trzaskiem zamyka książkę, wstaje i przemierza salon niepewnym krokiem, przez chwilę przystaje przy balkonowym oknie, opiera się o kredens i patrzy zamyślonym wzrokiem na pełne półki domowej biblioteki na sąsiedniej ścianie. Czuje, że dzień, który się właśnie kończy, przyniesie rozwiązanie. Jako artysta ani w swej świadomości, ani w poglądach, dla których istotnym punktem odniesienia był kraj po drugiej stronie Pirenejów, nie znajduje innej drogi niż poddanie się Francji: władzy niekwestionowanej, nieuchronnej, nieodwołalnej. Niepoddanie się temu tryumfalnemu rydwanowi oznacza dla dramaturga i tych, którzy myślą tak jak on – *afrancesados*, sfrancuziałych, jakże znienawidzonych przez prosty

lud – pozostanie na uboczu Historii, Sztuki i Postępu. To z tego powodu Moratín, mimo niepokoju, jaki wzbudzają w nim dalekie odgłosy strzałów, kładzie na swym obolałym sercu balsam rozsądku, ukojony myślą, iż te odległe strzały – patrząc na to logicznie, chłodno i brutalnie – przywracają właściwy porządek rzeczy. Ta swego rodzaju rozbieżność uczuć niemożliwych do pogodzenia wyjaśnia, dlaczego w czasach, które niebawem nadejdą, najznamienitszy z hiszpańskich ludzi pióra odda swój talent na usługi Murata i przyszłego króla Józefa Bonaparte i schlebiać będzie im i Napoleonowi, tak samo jak kiedyś Karolowi IV i Godoyowi. I w podobny sposób, jeszcze później, kiedy uda się na wygnanie wraz z pobitymi wojskami Napoleona – jedynymi gwarantami jego życia – będzie wychwalał konstytucję z Kadyksu i króla Ferdynanda VII, daremnie próbując się zrehabilitować. I dwadzieścia lat po tej strasznej nocy Moratín umrze w Paryżu, zgorzkniały, pusty, udręczony myślą, że zdradził naród, któremu ofiarował swe literackie dzieła, ale któremu nie potrafił i nie chciał towarzyszyć w męczeństwie. Wiele lat później jeden z biografów podsumuje osobowość tego człowieka w zdaniu, które mogłoby posłużyć za epitafium: „Jeśli zmienił poglądy, to dlatego, że nigdy ich nie miał”.

Wszędzie w ciemnościach słycać spadające krople deszczu. Jest czwarta rano i ciągle jeszcze jest bardzo ciemno. Naprzeciw koszar przy Prado Nuevo, pod gołym niebem, na zboczu wzgórza Príncipe Pío, dwie postawione na ziemi lampy oświetlają słabym, migotliwym płomieniem liczną grupę stłoczoną przy ziemnym nasypie pod ogrodzeniem: czterdziestu czterech mężczyzn ze skrępowanymi rękoma, ustawionych pojedynczo, po dwóch albo w rzędach po czterech lub pięciu, związanych tym samym postronkiem. Wśród nich, pomiędzy Manuelem Garcíą z Korpusu Ochotników i chorążym sztandarowym Gabrielem Lópezem, stoi chwacki Juan Suárez z Barquillo i patrzy podejrzliwie na pluton

francuskich żołnierzy ustawiony w trzech szeregach. To marynarze z Gwardii Cesarskiej, poinformował Garcíę, który z racji swego zajęcia zna się na mundurach. Francuzi, w czakach bez daszków na głowach, z przypasanymi galowymi szablami, osłaniają dłońmi zamki karabinów. W świetle latarni błyszczą szare kurty, lśniące od wody.

– Co się dzieje? – pyta przerażony Gabriel López.

– Ano to się dzieje, że się skończyło – przytomnie zauważa Manuel Garcíę.

Wielu domyśla się tego, co ma zaraz nastąpić, i upada na kolana z błagalnym jękiem, przekleństwem albo modlitwą na ustach. Są tacy, którzy unoszą do góry swoje związane ręce i proszą Francuzów o litość. Pośród błagań i złorzeczeń Juan Suárez słyszy, jak jeden z więźniów – jedyny kapłan pośród wszystkich pojmanych – podniosłym głosem odmawia *Confiteor*, a wtóruje mu jeszcze parę drżących głosów. Inni, niepokodzeni z losem, szarpią więzy i próbują atakować swoich prześladowców.

– Skurwysyny! Sukinkoty żabojady!

Kilku francuskich żołnierzy oddziela paru więźniów od grupy i prowadzi ich pod mur, przy usypanym stosie ziemi. Inni, zdenerwowani wrzawą, zaczynają strzelać do krzyczących najgłośniej. Rozlegają się strzały tu i tam, błyski ognia oświetlają gniewne oblicza, twarze wykrzywione strachem i nienawiścią. Mężczyźni padają na ziemię, samotnie albo nawzajem się przygniatając. Słychać francuską komendę i pierwszy szereg żołnierzy w szarych kurtach podnosi jednocześnie karabiny, celuje i gęsta salwa kładzie pokotem pierwszą grupę skazańców ustawionych pod murem.

– Mordują nas! Na nich! Na nich!

Ledwie kilku wiedzionych desperacją więźniów rzuca się na francuskie bagnety. Komuś udało się oswobodzić z więzów i tryumfalnym gestem unosi ramiona, idąc w stronę żołnierzy, ktoś inny próbuje uciekać. Z pomocą bagnetów i kolb Francuzi prowadzą kolejną grupę, więźniowie brną po omacku, potykając się o ciała. W jednej chwili drugi szereg szarych kurtek zastępuje pierwszy, rozlega się komenda i kolejna salwa, której błyski dzielą się i mnożą w strugach deszczu, obsypuje gradem kul scenę dramatu. Tym razem pada więcej skazańców, jak ucięte nożem milkną krzyki, wyzwiska i błagania. Francuzi cofają się o parę kroków, by dać sobie nieco przestrzeni, i rozlega się huk trzeciej salwy, której błyski odbijają się czerwienią w strumieniach krwi spływającej po leżących ciałach, zmieszanej z kałużami rozlanymi na ziemi. Związany razem z Manuelem Garcíą i Gabrielem Lópezem Juan Suárez, popychany w stronę nasypu, pada na kolana pod ciosami kolb i bagnetów, potyka się o martwych i konających, ślizga po błocie i krwi. Pośród strug ulewnego deszczu, spływających mu po twarzy, oszołomiony patrzy na szare postaci, które znów mierzą z karabinów, celując w niego. Drży z zimna i ze strachu.

– *Feu!* ¹⁶

Łańcuszek błysków oślepia go, czuje, jak kule padają w błoto za jego plecami, z mlaskiem zagłębiają się w ciała mężczyzn stojących obok. Obraca się w trwożliwym spazmie, próbując uchronić swoje ciało, i nagle czuje, że ma wolne ręce – gdy upadli jego towarzysze, sznur się urwał, może pod ich ciężarem albo przecięty kulą. Ale on sam wciąż trzyma się na własnych nogach, oślepiony i przerażony strzałami, pośród innych, stojących czy klęczących, którzy krzyczą, zbijają się w grupki i padają ranni lub martwi. Dziwny dreszcz przeszywa ciało Suáreza, nakazując mu cofać się aż pod skarpe. Tu, spojrzawszy z niedowierzaniem na swoje oswobodzone dłonie, tknięty nagłym impulsem, odpycha ciała znajdujące

się wokół i deptając trupy i konających, błoto i krew, puszcza się biegiem w stronę ciemności. Przebiega cudem między cieniami przyjaciół i wrogów, wyrywa się rękoma, które próbują go złapać, okrzykiem i błyskiem strzałów, nieomal się o niego ocierających. Wreszcie strzały i krzyki zostają gdzieś z tyłu. Noc otula go mrokiem, czarnymi ścianami wody, błoto chlupocze pod stopami, które nie ustają w biegu, pchane instynktem życia. Nagle ziemia kończy mu się pod nogami, Suárez stacza się po zboczu i poturbowany, bez tchu staje przed wysokim murem. Znów słyszy głosy Francuzów, którzy biegną za nim i lada moment go dogonią.

– *Arrête, salaud! Viens ici!* ¹⁷

Słychać strzały i parę kul przelatuje obok ze świstem. Mężczyzna podskakuje, jęcząc z bólu, chwytając się ogrodzenia i wspina resztkami sił, ślizgając się po mokrej ścianie. Jego prześladowcy są o krok, próbują go chwycić za nogi, ale on uwalnia się, wierzgając. I choć czuje cięcia szabli raniące go w udo, ramię i głowę, spada – wciąż żywy – na drugą stronę, wstaje, nie oglądając się za siebie, i dalej biegnie na oślep, jego sylwetka rysuje się na wąskiej szaroniebieskiej linii jutrzeńki, która pojawia się na horyzoncie w strugach deszczu.

Pięć po piątej w Madrycie wschodzi słońce. Przestało padać i mgliste światło poranka zaczyna wlewać się na ulice miasta. Owinięte w kurty, nieruchome szare sylwetki francuskich wartowników odcinają się złowieszczo na rogach ulic zastraszonej i pogrążonej w ciszy stolicy. Działa wycelowane są w aleje i place, wciąż pełne trupów leżących albo opartych o mury w kałużach niedawno spadłego deszczu. Patrol francuskiej kawalerii przejeżdża powoli, stukot kopyt niesie się po wąskich ulicach. To dragoni, na głowach mają mokre hełmy, na ramionach szare płaszcze, przy siodłach wiszą karabiny.

– Prowadzą jakichś więźniów?

– Nie. Są sami.

– Myślałem, że po ciebie przyjdą.

Spoglądając przez okno swojego domu, porucznik Rafael de Arango widzi oddalających się francuskich jeźdźców, sam zaś wiąże pod szyją chustkę. Tej nocy nie zmrzą oka, przygotowując się do ucieczki z Madrytu. Murat w końcu wydał rozkaz, by zatrzymać wszystkich kanonierów, którzy brali udział w obronie arsenału w Monteleón, więc młody porucznik nie zamierza czekać. Jego starszy brat, kwatermistrz hiszpańskiej armii José de Arango, w którego domu mieszka, przekonał go, by czym prędzej, podjąwszy stosowne kroki, uchodził z miasta, i Rafael zbiera właśnie rzeczy potrzebne w podróży. Co do pierwszego kroku, obaj są zgodni, iż należy dopełnić minimum formalności: złożyć wizytę ministrowi wojny O’Farrilowi, z którym rodzinę Arango łączą więzy pokrewieństwa i miejsce pochodzenia, i poradzić się co do dalszych działań. Na wypadek gdyby minister nie zechciał stanąć w obronie porucznika artylerii, jego brat z pomocą paru przyjaciół z armii nakreślił plan ucieczki: Rafael ma się udać do koszar Gwardii Hiszpańskiej, gdzie ukryją go do czasu, aż w przebraniu chorążego tego korpusu będzie mógł opuścić Madryt.

– Jestem gotowy – oznajmia młodzieniec, wkładając płaszcz.

Brat przygląda mu się uważnie. Jest od niego starszy prawie o dziesięć lat, bardzo go kocha i troszczy się o niego tak samo, jak troszczyłby się ich nieobecny ojciec. Rafael Arango dostrzega wzruszenie brata.

– Musimy się spieszyć.

– Oczywiście.

Porucznik artylerii wkłada do kieszeni – ubrany jest po cywilnemu, na wszelki wypadek – rulon złotych monet i zegarek, właśnie otrzymany od

brata, fałszywe dokumenty, które poświadczają, iż jest chorążym Gwardii Hiszpańskiej, oraz miniaturowy portret matki, zabrany z sypialni. Spogląda z wahaniem na naładowany kieszonkowy pistolet, leżący na stole, przez chwilę walczą w jego świadomości rozsądek i żołnierski instynkt. Brat rozwiązuje problem, kręcąc głową.

– To zbyt niebezpieczne. I poza tym do niczego ci się nie przyda.

Przez moment patrzą na siebie w milczeniu, niewiele przecież zostało do powiedzenia. Rafael Arango spogląda na zegarek.

– Przepraszam, że sprawiłem tyle kłopotów.

Brat uśmiecha się smutno.

– Zrobiłeś, co do ciebie należało. I chwała Bogu, wciąż żyjesz.

– Pamiętasz, co powiedziałaś mi wczoraj rano, mniej więcej o tej godzinie? Urodziliśmy się Hiszpanami, zawsze o tym pamiętaj...

– Gdybyśmy wszyscy tak postępowali... Gdybyśmy wszyscy pamiętali o tym, kim jesteśmy.

Kiedy obaj idą już w stronę drzwi, porucznik przystaje, zamyślony, przytrzymuje brata za ramię.

– Poczekaj chwilę.

– Nie mamy czasu, Rafael.

– Poczekaj, proszę. Jest jeszcze coś, o czym ci nie powiedziałem. Wczoraj, w arsenale, przeżyłem parę szczególnych chwil. Czułem się dziwnie, wiesz?... Zobojętniały na wszystko, poza tymi ludźmi i armatami, z których strzelaliśmy z taką zaciętością... Było w tym coś niezwykłego, widzieć tych wszystkich ludzi razem, kobiety, dzieci, mężczyzn, walczących tak dzielnie mimo braku amunicji, murów, umocnień, z narażeniem własnego życia, i widzieć po trzykroć odpartych Francuzów, raz nawet wziętych do niewoli... A było ich dziesięć razy więcej niż nas i wcale nie próbowali uciekać, a kiedy strzelaliśmy do nich z dział,

wyglądali raczej na otumanionych niż pokonanych... Nie wiem, czy wiesz, o co mi chodzi.

– Wiem – brat odpowiada z uśmiechem. – Czułeś się dumny, tak jak ja teraz czuję się dumny z ciebie.

– Może to właśnie to słowo. Duma... To właśnie czułem, walcząc razem z nimi. Jak gdybym był jednym z kamieni w murze, wiesz? Bo myśmy się nie poddali, pamiętaj o tym. Nie skapitulowaliśmy, bo Daoiz się na to nie zgodził. Po prostu przykryła nas ogromna fala Francuzów, bo nie mieliśmy już czym walczyć. Przestaliśmy walczyć, dopiero kiedy Francuzi nas zalali, rozumiesz?... Tak jak chwieje się i rozpada mur, który wytrzymał wiele przybojów, burz i wichrów, a kiedy już nie daje rady, ustępuje pod ich naporem.

Młodzieniec milknie, zamyśla się, oczyma duszy przebiega obrazy świeżych wspomnień. Nieruchomieje. Pochyla głowę, zwróconą w stronę okna.

– Kamienie i mury – zastanawia się. – Przez chwilę byliśmy jak jeden naród... Naród dumny i nieposkromiony.

Wzruszony brat kładzie mu dłoń na ramieniu.

– To było złudzenie, teraz już wiesz. Trwało tylko chwilę.

Rafael de Arango stoi bez ruchu, spoglądając w okno, przez które, niczym szary smutek, wlewa się światło poranka 3 maja 1808 roku.

– Tego nie wiemy – szepcze. – W rzeczywistości nigdy tego nie wiemy.

La Navata, październik 2007

Nota autora

Prócz długich przechadzek po Madrycie i skrupulatnej lektury dokumentów za podstawę tej opowieści posłużył obfity materiał bibliograficzny. Niewykluczone, że podanie niektórych źródeł okaże się pomocne czytelnikowi w zgłębianiu materii i wytyczeniu granic – jeśliby tego zapragnął – pomiędzy prawdą historyczną a fikcją literacką, oraz zestawieniu aspektów historycznie potwierdzonych z wieloma białymi plamami, które teraz, dwieście lat po wydarzeniach 2 maja, są przyczyną gorących sporów wśród historyków i wojskowych ekspertów. Zestawienie nie obejmuje książek i dokumentów opublikowanych po czerwcu 2007 roku:

Ramón de Mesonero Romanos *Memorias de un setentón* (Pamiętniki siedemdziesięcioletniego mężczyzny)

Ramón de Mesonero Romanos *El antiguo Madrid* (Dawny Madryt)

Elías Tormo *Las iglesias del antiguo Madrid* (Kościoły w dawnym Madrycie)

Stowarzyszenie Hiszpańskich Bibliofilów *Colección general de los trajes que en la actualidad se usan en España: 1801* (Kolekcja strojów noszonych obecnie w Hiszpanii, rok 1801)

Drukarnia Królewska *Kalendario manual y guía de forasteros en Madrid para el año 1808* (Kalendarz podręczny i przewodnik dla podróżnych w Madrycie na rok 1808)

Rafael de Arango *Manifestación de los acontecimientos del parque de Artillería de Madrid* (Sprawozdanie z wydarzeń w garnizonie artylerii w Madrycie)

J. Alía Plana *Dos días de mayo de 1808 en Madrid, pintados por Goya* (Dwa majowe dni 1808 roku w Madrycie, namalowane przez F. Goyę)

J. Alía Plana i J.M. Guerrero Acosta *El „Estado del Ejército y la Armada” de Ordovás* („Stan armii i marynarki” wg Ordovasa)

J.M. Guerrero Acosta *Los franceses en Madrid, 1808* (Francuzi w Madrycie, 1808)

J.M. Guerrero Acosta *El ejército napoleónico en España y la ocupación de Madrid* (Armia napoleońska w Hiszpanii i zajęcie Madrytu)

Emilio Cotarelo *Isidoro Máiquez y el teatro de su tiempo* (Isidoro Máiquez i teatr jemu współczesny)

Manuel Ponce *Máiquez, el actor maldito* (Máiquez, aktor przeklęty)

José de Palafox *Memorias* (Pamiętniki)

Antonio Ponz *Viaje de España* (Podróż po Hiszpanii)

Hrabia Murat *Murat, lieutenant de l'Empereur en Espagne 1808* (Murat, namiestnik Cesarza w Hiszpanii w 1808)

Marcel Dupont *Murat*

L. i F. Fucken *L'uniforme et les armes de soldats du Premier Empire* (Umundurowanie i uzbrojenie żołnierzy Pierwszego Cesarstwa)

Praca zbiorowa *Goya. Los fusilamientos del 3 de mayo* (Goya. Rozstrzeliwanie powstańców madryckich 3 maja)

Richard Tüngel *Los fusilamientos de 3 de mayo de Goya* (Rozstrzeliwanie powstańców madryckich 3 maja Francisca Goi)

Baron de Marbot *Mémoires* (Pamiętniki)

M.A. Martín Mas *La Grande Armée* (Wielka Armia)

J.J.-E. Le Roy *Souvenirs de la guerre de la Peninsule* (Wspomnienia z wojny na Półwyspie Iberyjskim)

José Gómez de Arce *Guerra de la Independencia. Historia militar de España de 1808 a 1814* (Wojna o niepodległość. Historia wojny w Hiszpanii w latach 1808–1814)

Ministerstwo Obrony Hiszpanii *Historia de la infantería española* (Dzieje hiszpańskiej piechoty)

Jacques Domange *L'Armée de Napoléon* (Armia Napoleona)

Markiz del Saltillo *Miscelánea madrileña, histórica y artística* (Miscelanea madryckie, historyczne i artystyczne)

Josep Fontana *La época del liberalismo* (Epoka liberalizmu)

Alphonse Grasset *La guerre d'Espagne* (Wojna hiszpańska)

Ministerstwo Obrony Hiszpanii *El ejército de los Borbones* (Armia Burbonów)

Ricardo de la Cierva *Historia militar de España* (Historia wojskowości w Hiszpanii)

José Mor de Fuentes *Bosquejillo de mi vida* (Szkice z mojego życia)

Joaquín de Entrambasaguas *El Madrid de Moratín* (Madryt w czasach Moratína)

Antonio Papell *Moratín y su época* (Moratín i jego czasy)

Fundacja Caja Madrid *Madrid. Atlas histórico de la ciudad* (Atlas historyczny Madrytu)

J.M. Bueno *Soldados de España* (Żołnierze hiszpańscy)

Peñasco y Cambronero *Las calles de Madrid* (Ulice Madrytu)

Pedro de Répide *Las calles de Madrid* (Ulice Madrytu)

Josef María Bouillé *Guía del oficial particular para campaña, 1805* (Przewodnik oficera na czas kampanii, 1805)

Cayetano Alcázar *El Madrid del Dos de Mayo* (Madryt, 2 Maja)

Manuel Godoy *Memorias* (Pamiętniki)

Christian Demange *El Dos de Mayo. Mito y fiesta nacional (1808–1958)* (2 Maja. Mit i święto narodowe 1808–1959)

M.A. Thiers *Histoire du Consulat et de l'Empire* (Dzieje Konsulatu i Cesarstwa)

Muzeum Wojska *Madrid, el 2 de mayo de 1808* (Madryt, dzień 2 maja 1808)

Martín de Riquer *Reportaje de la Historia* (Reportaż historyczny)

J.C. Montón *La revolución armada del Dos de Mayo en Madrid* (Zbrojne powstanie w Madrycie dnia 2 maja)

Cevallos y Escoiquiz *Mémoires* (Pamiętniki)

Antonio Alcalá Galiano *Memorias* (Pamiętniki)

Generał Maximilien Sebastien Foy *Histoire de la guerre de la Peninsule sous Napoléon* (Dzieje kampanii napoleońskiej na Półwyspie Iberyjskim)

Juan Pérez de Guzmán y Gallo *El Dos de Mayo de 1808 en Madrid* (2 maja 1808 roku w Madrycie)

Hrabia de Toreno *Historia del levantamiento, guerra y revolución de España* (Historia powstania, wojny i rewolucji w Hiszpanii)

Narodowe Zbiory Miedziorytów *Estampas de la Guerra de la Independencia* (Szttychy z wojny o niepodległość)

Fernando Díaz-Plaja *Dos de Mayo de 1808* (2 Maja 1808)

José Blanco White *Cartas de España* (Listy z Hiszpanii)

Praca zbiorowa *El Dos de Mayo y sus precedentes. Actas del congreso internacional* (2 maja i wydarzenia go poprzedzające. Akta pokongresowe)

Praca zbiorowa *Memorial de artillería* (Raporty artyleryjskie)

Praca zbiorowa *Histoire et dictionnaire du Consulat et de l'Empire* (Historia i słownik Konsulatu i Cesarstwa)

Praca zbiorowa *Répertoire mondial des souvenirs napoléoniens* (Międzynarodowy przegląd świadectw z epoki napoleońskiej)

Henri François Ledran *Tratado de las heridas de armas de fuego* (Rozprawa o ranach postrzałowych)

Academia de Caballeros Guardias Marinas *Ejercicios de cañón y mortero* (Ćwiczenia z dział i moździerzy)

- Ronald Fraser *La maldita guerra de España* (Przeklęta wojna w Hiszpanii)
- Rafael Farias *Memorias de la Guerra de la Independencia escritas por soldados franceses* (Pamiętniki z hiszpańskiej wojny o niepodległość spisane przez żołnierzy francuskich)
- David Gates *La úlcera española* (Hiszpański wrzód)
- Ricardo García Cárcel *El sueño de la nación indomable* (Marzenie niepokornego narodu)
- Charles Esdaile *España contra Napoleón* (Hiszpania przeciw Napoleonowi)
- J.M. Cuenca Toribio *La Guerra de la Independencia: un conflicto decisivo* (Wojna o niepodległość: decydujące starcie)
- Manuel Izquierdo *Antecedentes y comienzos del reinado de Fernando VII* (Początki panowania Ferdynanda VII)
- Pere Molas Ribalta *La España de Carlos IV* (Hiszpania w czasach Karola IV)
- Andrés Muriel *Historia de Carlos IV* (Dzieje Karola IV)
- E. Bukhari i A. McBride *Caballería e infantería napoleónicas* (Jazda i piechota w armii Napoleona)
- E. Bukhari i A. McBride *Napoleon's Dragoons and Lancers* (Dragoni i lansjerzy w armii Napoleona)
- E. Bukhari i A. McBride *Napoleon's Cuirassiers and Carabiniers* (Kirasjerzy i karabinierzy w armii Napoleona)
- Philip Haythornthwaite *Napoleon's Line Infantry* (Napoleońska piechota liniowa)
- Charmy *La Garde Impérial à Pied* (Piesza Gwardia Cesarska)
- R. Chartrand i B. Youngusband *Spanish Army of the Napoleonic Wars (1793–1808)* (Hiszpańska armia w wojnach napoleońskich 1793–1808)
- André-Fugier *Napoléon et l'Espagne* (Napoleon i Hiszpania)
- Jean-Joël Bregeon *Napoléon et la guerre d'Espagne* (Napoleon i wojna w Hiszpanii)
- W.F.P. Napier *History of the War in the Peninsula* (Dzieje wojny na Półwyspie Iberyjskim)
- Hans Juretschke *Los afrancesados en la Guerra de la Independencia* (Afrancesados wobec wojny o niepodległość)
- William Beccford *Un inglés en la España de Godoy* (Anglik w Hiszpanii czasów Godoya)
- Urząd Miasta Madrytu *Plano de Madrid según la maqueta de D. León Gil de Palacio* (Plan Madrytu według makiety Leona Gila de Palacio)

Urząd Miasta Madrytu *Planimetría general de Madrid de 1749 a 1764* (Plany przestrzenne Madrytu w latach 1749–1764)

Tomás López *Plano geométrico de Madrid en 1785* (Plan przestrzenny Madrytu z 1785 roku)

Fausto Martínez de la Torre *Plano de la villa y corte de Madrid en 1800* (Plan miasta i pałacu w roku 1800)

Juan López *Plano de Madrid en 1812* (Plan Madrytu z roku 1812)

Muzeum Miejskie w Madrycie *Vistas antiguas de Madrid* (Widoki dawnego Madrytu)

- 1 Odważnym fortuna sprzyja (łac.). Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza.
- 2 Zawsze należy kierować się rozważą... (łac).
- 3 Mamy cię, dziwko! (franc.).
- 4 Łajdak! Świnia! (franc.).
- 5 Jeszcze krok i każę was wystrzelać... Zrozumiał pan czy nie? (franc.).
- 6 Stać! (franc.).
- 7 Nie wolno! Proszę się cofnąć! (franc.).
- 8 Mamo! (franc.).
- 9 W imię Boga, do ataku! (franc.).
- 10 Zdrajca! (franc.).
- 11 Wychodzić! (franc.).
- 12 Jazda! Szybko! (franc.).
- 13 Mówisz w naszym języku? (franc.).
- 14 Tak, oczywiście, mówię po francusku! (franc.).
- 15 Milczeć! (franc.).
- 16 Ognia! (franc.).
- 17 Zatrzymaj się, łajdaku! Wracaj! (franc.).

Spis treści

Karta tytułowa

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Nota autora

Przypisy

Karta redakcyjna

Tytuł oryginału
Un día de cólera

© 2007, Arturo Pérez-Reverte. All rights reserved

Projekt okładki
Katarzyna Olbrycht

Fotografia na okładce
© Nik Keevil / Arcangel Images

Fotografia autora na okładce
Carmelo Rubio

Opieka redakcyjna
Anna Rucińska-Barnaś

Korekta
MELES-DESIGN

Copyright © for the translation by Weronika Ignas-Madej
© Copyright for this edition by SIW Znak sp. z o.o., 2015

ISBN 978-83-240-3412-3

znak

Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl

Społeczny Instytut Wydawniczy Znak, 30-105 Kraków, ul. Kościuszki 37

Dział sprzedaży: tel. [12 61 99 569](tel:126199569), e-mail: czytelnicy@znak.com.pl

Plik opracował i przygotował Woblink

